



# BELLADONNA

A DALYN GRACE

PRZEŁOŻYŁA DANUTA GÓRSKA

Adalyn Grace

# **Belladonna**

przełożyła Danuta Górską



Tytuł oryginału: *Belladonna*

Copyright © by Adalyn Grace, Inc. 2022

All rights reserved

Copyright © for the Polish edition by Grupa Wydawnicza Foksal, 2023

Copyright © for the Polish translation Danuta Górska, 2023

Wydanie I

Warszawa 2023

Niniejszy produkt objęty jest ochroną prawa autorskiego. Uzyskany dostęp upoważnia wyłącznie do prywatnego użytku osobę, która wykupiła prawo dostępu. Wydawca informuje, że wszelkie udostępnianie osobom trzecim, nieokreślonym adresatom lub w jakikolwiek inny sposób upowszechnianie, upublicznianie, kopiowanie oraz przetwarzanie w technikach cyfrowych lub podobnych – jest nielegalne i podlega właściwym sankcjom.

# Spis treści

Copyright

Dedykacja

Prolog

1

2

3

4

5

6

7

8

9

10

11

12

13

14

15

16

17

18

19

20

21

22

23

24

25

26

27

28

29

30

31

32

33

34

35

36

37

38

39

40

41

42

43

44

45

46

Epilog

Podziękowania

Strona redakcyjna

*W lesie jest dom z okrągłym stołem i deską wędlin, która nie ma końca.  
Ta opowieść jest dla tych, z którymi siadywałam przy tym stole i którzy  
sprawiali, że pisanie było jak magia.*

# Prolog

Zaczął się od płaczu niemowlęcia.

Spowita w szkarłatną sukieneczkę, jaskrawą jak krew, Signa Farrow była najpiękniejszym dwumiesięcznym gościem na przyjęciu i jej matka musiała to zademonstrować.

– Popatrzcie na nią – gruchała matka, podnosząc rozgrymaszone niemowlę, żeby wszyscy je podziwiali. – Czyż nie jest najdoskonalszą istotą pod słońcem?

Rima Farrow błyszczała i migotała, kręcąc się z dzieckiem wśród tłumu. Cała była obwieszona eleganckimi klejnotami, prezentami od jej męża architekta. Wystroiła się w jedwabną suknię w głębokim odcieniu kobaltu, udrapowaną na krynolinie tak szerokiej, jakiej żadna inna kobieta nie odważyłaby się nosić w jej obecności.

Farrowowie należeli do najbogatszych rodzin; wszyscy goście na przyjęciu marzyli, żeby uszczknąć coś dla siebie z tego bogactwa. Toteż przylepili do twarzy szerokie uśmiechy, żeby się przypodobać Rimie, i roztkliwiali się nad dzieckiem, które obnosiła z taką dumą.

– Jest śliczna – powiedziała kobieta, która patrzyła raczej na Rimę niż na dziecko, wachlując twarz spoconą od letniego upału.

– Idealna – dodała inna, świadomie omijając wzrokiem krzywy nosek Signy i pomarszczoną skórę na szyi.

– Będzie całkiem jak jej matka. Zaraz zacznie łamać serca nieszczęsnym zalotnikom. – To powiedział mężczyzna, który starał się nie okazywać, jak bardzo wytrąciły go z równowagi oczy



dziewczynki – jedno barwy zimowego błękitu, drugie roztopionego złota, oba zbyt świadome jak na niemowlę.

Signa nie przestawała płakać, cała czerwona i lepka. Wszyscy uważali, że to typowe – lato w Fiore przypominało gorący, wilgotny koc. Czy w domach, czy na zewnątrz, ciała błyszczały od potu, który pokrywał skórę jak welon. Dlatego nikt się nie spodziewał tego, co dziecko już wiedziało: Śmierć znalazł drogę do dworu Foxglove. Niemowlę wyczuwało go wokół siebie, jak się wyczuwa muchę, która krąży zbyt blisko. Śmierć bzyczał na skórze dziewczynki, podnosił drobne włoski na karku. W jego obecności Signa się uspokoiła, ukołyszana rozkwitającym wokół chłodem.

Jednak nikt inny nie doznał takiej pociechy, gdyż Śmierć przychodził tylko na wezwanie. A tego wieczoru wezwano go do Foxglove, gdzie zaprawiono trucizną każdą kroplę wina.

Najpierw zaczął się kaszel. Wszyscy goście dostali ataku kaszlu, ale dyskretnie zasłaniali usta eleganckimi białymi rękawiczkami i przeprasali, sądząc, że zjedli coś drażniącego. Pierwsze objawy wystąpiły u Rimy. Zimny pot sperlił jej skronie, nie mogła złapać tchu. Oddała dziecko najbliższej służącej.

– Przepraszam – powiedziała, podnosząc rękę do gardła, wciskając palce w kałuże potu, które zebrały się w zagłębieniach jej obojczyków. Znowu zakaszłała, a kiedy odjęła rękę od ust, krew czerwona jak sukienka jej dziecka splamiła jej satynowe rękawiczki.

Wtedy stanął przed nią Śmierć i dziecko patrzyło, jak kładzie dłoń na ramieniu Rimy. Z ostatnim wdechem martwe ciało osunęło się na podłogę.

Śmierć nie poprzestał na Rimie. Kroczył po wielkiej posiadłości, zagarniając nieszczęśników, których twarze purpurowiały i płuca

daremnie chwyciły powietrze. Przesuwał się wśród tancerzy i muzyków, kradnąc im oddech za sprawą jednego lodowatego dotyku.

Niektórzy rzucili się do drzwi, myśląc, że coś złego jest w powietrzu. Że jeśli uciekną do ogrodu, zostaną oszczędzeni. Jeden po drugim padali jak muchy, ocaleli tylko nieliczni szczęściarze, którzy jeszcze nie skosztowali wina.

Służąca ledwie zdążyła zanieść Signę do pokoju dziecinnego, zanim ona również upadła, krwawiąc rubinami z ust, a Śmierć zatrzymał jej serce i rzucił ciało na podłogę.

Nawet w niemowlęctwie Signa nie lękała się odoru śmierci. Obojętna wobec narastającej wokół niej paniki, skupiła się na tym, czego nie widział nikt inny – błękitnym blasku przezroczywych duchów, które wypełniły rezydencję, kiedy Śmierć wyłuskał je z ciała. Niektóre odchodziły spokojnie, biorąc za rękę partnera i czekając na eskortę w zaświaty. Inne próbowały wcisnąć się z powrotem do swoich ciał albo uciekały przed ponurym żniwiarzem, który nie próbował ich ścigać.

Pośród tego wszystkiego martwa, jaśniejąca Rima stała, milcząc, w pokoju Signy i chmurnie patrzyła pustymi oczami, jak Śmierć przekracza próg i bezgłośnie podchodzi do dziecka. Widziała zaledwie ulotny, ruchomy cień. Ale Śmierci nie trzeba było widzieć; Śmierć się czuło. Był jak ciężar gniotący pierś albo przyciasny kołnierzyk. Jak upadek w lodowate, milczące wody.

Śmierć odbierał oddech i ciepło.

A jednak kiedy podszedł, żeby zabrać Signę, nakarmioną do syta zatrutym mlekiem matki, dziecko ziewnęło i wtuliło się w mroczne objęcia żniwiarza.

Śmierć cofnął się i wciągnął z powrotem macki cienia. Ponownie spróbował sięgnąć po maleństwo, jednak jego dotyk nie odsłonił fragmentów tego młodego życia. Zamiast tego ujrzał coś, czego jeszcze nigdy nie widział – wizje z przyszłości dziecka.

Olśniewającej, nieprawdopodobnej przyszłości.

Nie zabił swoim dotykiem dziewczynki, wokół której krążył, równie zmieszany, co zafascynowany tymi wizjami.

Chociaż Rima chciała zostać – chciała poczekać, aż dziecko do niej dołączy – Śmierć zawrócił i podał jej rękę. Zdziwiona kobieta przyjęła dłoń ponurego żniwiarza.

– Jeszcze nie przyszedł jej czas – powiedział Śmierć – ale twój tak. Chodź ze mną.

Nie mógł zostać dłużej, zbyt wiele dusz czekało na przewoźnika. Ale wróci. Wróci i odnajdzie to dziecko.

Trzymając Śmierć za rękę, dusza Rimy spojrzała ostatni raz na niemowlę, które zostawiała samo w domu pełnym trupów. Modliła się, żeby ktoś szybko znalazł Signę i się nią zaopiekował.

Wieczór, który zaczął się płaczem niemowlęcia, skończył się tak samo. Tylko tym razem nikt go nie słyszał.

Podobno wystarczy pięć jagód belladonny, żeby zabić człowieka.

Tylko pięć słodkich jagód, zjedzonych prosto z krzaka. Albo, jak wolała Signa Farrow, rozgniecionych i dodanych do kubka herbaty.

Pot zrosił jej ciemne brwi, kiedy pochylała się nad parującym miedzianym naczyniem i wdychała opary. Z pewnością łatwiej byłoby po prostu zjeść jagody, ale wciąż nie знаła dokładnie skutków ich działania, a na pewno nie chciała, żeby ciotka Magda znalazła ją nieprzytomną w ogrodzie, z jaskrawopurpurowym językiem.

A już na pewno nie po raz drugi.

Signa nie widziała ponurego żniwiarza od kilku tygodni. Tylko ostatni oddech wywoływał Śmierć z ukrycia i żniwiarz nigdy nie odchodził z pustymi rękami. Przynajmniej tak powinno być. Ale Signa Farrow nie mogła umrzeć.

Signa po raz pierwszy zobaczyła żniwiarza, kiedy miała pięć lat i spadła ze schodów w domu swojej babki. Skręciła kark i leżąc na zimnej podłodze, patrzyła na niego z szyją wykrzywioną pod dziwnym kątem. Nie do końca rozumiała, że jej młode ciało nie mogło przetrwać takich obrażeń, i zastanawiała się, czy Śmierć przyszedł ją zabrać. On jednak nic nie powiedział, tylko patrzył, jak kości dziecka z trzaskiem wracają na miejsce, i znikł, kiedy dziewczynka doszła do siebie po upadku, który powinien ją zabić.

Minęło kolejne pięć lat, zanim Signa znowu zobaczyła Śmierć. Stojąc przy łóżku babci, widziała, jak Śmierć wziął starą kobietę za

rękę i uwolnił z ciała jej duszę. Staruszka chorowała od miesięcy. Uśmiechnęła się i pocałowała Signę w czoło, zanim pozwoliła odprowadzić się na tamten świat, by odnaleźć spokój.

Signa błagała Śmierć, żeby wrócił, żeby oddał jej babcię. Trzymała zmarłą za rękę i płakała, aż zabrakło jej łez. Nikt inny nie widział Śmierci ani prowadzonych przez niego dusz i Signa bała się, że to jej wina. Że to się stało przez nią, ponieważ jest dziewczyną, która widzi Śmierć.

Nie pamiętała, jak długo została w tamtym domu, zanim ktoś poczuł trupi zaduch, wszedł do środka i znalazł ją skuloną przy łóżku babci, brudną i zagłodzoną. Wyciągnięto ją stamtąd i wysłano do pierwszego z całego zastępu nowych opiekunów.

Przez kilka następnych lat wypróbowywała swoje dziwne zdolności. Zaczęła od ukłucia się w palec cierniem i patrzyła, jak rośnie banieczka krwi, a potem znika i skóra znowu jest bez skazy. Później eksperymentowała, zeskakując ze skał dostatecznie wysokich, żeby połamać sobie kości. Stwierdziła, że czuje tylko ostry trzask, a po kilku minutach może znowu spacerować u podnóża klifu.

Nigdy jednak nie zamierzała próbować się otruć jagodami belladonny, po prostu zerwała je w zaniedbanym ogrodzie ciotki kilka miesięcy wcześniej, po przyjeździe, ponieważ wzięła je za borówki. Nie miała pojęcia, że są trujące, aż do chwili, kiedy upadła w chwasty i pociemniało jej w oczach. Wtedy pojawił się Śmierć, wyjrzał zza pnia dębu. Nawet gdyby Signa nie oprzytomniała zbyt szybko, żeby z nim porozmawiać, za bardzo ją rozproszyła ciotka Magda, która znalazła ją w ogrodzie, obok zabójczej wilczej jagody, z ustami zabarwionymi na purpurowo. Kobieta o mało nie dostała

ataku serca, kiedy Signa zerwała się z ziemi, pozbywszy się trucizny z organizmu w ciągu paru chwil.

Tamtego dnia Signa nauczyła się jednej rzeczy – jak wywabić Śmierć z cieni. A uzbrojona w tę wiedzę, nie pozwoliła mu się ukrywać ani chwili dłużej.

Podniosła herbatę do ust, lecz zaledwie musnęła językiem ciepłą parę, kiedy wytrącono jej kubek z rąk. Spadła z rozchwierutanej drewnianej ławki, na której siedziała, miedziany kubek potoczył się z brzękiem i fioletowa herbata rozlała się po wytartej szarej kamiennej podłodze kuchni.

Signa odwróciła się i napotkała gniewne spojrzenie ciotki Magdy. To się często zdarzało, chociaż jeśli przyrzeć się bliżej, można było zauważyć, że cienka dolna warga i wychudłe ręce ciotki drżały lekko w obecności Signy, źrenice się rozszerzały i warstewka potu błyszczała na pomarszczonym czole.

– Myślisz, że nie wiem, co knujesz, mały demonie? – Ciotka Magda zgarnęła kubek z podłogi, powąchała, zajrzała do środka i skrzywiła się na widok rozgniecionych jagód. – Podła dziewczyno, znowu uprawiasz te diabelskie sztuczki!

Ciotka rzuciła kubkiem w Signę, która się uchyliła, ale nie zdążyła uniknąć trafienia w ramię. W kubku zostało dość herbaty, żeby ją oparzyć, a purpurowy sok jagód splamił jej ulubioną szarą kurtkę.

– Ostrzegałam cię, co będzie, jeśli sprowadzisz te przeklęte czary do mojego domu.

Signa zignorowała pieczenie skóry i twardo spojrzała ciotce w oczy.

– To była herbata.

Mówiła tak stanowczo, że każdy, kto jej nie znał, mógłby jej uwierzyć. Niestety, ciotka Magda dobrze ją znała. Sądziła, że kobieta tak mądra i pobożna jak ona nigdy nie da się oszukać „czarownicy”.

Oczywiście Signa wcale nie uważała się za czarownicę. Chociaż uwielbiała botanikę i nieraz żałowała, że nie zna chociaż paru zaklęć. Jak cudownie byłoby jednym zaklęciem odkurzyć tę chałupę albo zdobyć coś innego do jedzenia niż czerstwy chleb i to, co zdołała upichcić z nędznych resztek, które jej zostawiała ciotka Magda.

– Pakuj się – warknęła ciotka.

Przez szparę w kuchennym oknie wpadł ze świstem jesienny wiatr. Kobieta ciaśniej otuliła płaszczem wątle ramiona. Skóra jej poszarzała i co chwilę wstrząsał nią mokry, chrapliwy kaszel. Signa spojrzała w mrok za plecami ciotki, spodziewając się, że zobaczy Śmierć. Ciotka lękała się tego od tygodnia, odkąd zaczął się kaszel.

– Dzisiaj będziesz spała w szopie – oświadczyła Magda tak chłodnym tonem, że Signa poczuła ściskanie w żołądku i pożałowała, że miała nieszczęście trafić do domu tej okropnej kobiety. Szkoda, że miała tak niewielki wybór.

Ponieważ w swoje dwudzieste urodziny miała odziedziczyć majątek, z którego jej opiekunowie otrzymywali pensję, kandydaci na opiekunów niegdyś o nią walczyli. Pierwszą bitwę wygrała jej babka, powodowana nie chciwością, lecz miłością. Kiedy zmarła, Signa zamieszkała z bratem matki – młodym, energicznym bankierem, posiadającym piękną rezydencję i bogate życie miłosne. Chociaż często zostawiał ją samą, nie żałowała lat spędzonych w jego domu. Miała nawet przyjaciółkę, która towarzyszyła jej

w wyprawach do lasu i misjach szpiegowskich w sąsiedztwie – Charlotte Killinger.

W końcu życie miłosne jej wuja okazało się zbyt bogate – w wieku trzydziestu lat zmarł na chorobę, którą się zaraził od jednej ze swoich licznych partnerek. Signa miała nadzieję, że przygarnie ją rodzina przyjaciółki, jednak okazało się, że matka Charlotte zmarła na tę samą chorobę. Ten skandal położył kres przyjaźni dziewczynek i od tamtego czasu Signa nie dostała nawet listu od Charlotte.

Miała dwanaście lat, kiedy zaczęły się szeptaki, podsycane, kiedy jej trzecia opiekunka zginęła w tragicznym wypadku drogowym, jadąc po nią powozem, a czwarta utonęła w wannie po zbyt wielkiej dawce środków uspokajających podlanych alkoholem. „To dziecko jest przeklęte przez Śmierć”, powiadali ludzie. „Najgorsza z czarownic, spłodzona przez samego diabła. Gdziekolwiek pójdzie, ponury żniwiarz idzie za nią”. Signa nigdy nie próbowała zaprzeczać tym pogłoskom, ponieważ nie wiedziała, czy nie są prawdą.

Udawała, że nie widzi duchów, które mijała na ulicach czy nawet zastawała w domu, z nadzieją, że jeśli nie będzie zwracać na nie uwagi, może pewnego dnia znikną. Niestety, ignorowanie duchów nie było takie łatwe. Czasami podejrzewała, że one wiedzą, że się przed nimi ukrywa, i tym bardziej ją prześladują, wyją po nocach albo pojawiają się w lustrach, ciągle próbują ją zaskoczyć i przestraszyć swoimi wygłupami.

Na szczęście w domu Magdy nie mieszkały żadne duchy, chociaż to nie poprawiło sytuacji Signy. Ciotka Magda należała do tych osób, które spędzają całe dnie w domach gry i zawsze wracają z pustymi kieszeniami. Nie zawracała sobie głowy takimi głupstwami jak zaopatrzenie kuchni w żywność albo dopilnowanie,



żeby Signa mogła oddychać w pełnej kurzu ruderze, którą nazywała domem. Zależało jej tylko na pensji należącej opiekunowi Signy.

Signa rozumiała, że ciotka się jej boi – nawet tego się spodziewała – jednak to dodatkowo uprzykrzało jej życie. Za parę miesięcy miała skończyć dwadzieścia lat, odziedziczyć spadek i wreszcie zbudować własny dom. Dom pełen światła i ciepła, i co najważniejsze – ludzi. Będzie paradowała po tym domu w pięknej sukni, przyciągając spojrzenia tuzina przystojnych zalotników, którzy wyznają jej miłość. I już nigdy nie będzie sama.

Ale żeby zapewnić sobie taką przyszłość, musiała zmierzyć się ze Śmiercią. Najlepiej jeszcze tej nocy, zanim ponury żniwiarz zabierze kolejną opiekunkę i wzmocni klątwę.

– Pakuj się, dziewczyno – powtórzyła ciotka Magda, jej kościste ręce się trzęsły. – Nie pozwolę ci dzisiaj nocować w moim domu.

Signa wybiegła z kuchni, zatrzymując się tylko na chwilę, żeby podnieść kubek z podłogi i obejrzeć najnowsze wgniecenie w miedzi. Chybotliwe drewniane schody skrzypiały, kiedy po nich wchodziła. Starła się myśleć tylko o podłodze trzeszczącej przy każdym kroku, jakby protestującej pod jej ciężarem. O brudzie pokrywającym cały dom, od fundamentów po krzywy dach. O pająku, który mieszkał w doskonale zachowanej pajęczynie w kącie pod sufitem, niedostępny, ale zawsze na widoku. O wszystkim, byle tylko wyrzucić z głowy mroczne myśli – że coś jest z nią bardzo nie w porządku. Że jest potworem. Że byłoby lepiej, gdyby tylko była normalna.

Magda wierzyła, że Signa ma diabła za skórą, i może miała rację. Może rzeczywiście diabeł uwił sobie wygodne gniazdko w jej duszy

i dlatego nie mogła umrzeć. Niemniej jednak wiedziała, że i tak musi zrobić to co trzeba.

Kaszel ciotki Magdy wstrząsnął domem i Signa przyspieszyła kroku. W swojej maleńkiej sypialni na strychu przesunęła kufer pod drzwi, żeby nikt nie mógł wejść, i wróciła na palcach na środek pokoju. Podkasała spódnice, usiadła na podłodze i zdjęła kurtkę. Z kieszeni wyjęła jagody belladonny. Ułożyła je przed sobą, potem z drugiej kieszeni wyciągnęła zardzewiały kuchenny nóż i owinęła zaśnieżoną rączkę w fałdy spódnicy, żeby łatwiej ją chwycić. Wzięła pięć jagód i sama nie rozumiejąc dlaczego, przygładziła ciemne sploty włosów i poprawiła kołnierzyk, żeby lepiej się prezentować, zanim pozwoliła, żeby słodycz eksplodowała jej na języku.

Trucizna zaczęła działać, jakby ktoś rozciął jej pierś rozpalonym żelazem i ścisnął płuca. Po skórze toczyły się grube krople potu, wypływające z porów jak z przeciekającego kranu. Żółć podeszła do gardła, powodując odruch wymiotny. Signa zamknęła oczy, żeby nie widzieć cieni, które zaroily się wokół niej, wywołując dziwne halucynacje.

Zaledwie po paru chwilach skutki belladonny ustąpiły – taka dawka powinna zabić, ale Signa szybko mogła dojść do siebie. Chciała jednak przedłużyć tę chwilę, ponieważ o to jej chodziło: to była jej szansa, żeby dopaść ponurego zniwiarza i powstrzymać go raz na zawsze.

Wreszcie w jej żyły wpłynął lód. Znajoma obecność wtargnęła w jej wnętrze i domagała się uwagi. Signa otworzyła oczy.

Przed nią stał Śmierć.

Patrzył.

Czekał.

Oszołamiająca, znajoma obecność zaskoczyła Signę jak zawsze – skłębione cienie uformowały niewyraźną ludzką sylwetkę. Była tak mroczna i pozbawiona światła, że jej widok sprawiał ból. A jednak Signa musiała na nią patrzeć. Zawsze na nią patrzeć. Przyciągana jak ćma do płomienia świecy. I to przyciąganie wydawało się wzajemne.

Śmierć nie czekał już w stosownej odległości, tylko pochylał się jak sęp nad padliną. Cienie tańczyły wokół niego. Signa podniosła wzrok na bezdenną otchłań ciemności i chociaż oczy ją piekły, nie odwróciła spojrzenia.

– Wolałbym, żebyś mnie nie wzywała za każdym razem, kiedy poczujesz potrzebę. – Głos nie był taki, jakiego Signa się spodziewała. Nie był lodowaty ani chropowaty; przypominał szmer wody w strumieniu, opływał jej skórę i zapraszał do pływania o północy. – Wiesz, jestem dość zajęty.

Signa zamarła bez tchu. Ponad dziewiętnaście lat czekała, żeby usłyszeć głos Śmierci – i to były jego pierwsze słowa? Zacisnęła palce na rękojeści noża i skrzywiła się gniewnie.

– Jeśli zamierzasz zmarnować mi życie, najwyższy czas, żebyś powiedział dlaczego.

Śmierć cofnął się, a wtedy znowu napłynęło ciepło i ukąsiło zdrętwiałe palce Signy. Nawet nie zauważyła, jak zmarzła.

– Myślisz, że to właśnie robię, Signo? – W głosie Śmierci brzmiało niedowierzanie. – Marnuję ci życie?

W tych słowach było coś niepokojącego. Coś zbyt znajomego, od czego ciarki przeszły dziewczynie po plecach.

– Nie wymawiaj mojego imienia – poprosiła. – W ustach Śmierci brzmi jak przekleństwo.

Śmierć roześmiał się niskim, melodyjnym głosem i cienie wokół niego się skrzyły.

– Twoje imię nie jest przekleństwem, ptaszynko. Po prostu lubię jego smak.

Ten śmiech dziwnie podziałał na Signę. Chociaż przez lata układała sobie przemowę na tę chwilę, teraz nie mogła jej sobie przypomnieć. A nawet gdyby sobie przypomniała, jaki w tym sens? Nie mogła pozwolić, żeby dziwne słowa Śmierci wytrąciły ją z równowagi – skoro zniwiarz niemal zmarnował jej życie, pozbawił przyjaciół, opiekunów i domu. Więc nie zastanawiała się dłużej; czas wykorzystać okazję i sprawdzić, czy Śmierć ma jakieś słabe strony.

Drżącymi rękami mocno ścisnęła nóż, przewyciężyła ociążałość w kościach i zebrała wszystkie siły. I dźgnęła Śmierć prosto w pierś.

Ostrze prześliznęło się wśród cieni i Signa zakłęła.

Śmierć spojrział w dół na swoją pierś i cienie się przekrzywiły, jakby przechylił głowę.

– No, no, ciekawe z ciebie stworzonko. Chyba nie myślałaś, że taki drobiazg mi zaszkodzi?

Urażona Signa zacisnęła usta i wyciągnęła nóż. Miała nadzieję, że coś osiągnie w ten sposób. Że odstraszy Śmierć albo przynajmniej da mu do zrozumienia, że naprawdę nie życzy sobie jego obecności. Chciała, żeby Śmierć uznał ją za niebezpieczną osobę. Kogoś, z kim trzeba się liczyć. A tymczasem zniwiarz się *śmiał*.

Przez ten śmiech Signa prawie nie słyszała natarczywego walenia do drzwi. Zamarła dopiero wtedy, kiedy przeraźliwie zaskrzypiał kufer przesuwany po drewnianej podłodze. Ciotka Magda z wrzaskiem wpadła do pokoju, biała jak ściana, z przerażeniem w oczach. Nie tracąc czasu, chwyciła Signę za włosy i poderwała ją z podłogi. Spojrzała w stronę okna, jakby zamierzała wyrzucić przez nie dziewczynę.

Śmierć zjeżył się i jakby zmroził powietrze w pokoju. Lodowate zimno sparzyło skórę Signy, kiedy próbowała się wyrwać ciotce. I chociaż wiedziała, że powinna powstrzymać Śmierć, milczała. W oczach ciotki Magdy płonęła nienawiść, ręce sięgały do szyi Signy. Dziewczyna zacisnęła zęby, chwyciła ciotkę za ramiona i odepchnęła z całej siły.

W chwili, kiedy dotknęła kobiety, jakby ogień zapłonął w jej żyłach. Ciotka cofnęła się, oszołomiona, z trudem chwytając powietrze. Zbielała na twarzy, jakby dotyk Signy wysał z niej wszelkie kolory. Potknęła się o róg kufra i zatoczyła do tyłu z bezgłośnym krzykiem, wydając ostatnie tchnienie.

Upadła na podłogę z głuchym łomotem, milcząca może po raz pierwszy w życiu.

Zanim Signa zrozumiała, co się stało, było już za późno. Ciotka Magda wpatrywała się w sufit pustymi, szklistymi oczami. Śmierć pochylał się nad nią, badając zwłoki.

– No, to był chyba jedyny sposób, żeby jej zamknąć buzię – rzucił wesoło, jakby to wszystko było tylko żartem.

Spanikowana Signa rozpaczliwie chwytiała powietrze.

– Coś ty zrobił?

Dopiero wtedy Śmierć się wyprostował, zauważywszy przerażenie dziewczyny.

– Co ja zrobiłem? Chyba się mylisz, ptaszynko. – Mówił powoli i starannie wypowiadał słowa, jakby zwracał się do dziecka. – Odetchnij głęboko i posłuchaj mnie. Mamy mało czasu...

Ale Signa go nie słuchała. Kiedy spojrzała na swoje ręce, były bladobłękitne i przejrzyste jak ręce ducha. Z jękiem schowała je za siebie.

– Odejdź ode mnie! – zaskomlała. – Proszę, trzymaj się ode mnie z daleka!

W głosie Śmierci pojawił się ostry ton, jakby ciemność ogarnęła łąkę.

– Przecież cały czas próbuję.

Odwrócił się i Signa mogła tylko patrzeć, jak Śmierć zanurza dłoń w zwłokach ciotki i wyrywa duszę z ciała.

Dusza spojrzała na Signę, potem na Śmierć i szeroko otworzyła oczy, w których zabłysło zrozumienie.

– *Ty parszywa więdźmo.*

Signa poczuła, że ziemia usuwa jej się spod nóg. Umysł zamykał się w sobie, pole widzenia się zawężiło. Spojrzała na swoje drżące ręce. Ręce, które ją zdradziły. Ręce, które odebrały życie.

– Co ja zrobiłam? – szepnęła, kuląc się ze strachu. – Co ja zrobiłam, co ja zrobiłam, co ja zrobiłam? – A potem z narastającą zgrozą: – Co ja robię?

– Najpierw weź głęboki oddech. – Z niewiadomego powodu Signa poczuła ulgę, że to Śmierć do niej mówi, a nie Magda, która wpatrywała się zaszokowana w swoje przezroczyście ciało. – Zapewniam cię, że tego się nie spodziewałem...

– Co mnie obchodzą twoje zapewnienia? Przez ciebie to się stało! – Signa nie wiedziała, czy się śmiać, czy płakać, więc w jej głosie było trochę jednego i drugiego.

Cień Śmierci powiększył się trzykrotnie i ciemność spowiła pokój.

– To ty mnie wezwałaś. Ja niczego nie zrobiłem, tylko przybyłem na wezwanie. Nie jestem twoim wrogiem...

Przynajmniej po tych słowach wiedziała, że musi się roześmiać.

– Nie moim wrogiem? Jesteś wieczną chmurą nad moim życiem. Przez ciebie mieszkam w takich miejscach, z takimi ludźmi jak ona, otoczona przez duchy! Przez ciebie jestem nieszczęśliwa. I patrz, co zrobiłeś. – Spojrzała na trupa przed sobą, ukryła twarz w przezroczystrych dłoniach i zalała się gorącymi łzami. – Przekląłeś mnie. Teraz nikt nie zechce się ze mną ożenić!

– Ożenić? – Śmierć popatrzył na nią z niedowierzaniem. – I dlatego płaczesz?

Signa załkała głośniejsz, pogrążona w rozpacz.

Gdyby nie zakrywała sobie oczu, zobaczyłaby, że cień Śmierci się skurczył. Zobaczyłaby, że sięgnął do niej i cofnął się, zanim zdążyła go odtrącić. Zobaczyłaby, że cień owinął się wokół ust Magdy i uciszył ją, zanim wykrzyczała następne okrutne słowa.

– Nigdy nie chciałem, żeby tak się stało. – W głosie Śmierci brzmiała szczerość. – Nasz czas jest ograniczony i wiem, że bez względu na to, co teraz powiem, nie zechcesz mnie wysłuchać. Ale nie jestem twoim wrogiem. Udowodnię ci to za dwa dni. Obiecuj mi, że zostaniesz tu do tego czasu.

Signa niczego nie obiecała, ale i tak nie miała dokąd pójść. Jednak nie podniosła wzroku, dopóki Śmierć nie odszedł i do pokoju znowu napłynęło ciepło, przywracając jej czucie w palcach rąk i nóg, a także kolory na twarz. Działanie belladonny minęło, pozostał tylko pulsujący ból głowy i rozwścieczony duch ciotki Magdy, jedyna pamiątka po wizycie Śmierci.

Signa popatrzyła na nią załzawionymi oczami, a ciotka rzuciła jej gniewne spojrzenie.

– *Zawsze wiedziałam, że masz diabła za skórą.*

Nie próbując zaprzeczać, Signa osunęła się na podłogę i znowu pogrążyła w rozpacz.

\*

Później tego wieczoru Signa stała przed koślawymi drzwiami domu swojej nieżyjącej ciotki Magdy i obejmowała się ramionami,



czekając, aż koroner zakończy pracę.

Pospieszył się – nie dlatego, że zwłoki budziły w nim lęk, ale ponieważ bał się Signy, z jej kruczymi włosami i oczami w różnych kolorach, i tłumy sąsiadów, którzy przyglądali się z daleka i robili znaczące miny.

– Nigdy o to nie prosiłaś – szepnęła do siebie Signa, zbierając siły, żeby stawić czoło gapiom. – Może o tym myślałaś, ale myśleć to nie znaczy zrobić. Jesteś dobra. Ludzie mogliby cię polubić. To jego wina.

*Jego wina, jego wina, jego wina.* Nowa mantra Signy.

Teraz nienawidziła Śmierci jeszcze bardziej. Nienawidziła za to, czym się przez niego stała. Chociaż... nie mogła powiedzieć, że żałuje, że ciotka Magda odeszła.

A przynajmniej odeszła w większości.

– *Pozwolisz im mnie zabrać?* – zaskrzeczała dusza ciotki Magdy, rozzłoszczona nawet po śmierci. – *Jesteś mi coś winna, dziewczyno! Pozwolisz, żeby mnie wepchnęli do worka? Zrób coś, ty mała czarownico, wiem, że mnie widzisz!*

– Niestety również cię słyszę – burknęła Signa.

Uświadomiła sobie, że powiedziała to na głos, kiedy mężczyzna ładujący worek ze zwłokami ciotki na tył czarnego powozu rzucił jej zaskoczony spojrzenie. Nie wiedząc, co robić, Signa patrzyła w przestrzeń między nim a unoszącym się duchem ciotki. W końcu mężczyzna poczuł się nieswojo, zaczął przeproszać i bełkotać, że współczuje jej z powodu straty i że będzie z nią w kontakcie.

Przez cały czas sąsiedzi zaciskali w rękach krzyżyki noszone na szyjach i szeptali, że zawsze wiedzieli, że z tą dziewczyną jest coś nie tak. Mówili każdemu, kto chciał słuchać, że Signa to diabelskie

nasienie i Magda nie powinna zapraszać do domu diabła. Wśród nich był nawet duch w powiewnej białej tunice, który zegnał się raz za razem, gapiąc się na Signę pustymi oczami.

Próbowała nie złościć się na nich. Nieważne, że sprawiali jej przykrość tymi plotkami. Nieważne, że oddałyby wszystko, żeby mieć chociaż jedną osobę, której mogła zaufać – ponieważ słusznie się jej bali. Ponieważ wykorzystywała moc ponurego żniwiarza.

Musiała tylko zrozumieć, jak to się stało.

Miała gęsią skórkę, kiedy cofała się w stronę domu Magdy z nadzieją, że ani sąsiedzi, ani zdenerwowana ciotka – która urządziła scenę z powodu swojego ciała, kiedy powóz koronera znikł w głębi ulicy – nie pójda za nią. Ukradkiem wśliznęła się do ogrodu.

Określenia „ogród” w tym przypadku użyła trochę na wyrost. Przez lata na tym skrawku ziemi wyrosły chwasty i dzikie kwiaty, na które Magda często narzekała. Signa dbała o nie, na ile mogła bez łopaty i nożyc ogrodniczych. Jeśli czegoś będzie jej brakowało z domu Magdy, to właśnie ogrodu.

Przemknęła pod wierzbę, odgarniając na bok przerośnięte listowie, żeby się oprzeć o pień. Ale nie była sama.

Pod liśćmi i koniczyną, pokryte brudem, leżało pisklę. Wykluło się tak niedawno, że oczy miało jeszcze szczelnie zamknięte i skórę różową, bez jednego piórka.

Signa pochyliła się, żeby obejrzeć biedne stworzonko. Oblazły je mrówki i wyraźnie zamierzały pożreć je żywcem. Owady były bezlitosne. Signę ogarnęło mimowolne współczucie dla pisklaka; był jak ona – wyrzucony z gniazda, zmuszony sam borykać się z losem. Tyle że był w gorszym położeniu niż Signa, bo nie mógł oszukać

śmierci. Lepiej, żeby umarł szybko; powinno się miłosiernie skrócić jego cierpienia.

Ale śmierć Magdy była przypadkiem. Gdyby Signa odebrała następne życie, tym razem umyślnie, czym by się stała?

Nie chciała się nad tym zastanawiać, jednak wiedziała, że musi znaleźć odpowiedź, zanim znowu stanie twarzą w twarz z kimś, kogo mogła skrzywdzić.

Ściągnęła rękawiczki i ostrożnie musnęła czubkiem palca kręgosłup pisklęcia, zgarniając trochę mrówek i śmieci. Wstrzymała oddech i czekała, czy przyjdzie śmierć. Co dziwne, pisklak nadal wiercił się na ziemi, a jego serce pulsowało.

Ponownie przycisnęła palec do ptaszka, tym razem na dłużej. Kiedy cofnęła rękę, stworzonko nadal oddychało.

Oparła się o pień wierzby, pod powiekami zapiekły ją łzy ulgi. Jej dotyk nie zabił biednego ptaszka. Jej dotyk nie był zabójczy. Chyba że... chyba że chodziło o coś więcej.

Przypomniała sobie o belladonie w kieszeni i drżącą ręką wyciągnęła pięć jagód. Sprawdziwszy, czy liście zasłaniają ją przed każdym, kto by tędy przechodził, wrzuciła jagody do ust i rozgniotła je na języku. Objawy pojawiły się szybko – mdłości, zaburzenia wzroku – a potem znowu naprzeciwko niej stanął Śmierć. Chociaż tego się spodziewała, świadomie zignorowała zniwiarza, który czekał w pewnej odległości. Jeszcze raz przesunęła palcem po kręgosłupie ptaszka i tym razem jego serce przestało bić. Pisklak z ulgą wydał ostatnie tchnienie i znieruchomiał.

Signa przycisnęła rękę do piersi. Nie mogła dłużej zaprzeczać – jej dotyk sprowadzał śmierć. Ale Śmierć przychodził tylko wtedy, kiedy

został wcześniej wezwany. Tylko wtedy, kiedy Signa przebywała w tej dziwnej sferze, zawieszona między życiem a śmiercią.

Miała tyle pytań, jednak nie zaszczyciła Śmierci ani jednym spojrzeniem. Dźwignęła się z ziemi, zostawiając martwego pisklaka na pożarcie mrówkom, i pokuśtykała w stronę domu.

Cieszyła się, że przynajmniej pisklę już nie czuje bólu. Cieszyła się, że jeśli już była potworem, przynajmniej mogła okazać miłosierdzie.

Dwa dni później przyjechał powóz z wypolerowanej kości słoniowej.

Psy z sąsiedztwa szczekaniem oznajmiły jego przybycie. Słyszając ten hałas, Signa wyjrzała przez okno kuchenne i serce jej się ścisnęło. Od śmierci ciotki praktycznie mieszkała w ogrodzie, żegnała się z roślinami i liczyła mijające dni, ignorując ducha, który grasował po domu. Ciotka Magda zachowywała się okropnie nawet po śmierci, szarpała zasłony i zawodziła przeraźliwie, na zmianę obrzucała Signę obelgami albo leciała szpiegować sąsiadów.

Poprzedniego dnia Signa otrzymała list – z czerwoną woskową pieczęcią, podpisany przez niejakiego pana Elijaha Hawthorne’a, ponawiający zaproszenie do jego domu, Thorn Grove. Z zaskoczeniem odkryła, że to nazwisko męża wnuczki Magdy, Lillian. Nieraz słyszała, jak ciotka narzekała na tę młodą kobietę, bogatą damę z towarzystwa, która bez ostrzeżenia pozbawiła Magdę dochodów.

Przez cały dzień i sporą część następnego ranka Signa wpatrywała się w ten list, pełna obaw, że to tylko wytwór jej wyobraźni. Woląca nie zgadywać, w jaki sposób Śmierć tego dokonała. Chociaż miała ochotę odrzucić to zaproszenie, nie była głupia. Wyjazd do Thorn Grove był najlepszym rozwiązaniem. Odstawiła więc herbatę, ścisnęła mocniej list od Elijaha i wybiegła z domu.

Powóz nawet się nie zachwiał, przejeżdżając z turkotem po gęstych pnączach i wilgotnym mchu, które wystrzelały przez szpary w popękany bruku. Ciągnęły go dwa czarne konie, o sierści śliskiej

od potu; rozdymały nozdrza z wyczerpania, ale wyglądały zdrowo, były silne i umięśnione. Signa mimo woli pomyślała o swoich kościstych nadgarstkach i chudych nogach i trochę pozazdrościła tym koniom, które z pewnością odżywiały się lepiej niż ona. Potężne ogiery, dysząc, zatrzymały się przed nią i wiekowy stangret zsunął się z kozła. Był wysoki, blady i chudy jak patyk.

– Dzień dobry, panienko. – Uchylił cylindra i otworzył drzwi powozu. – Przypuszczam, że to panienkę miałem odebrać?

– Chyba tak.

Signa drżała jak koliber. Ktoś naprawdę przyjechał ją stąd zabrać. Do rodziny stojącej wysoko w hierarchii społecznej, gdzie będzie mogła nosić piękne suknie i popijać herbatę z innymi paniami, i prowadzić życie, o jakim marzyła. To wydawało się zbyt piękne, żeby było prawdziwe; ciągle zerknęła w stronę cieni i czekała, aż pojawi się Śmierć, wyśmieje ją i powie, że to był żart.

– Mam rozkazy, żeby przywieźć panienkę bez zwłoki – oznajmił stangret. – To spory kawałek drogi. Ma panienka jakieś rzeczy?

– Tylko kufer, proszę pana. Jest w środku. Przyniosę go...

Stangret machnięciem ręki odrzucił jej propozycję, uśmiechając się przy tym niepokojąco zuchwale.

– Nonsens, panienko. Zrobię to z przyjemnością.

Nieprzyzwyczajona do takiej uprzejmości, mogła tylko kiwnąć głową, kiedy poczłapał w stronę domu. Nie wiedziała, czy powinna zostać na miejscu, czy wsiąść do powozu.

Nie czekała długo na odpowiedź. Z powozu dobiegło kasznięcie sygnalizujące, że stangret nie przyjechał sam. Po chwili wysiadł stamtąd młodzieniec najwyżej dwudziestoletni, elegancko ubrany w czarny surdut i wysokie skórzane buty tego samego koloru. Nie

spodziewała się kogoś tak młodego. Chłopak był wysoki jak wierzba i krzepki jak dąb, miał gęste, czarne jak smoła włosy wijące się za uszami i skórę opaloną od słońca. Delikatne smużki piegów widniały pod oczami, które przypominały Signie dym – jasnoszare i zmienne, z czarną jak węgiel obwódką wokół tęczy. Mała blizna przecinała ukośnie łuk jego lewej brwi.

– *Tylko popatrz na te złote ozdoby na powozie! Oczywiście moja wnuczka Lillian musi się popisywać bogactwem. Ale mnie to nigdy nie pomogła, podła dziewczyna. Głupia gęś, całkiem jak ty.* – Magda okrążała chłopca, narzekając z rozgoryczeniem, ale przynajmniej raz Signa tym się nie przejmowała.

Znała dwie zasady dotyczące duchów – pierwsza, że Magda mogła nawiedzać tylko miejsce, w którym umarła, a druga, że gdyby spalono jej zwłoki, jej dusza musiałaby opuścić ziemię.

Pierwsza zasada ucieszyła Signę, bo oznaczała, że nigdy więcej nie zobaczy swojej okropnej ciotki.

– Miło mi cię poznać, panie. Mam nadzieję, że podróż była wygodna. – Signa odchrząknęła i zdobyła się na uprzejmość. Nawet usiłowała dygnąć w ciężkiej, drapiącej sukni z bombazyny i czarnym welonie z piórami, jedynym stroju, jaki ostatnio mogła nosić.

Młody człowiek nie odwzajemnił formalnego powitania. Spojrzał surowo na zniszczony ganek i zapuszczony ogród, całkiem zarośnięty wybujałymi chwastami.

– Jestem Syllas Thorly, przyjechałem w imieniu pana Elijaha Hawthorne’a, żeby eskortować pannę Farrow do jego rezydencji, Thorn Grove. – W jego głosie rozbrzmiewał niski pomruk nadciągającej burzy. – Zakładam, że to ty?

Signę zaciekało to nazwisko, ponieważ spodziewała się Hawthorne'a.

– To ja.

– Znakomicie – przeciągnął, wygładzając czarne skórzane rękawiczki, które pasowały na jego dłonie jak druga skóra i którym poświęcał znacznie więcej uwagi niż Signie. – Zatem wsiadajmy do powozu. Jak mówił Albert, mamy przed sobą spory kawałek drogi.

– Jeśli chcecie odpocząć, mogę zrobić herbatę...

Sylas poprawił fular, nie patrząc na nią.

– Wolałbym nie zostawać w tej ruderze dłużej, niż to konieczne.

Signa zacisnęła zęby, ale brnęła dalej.

– A co z końmi? Nie trzeba ich napoić?

Sylas przechylił głowę i spojrział w niebo zmrużonymi oczami. Wziął długi oddech i Signa odniosła wrażenie, że próbował zdobyć się na cierpliwość, ale przegrał.

– Miło z twojej strony. Ale konie mnie poinformowały, że one też wolą nie zwlekać, żeby się czymś nie zarazić. Zapraszam, panno Farrow. – Sylas wskazał na powóz i wyciągnął dłoń w rękawiczce, żeby pomóc Signie wsiąść.

Powóz był mały i Signa musiała przyciskać się bokiem do ściany, żeby przypadkiem nie trącić Sylasa w kolana, które rozstawił szeroko i zbyt wygodnie jak na takie ciasne pomieszczenie. Po chwili – kiedy Albert załadował jej kufer podróżny i wdrapał się na kozioł – strzeliły lejce i konie ruszyły.

Dymne oczy Sylasa przelotnie napotkały spojrzenie Signy. Potem chłopiec sięgnął po gazetę i rozłożył ją sobie na kolanach. Niepewna, co ma robić, Signa rozejrzała się za drugim egzemplarzem albo czymś do czytania, ale niczego nie znalazła.



– Więc nie jesteś Hawthorne’em? – zagadnęła, czując, że w towarzystwie nie wypada milczeć.

Z książki, którą zostawiła jej matka, *Poradnik urody i etykiety dla dam*, dowiedziała się, że niezamężna kobieta nie powinna przebywać sam na sam z żadnym mężczyzną pod groźbą skandalu. Jednak biorąc pod uwagę wspaniały powóz i te wszystkie plotki, nie ulegało wątpliwości, że Hawthorne’owie są bogaci, szanowani i należą do najlepszego towarzystwa. Więc może książka Signy była przestarzała?

– Czy pan Hawthorne nie mógł sam po mnie przyjechać? Albo Lillian?

Sylas westchnął cicho i wyciągnął jak najdalej długie nogi. Był o wiele za wysoki do tego wnętrza i musiał siedzieć skulony jak wrona na gałęzi.

– Lillian nie żyje, a córka pana Hawthorne’a, Blythe, jest chora. Więc nie, nie mogli.

Signa zeszywniała. Najwyraźniej Śmierć dotarł przed nią do Thorn Grove.

– Przykro mi, że nikt cię nie żegnał i nie odprowadzał – wymamrotał Sylas, widocznie tak jak Signa niewprawy w towarzyskich rozmówkach.

– Nic nie szkodzi, przyzwyczaiałam się do samodzielności.

Poza tym żegnać ją mogła tylko ciotka Magda, której Signa wolałaby już nigdy nie widzieć na oczy. Wszystkie duchy chodzące po ziemi związane są z tym światem jakąś silną emocją, jak gniew lub smutek. Signa widywała zapłakane kobiety wyglądające z okien i dusze kłócące się wciąż o to samo, uwięzione w pętli gniewu. Poznała ich zwyczaje i nauczyła się ich unikać, ponieważ duchy

nawiedzają zawsze te same miejsca, dopóki nie zdecydują się w końcu odejść z tego świata.

Przez te wszystkie lata Signa napotkała tylko dwie dusze, które odeszły. Większość – jak rozwścieczona ciotka Magda, która teraz tłukła pięściami w drzwi powozu i wrzeszczała: *Ani się waż, ty czarownico! Ani się waż zostawić mnie tutaj!* – mogła błąkać się po ziemi bez końca, karmiąc się swoimi najsilniejszymi emocjami.

Ale odjechali po ulicach brukowanych kocimi łbami, gdzie jesienny wiatr przynosił mocny zapach jabłek i cynamonu. Signa westchnęła z zadowoleniem, kiedy oddalili się poza zasięg Magdy. Słuchała, jak gazeta szeleści od czasu do czasu, kiedy Syłas przewracał stronicę.

– Wydajesz się zadowolona, że wyjeżdżasz – zauważył chłopiec po chwili, nie odrywając oczu od gazety.

Chrząknęła potwierdzająco, bo miał całkowitą rację.

– Wszędzie jest lepiej niż tutaj – powiedziała.

Oparła głowę o szybę i usadowiła się wygodnie. Nie zauważyła, że palce Sylasa znieruchomiały na papierze. Nie widziała, jak zacisnął szczęki i z ponurą miną wrócił do czytania.

Gdyby widziała, może by się zastanowiła, co tak naprawdę ją czeka w Thorn Grove.

Nie spodziewała się, że do Thorn Grove pojedą pociągiem. Kiedy po raz pierwszy poczuła dym w powietrzu, zamknęła okna powozu, myśląc, że przejadą dalej. Ale powóz zwolnił i Sylas wcisnął jej do ręki cienki żółty bilet. Nigdy jeszcze nie jechała pociągiem, chociaż czytała w gazetach, jak szybko pędzą; nowy sposób podróżowania; nowoczesny luksus. Sylas musiał ponaglić ją chrząknięciem, żeby się pozbierała i wysiadła z powozu. Jak tylko obcasy jej butów dotknęły ziemi, znalazła się w innym świecie.

Masywny budynek stacji z szarego łupku zdobiła tarcza zegara, ogromna, wręcz imponująca. Zegar wybił godzinę i ten dźwięk odbił się echem jak gong na całej stacji.

W środku zniszczona podłoga pożółkła ze starości. Nad przepełnionymi koszami na śmieci kłębiły się roje much. W powietrzu wisiał wyraźny piżmowy zapach potu od zbyt wielu stłoczonych ciał. Był też obecny duch. Mężczyzna w długim czarnym płaszczu, dziurawym i poprzecieranym, siedział na ławce i poważnie obserwował przechodzących pasażerów. Signa ominęła go szerokim łukiem, unikając jego spojrzenia.

Stacja, chociaż brudna, miała w sobie jakąś wspaniałość. Wszędzie kręcili się elegancko ubrani mężczyźni z luksusowymi laseczkami w rękach i kobiety w czepkach oraz bawełnianych popołudniowych sukniach, i każdy dokądś się wybierał. Kilku panów zajęło ławki ustawione na peronach, gdzie wertowali gazety albo pykali dymem z cygar. Inni pospiesznie przechodzili przez

stację, przyciskając do piersi bagaże i spoglądając na olbrzymi zegar, który nimi rządził.

Starszy dżentelmen z dumnie wypiętą piersią eskortował uśmiechniętą kobietę, która nie mogła oderwać wzroku od pierścionka na palcu. Z nawyku, którego nabrała, spędzając zbyt wiele czasu w samotności, Signa próbowała odgadnąć ich historię. Wyobraziła sobie, że są nowożeńcami i wyjeżdżają w podróż poślubną. Pomyślała o wszystkich pięknych sukniach zapakowanych do kufra panny młodej, uszytych z najdelikatniejszych tkanin, żeby czuła na skórze słone powietrze, kiedy razem z ukochanym wybiorą się nad morze. Wypełniło ją pożądanie tak żarliwe, że musiała się odwrócić od tej pary. Jak by to było, gdyby znalazła się na miejscu tej kobiety? Gdyby uwiózł ją w dal przystojny mężczyzna, do którego nie mogła przestać się uśmiechać, ogłupiała ze szczęścia?

Obok niej Sylas mamrotał coś pod nosem. Signa kiwnęła głową i udawała, że słucha, zagubiona w marzeniach. Jeszcze nigdy nie widziała tylu ludzi w jednym miejscu. Z trudem przeciskała się przez tłum. Uczynny młody bagażowy, który prowadził ją i Sylasa przez stację, spojrzał tylko raz na jej bilet i zaoferował, że poniesie jej kufer. Bagaż był ciężki i solidny, jednak Sylas nie zaproponował chłopcu pomocy, tylko milczał z kamienną twarzą i ostentacyjnie go ignorował.

– Będzie panienka miała przedział tylko dla siebie. – Posługacz zasapał się od dźwigania ciężkiego kufra. – Najlepszy w pociągu.

Wszystko wokół wydawało się wielkie i wspaniałe. Signa nigdy nie widziała takiego tłoku i pomyślała, że łatwo można się tu zgubić. Chociaż Sylas ciągle miał taką minę, jakby zjadł kwaśne ciastko,

była zadowolona z jego towarzystwa, bo przy nim czuła się bezpieczniej.

– Często podróżujesz? – zapytała.

Odpowiedzi udzielił bagażowy.

– Nie tak często, panienko. Chciałbym więcej, gdybym miał przerwę w pracy, ale ciągle jestem zajęty.

Signa obejrzała się na miejsce, gdzie ostatnio widziała Sylasa, i odkryła jego nieobecność. Stłumiła okrzyk i rozejrzała się po tłumie, aż go dostrzegła – tam, z przodu, właśnie wsiadał do pociągu.

Ogarnięta paniką, gwałtownie odwróciła się do bagażowego i wsunęła ręce pod kufer, który dźwigał.

– Oddaj mi to – zażądała. – Dalej poniosę sama.

Bagażowy drgnął, ale nie wypuścił kufra.

– To naprawdę żaden kłopot, panienko. To jest za ciężkie dla damy...

W obawie, że nie ma czasu na dyskusje, Signa wyrwała mu kufer z objęć. Rzeczywiście był wyjątkowo ciężki, wykonany z litego mahoni, zamknięty na żelazne zamki. Z pewnością nie powinna go dźwigać kobieta na obcasach i w żałobnym stroju, ale Signa się tym nie zrażała. Ucisk w płucach – strach, że zostanie rozdzielona z jedyną osobą, która wiedziała, dokąd jada, i mogła jej pomóc, gdyby się zgubiła – był znacznie gorszy niż dodatkowy ciężar.

– Bardzo dziękuję za pomoc. Dalej już sobie poradzę – powiedziała do bagażowego i pobiegła za Sylasem.

Starła się stawiać długie kroki, chociaż chwiała się i ręce jej się trzęsły. Kilku ludzi zaproponowało jej pomoc, ale konduktor już ogłaszał odjazd i Signa skupiła się tylko na tym, żeby dogonić tego

diabła w ludzkiej skórze, który nazywał się Sylas Thorly. Zanim dotarła do pociągu, spływała potem i dyszała tak ciężko, że nikt nie patrzył jej w oczy.

Nawet uginając się pod ciężarem bagażu, Signa musiała przystanąć na chwilę, żeby podziwiać elegancję pociągu. Piękniejszy, niż się spodziewała, miał poręcze z czarnego żelaza i ławki obite czerwoną skórą, między którymi stały solidne drewniane stoły. Odnalazła prywatny przedział, gdzie czekał Sylas, rozwalony na aksamitnej sofie, z butami opartymi na drugim brązowym siedzeniu naprzeciwko. Spojrzał tylko raz na Signę i zmarszczył nos.

– Mój Boże. Nie przypuszczałem, że kobieta może się tak mocno spocić.

Gdyby Signa naprawdę była czarownicą, spaliłaby Sylasa żywcem.

– Nie spociłabym się, gdybyś nie postanowił iść przodem beze mnie, *panie*.

Sylas prychnął w wyjątkowo obrzydliwy sposób.

– Powinienem był wiedzieć, że mnie nie słuchasz. Gdybyś nie pozwoliła sobie na roztargnienie, usłyszałaabyś, jak mówię, że pójdę przodem, żeby sprawdzić, czy nasz przedział jest w porządku.

Signa ugryzła się w język. Teraz, kiedy jej to przypomniał, tak, rzeczywiście pamiętała, że coś mówił, i tak, kiwnęła głową. Jednak mógł mówić głośnie.

Wolała nie odpowiadać i zajęła się wkładaniem bagażu do kosza nad głową. Kufer był ciężki i ręce jej drżały, kiedy próbowała go unieść. Chętnie skorzystała z pretekstu, żeby odwrócić się plecami do Sylasa, jednak nie bardzo mogła sobie poradzić. Mięśnie ją bolały

i po kilku długich minutach pchania i ignorowania bólu całkiem odmówiły posłuszeństwa.

Signa zatoczyła się do tyłu, przez chwilę przekonana, że wkrótce zostanie zmiażdżona przez kufer podróży i Śmierć złoży jej następną wizytę. Ale zanim upadła, Sylas zerwał się na nogi i podparł ją z tyłu. Signa zaczerwieniła się aż po korzonki włosów, kiedy przywarł piersią do jej pleców. Nigdy nie była tak blisko mężczyzny.

Sylas bynajmniej nie podzielał jej zmieszania. Podczas gdy ona myślała tylko o jego twardej klatce piersiowej, przesunął się w bok, wyjął jej bagaż z rąk i umieścił w koszu.

– Dlaczego chciałaś dźwigać taki ciężar? – zapytał. – Gdyby nie ja, ta skrzynia mogła ci spaść na twarz. Co byś wtedy zrobiła?

– Pewnie nie miałabym twarzy – odparła z oburzeniem. – I powtarzam, nie dźwigałabym jej, gdybym nie musiała cię gonić. Bałam się, że mnie zostawisz.

Sylas z prychnięciem rzucił się na sofę i niesłychanie daleko wyciągnął nogi.

– Trzeba było mnie uprzedzić, że chodzisz tak powoli. Gdybym wiedział, mógłbym cię zanieść.

Signa zajęła miejsce naprzeciwko niego, zastanawiając się, czy jego nieznośna arogancja miała wystawić na próbę jej cierpliwość. Ścisnęła kolana, żeby nie zawadzić o jego nogi, obdarzyła go uśmiechem cienkim jak żyletka i zapytała:

– Czy mógłby pan usiąść bardziej prosto, panie Thornly?

Sylas popatrzył na siebie.

– Czy siedzę krzywo?

Dobry Boże, niełatwo będzie sobie poradzić z tym człowiekiem. Czubkiem szarego buta Signa postukała go w jedno kolano, a potem w drugie – były zbyt szeroko rozstawione.

– Siedzisz, jakbyś był sam w przedziale.

Powoli zamrugał i chociaż Signa wiedziała, że zrozumiał, nie przeprosił ani nie usiadł prosto. Tylko roześmiał się i zamknął oczy, jakby szykował się do drzemki.

– Rzeczywiście jesteś bezpośrednia.

Signa ze wszystkich sił starała się zachować dobre maniery, ale w tym chłopaku było coś irytującego. Jego wyniosłość i pogardliwy wzrok – jakby już zdecydował, że Signa jest utrapieniem – sprawiały, że traciła opanowanie i ostre słowa cisnęły jej się na usta. Niewiele myśląc, podciągnęła suknię nad kolana i rozstawiła je równie szeroko jak Syłas.

– Moje maniery wydają się równie nieskazitelne jak pańskie. Spodziewałabym się większej uprzejmości od kogoś w pana sytuacji.

– A cóż to za sytuacja, panno Farrow?

– Towarzysza damy.

– Damy? – Uchylił powieki, ocenił jej nieprzyzwoitą pozę i podkasaną suknię, po czym znowu zamknął oczy. – Daj mi znać, kiedy jakąś znajdziemy, to chętnie jej potowarzyszę.

*Zignoruj go*, powiedziała sobie, zmuszając się do uśmiechu, który palił usta. *Masz być damą. Skromną, wytworną i pełną wdzięku.* Zsunęła kolana i opuściła suknię.

Udając spokój, rozejrzała się po przedziale. Obok Sylasa stał stolik na kółkach obładowany słodyczami i wypiekami. Były tam słodko-słone toffi, drożdżówki grubo pokryte lukrem i obsypane złocistymi orzechami, maleńkie ciasteczka nadziewane śliwkową marmoladą



i dużo więcej. Tak zapamiętała pożerała wzrokiem te przysmaki, że niemal podskoczyła, kiedy Sylas szepnął:

– Czy mogę pani zaproponować chusteczkę, panno Farrow? Trochę się pani zaśliniła.

Zrobiła wszystko, co w jej mocy, żeby nie zmiażdżyć go wzrokiem. Potem zapytała:

– Czy to jest dla nas?

Spojrzał na stół, ale oczy mu nie zabłysły, wargi się nie rozchyliły i nie zaburczało mu z głodu w żołądku.

– Widocznie to poczęstunek dla pasażerów – powiedział tylko. Obojętnie. Rzeczowo. Jakby nie miał przed sobą samych pyszności. Signa zaczęła podejrzewać, że on nie jest człowiekiem.

*Poradnik urody i etykiety dla dam* pouczał, że jadając w towarzystwie, należało przestrzegać pewnych reguł. Trzeba używać określonych sztuczków i zjadać potrawy w ustalonej kolejności. Jednak Signa tak żarliwie łaknęła tych przysmaków, że jej żołądek zaprotestował przeciwko dalszej zwłoce. Głośno.

Zamarła ze zgrozy. Mogła tylko liczyć, że Sylas nie usłyszał, jednak jak zwykle nie dopisało jej szczęście.

Sylas uniósł jedną cienką brew, nachylił się i wziął Signę za rękę. Chociaż nosiła rękawiczki, zeszywniała, kiedy wsunął jej chusteczkę w dłoń.

– Wyglądasz, jakbyś cierpiała – powiedział przymilnym głosem.

Signa mocno ścisnęła chusteczkę w palcach. Przyszło jej na myśl milion rzeczy, które chciała powiedzieć, wszystkie mało uprzejme i raczej niestosowne. Zamiast tego powiedziała:

– Zjadłam duże śniadanie. Nie powinnam tak sobie dogadzać.

Uśmiech Sylasa był ostry jak brzytwa, zaskakujący, krótki i oschły. Pojawił się i natychmiast zniknął.

– Nie wolno marnować tyle jedzenia, panno Farrow. Zwłaszcza kiedy kupiono je dla ciebie. Okaż trochę szacunku dla pana Hawthorne’a i jedz.

Może jednak Sylas nie był taki najgorszy. Signa nie kazała sobie dwa razy powtarzać. Przysunęła stolik i natychmiast sięgnęła po tartę z jasnożółtym kremem i kandyzowanymi truskawkami, posypaną cukrem pudrem. Ponieważ nie było talerzy ani sztućców, zdjęła rękawiczki, odłożyła je i jadła palcami.

– A ty potraktujesz niegrzecznie pana Hawthorne’a? – rzuciła wyzywająco między kęsami.

Ledwie się powstrzymywała, żeby nie jęczeć z rozkoszy. Od wieków nie jadła tak cudownej słodyczy. Spałaszowała tartę w ciągu minuty i od razu sięgnęła po drożdżówkę.

Sylas zamrugał, jakby nigdy nie przyszło mu do głowy, żeby zjeść coś z tych rzeczy. Popatrzył na stolik, obejrzał wszystko po kolei i wybrał słodką bułeczkę z pomarańczową marmoladą. Zaczął jeść i jego twarz złagodniała, a zmarszczone czoło się wygładziło. Jak tylko skończył bułeczkę, rozejrzał się za następną. W końcu wybrał małą tartę z owocami.

– Opowiedz mi o swojej pracy u Hawthorne’ów – poprosiła Signa.

Temat wydawał się prosty, nie nazbyt osobisty ani wymagający. Jednak Sylas zawahał się, zanim odpowiedział.

– Dawniej pracowałem blisko z jego żoną, ale zdziwiłbym się, gdyby Elijah w ogóle wiedział, że istnieję.

– Wysłał cię po mnie – zauważyła Signa, starając się nie oblizywać palców. – Na pewno wie, że istniejesz.

Sylas ugryzł największy kęs, jaki Signa kiedykolwiek widziała.

– Wysłał mnie ktoś z personelu – wyjaśnił. – Córka pana Hawthorne’a umiera na tę samą chorobę, która zabrała jego żonę... on teraz nie jest w stanie pamiętać żadnych nazwisk.

Na szczęście toffi w ustach uwolniło Signę od odpowiedzi. Żując, zastanawiała się, jak będzie wyglądała jej przyszłość w Thorn Grove. Może ta podróż była zaledwie okrutnym żartem; może przyjedzie tam tylko po to, żeby się przekonać, że Śmierć zabrał już wszystkich. Może to był tylko jego następny ruch w tej skomplikowanej partii szachów, w której Signa była zaledwie pionkiem. A może... Śmierć naprawdę próbował się przed nią wykazać.

– Moja kolej, żeby zadać pytanie – powiedział Sylas. – Czy wiesz, w co się pakujesz, przyjeżdżając do Thorn Grove?

Nic nie wiedziała o tym miejscu i chociaż pytanie ją zaniepokoiło, nie zmieniło jej odpowiedzi.

– To bez znaczenia. Nie mam dokąd pójść.

Sylas wyrzwał przez okno, gdzie odległe brukowane ulice zastąpił błyszczący ocean. Signa chciałaby wiedzieć, czy w pobliżu Thorn Grove jest ocean. A może tam będzie las albo tylko rozległe, falujące wzgórza.

– Lillian chciałaby, żebyś przyjechała – powiedział w końcu Sylas.

– Ona nigdy nie odtrąciłaby sieroty.

*Sierota.* Signa nienawidziła tego słowa – nienawidziła go, bo dla większości ludzi wystarczająco definiowało ją i jej sytuację.

– A co z samą rezydencją? – zapytała, pospiesznie zmieniając temat. – Czy dawno istnieje?

– Thorn Grove to piękne miejsce. Słyszałem, że było przekazywane z pokolenia na pokolenie.

Signa starała się nie krzywić, pałaszując tartę. Stare domy zwykle roiły się od duchów, których próbowała unikać.

– A pan Hawthorne jest biznesmenem? – zapytała, żeby o tym nie myśleć. – Pracuje w bankowości?

Ze zdziwieniem zobaczyła, że kąciki ust Sylasa drgnęły.

– Nie, nie w bankowości. Hawthorne'owie mają najpopularniejszy w kraju klub dla dżentelmenów. Należą do niego książęta i hrabiowie. Słyszałem nawet, że członkowie rodziny królewskiej. Tylko najbogatsi i najbardziej wpływowi ludzie. Więc jest bardzo zajęty.

Signa zmarszczyła nos. Pomysł klubu tylko dla zamożnych dżentelmenów wydawał się śmieszny.

– Czy mają też klub dla kobiet?

Zmarszczki zmieszania przecięły czoło Sylasa.

– Dla kobiet? Ależ skąd.

– Więc może jeden dla wszystkich ludzi?

Jeszcze więcej zmarszczek.

– Też nie.

– Szkoda. – Signa oparła czoło o szybę. – Gdyby Hawthorne'owie przyjmowali wszystkich, mogliby zarabiać dwa razy więcej.

Łatwo jej się rozmawiało, ponieważ w tym przedziale czuła się swobodnie, nawet z Sylasem. Owszem, był niemiły, ale nie okrutny. A od godziny nastrój znacznie mu się poprawił.

– Czy pan też tam pracuje, panie Thorly? W klubie?

Zerknął na stół na kółkach, szacując pozostałe przekąski.

– Nie. Dawniej pracowałem w ogrodzie, ale zamknięto go po śmierci pani Hawthorne. Od tamtego czasu opiekuję się końmi.

Signa spojrzała na wysokie buty Sylasa – skóra w doskonałym gatunku i za mało zniszczone jak na kogoś, kto spędza czas w stajni. Skórzane rękawiczki też wydawały się nowe, podobnie jak surdut z wypolerowanymi srebrnymi guzikami i małymi rubinowymi spinkami do mankietów. Zdawało się, że nie ma żadnego powodu, żeby kłamać, a jednak Signa nie mogła uwierzyć, że pan Hawthorne wysłałby po nią chłopca stajennego. Na razie postanowiła tego nie komentować, żeby nie psuć nastroju.

– Dlaczego zamknięto ogród?

Signa wyłowiła następne toffi ze stolika i oparła się na aksamitnych poduszkach. Chociaż podniecenie rozpałało jej krew, cukier powodował zmęczenie i oczy same jej się zamykały za każdym razem, kiedy spoglądała na ocean.

– Ponieważ tam pani Hawthorne często spędzała czas. Jest tam pochowana, pod kwiatami.

Neutralny ton jego głosu działał uspokajająco. Żadnych zaskakujących modulacji. Żadnych uzewnętrznianych emocji. Tylko monotony szmer, przy którym zaczynała się odprężyć.

– Czy jej śmierć była przyjemna?

Pytanie samo wymknęło jej się z ust i natychmiast pożałowała, że nie może go cofnąć. Określenie „przyjemna” rzadko kojarzono ze śmiercią. Ale Sylas na szczęście zrozumiał, o co pytała.

– Zakładam, że widziała pani, jak wędnie kwiat, panno Farrow? Tak wyglądała Lillian. Była jak piękny kwiat, wielbiony przez wszystkich, którzy ją znali. Nawet choroba tak bardzo ją kochała, że

nie okazała jej łaski. Chciała ją dla siebie, więc nagle ukradła jej życie.

– A co to była za choroba?

Zmarszczył brwi.

– Tak tajemnicza, że lekarze nawet nie potrafili jej nazwać. Jednego dnia Lillian była zdrowa, a następnego wymiotowała krwią. Kilka dni później nie mogła już mówić. Usta jej zaropiały i w końcu straciła język.

Signa znowu odwróciła się do okna, chociaż kątem oka widziała, że Sylas wierci się niespokojnie.

– Przepraszam, jeśli panią uraziłem. – Jego słowa brzmiały szczerze. – Takie rozmowy są niestosowne. Proszę mi wybaczyć.

Nie widział, że Signa zacisnęła pięści, ukryte w fałdach sukni.

– Nie uraził mnie pan. Po prostu czasami się zastanawiam, dlaczego śmierć jest taka niepotrzebnie okrutna.

Coś drgnęło w jego twarzy.

– Myślę, że jeśli ktoś cierpiał tak bardzo jak ona, śmierć mogła być wybawieniem.

Signa próbowała odnaleźć prawdę w jego słowach. Ale widziała tylko krew na ustach ciotki Magdy i pustkę w jej oczach, kiedy upadła bez życia. Myślała tylko o nienawiści, która nie pozwoliła ciotce odejść w zaświaty i przywiązała ją do ziemi nie wiadomo, na jak długo.

– Możliwe – przyznała niemal szeptem – ale nie uważam, że przez to śmierć jest mniej okrutna.

– A dlaczego tak mówisz?

Złożyła ręce na kolanach i starała się pozbyć swój głos gorzkości.

– Bo śmierć jest ułaskawieniem tylko dla zmarłych, panie Thorly.  
Niewiele dba o tych, których zostawia.

Liście klonu zaścielające trawnik w Thorn Grove wyglądały jakoś dziwnie. Miały tak intensywne kolory, jakich Signa jeszcze nie widziała – niektóre brązowe jak kawa, inne barwy zakrzepłej krwi.

Z pociągu przesiedli się do drugiego powozu. Wyboista droga, którą jechali, zmieniła się w wypiełgnowany bruk, tak biały i nieskazitelny, jakby ktoś na kłęczkach wyszorował każdy kamień. Droga prowadząca do rezydencji ciągnęła się bez końca. Z obu stron otaczały ją wysokie, wypiełgnowane żywopłoty, skrócone w eleganckie spirale albo wystrzyżone w kształty koni i łabędzi.

Z zewnątrz dwór Thorn Grove wyglądał wspaniale – masywna budowla z czerwono-brunatnego piaskowca spoczywała wśród falujących wzgórz, żółknących z nadejściem jesieni. Signa wyobrażała sobie, że jej rodzice niegdyś posiadali taką rezydencję. Okna były co najmniej trzykrotnie od niej wyższe, spiczastych czerwonych dachów strzegły rzeźbione skrzydlate maskarony, przez żelazną bramę oplecioną jaśminem i bluszczem wjeżdżały lakierowane powozy, ciągnięte przez muskularne konie.

Po trawniku tłumnie kręcili się ludzie. Dżentelmeni w eleganckich garniturach i damy w sukniach z tiurniurami wchodzili i wychodzili z rezydencji, trzymając wytwornie w palcach wysmukłe kieliszki szampana i wymieniając uśmiechy.

Rzeczywiście tu było zupełnie inaczej niż u ciotki Magdy. Wszędzie bogactwo biło w oczy. Dziedziniec otaczały dostojne kolumny, inkrustowane złotymi filigranami. Na piętrze nad



balkonem delikatne witrażowe okna lśniły tysiącem barw. Nawet sama ziemia wyglądała bogato. Trawa, całkowicie pozbawiona chwastów, rosła tu bujniej i miała jaskrawszy kolor niż za bramą. Wzgórza, obsypane żółtymi i pomarańczowymi dzikimi kwiatami, ciągnęły się aż do gęstej kępy drzew w oddali – forpoczty lasu.

Jeszcze żadne miejsce nie zrobiło na Signie takiego wrażenia. Z zapartym tchem przyciskała nos do szyby zaparowanej od jej oddechu, za którą roztaczał się cudowny krajobraz. Czuła się jak kijanka w stawie, mała i nieznacząca wobec takiego piękna.

Kiedy powóz się zatrzymał, z najwyższym trudem przypomniała sobie o manierach i nie wyskoczyła pośpiesznie, żeby zacząć zwiedzanie, tylko zaczęła, aż stangret zgramoli się z kozła i otworzy przed nią drzwi. Owionęło ją rześkie jesienne powietrze, niosące zapach ziemi, żywicy i butwiejących liści. Wiatr cesał ciemne sploty jej włosów i wdychała go z rozkoszą, idąc ścieżką w stronę wspaniałej rezydencji.

Na masywnym ganku trzy osoby obserwowały Signę z daleka – korpulentny starszy pan, kobieta o łagodnym wyglądzie i młody człowiek z niezwykle surową miną. Młodzieniec stał na progu rezydencji w eleganckim granatowym garniturze, dopasowanym jak rękawiczka, wyprostowany jak struna, spoglądając na wchodzących gości. Był o wiele za młody na opiekuna Signy, jednak jego dumna postawa świadczyła, że czuje się całkiem swobodnie w Thorn Grove.

Nie było sensu tutaj stać, jednak Signa zwlekała jeszcze przez chwilę, żałując, że nie ma lustra. Wystarczyłaby nawet duża kałuża albo wypolerowany kamień – cokolwiek, żeby mogła zobaczyć swoje odbicie i sprawdzić, czy dobrze się prezentuje. Nerwowo poprawiała i wygładzała swoją żalobną suknię.

– To nie może być pan Hawthorne, prawda? Och, wygląda tak młodo. Proszę mi szybko powiedzieć, czy wyglądam jak należy?

Spojrzała na Sylasa, który tylko raz przesunął po niej oczami szarymi jak dym. Trochę zmiękł, widząc jej zdenerwowanie.

– To nie jest Elijah – powiedział. – A pani wygląda dobrze, panno Farrow. Biorąc pod uwagę naszą długą podróż, z pewnością nie mieliby pani za złe niechlujnego wyglądu.

Nie wiedziała, czy to miało ją uspokoić.

– Byłabym wdzięczna, gdyby pan mnie przedstawił, panie Thorly. Ale Sylas cofnął się z pochyloną głową.

– Proszę mi wierzyć, lepiej, żebym tego nie robił. Pan Hawthorne nie zawiadomił służby o pani przyjeździe i nie wszyscy byliby zadowoleni, że wysłano kogoś o mojej pozycji do eskortowania takiej damy jak pani. Niestety, będzie pani musiała sama się przedstawić.

Nie miała czasu zażądać szczegółów, bo Sylas już uciekał po zboczu wzgórza w stronę stajni. Pozostawiona sama wśród opadłych klonowych liści z paniką w sercu, Signa przełknęła ślinę i próbowała opanować nerwy, przypominając sobie lekcję prezentacji z matczynego podręcznika etykiety.

1. Kobieta powinna uśmiechać się przez cały czas.

2. Kobieta nigdy nie potrząsa ręką, którą jej podano, tylko obdarza ją serdecznym uściskiem.

3. Skromność i łagodność to dwie z najwyżej cenionych cnót kobiety. Powinna zawsze je praktykować.

Signa nie bardzo mogła uwierzyć, że ktokolwiek powinien stosować się do trzeciej zasady. Jednak przez wzgląd na przyszłość postanowiła spróbować. Unosząc rąbek spódnicy, ruszyła ścieżką

w stronę rezydencji. Śledziły ją ciekawskie oczy i towarzyszyły jej znaczące szepty, a z każdym krokiem coraz bardziej żałowała, że nie może zapaść się pod ziemię.

Niegrzecznie było pokazywać się na przyjęciu w żałobnym stroju, ale jaki miała wybór? Pomyślała, że jej nowy opiekun wybrał nieodpowiedni dzień na taką imprezę, jednak nie miała prawa komentować.

Kiedy podeszła do młodego człowieka przy drzwiach, na widok jego gładkiej twarzy i intensywnego spojrzenia stwierdziła, że jest jeszcze młodszy, niż przypuszczała, niewiele po dwudziestce. Z bliska przypominał jej lisa z jasnozielonymi oczami, przyjaznymi, ale trochę za bardzo je mrużył, kiedy na nią patrzył. Słońce rozjaśniło mu włosy, ani rude, ani blond, ale coś pomiędzy, jak dojrzała pomarańcza, w miedzianym odcieniu. Zmierzył wzrokiem Signę i wyraźnie próbował ukryć dezaprobatę, ale zdradził go drgający mięsień szczęki.

– Panna Farrow? – zapytał starszy, korpulentny mężczyzna o oliwkowej cerze, stojący obok niego, ubrany w elegancki czarny garnitur. Pod jego gęstym czarnym wąsem błąkał się uśmiech, ale ciemne oczy były zmęczone. – Witamy. Jestem Charles Warwick, kamerdyner w Thorn Grove.

– To cud, że przyjechałaś – odezwał się młodszy, przyglądając jej się z opuszczoną brodą. – Ojciec powiedział nam o tobie dopiero dziś rano. Witaj, kuzynko. Jestem Percy Hawthorne.

Signa wyciągnęła rękę, a kiedy kuzyn ją przyjął po chwili wahania, uścisnęła ją z największą serdecznością, na jaką mogła się zdobyć. Percy zacisnął usta w cienką linię, cofnął rękę i schował za plecami. Więc może za mocno uścisnęła? Albo za mało serdecznie?

Albo w takiej sytuacji należało dygnąć i wcale nie podawać ręki? *Poradnik urody i etykiety dla dam* naprawdę powinien być precyzyjniejszy.

– Cieszymy się, że zamieszka pani z nami, panno Farrow. – Signa z ulgą przeniosła uwagę na zaokrągloną kobietę o miękkich rudoblonde lokach, ubraną w suknię barwy niezapominajek. – Czy nie ma pani towarzysza?

Spojrzała ponad ramieniem Signy, jakby się spodziewała, że ktoś się tam pojawi. Nie doczekawszy się nikogo, wzięła Signę za ramię.

– Mniejsza z tym. Jestem Marjorie Hargreaves, guwernantka córki naszego pana, a teraz również twoja. Pokój już na ciebie czeka. – Głos miała melodyjny jak piosenka. – Gdybyś czegoś potrzebowała, chętnie...

Drgnęła, kiedy gdzieś w pobliżu wejścia rozległ się brzęk rozbijanego szkła, a potem śmiech, który brzmiał... delikatnie mówiąc, nietrzeźwo.

Percy błysnął oczami, ale zaraz się opanował.

– Warwick dopilnuje, żeby dostarczono twoje rzeczy. Powinnaś się zadomowić bez kłopotów.

Marjorie gestem kazała jej wejść do środka i Signa od razu zrozumiała, że kuzyn miał rację. Rezydencja była wspaniała ponad wszelkie wyobrażenie; mogli ją zakwaterować w stajni razem z końmi i też byłaby zadowolona. Wszystko było lepsze niż mieszkanie u ciotki Magdy, ale Thorn Grove stanowiło klasę samą dla siebie. Jednak rzeczywiście było tu dużo ludzi.

– Czy pan Hawthorne obchodzi jakąś uroczystość? – zapytała z nadzieją, że to rzadkie wydarzenie.

Percy zachmurzył się i otworzył usta, żeby odpowiedzieć, ale Warwick szybko go ubiegł.

– Proszę nie zwracać na to uwagi. Jeśli chciałaby panienka wziąć udział, proszę się nie martwić. W przyszłości będzie jeszcze wiele przyjęć, kiedy panienka będzie odpowiednio ubrana i przygotowana.

Signa wygładziła suknię lepką ręką.

– Chodź – zachęciła ją z życzliwym uśmiechem Marjorie. – Na pewno jesteś zmęczona po tej podróży.

Podskoczyła na dźwięk następnej stłuczki, skwitowanej jeszcze bardziej pijackim śmiechem dochodzącym z sali balowej, lecz ani na chwilę nie oderwała wzroku od Signy.

Natomiast Percy najwyraźniej miał podzielną uwagę.

– Nie mogę się doczekać, żeby cię lepiej poznać, kuzynko. Witamy w Thorn Grove.

Z kapeluszem w rękach skłonił się przed nią, obrócił na pięcie i ruszył w stronę odgłosów pękającego szkła. Warwick pospieszył za nim. Zaciekawiona Signa spojrzała w tamtym kierunku, ale Marjorie nie pozwoliła jej zwlekać.

– Chodź – powtórzyła. – Zaprowadzę cię do twojego apartamentu.

\*

Marjorie poprowadziła Signę po wspaniałych mahoniowych schodach na pierwszy poziom rozległej dwupiętrowej rezydencji. Guwernantka podtrzymywała uprzejmą pogawędkę, ale ciągle zerknęła w dół i wyciągając szyję, próbowała podglądać, co się dzieje na przyjęciu. W roztargnieniu nie zauważyła mężczyzny, który

opierał się o balustradę z wyrzeźbionymi gałęziami drzewa otaczającą obie klatki schodowe.

Signa jednak go dostrzegła. Dostrzegła włosy czarne jak smoła, długi, spiczasty nos i ponure oczy, które widziały tylko Marjorie. Kiedy nieznajomy się nachylił i złapał guwernantkę za rękę, podskoczyła jak oparzona.

– Dlaczego tak trudno panią znaleźć, panno Hargreaves? – Głos miał niski i nieprzyjemny, mówił z wysiłkiem, jakby coś utkwilo mu w gardle. Nosił półbuty z najpiękniejszej skóry, jaką Signa dotąd widziała, i wytworny czarny garnitur szyty na miarę, z guzikami z topionego srebra. W rękach mocno ścisnął laseczkę, arcydzieło z różanego drzewa, z mosiężną rączką wyrzeźbioną w kształcie ptasiej czaszki. – Wszędzie pani szukałem.

– Dotknij mnie jeszcze raz, Byron, a zepchnę cię ze schodów. – Marjorie wyrwała rękę i dość stanowczo oparła ją na plecach Signy. – Chodź, Signo. Nie zwracaj uwagi na tych gości. Nie wolno im wchodzić na wyższe piętra.

– Nie jestem gościem, panno Hargreaves – zaczął znowu mężczyzna, ale Marjorie nie poświęciła mu ani chwili więcej.

Ku wielkiemu rozczarowaniu Signy pospiesznie weszły po schodach. Nie przepadała za zagadkami, ponieważ zawsze czuła przymus, żeby je rozwiązać. Uważała, że życie byłoby znacznie prostsze, gdyby każdy miał pod nosem wszystkie odpowiedzi.

Nie minęła jeszcze godzina od jej przyjazdu, a Thorn Grove już wydawało się pełne tajemnic. To dziwne, że pan Hawthorne wydawał przyjęcie w dniu jej przyjazdu, a jeszcze dziwniejsze, że wysłał po nią chłopca stajennego i trzymał jej przybycie w sekrecie do ostatniej chwili. I co świętowano na dole o tak wczesnej porze,

wśród śmiechu i brzęku rozbijanych kieliszków? Signa miała mnóstwo pytań, ale żyłka pulsująca na szyi Marjorie ostrzegła ją, że nie pora na to. Żebracy nie mają wyboru i Signa musiała ostrożnie wykorzystywać swoje nieliczne atuty.

Skóra ją swędziała. Zastanawiała się, czy to wszystko nie jest jakąś pułapką. Jakimś sprytnym fortem Śmierci. Czy Śmierć wiedział, że Elijah zaprosi do siebie Signę? Czy to on pociągał za sznurki, a jeśli tak, to w jaki sposób?

Przez całą wieczność wędrowały po długich, słabo oświetlonych korytarzach, zanim dotarły do apartamentu Signy, wielkości niemal całego domu ciotki Magdy. Apartament składał się z bawialni, sypialni i przyległej łazienki. Ściany w bawialni pokrywała piękna tapeta w przeplatających się odcieniach zieleni, a na oszklonych drzwiach wychodzących na balkon udrapowano zasłony ze złocistego aksamitu. Na kosztownej mahoniowej posadzce leżał ogromny szmaragdowo-złoty perski dywan i Signa natychmiast zapragnęła zanurzyć w nim stopy. Olśniewająco biały sufit zdobiły bogate sztukaterie, misternie rzeźbione w roślinne motywy. Pasowały do kominka, gdzie na gzymsie stały żółte peonie w cienkich szklanych wazonach. Wokół starannie rozmieszczono wygodne pluszowe fotele, a pod oknem ustawiono delikatne drewniane biurko. Przez szparę w zasłonach wpadało światło jak aureola, ciepłe i zapraszające.

Signa oglądała to wszystko ze ściśniętym sercem. Nigdy w życiu nie widziała tak pięknego pokoju, który w dodatku jakimś cudem należał do niej.

– Czy dziś wieczorem zobaczę pana Hawthorne’a? – zapytała. – Chciałabym mu podziękować, że pozwolił mi tu zamieszkać.

– Pan Hawthorne jest zajęтым człowiekiem – odparła Marjorie. Pomogła rozkojarzonej Signie zdjąć płaszcz i zamierzała go powiesić w szafie, lecz kiedy po dokładniejszej inspekcji zobaczyła plamy od jagód belladonny, zmarszczyła nos i przewiesiła płaszcz przez ramię, żeby go zabrać do prania. – Ale porozmawiam z nim o jego planach wobec ciebie i zapewniam, że znajdziesz się pod dobrą opieką. Rano po lekcjach weźmiemy miarę na nowe suknie.

Signa odwróciła się do Marjorie tak gwałtownie, że włosy opadły jej na twarz. Nie zdołała ukryć podniecenia w głosie.

– Po lekcjach?

Śmiech Marjorie był gładki jak jedwab.

– Jesteś młodą kobietą, panno Farrow, a ja jestem guwernantką w tej posiadłości. Nie wiem, jaką odebrałaś wcześniej edukację, ale dopóki tu jesteś, wypada, żebym pomogła ci się przygotować do małżeństwa i w przyszłości prowadzenia własnego domu. Zakładam, że jeszcze nie debiutowałaś w towarzystwie?

– Słusznie pani zakłada.

Ponownie zapłonęła w niej iskierka nadziei. Radość, że spełni się właśnie to, o czym marzyła: debiut w towarzystwie. Będzie chodzić na przyjęcia i przyjmować komplementy przystojnych zalotników, a potem plotkować o nich z przyjaciółkami przy herbacie. Na samą myśl serce o mało nie wyskoczyło jej z piersi. To wszystko było w jej zasięgu.

– W takim razie muszę cię wiele nauczyć i mamy bardzo mało czasu. – Marjorie, wciąż uśmiechnięta, oparła wolną rękę na biodrze. – Czy możemy zacząć od jutra?

Chociaż tak zmęczona, Signa chciałaby zacząć od razu, gdyby Marjorie się zgodziła. Radosny trzepot serca wzmagił jej



niecierpliwość. Jednak dopiero za sześć miesięcy miała otrzymać spadek i jeśli chciała zostać w tej rezydencji – jeśli chciała zdobyć upragnioną wolność i wymarzone życie – musiała dopilnować, żeby Śmierć nie dostał w ręce nikogo z Thorn Grove. Nie mówiąc o tym, że musiała też uważać na własne ręce.

Chociaż wiedziała, że w tej chwili nikogo nie skrzywdzi, mimo wszystko schowała dłonie za plecami.

– Jutro będzie doskonale – zapewniła z uśmiechem.

– Cudownie. – Marjorie poprawiła płaszcz na ramieniu. – Więc możesz wykorzystać resztę wieczoru, żeby się urządzić. Możesz zwiedzać oba piętra, ale proszę, żebyś nie schodziła na parter, dopóki są tam goście. Dzisiaj przyniosą ci obiad, więc odpoczywaj spokojnie. Na pewno jesteś wyczerpana.

Signa rzeczywiście była wyczerpana, jednak nie zamierzała odpoczywać. Marjorie wyszła, cicho zamknąwszy drzwi, ale jak tylko jej kroki ucichły w korytarzu, Signa znowu je uchyliła.

W końcu sama Marjorie zaproponowała jej zwiedzanie.

Signa zawsze potrafiła znaleźć sposoby na zabicie czasu. Nie mając nic do roboty i nikogo do rozmowy, spędziła wiele popołudni na wyglądaniu przez okno albo wędrówkach po okolicy. Zawsze chciała dowiedzieć się czegoś więcej o sąsiadach. Niektórzy byli bardziej interesujący od innych, wymykali się w podejrzanym towarzystwie pod nieobecność małżonka albo przy herbacie dzielili się z przyjaciółką najnowszymi plotkami, które Signa niechcący podsłuchiwała, kiedy akurat przypadkiem przechodziła pod otwartym oknem. Nigdy nie spotykała się z tymi ludźmi i nie mogła wykorzystać nagromadzonych informacji. Jednak chodziło jej tylko o to, żeby wypełnić luki w ich życiorysach. Pragnęła rozwiązywać zagadki, które układała w głowie, i wymyślać historie ludzi, których nigdy nie pozna.

Thorn Grove od razu okazało się zagadką, i to zbyt fascynującą, żeby nie próbowała jej rozwikłać. Policzyła do sześćdziesięciu, zanim wysliznęła się na ciemny korytarz. Trzymając się blisko ściany, żeby ukryć się w cieniu, ruszyła na palcach w stronę klatki schodowej. Formalnie biorąc, nie złamała żadnych zasad, dopóki pozostawała na podeście.

Przykucnęła i wyjrzała przez balustradę – pomiędzy rzeźbionymi gałęziami – na przyjęcie w dole. Pod tym kątem widziała tylko fragmenty i musiała wyteńczyć słuch, żeby wychwycić głosy tłumione przez fortepian i skrzypce. Wyłapywała kolejne szczegóły – przebłyski złocistych ścian i srebrne tace. Smukłe kryształowe

kieliszki napełnione musującym szampanem i miniaturowe połączone ciasteczka, oferowane kobietom w pięknych sukniach i mężczyznom w prawdziwych frakach. Ci, którzy nie jedli ani nie pili, tańczyli do muzyki wypełniającej salę balową. Jednak ich taniec wyglądał zupełnie inaczej, niż się spodziewała.

Babka Signy często opowiadała, jak jej córka lubiła przyjęcia. To na balu Rima poznała ojca Signy i babka zawsze obiecywała, że Signę spotka równie szczęśliwy los. Nigdy nie wspominała, że Rima w końcu przypłaciła śmiercią swoje zamiłowanie do zabawy, tylko skupiała się na romantycznych aspektach życia córki. Przez lata Signa wysłuchiwała różnych historii o matce, które babka opowiadała z wielką czułością, szcztokując wnuczce włosy albo utulając ją do snu, jakby przywołując te wspomnienia, utrzymywała je przy życiu. Signa uwielbiała te opowieści i wyobrażała sobie, że wkrótce pójdzie w ślady Rimy. Ale los nie spełnił jej nadziei i teraz te historie budziły w niej palącą zazdrość wobec kobiet wystrojonych w jedwabie i koronki, z ufryzowanymi włosami i różem na policzkach. Zastanawiała się, gdzie jest jej piękny nieznajomy, mężczyzna, który porwie ją do walca (i ona oczywiście wykona go perfekcyjnie, chociaż dotąd tańczyła tylko w swojej sypialni).

Ale jeśli podręcznik etykiety zostawiony przez Rimę zawierał wizję tego, jak powinien wyglądać bal, ten w Thorn Grove całkowicie od niej odbiegał. Na balach powinny być karneciki. Do każdego tańca inna muzyka i w każdym tańcu tysiące zasad. Żadna kobieta nie mogła wypić więcej niż jeden kieliszek szampana, śmiać się tak głośno ani tańczyć tak swobodnie. Jednak w Thorn Grove nikt nie przejmował się etykietą.

Zaczerwienione kobiety wychodziły chwiejnie z sali balowej, żeby zaczerpnąć świeżego powietrza, wachlowały się i tłumy czkawkę. Tymi samymi wachlarzami odtrącały natarczywe dłonie mężczyzn, którzy chcieli je zaciągnąć na parkiet, i zamiast tego sięgały po pyszne ciasteczka z różowym lukrem i błyszczącą pozłotką. Nikt nie zwracał uwagi na dwie kobiety wciśnięte w odległy kąt, przywierające do siebie tak ściśle, że krew napłynęła Signie do twarzy; jeszcze nigdy nie widziała, żeby dwie osoby obejmowały się tak namiętnie.

Albo jej podręcznik etykiety był całkiem przestarzały, albo to wcale nie było dobre towarzystwo.

Dopiero po chwili Signa zauważyła w tłumie znajomą twarz – Percy stał w wejściu do sali balowej, ściskając kieliszek szampana. Z głębi buchnęły wiwaty. Korzystając z tego, że nikt nie patrzył w jej stronę, Signa zeszła o jeden stopień, żeby lepiej widzieć. Z trudem dostrzegła mężczyznę balansującego na oparciu krzesła, popisującego się przed publicznością. Krzesło się przechyliło, a mężczyzna zaklaskał, domagając się uwagi. Wydawał się dobrze bawić i goście też dobrze się bawili, oglądając jego pokaz.

Jednak Percy spoglądał na niego ze złością, podobnie jak długonosy starszy mężczyzna stojący obok niego, ten sam, który wcześniej złapał Marjorie za rękę. Byron.

– Ktoś powinien to powstrzymać – warknął Percy.

Miał tak wściekłą minę, że Signa chciała już umknąć z powrotem do bezpiecznego schronienia w swoim pokoju, bo wiedziała, że nie powinna się wtrącać. Jednak ciekawość przykuła ją do miejsca. Nadal nikt jej nie zauważył, więc cofnęła się do cienia, żeby dalej obserwować.

– Będzie gorzej, jeśli zrobimy scenę – ostrzegł mężczyzna i zacisnął usta, kiedy Percy odsunął się od niego.

– Przez ile miesięcy musimy patrzeć beczynnie? Jak długo będziemy mu pozwalać na tę zabawę? Mój ojciec nie jest dzieckiem, a ten dom to nie cyrk! To już pół roku, wuju. – Percy zacisnął pięść tak mocno, że gdyby chwilę wcześniej nie cisnął kryształowego kieliszka na posadzkę, szkło pękłoby mu w rękę. Ciemnowłosego mężczyzna westchnął i cofnął się kilka kroków, podczas gdy Percy ruszył do przodu, ściągając na siebie zaciekawione spojrzenia, włącznie ze spojrzeniem mężczyzny na krześle – którym, jak Signa teraz się zorientowała, był Elijah Hawthorne.

Miał zaróżowione policzki i szkliste oczy, wysoką, wiotką sylwetkę i faliste blond włosy. Promieniowała z niego wielkość i wylewna życzliwość, jakby mógł otworzyć świat jednym uśmiechem. Jakby obracał się w towarzystwie hrabiów i książąt, których przewyższał pod każdym względem.

– Skoro twoi goście spędzają tyle czasu w naszym domu, wypada chyba powiedzieć do nich kilka słów, ojcze. – Percy uśmiechnął się zaciśniętymi ustami, spoglądając ponad ramieniem Elijaha na salę pełną biesiadników, którzy wydawali się niezbyt zainteresowani tak poważną przemową. – Chciałbym prosić o chwilę uwagi, żeby podziękować wam wszystkim za udział w tej niekończącej się uroczystości na cześć mojej zmarłej matki.

Muzyka ucichła, rozległy się okrzyki zdumienia. Elijah zszedł z krzesła i wbił spojrzenie w syna, który bynajmniej się nie spieszył.

– Ponieważ moja matka nie mogła jeść, pić, tańczyć ani nawet oddychać w swoich ostatnich dniach, z pewnością doceniłaby wasze nieustające wysiłki w tym względzie. – Percy wyprostował ramiona.

– I dziękuję mojemu ojcu, że wciąż wydaje przyjęcia na jej cześć, żebyśmy wszyscy razem mogli świętować jej śmierć.

Nikt nie ośmielił się poruszyć. Wszyscy czekali, aż pan Thorn Grove odezwie się, skarci syna albo jakoś naprawi tę niezręczną sytuację. Tymczasem Elijah znalazł półmisek z miniaturowym ciasteczkami. Zdjął jedną rękawiczkę, wziął ciasteczko w palce i ugryzł kęs, podchodząc do syna. Ruchem tak szybkim, że niemal niedostrzegalnym, wepchnął resztę ciastka w usta Percy'ego.

– Daj spokój, Percy – zaśmiał się. – Jesteś zbyt spięty. Co jest złego w zabawie?

Thum, którego Signa nie widziała, jęknął chóralnie, kiedy Percy zatoczył się, wypluł ciastko z warknięciem i otarł z ust różowy lukier. Nie słyszała, co chłopak powiedział do ojca, widziała tylko jego usta wyrzucające gniewne słowa, zanim odepchnął Elijaha.

Rozbrzmiały śmiechy, kiedy Percy się cofnął. Elijah wyciągnął rękę po następny kieliszek szampana.

– No więc – powiedział, włączając z powrotem na krzesło, a muzyka znowu zagrała, jakby nie było żadnej przerwy – na czym skończyliśmy?

Percy wypadł z sali i szybko ruszył w stronę schodów, chociaż Byron próbował go zatrzymać. Signa ledwie zdążyła wstać, ale nie mogła już skryć się w cieniu, zanim Percy ją zauważył. Spojrzał na nią oczami pełnymi goryczy.

– Miło cię znowu widzieć, kuzynko – wycedził przez zęby, próbując powstrzymać drżenie rąk. Zmierzył wzrokiem czarną suknię Signy. – Przyszłaś na bal?

– Przepraszam. Jeszcze nigdy nie widziałam balu i... pomyślałam... chciałam tylko zobaczyć, jak to wygląda.

Signa nie miała odwagi mu powiedzieć, że pobrudził sobie brodę lukrem. Ledwie mogła wydobyć z siebie głos; zdawało jej się, że nawet szept może go zranić.

Percy nie miał takich skrupułów; jego głos był jak naładowany pistolet, wymierzony w każdego, kto stanął mu na drodze.

– No więc teraz wiesz. Moja matka umarła przed paroma miesiącami i od tamtego czasu on wydaje te głupie przyjęcia. Czasami trwają przez kilka dni. Albo godzin, jeśli on znowu wpadnie w zły nastrój i każe wszystkim się wynosić. Nie rozumiem, dlaczego ludzie w ogóle chcą tu przychodzić, chyba że ci towarzyscy parweniusze nie mają nic lepszego do roboty.

Signa nie potrafiła ocenić, czy ta rozmowa pomogła mu rozładować złość, czy tylko potęgowała jego zdenerwowanie. W każdym razie nie śmiała mu przerywać.

– Przepraszam... – powtórzyła i urwała, kiedy podniósł rękę.

– Nieważne, kuzynko. – Starł lukier z podbródka, wyminął ją i wszedł na schody. – Potraktuj to jak powitanie w Thorn Grove.

Signa poczuła ulgę, kiedy Percy ją zostawił. Nie wiedziała, jak go pocieszyć, i mogła tylko patrzeć, jak wchodził po schodach, mamrocząc, że musi pozbierać myśli. Uznała, że lepiej nie zwlekać, żeby ktoś jeszcze nie przyłapał jej na podglądaniu. Opuściła kryjówkę w cieniu i zamierzała wrócić do swojego pokoju; też chciała pozbierać myśli i zastanowić się nad dziwnym incydentem, który widziała. Lecz jak tylko weszła na podest, kątem oka dostrzegła błysk bieli.

Z sercem ściśniętym ze strachu odwróciła się i zamruła, żeby lepiej widzieć. Ale niczego nie zobaczyła.

Może była bardziej wyczerpana, niż przypuszczała. W końcu miała za sobą długą podróż.

Przynajmniej tak sobie wmawiała, kiedy wędrowała przez korytarze, szukając swojego pokoju w tym – zdawało się – nieskończonym labiryncie. Thorn Grove okazało się upiorniejsze, niż się spodziewała. Roztarła ramiona, zmuszając się, żeby postawić następny krok i następny.

Chociaż na parterze kłębił się tłum, pierwsze piętro wydawało się opustoszałe i ponure. Nie było żadnych połączonych ciasteczek, ciszę mącił tylko słaby dźwięk dalekich skrzypiec. Znikły białe marmurowe kolumny, koszmarnie zniekształcające jej odbicie. Zamiast nich pojawiły się dziwaczne żelazne kinkiety, wykonane równie misternie jak poręcze schodów, przypominające ptasie



gniazda. Z każdego wystawało kilka grubych żelaznych gałęzi, na których osadzono świece palące się słabymi płomykami.

Signa obejrzała się i znowu tuż na krawędzi pola widzenia mignął jej biały błysk. Tym razem mogła przysiąc, że dostrzegła twarz.

Natychmiast się odwróciła, wstrzymując oddech. Jeśli to był duch, miała nadzieję, że nie zdawał sobie sprawy, że go zauważyła. Ruszyła dalej, zdecydowana zignorować wszelkie zjawy i znaleźć swój pokój. Trudno jednak było ignorować zimny dreszcz pełznący po skórze, kiedy mijała niekończącą się galerię obrazów dwukrotnie od niej większych, z których każdy był oprawiony w złotą ramę i przedstawiał osobę najwyraźniej mieszkającą kiedyś w Thorn Grove. Sama ich liczba budziła niepokój; w tej rezydencji na pewno roiło się od duchów.

Podeszła do obrazu wystrojonego mężczyzny o włosach niemal równie pomarańczowych jak włosy Percy'ego. Miał strzelbę zarzuconą na ramię, a drugą rękę opierał na grzbiecie charta. Obraz wisiał obok dużego pokoju, gdzie stały dwie skórzane kanapy w kolorze palonej melasy i regały zajmujące całą lewą ścianę, wypełnione zatęchłymi książkami.

Signa przeszła po grubym czerwonym chodniku do regału i wyciągnęła jeden tom, ale z rozczarowaniem odkryła, że to książka o finansach. Nie pamiętała, kiedy ostatnio znalazła się w otoczeniu książek – może kiedy mieszkała u ostatniego wujka? Nadąsana, wepchnęła książkę z powrotem na miejsce.

Następnie obejrzała duże biurko z różanego drewna, zastawione kałamarzami i zarzucone kartkami pergaminu. Leżały tam również wycinki z gazet, trochę o Klubie Dzentelmenów „Grey's” i nekrolog Lillian Rose Hawthorne. Sięgnęła po niego, ale gdy tylko go

dotknęła, z papieru wyrósł mech i owinał się wokół jej palców. Nigdy w życiu nie odrzuciła niczego tak szybko.

Przyciskając rękę do piersi, Signa w duchu zganiła samą siebie za głupotę. Jeśli duch dotąd nie zdawał sobie sprawy, że Signa go widzi, teraz na pewno o tym wiedział. Powinna bardziej uważać.

Domyśliła się, że ten pokój z biurkiem i księgami rachunkowymi to gabinet Elijaha, więc wyszła stamtąd, nie dotykając niczego więcej. Kiedy tylko znalazła się na korytarzu, powróciło to zimne, kłujące wrażenie, jak komar na skórze, a kiedy minęła następny portret, mogłaby przysiąc, że śledził wzrokiem każdy jej krok. Znała to uczucie i nie zamierzała mu się poddawać, zwłaszcza mając normalność w zasięgu ręki. Z determinacją pospiesznie szła dalej. Jednak w którąkolwiek stronę skręciła, korytarze ciągnęły się bez końca. Im dalej się zapuszczała, tym silniejsze miała dreszcze i gęsią skórę. Oglądała się, ale nikogo za nią nie było. Ani ludzi, ani duchów. Nawet samego Śmierci.

*To tylko twoja wyobraźnia, powtarzała sobie. Po prostu nie przywykłaś do takich wielkich domów.*

Signa widziała w życiu wiele duchów – zbyt wiele, prawdę mówiąc – i wiedziała, że w ich obecności człowiek czuje zmęczenie i zimno, jakiego nawet ogień na kominku nie może przepędzić. Takie samo zimno wsączało się teraz w jej kości.

Zimno, które promieniowało z następnego pokoju, czekało na nią.

Portret przy drzwiach przedstawiał kobietę o bladej skórze i włosach jak wschód słońca. Uśmiech miała ciepły i życzliwy, ale Signa nie mogła oderwać spojrzenia od jej oczu – jedno było niebieskie, drugie orzechowe. Tak podobne do jej oczu, że

wstrzymała oddech. Nigdy nie spotkała nikogo z takimi oczami, nigdy nawet nie wyobrażała sobie, że to możliwe.

Sięgnęła do klamki, lecz kiedy jej palce dotknęły mosiądzu, usłyszała okropny mokry kaszel dochodzący z pokoju za jej plecami. Odwróciła się w tamtą stronę i w jednej chwili zimno wypłynęło z jej ciała, czar prysł. Znowu poczuła ciepło na skórze, a jednak zadrzała. Kto jeszcze oprócz niej został na górze, zamiast zejść na przyjęcie? Ciekawość przewyciężyła w niej lęk. Podeszła do drzwi, zza których dochodził kaszel, i otworzyła je bez pukania.

Oprócz kolorystyki apartament stanowił lustrzane odbicie jej pokoju – piękna bawialnia w błękitach i srebrze, rozjaśniona złocistym blaskiem ognia, który huczał w kominku pod wypolerowanym marmurowym gzymsem. Pokój był uroczy, ale trochę zimny. Wydawał się również niezamieszkały. Na stoliku nie leżały żadne książki, na biurku nie było papierów ani przyborów do pisania. Signa powoli podeszła do drzwi sąsiedniej sypialni, ostrożnie stawiając kroki. Drzwi były otwarte i chociaż starała się zachowywać cicho, ten ktoś w sypialni ją usłyszał.

– Kto tam?

Signa zawahała się na progu między pokojami. W łóżku leżała wychudzona dziewczyna, niemal szkielet; skórę miała tak przezroczystą, jakby nigdy w życiu nie widziała słońca. Jasne włosy koloru suchego siana zdawały się wypłowieć. Oczy wyglądały tak, jakby ktoś wydrążył z nich życie i pozostawił puste, bezdenne jamy. Dziewczyna zmarszczyła brwi, co podkreśliło kształt jej czaszki.

– Kim jesteś? – Wargi miała blade jak płatki róży dotknięte mrozem.

– Ty na pewno jesteś córką Elijaha. – Signa weszła do sypialni i zamknęła drzwi, zadowolona, że mogła zostawić za sobą upiorne korytarze i ducha, który na nią czekał. – Słyszałam, że jesteś chora. – Chociaż nie zdawała sobie sprawy, jak poważnie.

Dziewczyna zaśmiała się słabo.

– Mam imię. Blythe. – Najwyraźniej brakowało jej siły by podnieść się z poduszek, chociaż jej oczy spoglądały bystro. – Co robisz w moim pokoju? Służącym nie wolno tu wchodzić bez pozwolenia.

– Przepraszam, ale nie jestem służącą. Jestem twoją kuzynką. Nazywam się Signa Farrow.

Wiedziała, że nietrudno będzie znaleźć wymówkę, żeby się stąd wymknąć. Blythe wyglądała, jakby było jej trzy ćwierci do śmierci, a Signa nie chciała się do tego przyczynić. Jednak coś nie pozwalało jej odejść. Może dlatego, że minęły lata, odkąd ostatni raz rozmawiała z dziewczyną w swoim wieku, Charlotte Killinger. A może chodziło o desperację w oczach Blythe, która wydawała się równie spragniona towarzystwa jak Signa. Bez względu na powód Signa została.

– Trochę tu ponuro – zauważyła, wypatrując w mroku sylwetki Śmierci. Nigdzie go nie widziała, więc odetchnęła z zadowoleniem.

– Czy mam otworzyć okno?

– Myślisz, że sama nie dam sobie rady z oknem? – Chociaż Blythe nie próbowała wyrzucić kuzynki z pokoju, każde jej słowo było celne i zabójcze jak trucizna. Pewnie mogłaby użyć nawet kościelnego hymnu jako broni.

Signa nic nie odpowiedziała. Obawiała się, że wystarczyłoby jedno krzywe spojrzenie, żeby wyleciała stąd na zbity pysk.

W milczeniu usiadła na brzegu łoża z baldachimem. Płonęła z ciekawości, pobudzona jak po kawie, czuła mrowienie w palcach i odruchowo skubała rąbek sukienki. Przyglądała się kuzynce, oceniała ją. Błada skóra, smutne oczy, wątłe ciało... Ale Blythe nie cuchnęła śmiercią. Nie cuchnęła mdląco słodką zgnilizną i chorobą. Paznokcie miała spękane, ale nie żółte ani szare. A wielkie błękitne oczy, chociaż podkrążone ze zmęczenia i pełne jadu, nie były zamglone.

– Na co jesteś chora? – zapytała Signa.

– Jesteś zbyt zuchwała – skarciła ją Blythe. – Gdybyśmy to wiedzieli, może nie musiałabym przez cały dzień tkwić w łóżku. – Oparła głowę na poduszce i westchnęła. – Niech Bóg broni, żeby mi przysłali kogoś znośnego do towarzystwa.

Signa podejrzewała, że Blythe wiedziała, że nikt jej nie przysłał, i po prostu chciała jej dogryźć. Zignorowała docinek i spojrzała w stronę drzwi, myśląc o portrecie kobiety z różnokolorowymi oczami, podobnymi do jej oczu.

– Nigdy sobie nie wyobrażałam, że taki duży dom może się wydawać taki pusty, nawet kiedy jest tylu gości – powiedziała w roztargnieniu. – Kto jeszcze mieszka na tym piętrze? Chyba słyszałam kogoś w pokoju naprzeciwko twojego.

Nagle zrobiło się tak zimno, że Signa pożałowała, że pozwoliła Marjorie zabrać swój płaszcz. Oczy Blythe przypominały dwa sople, zdolne przebić rozmówcę.

– Nie mogłaś – szepnęła. – Ten pokój należy do mojej matki. Nikogo tam nie było od wieków.

Zanim Signa zdążyła pomyśleć, co te słowa mogą znaczyć dla kogoś nie tak blisko związanego ze Śmiercią jak ona, sprostowała:

– To znaczy należał, tak? Twoją matką była Lillian Hawthorne?

To wystarczyło, żeby stopić lód w oczach Blythe. Twarz jej zbielała jak prześcieradło, nawet wargi pobladły. Otworzyła usta, jakby chciała coś powiedzieć, ale zaskoczenie odebrało jej głos. Dopiero ponieważ Signa zrozumiała swoje prostactwo.

– Och, Blythe, nie chciałam... – Przeprosiny zamaryły jej na ustach, kiedy Blythe dosłownie zepchnęła ją z łóżka kopniakiem wymierzonym w udo.

– Wynoś się! – wypluła. – Ty podła dziewucho, wynoś się z mojego pokoju!

Signa zgramoliła się z łóżka, przeklinając się za niewrażliwość.

– Przepraszam! – Wyciągnęła rękę, żeby dotknąć ramienia Blythe.  
– Nie chciałam...

Znowu urwała, ale tym razem dlatego, że zabrakło jej tchu. W chwili kiedy dotknęła Blythe, widziała tylko Blythe i czuła tylko... nie bardzo wiedziała, jak to opisać. Nigdy jeszcze nie doświadczyła czegoś podobnego – wszechogarniającego uczucia, które przykuło ją do miejsca i pozbawiło oddechu.

Czymkolwiek było, Blythe chyba tego nie czuła.

– Wynoś się stąd – warknęła. – Ty głupia dziewczyno, wyjdź...

Oczy jej się rozszerzyły i bez ostrzeżenia zgięła się wpół, rżąc, wstrząsana gwałtownym atakiem mokrego kaszlu. Zakryła usta prześcieradłem, plamiąc je ciemnym szkarłatem. Z każdym kaszlnięciem plama się powiększała.

Fala zimna wpłynęła do pokoju, podnosząc włosy na karku Signy. Dobrze wiedziała, co oznaczał ten chłód – kto sprowadzał ten chłód – i zapłonął w niej gniew.

– O nie, nic z tego – warknęła ostrzegawczo.

Może głupio zrobiła, że tu przyjechała. Może to rzeczywiście był podstęp, żeby jeszcze bardziej ją pognębić. Jednak Signa nie czekała, żeby potwierdzić przybycie Śmierci. Zamiast tego odwróciła się na pięcie i wybiegła najszybciej, jak mogła – przez korytarz, po schodach, do pierwszego napotkanego służącego. Kogokolwiek, kto mógł uratować Blythe i powstrzymać Śmierć.

Potrzebne jej było tylko sześć miesięcy. Sześć miesięcy, a jednak nie wytrzymała nawet jednego dnia, żeby nie sprowadzić Śmierci do Thorn Grove.

Na szczęście Signa Farrow nie zabiła nikogo tamtego wieczoru. Ludzie wchodzili do pokoju Blythe i wychodzili z niego przez kilka godzin, ale w końcu wszystko się uspokoiło. Signa podglądała przez szparę w drzwiach, odkrywszy z zaskoczeniem, że jej apartament znajdował się tuż obok pokojów Blythe – widocznie duchy albo jej własna paranoja wcześniej sprawiły, że zabłądziła.

Teraz, kiedy Signa wyglądała na korytarz, w blasku świec widziała tylko kilka sylwetek przed drzwiami Blythe. Wyteńczyła wzrok, żeby zobaczyć, czy wśród nich jest Śmierć, i z ulgą stwierdziła, że go nie ma. Był jednak ktoś, kogo Signa bardzo chciała poznać – Elijah Hawthorne. Stał odwrócony do niej plecami, ale widziała go wyraźniej niż przedtem. Był wyjątkowo wysoki i niepokojąco chudy i miał niezwykle jasne włosy. Jaśniejsze nawet od gwiazd, jak się wydawało.

Signa zrobiła krok za próg, żeby mu się lepiej przyjrzeć, ale gdy tylko dotknęła stopą desek podłogi, zaskrzypiały tak głośno, że Elijah i służby zamilkli i odwrócili się, szukając źródła tego hałasu. Signa zamarła. Nie mogła nawet oddychać, kiedy wbili w nią wzrok. Wystarczyły cztery długie kroki, żeby Elijah znalazł się przy niej i wreszcie zobaczyła jego twarz.

Była to twarz surowa i zmęczona, bez śladu wcześniejszej wesołości. Trudno było uwierzyć, że to ten sam człowiek, który niedawno popisywał się na dole.



– Kto to jest? – zwrócił się do służących ostrym tonem, odrobinę bełkotliwie. Potem odwrócił się do Signy. – Kim jesteś?

Odpowiedziała mu Marjorie, która wysunęła się zza jego pleców i mocno chwyciła go za ramię.

– To jest Signa Farrow, pańska nowa podopieczna.

W sposobie, w jaki dotknęła Elijaha, było coś poufałego. Coś zbyt swobodnego. Coś, jak zauważyła Signa, całkowicie niestosownego pomiędzy guwernantką a jej chlebodawcą.

– Moja podopieczna? – Elijah zachwiał się i oparł o ścianę.

Marjorie westchnęła ciężko i rzuciła Signie przepraszające spojrzenie.

– Tak, sir. Pańska podopieczna. Przyjechała dziś rano, z listem, który pan do niej napisał.

– Ach, ta podopieczna.

Elijah odepchnął się od ściany i pokonał resztę odległości między nim a Signą, która wyprostowała się na całą wysokość. W piersi czuła taki ucisk, jakby miała pęknąć.

– Dobry wieczór, sir – powiedziała słabiej, niż zamierzała, nawet potulniej, niż wymagała etykieta. Więc spróbowała mówić trochę głośniej:

– Jestem wdzięczna za pańską gościnność.

Elijah skrzywił się, zacisnął powieki i przyłożył rękę do skroni.

– Ciszej, dziewczyno. Chcesz obudzić zmarłych?

Signa zająknęła się, nie znajdując odpowiedzi na tak dziwaczne pytanie.

– W-wręcz przeciwnie, sir, wolę, żeby spali spokojnie.

Mężczyzna przysunął się jeszcze o krok i spojrzał z góry na Signę. Natychmiast jednak cofnął się, głośno wciągając powietrze.

– Mój Boże. Twoje oczy...

Signa wzdrygnęła się i przycisnęła rękę do policzka pod złotym okiem. Przyzwyczała się, że budzi zdziwienie – to była typowa reakcja. Ale Elijah nie wydawał się zdziwiony. Wydawał się wręcz przestraszony.

– Mogę je zakryć, jeśli panu przeszkadzają, sir – zaproponowała, gotowa poszukać jakiegoś kawałka materiału, czegokolwiek, żeby zawiązać sobie oczy. Lecz zanim zdążyła umknąć do swojego pokoju, Elijah złapał ją za nadgarstek.

– Czy przybyłaś pokazać mi moje grzechy, dziecko? Czy jesteś moją przeszłością, żeby mnie nawiedzać? Duchem, żeby mi przypominać, co zrobiłem? – pytał bez tchu.

Signa natychmiast przypomniała sobie portret w korytarzu i zrozumiała, że przedstawiał Lillian. Ale co z duchem, który ją wzywał do tamtego pokoju? Tym, który ją śledził. Czy to też była Lillian?

Za plecami Elijaha Marjorie powiedziała:

– Puść dziewczynę, Elijah. Ona nie jest duchem. Po prostu jest krewną twojej żony.

Twarz pana Hawthorne'a stwardniała, każdy rys stał się ostry jak pęknięte szkło. Powoli rozluźnił uścisk. Jeszcze przez chwilę przyglądał się Signie, patrzył na jej włosy – dużo ciemniejsze od złocistych loków Lillian – i skórę, bardziej smagłą.

– Wybacz mi – powiedział niezbyt przeprasającym tonem. – Możliwe, że wypilem za dużo. Przez chwilę myślałem, że jesteś kimś, kogo kiedyś znałem. Ale jeśli rzeczywiście jesteś moją podopieczną, to chyba mam obowiązek cię skarcić, że nie śpisz o takiej nierozsądnej porze.

Signę coś dławiło w gardle, ale jakoś zdołała wydobyć z siebie głos.

– Nie mogłam zasnąć. Chciałam się upewnić, że Blythe jest... – Żywa? Zdrowa? – Bezpieczna tej nocy.

Elijah zacisnął usta.

– Poznałaś moją córkę?

Marjorie też wydawała się zdziwiona. W kącikach jej oczu pojawiły się zmarszczki.

– Tylko przelotnie, sir. Usłyszałam kaszel i weszłam sprawdzić, co się dzieje.

– Więc to ty wezwałaś do niej pomoc.

Chociaż to było niezbyt uczciwe z jej strony, Signa przytaknęła, pomijając ten drobiazg, że to ona wywołała atak kaszlu Blythe.

– Więc powinnaś zawsze to zrobić, jeśli coś usłyszysz. – Elijah już na nią nie patrzył. – A teraz wracaj do łóżka, dziecko. Nadchodzi godzina odpowiednia tylko dla duchów.

Signa zadrżała.

– Tak, sir.

Odszedł, znowu opierając się o ścianę. Marjorie rzuciła Signie stanowcze spojrzenie oznaczające, że powinna zrobić to samo. Signa przekreśliła gałkę i weszła do swojego apartamentu. Co dziwne, nie myślała o Elijahu trzymającym ją za rękę ani o jego reakcji na widok jej oczu, kiedy szła po pluszowym dywanie do sypialni. Myślała o jego ostatnich słowach: „godzina odpowiednia tylko dla duchów”.

Usiadła na brzegu łoża z baldachimem. Obok stał jej podróżny kufer, nadal zamknięty. Tak długo nie miała dostępu do swoich rzeczy, że niczego nie pragnęła bardziej, niż je rozpakować. Jednak

nie mogła się zmusić, żeby chociaż otworzyć kufer. Po dzisiejszym wieczorze nie miała wątpliwości, że jej pobyt w Thorn Grove szybko dobiegnie końca. Jeśli mogła być czegoś pewna, to tego, że gdziekolwiek pójdzie, Śmierć zawsze ją znajdzie. Nie wiedziała jak ani dlaczego albo czy to nie była jakaś skomplikowana gra, mająca przedłużyć jej męczarnie, podczas gdy Śmierć patrzył, śmiał się i dobrze bawił.

Ale Signa zamierzała się dowiedzieć. I nawet gdyby miała to być ostatnia rzecz, jaką zrobi w życiu, zamierzała go powstrzymać.

\*

W godzinie duchów zbudził ją odgłos płaczu i szelest klonowych liści wpadających przez okno. Nie pamiętała, żeby je otwierała, a jednak było otwarte i do środka napływały zapachy deszczu i wilgotnej ziemi.

Signa wygramoliła się z ciepłego łóżka, żeby wyrzucić w noc. Minuty mijały i płacz się nie powtórzył, więc zamknęła okno i ruszyła z powrotem do łóżka. Lecz kiedy mijała toaletkę, kątem oka zauważyła, że odbicie w lustrze się nie porusza. Dreszcz przebiegł jej po karku. Zatrzymała się i spojrzała w lustro z nadzieją, że to tylko gra światła. Jednak kiedy jej odbicie, lekko rozmyte na krawędziach, odwzajemniło jej spojrzenie z uśmiechem, którego nie czuła na wargach, wiedziała, że to nie złudzenie.

Tłumiąc krzyk, odskoczyła od lustra, z którego buchnęło białe światło i umknęło przez szparę pod drzwiami. Od razu wiedziała, że to duch, którego spotkała wcześniej. Tym razem nie mogła udawać, że go nie widzi.

Nie fatygowała się zakładaniem butów ani płaszczem, tylko nie tracąc czasu, otworzyła drzwi i pobiegła korytarzem za światłem. Teraz, kiedy duch potwierdził swoją obecność, nie miała wyboru, musiała się z nim zmierzyć. Inaczej ten wredny stwór nigdy nie zostawi jej w spokoju.

Thorn Grove nawet nie skrzypnęło pod jej ciężarem, kiedy zbiegała po schodach. Zawiasy milczały, kiedy otworzyła frontowe drzwi na nocny chłód. Natychmiast objęła się ramionami, bo cienka biała koszula nocna nie chroniła jej przed przenikliwym zimnem pełzającym po skórze.

– Halo? Jest tam kto?

Krok po kroku zmuszała zdrewniałe stopy, żeby przesuwały się w stronę płaczu, który wdzierał się jej pod skórę i kąsał kości. Im głośniej rozbrzmiewał płacz, tym bardziej zamierał świat wokół Signy. Mech wokół klonu wysechł i zbrązowiał, opadłe liście zwiędły i uleciały w nagłym podmuchu wiatru. Zdawało się, że sama ziemia ostrzega Signę przed tym, co ją czeka, i radzi jej zawrócić. Jednak Signa nie zatrzymała się, dopóki nie dotarła do źródła dźwięku.

Pod konarami drzewa siedziała kobieta o przezroczystej skórze i miękkich białych włosach, powiewających niczym ucieleśnienie samego wiatru, w sukni srebrzystej jak sierp księżyca. Zjawa przestała płakać, gwałtownie uniosła głowę i spojrzała prosto na Signę. Stopy Signy zatrzymały się na zeschniętych jeżynach. Duch wodził wzrokiem po jej ciele, oceniał ją. Próbowwała nie okazać, że szarpie nią strach i nagli do ucieczki.

Duch podpłynął do niej bez ostrzeżenia – bez dźwięku – a kiedy próbowała się cofnąć, spod ziemi wystrzeliły zeschnięte korzenie,

owinęły się wokół jej kostek i zatrzymały na miejscu. Upadła na plecy, drżąc i przeklinając swojego pecha, a duch zawisł nad nią.

Zjawa była piękna, z gładką skórą i jasnymi włosami spływającymi luźnymi falami. Lecz im dłużej Signa na nią patrzyła, tym bardziej zjawa szarzała, jej usta zsiniały i poczerniały, tak samo paznokcie. Signa nie mogła oderwać wzroku od jej oczu – jedno niebieskie, drugie orzechowe. Dwa różne kolory, jak jej oczy. Jak oczy kobiety na portrecie, który Signa widziała wcześniej tego dnia.

Lillian Hawthorne.

Z tak bliska Signa widziała, że usta zjawy wyglądały koszmarnie, pełne ropy i krwawiących wrzodów, gnijących na dziąsłach. Język zmienił się w bezużyteczną fioletową papkę, jakby wypaloną. Lillian usiłowała coś powiedzieć, ale mogła tylko jęczeć. Im głośniej Signa wrzeszczała na potwora, żeby dał jej spokój, tym głośniej potwór jęczał w odpowiedzi.

Lillian wyciągnęła rękę, jakby chciała złapać Signę. Zdesperowana dziewczyna wbiła paznokcie w korzenie, oderwała je od kostek i podniosła się chwiejnie. Rozwścieczona Lillian wrzasnęła.

– Odejdź ode mnie! – warknęła na nią Signa.

Zjawa wzdrygnęła się, słysząc stal w głosie Signy. Ale cofnęła się tylko na chwilę, a potem znowu ruszyła do przodu.

Signa schyliła się, zgarnęła garść ziemi i cisnęła w twarz ducha.

– Nie obchodzi mnie, kim jesteś, po prostu zostaw mnie w spokoju! – Żeby nie obudzić wszystkich w Thorn Grove, musiała wysyczeć słowa, które chciała wywrzeszczyć, i za to też nienawidziła tego ducha. – Daj mi spokój, bo znajdę twoje ciało i je spalę, a z ciebie zostanie tylko garstka popiołu!

Lillian zgarnęła ziemię z twarzy i jej szerniałe wargi wygięły się jakby w szyderczym uśmiechu. Jednak groźba trzymała ją na dystans.

– Czego ty chcesz? – burknęła Signa. – Dlaczego mnie tu sprowadziłaś?

Wcale nie miała ochoty zadawać się z Lillian, jednak musiała przyznać, że śmierć tej kobiety ją zaciekaowała. A ciekawość była wiecznie głodnym, upartym stworem.

Duch Lillian zawahał się, a potem wskazał na swoje poczeriałe usta.

– Nie możesz mówić? – domyśliła się Signa.

Zjawa z jękiem potrząsnęła jasnymi lokami. Nie po raz pierwszy Signa widziała ducha, który nie może mówić. Niektóre ulice pełne były żołnierzy lub wojowników ze starożytnych wojen, o których nie miała ochoty się uczyć, i te duchy aż nazbyt często miały dziury w piersiach czy twarzach.

– Wiem, kim jesteś. – Signa przezornie cofnęła się o parę kroków. – Wiem, że to ty wcześniej czekałaś na mnie w domu. Czego ode mnie chcesz?

Duchy nie muszą oddychać, ale zdawało się, że kobieta bierze głęboki oddech i próbuje zdobyć się na cierpliwość. Nie zbliżała się do Signy, tylko odłamała kruchą gałązkę z drzewa. Przez chwilę Signa miała ochotę wziąć nogi za pas, jednak zamiast ją dźgnąć, Lillian schyliła się, stopą oczyściła kawałek ziemi i końcem gałązki napisała tam parę słów. Potem odrzuciła gałązkę i wskazała na swoje dzieło.

Chociaż Signa zdawała sobie sprawę, że jej wścibstwo kiedyś wpędzi ją w kłopoty, posłusznie przeczytała napis. Żołądek jej się

ścisnął i podniosła wzrok na Lillian, oczekując wyjaśnienia. Ciało zjawy rozpląywało się na krawędziach niczym smużki dymu. Widując duchy od lat, Signa przekonała się, że nie mogą swobodnie wędrować. Im bardziej oddalały się od miejsca swojej śmierci, tym bardziej musiały walczyć, żeby pozostać na ziemi.

Duch Lillian widocznie oddalił się od miejsca śmierci i jej czas się kończył. Odchodziła w stronę lasu na granicy posiadłości i pozostały po niej tylko słowa, które wyskrobała na ziemi.

*Przyjdź do mojego ogrodu i uratuj ją.*

Signa od razu zrozumiała, że zjawie chodziło o Blythe.

Blythe, którą ścigał Śmierć.

Blythe, z którą Signa czuła się związana z niewiadomych powodów.

Blythe, której śmierć wywoła kolejne plotki. Której śmierć pozbawi Signę następnego domu, a przecież nie mogła go stracić.

Zrozumienie przyszło nagle: Jeśli nie pozwoli, żeby Blythe umarła, to powstrzyma Śmierć. Pokona go. A wtedy może wreszcie żniwiarz zostawi ją w spokoju i pozwoli jej żyć tak, jak chciała. Żyć z dala od cieni i już nigdy nie widywać tych okropnych duchów. Żyć wśród ludzi, znaleźć przyjaźń i towarzystwo, po prostu być sobą.

Chociaż to niezbyt mądre wchodzić w układy z duchem, Signa była gotowa na wszystko, jeśli w ten sposób mogła pokonać Śmierć.



Marjorie dotrzymała słowa i żałobny strój Signy wkrótce miał odejść w niepamięć.

Modystka zjawiała się o świcie i wtaszczyła kufer pełen tkanin do apartamentu Signy.

Signa prawie nie zmrużyła oka, co w połączeniu ze zmęczeniem podróżą i spotkaniem z duchem zeszłej nocy sprawiło, że chciała tylko zwinąć się w kłębek w łóżku na resztę dnia.

Dopóki sobie nie przypomniała, że dzisiaj zaczynają się jej lekcje.

– No, wstawaj, Signo. Tylko zmarli śpią o tej porze. – Marjorie westchnęła, wchodząc za modystką. – Pan nie życzy sobie, żebyś krążyła po domu ponura jak kostucha. Czas dodać odrobinę koloru do twojej garderoby i przygotować cię na sezon.

Signa podniosła się jak wskrzeszona. Ręce i nogi ciążyły jej niczym ołów, oczy ją piekły od porannego słońca. Zdawało jej się, że minęły zaledwie minuty, odkąd padła na łóżko. Zaledwie minuty, odkąd miała nieszczęście spotkać ducha Lillian. A jednak wobec perspektywy nowych strojów zebrała wszystkie siły i poczłapała do bawialni.

Miła młoda kobieta, którą Marjorie przedstawiła jako Elaine, nową pokojówkę Signy, zabrała się do rozczesywania ciemnych pukli dziewczyny, podczas gdy modystka z centymetrem w ręku wydziwiała nad jej talią.

Modystka była stara, zmarszczki na jej twarzy odzwierciedlały liczbę przeżytych lat. Paciorkowate brązowe oczy kryły się za

okrągłymi okularami, które jednak niewiele pomagały, zważywszy na to, jak blisko kobieta przysuwała się do Signy i jak się schylała, żeby odczytać cyferki na centymetrze.

– Jesteś za chuda, dziewczyno – cmoknęła z dezaprobatą. – Istny patyk z piersiami.

Signa odwróciła się do okna, żeby ukryć wstyd malujący się na jej twarzy. Cieniutka koszula nocna nie ukrywała wystających żeber. Signa niespokojnie przesunęła po nich rękami. Marjorie też zerknęła na te zbyt ostre kości sterczące pod skórą. Signa robiła, co mogła, mieszkając z Magdą, ale była za młoda, żeby odziedziczyć spadek, a skromna pensja, którą otrzymywała Magda na poczet spadku, szła w całości do domów gry. Ta kobieta pewnie by się ucieszyła, gdyby Signa umarła z głodu. Zależało jej tylko na tym – chyba jak większości opiekunów prawnych Signy – żeby uszczknąć coś dla siebie z jej majątku.

– Zostaw luz w sukniach – poradziła krawcowej Marjorie, odrywając wzrok od żeber Signy i udając, że pomaga pokojówce w czesaniu. – Ona szybko się zaokrągli.

Krawcowa chrząknęła z zadowoleniem. Zanotowała wymiary Signy w skórzanym notesie, a potem przykładała do twarzy dziewczyny tkaniny w różnych kolorach. Pracowały przed ozdobnym srebrnym lustrem, w które Signa ukradkiem zerknęła, niemal się spodziewając, że jej odbicie zacznie samo się poruszać, jak poprzedniej nocy. Ciągle miała ziemię pod paznokciami, a także na podeszwach stóp. Ze wszystkich sił udawała obojętność, kiedy modystka ze zmarszczonymi brwiami przyglądała się jej rękom.

Signa niewiele wiedziała o cenach ubrań na miarę, jednak była pewna, że tak dużych sum nigdy nie wydał na nią żaden

z opiekunów. Widocznie Elijah naprawdę nie chciał, żeby Signa nosiła żałobę. Podczas gdy Marjorie zachwycała się stonowanymi kolorami, jak zgaszony róż, zimny beż i niebieskofioletowy, oczy Signy przyciągała zieleń ciemna jak las oraz czerwień głęboka i bogata jak krew. Jednak zachowała te opinie dla siebie, bo co ona wiedziała o modzie? Jeśli chciała pasować do towarzystwa, powinna zaufać Marjorie i bez skargi zgodzić się na te mdłe kolory.

Modystka zostawiła jej sukienkę – bladożółtą suknię popołudniową z błękitnymi wstążkami i białą koronką. Signa w duchu uznała ją za zbyt krzykliwą, jednak posłusznie uniosła ramiona i pozwoliła, żeby Elaine pomogła jej ją włożyć. Jeśli taka była moda, nieważne, czy dobrze się w tym czuła i czy było jej do twarzy.

– Na razie będzie musiała wystarczyć – powiedziała Marjorie, kiedy Elaine sznurowała gorset. – Dopóki nie dostaniesz swoich własnych.

Pomimo najlepszych chęci Signa nie mogła określić tej sukienki innym słowem niż „paskudna”. Była też natrętnie radosna, co raziło w takim miejscu jak Thorn Grove. Signa pomyślała, że będzie wyglądać jak chodzący banan, jednak trzymała język za zębami i nie narzekała, zapytała tylko:

– A kiedy moje sukienki będą gotowe?

Marjorie roześmiała się uprzejmie i powściągliwie, podręcznikowy przykład śmiechu z *Poradnika urody i etykiety dla dam*. Signa zanotowała sobie w pamięci, żeby później przeciwiczyć ten śmiech.

– Modystka pracuje szybko. Teraz chodź, już czas na lekcje. Nasz pan urwie mi głowę, jeśli nas przyłapie na próżnowaniu.

Z tego, co Signa zdążyła się dowiedzieć o Elijahu, bardzo w to wątpiła. Niemniej jednak poszła za Marjorie korytarzem i próbowała nie zwracać uwagi na ciarki wywołane wrażeniem, że śledzą ją oczy kilkudziesięciu portretów.

Ciarki ustąpiły, kiedy zeszła na parter. Z ulgą zobaczyła, że tego ranka Thorn Grove wygląda całkiem inaczej. Ucichły muzyka i śmiech wypełniające korytarze, znikły balowe suknie. Zastąpiło je ciche szuranie miotły po marmurze.

– Pamiętaj, żadnego próżnowania. – Marjorie szturchnęła Signę, która zbyt długo zwlekała na schodach, oglądając dziwne dekoracje, dominujące w całej rezydencji. Schody, które wyglądały jak wyrzeźbione z drzewa. Żelazne kinkiety w kształcie ptasich gniazd. Signa zauważyła również jeden w kształcie głowy lisa. I kandelabr z ramionami jak szpikulce.

Ktokolwiek zaprojektował to wnętrze, niewątpliwie był dziwakiem. Dziwakiem, doszła do wniosku Signa, który pragnął, żeby ten dom był nawiedzony.

Jego życzenie niewątpliwie się spełniło.

Signa wciąż czuła się wyczerpana po przeżyciach poprzedniej nocy, kiedy weszła za Marjorie do salonu – pokoju równie wspaniałego jak wszystkie inne w rezydencji, ale lepiej oświetlonego dzięki dwóm wykuszowym oknom. Ściany, żółte jak masło, jeszcze jaśniejsze niż okropna sukienka Signy, idealnie chwytały światło. Pokój ozdabiały kobiece akcenty, kłócące się z bardziej męskim wystrojem piętra. Sztukaterie uformowane w eleganckie zawijasy, jasny wzorzysty dywan i miękkie kwieciste poduszki wykończone koronkami tworzyły przytulną atmosferę. Na poduszkach siedzieli Percy i Blythe, popijając parującą herbatę z filiżanek.

Blythe nie wyglądała lepiej niż poprzedniej nocy, wychudzona, z ziemistą cerą, ale w jej oczach płonęła determinacja. Chciała siedzieć na kanapie i sączyć herbatę, zamiast tkwić samotnie w pokoju, chociaż ręce jej się trzęsły za każdym razem, kiedy podnosiła filiżankę do ust.

– Moja droga siostra twierdzi, że obudziła się wypoczęta – oznajmił Percy w chwili, kiedy Marjorie spojrzała ze zdumieniem na dziewczynę. – Pomyślałem, że trochę świeżego powietrza i towarzystwo dobrze jej zrobią.

Marjorie zacisnęła usta w cienką linię. Lecz zamiast się spierać, odwróciła się i otworzyła okna, wpuszczając do środka lekką bryzę.

– Doskonale. Może masz rację.

Signa wyprostowała się w obecności kuzynów. Jeden dzień w Thorn Grove i już zrobiła takie fatalne wrażenie na nich obojgu. Chciała się poprawić w ich oczach, chociaż powieki jej ciążyły i z trudem powstrzymywała ziewanie.

Wstrętne, uparte stare duchy. Nie chciała myśleć ani o Lillian, ani o zmarłych, ani o niczym innym oprócz swoich lekcji i nowej rodziny, z którą teraz mieszkała. Chciała się uczyć, zaimponować im i udowodnić, że gotowa jest rozpocząć nowy etap życia. Z nadzieją, że nawiąże znacznie więcej stosunków z żywymi i znacznie mniej ze zmarłymi.

Odrzuciła włosy do tyłu, skupiła się i uśmiechnęła do kuzynów.

– Cieszę się, że oboje dobrze wyglądacie dziś rano.

– Ty też – odparł Percy.

Blythe postawiła filiżankę na spodeczku i balansowała nim na kolanach.

– Czy miałaś wcześniej guwernantkę, panienko Farrow? – zapytała Marjorie, siadając na małym okrągłym pufie przed Signą.

– Raczej nie, sądząc po jej manierach – mruknęła pod nosem Blythe i upiła następny łyk.

Marjorie skarciła ją wzrokiem.

– Twierdzisz, że twoje są lepsze? – zapytała.

Blythe skrzywiła się, a Signa poczuła wstyd, ostry i palący. Ale postanowiła, że choćby miała trupem paść, nie da po sobie poznać, że słowa Blythe ją dotknęły.

– Miałam dawniej guwernantki – powiedziała. – Przychodziły i odchodziły.

Cokolwiek Marjorie pomyślała o tej odpowiedzi, niczym się nie zdradziła.

– A co z lekcjami?

Zamiast wyznać, jak wiele czasu minęło od jej ostatniej prawdziwej lekcji, Signa powiedziała:

– Umiem czytać i znam pisownię. Również arytmetykę. – Tylko podstawy, ponieważ żadna z nauczycielek nie została dostatecznie długo, żeby nauczyć ją czegoś więcej.

Marjorie wygięła usta w uśmiechu, który mógł wzbudzić zazdrość.

– A co z muzyką?

Nie chcąc dostarczać kuzynom dalszego materiału do drwin, Signa nie przyznała się, że rzadko grywała.

– Chyba jestem znakomitą słuchaczką.

Blythe zakrztusiła się herbatą, a Percy szturchnął ją łokciem, tłumiąc chichot.

Marjorie zignorowała oboje Hawthorne'ów.

– Przyjęłam do wiadomości. Więc może od tego zaczniemy?  
Czytanie nut i lekcje na pianinie.

Signa przez całe życie wystarczająco przywykła do drwin, żeby pomimo frustracji zignorować kuzynów. Skinęła głową i zamiast tego wyobraziła sobie, jak kiedyś w przyszłości siedzi we własnym salonie przed fortepianem i gra z perfekcyjnym wdziękiem. Jednak marzenie szybko się rozwiało, kiedy fala zimna przepłynęła jej po kręgosłupie.

– Panno Farrow? – zabrzmiał odległy głos Marjorie.

Signa nie widziała Lillian, ale cichy płacz wdzierał się w jej uszy.

*Żadnych duchów, powiedziała sobie, udając, że nic nie słyszy. Pomyśl o swojej przyszłości. O pracy, którą musisz włożyć w swój debiut. Normalni ludzie nie rozmawiają ze zmarłymi.*

Jednak nie mogła przestać słuchać. Widocznie inni też to usłyszeli, bo Blythe zamarła w bezruchu. Porcelanowa filiżanka wyśliznęła się jej z rąk i spadła na kolana, gorąca herbata splamiła suknię. Percy wyprostował się gwałtownie, podobnie jak Marjorie.

– Wielkie nieba, panno Hawthorne! – Guwernantka skinęła na Percy’ego. – Odprowadź siostrę do pokoju i zawołaj Elaine. Blythe musi się przebrać w nową suknię. A przy okazji znajdź sobie jakieś zajęcie, Percy. Oboje jesteście po prostu nieznośni.

Marjorie zaczekała, aż Percy wyprowadzi siostrę – która wciąż spoglądała błędnym wzrokiem – zanim odwróciła się do Signy.

– No dobrze, nieważne, nie zwracaj uwagi na ten dźwięk. To tylko wiatr.

Wzięła Signę za rękę i zaprowadziła do gładkiej czarnej ławki przed wspaniałym fortepianem, który zapewne kosztował tyle co

cały dom ciotki Magdy, jeśli nie więcej. Na lśniącej powierzchni nie było ani drobiny kurzu.

– O tej porze roku zawsze wieje. Jakby sam diabeł krążył wokół domu.

Signa dobrze wiedziała, że wiatr nie miał nic wspólnego z tym dźwiękiem, jednak mogła tylko przytaknąć. Usiadła, walcząc z odruchem, żeby się skulić na stołku. Marjorie wyprostowała jej plecy, uniosła brodę i ułożyła jej ręce w początkowej pozycji na klawiszach.

– A więc – powiedziała – zaczniemy od ćwiczenia gam.

Kości Signy protestowały przeciwko tak sztywnej pozycji, która już zaczynała jej sprawiać ból. Ale jeśli tego było trzeba, żeby urzeczywistnić jej wizję i zapewnić jej miejsce w towarzystwie, gotowa była na poświęcenie. Nacisnęła pierwszy klawisz i powstrzymała grymas obrzydzenia, kiedy poczuła wilgoć na palcu. Każdy mięsień w jej ciele zeszywniał, ponieważ na klawiaturze nic nie było. Jednak kiedy uniosła dłoń, zobaczyła błoto zaschnięte na palcu, a pomiędzy klawiszy wyroiły się małe robaczki.

– Gamy, Signo – ponagliła ją Marjorie, jakby nie widziała, co się dzieje pod palcami uczennicy. Jakby nie widziała, że stopy Signy grzęzną w błocie i że robaki obłazą jej palce.

Wiadomość od Lillian była jasna jak słońce – Signa musi szybko znaleźć ogród, bo inaczej duch nie zazna spokoju.

Ale na razie Signa zacisnęła zęby i położyła palce na zabłoconych klawiszach. Nie przerwała gry.



Dopiero po paru godzinach Signa mogła wyjść z domu. Wyprostowała obolałe plecy pod uderzeniami wiatru. Powietrze było rześkie, ale szal i gorąca herbata w żołądku nie pozwoliły jej zmarznąć. Spędziwszy tyle czasu na lekcjach, z ulgą powitała chłód.

Wystarczył jeden dzień, żeby niemal zapomniała o ostrym kontraście pomiędzy wnętrzem rezydencji a tym, co znajdowało się wokół niej. Tutaj, otoczona przez rozległe wrzosowiska porośnięte poźółkłą trawą, leżała kraina fantazji. Złocisty dywan liści zaścielał ziemię, tu i tam rosły dzikie kwiaty. Popołudnie było spokojne, nikt nie wybiegał tanecznym krokiem z domu. Żadnych wystrojonych obcych. Signa nie wiedziała, co pieką kucharki, ale z kuchni unosił się ciepły, słodki, drożdżowy zapach. W żołądku jej zaburczało, chociaż Marjorie wcześniej wmusiła w nią całe góry placków.

Ale później przyjdzie czas na słodczyce, kiedy nie będzie miała brudnych rąk, pełnych ziemi i nieistniejących robaków.

*Przyjdź do mojego ogrodu i uratuj ją.*

Signa chciała przyjść do tego ogrodu, ale najpierw musiała go znaleźć.

Za posiadłością rozciągały się strome, bezkresne wrzosowiska. Od frontu podjazd otaczały wypielegnowane żywopłoty, a obok rosła kępa klonów. A daleko za Thorn Grove ciemniała ściana lasu. Nigdzie ani śladu ogrodu.

Signa mogłaby podejrzewać, że z niej zakpiono, gdyby nie rozmowa z Sylasem przed dwoma dniami – powiedział jej, że

dawniej pracował z Lillian w ogrodzie. Chociaż krępowwała się prosić go o pomoc, to było najbezpieczniejsze rozwiązanie. Dzieliła ich tak głęboka różnica klasowa, że z pewnością nie ośmieli się donieść na nią, że wtykała nos w nie swoje sprawy.

Tak więc Signa podkasała ohydną żółtą sukienkę i ruszyła przez przystrzyżony trawnik do stajni. Mocniej ścisnęła w dłoniach tkaninę, kiedy usłyszała parskanie i tupot kopyt. Wszystkie konie w Thorn Grove były masywne, ich sierść lśniła w całym spektrum kolorów – głęboka czern, czysta biel, nasycony kasztanowy brąz. Chyba było im wygodnie w przestronnych boksach, ale Signa nie miała zaufania do drewnianych barierek zamykających je w środku. Gdyby te zwierzęta chciały się wydostać na wolność, z pewnością znalazłyby sposób.

Zaglądała do boksów, idąc na palcach przez stajnię, wśród koni, które wyciągały do niej szyje, domagając się uwagi. Jeden posunął się nawet do tego, że skubnął ją w ramię. Signa odskoczyła i trzepnęła go mocno po nosie.

– Wypraszam sobie! – skarciła konia, wygładzając sukienkę na ramieniu. – Nie wolno w ten sposób zaczepiać damy.

Koń prychnął z oburzeniem. Był mniejszy od pozostałych, chociaż nie wydawał się młodszy. Nie miał lśniącej sierści jak tamte, tylko matowo brązową, w odcieniu przypalonego karmelu. W przeciwieństwie do pozostałych koni był raczej chudy.

– No i co, głuptasie? – zagadnęła Signa, opierając ręce na biodrach.

W odpowiedzi koń wyciągnął szyję, żeby znowu skubnąć ją w ramię. Cofnęła się i próbowała wyrwać tkaninę z końskiego

pyska, kiedy ktoś się roześmiał. Ten głęboki dźwięk sprawił, że ciarki przeszły jej po plecach. Natychmiast go rozpoznała.

Odwróciła się gwałtownie. Nie słyszała, że Sylas do niej podszedł. Jak zawsze był niepokojąco wysoki. Ciemne włosy miał teraz zaczesane do tyłu, co podkreślało piękne kontury jego twarzy. Pomimo jesiennego chłodu ubrany był tylko w spodnie i tunikę z długimi rękawami. Miał rozpięty kołnierz i rękawy podwinięte na mocnych ramionach, jakby pracował, chociaż na butach i czarnych rękawiczkach prawie nie było brudu. Wykonane były ze zbyt doskonałej skóry i zbyt dobrze utrzymane jak na chłopca stajennego.

Sylas oparł przedramiona na belach siana. Obok niego siedział czujnie duży szary pies, z przechylnym łbem i nastawionymi uszami.

– Nie wiedziałam, że Hawthorne’owie mają psa – powiedziała Signa, bo nic innego nie przyszło jej do głowy.

Złościło ją, że czuła się tak skępowana w obecności tego młodego człowieka. Chociaż był taki nieuprzejmy, brak męskiego towarzystwa w odpowiednim wieku sprawiał, że przy nim zapominała języka w gębie.

– O tak – odparł Sylas. – I jest groźny. Tresowany, żeby zabić każdego, kto wtargnie na teren posiadłości.

Signa nerwowo zrobiła krok do tyłu. Ale w tej samej chwili pies wywiesił język i radośnie przewrócił się na grzbiet. Signa spojrzała pytająco na Sylasa.

– Powiedziałem, że był tresowany – wyjaśnił Sylas. – Ale nie, że dał się wytresować. I jest mój, nie Hawthorne’ów. Nazywa się Gundry.

Signa schyliła się i podrapała Gundry'ego po odsłoniętym brzuchu. Roześmiała się, kiedy pies, dysząc, wykręcił łeb, żeby polizać ją w rękę. Zawsze chciała mieć jakieś zwierzątko – wszystko jedno jakie. Marzyła o kocie albo psie. Wystarczyłby jej nawet szczur, byle dotrzymywał jej towarzystwa. Ale przeprowadzała się tak często, że nie chciała prosić o zwierzaka z obawy, że coś mu się stanie – albo że następny opiekun nie pozwoli jej zabrać ulubieńca do nowego domu. Nigdy nie brała pod uwagę konia ze względu na sam rozmiar, chociaż przypuszczała, że byłby wspaniałym towarzyszem.

– Jeździ pani konno, panno Farrow? – Głos Sylasa był chłodny jak jesienny wiatr. – Widzę, że ma pani wrodzony talent – dodał drwiąco, kiedy odepchnęła natrętny koński łeb od swoich włosów.

– Ach tak, prawie zapomniałam o pańskich zdumiewających manierach. – Signa przyglądała włosy, sprawdzając trwałość fryzury. – Dawno nie miałam do czynienia z końmi. Mój zmarły wuj trzymał kilka, ale sprzedano je po jego śmierci, a zresztą nigdy mnie nie zachęcał do jazdy. Chociaż jego konie nie były takie duże.

– Oboje państwo uwielbiali jazdę konną. – Sylas podszedł do konia napastującego Signę i przycisnął dłoń na płask do jego pyska. Koń sapnął z zadowoleniem i natychmiast się uspokoił. – Pan Hawthorne teraz rzadko tu zagląda, ale to on odpowiada za te konie. Zawsze kochał piękne rzeczy.

Signa zerknęła na najmniejszego natręta, a Sylas się roześmiał.

– To jest Balwin, piękny na swój sposób. Podobno kiedyś oczarował Lillian... kupili go od właściciela gospody, którą odwiedzili podczas wakacji. Całkiem przyjemny wierzchowiec, ale narowisty. Zawsze ma własne zdanie.

Sylas Thorly, człowiek, który przez cały dzień terroryzował ją swoimi wybrykami, lubił dziwaczного konia i wielkiego szarego psa, który z wyglądu przypominał wilka. Nigdy by nie pomyślała.

– Chciałam się przejechać – oświadczyła z determinacją. – I zobaczyć ogród Lillian.

Przez twarz Sylasa przemknął wyraz zdziwienia, zanim chłopak kiwnął głową.

– Więc proszę wybrać konia. Nie Balwina... on potrzebuje ruchu, ale lubi wystawiać na próbę swojego jeźdźca.

– A co z tym? – Signa wskazała wspaniałego czarnego ogiera, którego sierść błyszczała jak zlana woda.

– Może panienka wypróbuje którąś starszą klacz? Na przykład tę siwą z prawej strony.

Sylas wskazał solidnie zbudowaną siwkę, ale oczy Signy przyciągnęła przepiękna złocista klacz stojąca obok. Była trochę wyższa i miała znacznie żywsze spojrzenie. Parsknęła i tupnęła nogą w przyjaznym powitaniu, jakby zapraszała Signę, żeby podeszła bliżej.

– A ona? – zapytała Signa, posłusznie podchodząc i podsuwając klaczy rękę do powąchania.

Sylas schylił głowę.

– To... łagodny koń, ale dawno nie był jeżdżony. Może lepiej wybrać innego... panno Farrow, co pani robi?

– Chcę tego.

Signa już otwierała boks i wchodziła do środka, do swojego konia. Coś ją ciągnęło do tej złocistej klaczy jak do żadnego innego wierzchowca. Klacz zamrugnęła czekoladowymi oczami do Signy,

sapnęła i pochyliła głowę gestem ofiarowania. Signa przyjęła dar, pogłaskała aksamitną szyję konia i podrapała go za uszami.

– Czy z tym koniem jest coś nie w porządku? – zapytała, a klacz spojrzała na Sylasa, jakby oczekując uprzejmej odpowiedzi.

– Ależ skąd. – Sylas westchnął, wziął sprzęt wiszący obok i wszedł za Signą do boksu, żeby osiodłać klacz. – Tylko że Mitra należała do Lillian. Chociaż już czas, żeby porządnie sobie pobiegała, prawda, dziewczynko?

Pogłaskał klacz po szyi z zadziwiającą delikatnością. Signa mimo woli zagapiła się na niego, rozgrzana ciepłym tonem jego głosu.

– Proszę poczekać na zewnątrz – zwrócił się do Signy bez śladu wcześniejszej łagodności, aż się wzdrygnęła. – Przygotuję ją.

Piętnaście minut później Sylas wyszedł ze stajni w grubym granatowym płaszczu, prowadząc nie jednego konia, ale dwa, z dyszącym psem u nogi. Obok złocistej piękności stał Balwin, natrętny kasztanowy ogier, który koniecznie chciał zjeść włosy Signy.

– Dajesz mi wybór? – Tylko tyle potrafiła powiedzieć.

Sylas usiłował odepchnąć łeb Balwina, co nie przeszkodziło mu parsknąć z pogardą.

– Jadę z panienką. Ogród Lillian jest w lesie. Panienka od dawna nie jeździła i gdybym puścił panienkę samą, pan Hawthorne urwałby mi głowę.

Signa zacisnęła zęby. Jakby wyczuwając jej irytację, Mitra przysunęła się i trąciła ją bokiem. Dziewczyna objęła konia za szyję i pogłaskała miękką grzywę. Czuła pod palcami silny puls życia klaczy. Szybkie uderzenia jej serca, nierówny, niecierpliwy oddech.

Pasowały do siebie, obie pragnęły wyrwać się na wolność i pędzić przed siebie. Lecz kiedy Signa spróbowała dosiąść konia, napotkała trudności. Chociaż była wysoka, nie mogła dosięgnąć strzemion. Opasała ramionami szyję Mitry i próbowała się podciągnąć, ale koń zarżał i ją strząsnął.

Za jej plecami Sylas zapytał z tłumionym rozbawieniem:

– Potrzebujesz pomocy?

Signa zignorowała go z wysoko uniesioną głową i spróbowała jeszcze raz. Uwiesiła się na koniu całym ciężarem i wymachiwała

nogą, usiłując trafić w strzemię. Mitra szurała kopytami po ziemi i Signa nieustannie się ześlizgiwała, ale nie chciała się przyznać do porażki.

– O rany, ale z ciebie uparciuch.

Tym razem Sylas nie pytał o pozwolenie, tylko chwycił Signę w talii i uniósł na siodło. Zrobił to jednym zamaszystym ruchem, jakby ważyła nie więcej niż piórko. Serce zatrzepotało jej w piersi, on jednak zdawał się obojętny na ten intymny dotyk. Poklepał Mitrę po zadzie, sprawdził, czy stopy Signy tkwią w strzemionach, i wskoczył na grzbiet Balwina.

Mitra zadygotała z niecierpliwości. Nie czekała na rozkaz, tylko ruszyła ostrym kłusem, tak trzęsącym, że Signa zaczęła się zsuwać z siodła. Owinęła wodze wokół palców i nachyliła się do przodu, żeby złapać równowagę. Potem Sylas znalazł się obok i trzepnął Mitrę szpicrutą po zadzie. Signa chciała na niego warknąć, bo uderzona klacz zarżała i ruszyła szybciej, chociaż wstrząsy zaraz ustały.

Signa wyprostowała się i zerknęła na Sylasa, który odwzajemnił spojrzenie z szelmowskim błyskiem w oku. Pędzili przez wrzosowiska, przez falujące wzgórza porośnięte dzikimi kwiatami i przez błota, które spowalniały wierzchowce. Las był coraz bliżej i Signa rozpaczliwie pragnęła tam dotrzeć.

*Przyjdź do mojego ogrodu.* Duch Lillian prowadził ją, ponaglał.

*Przyjdź do mojego ogrodu.*

Na nogach i ramionach Signy pojawiła się gęsia skórka. Nigdy nie zetknęła się z tak rozgniewanym duchem i nie życzyła sobie, żeby Lillian Hawthorne ją terroryzowała. Co więcej – chociaż nie chciała się do tego przyznać – zżerała ją ciekawość. Pragnęła dopasować do



siebie porozrzucane kawałki tej układanki. Musiała wiedzieć, czego od niej chce ten duch i dlaczego kobieta tak młoda i piękna umarła w sekretnym ogrodzie, ukrytym w lasach daleko za Thorn Grove.

Signa lekko szturchnęła Mitrę w bok i klacz od razu zareagowała. W końcu ten koń należał dawniej do Lillian; może on też czuł to przyciąganie.

Sylas został z tyłu i wołał, żeby zwolniły przed lasem, a nie pędziły na złamanie karku. Chociaż Mitra doskonale radziła sobie na wrzosowiskach i nie zboczyła ze ścieżki ani na milimetr, Sylas usiłował ją dogonić, popędzając nieposłusznego Balwina. Jego głos ledwie docierał do uszu Signy, jego protesty cichły w oddali. Signa nie czekała – nie mogła czekać. Las ją wzywał, więc wskoczyła do brzucha bestii, szczęki zatrzasnęły się za nią i paszcza połknęła ją w całości.

Las ją pochłonął i otoczył tak szczelnie, że stłumił sfrustrowane krzyki Sylasa i łomot kopyt Balwina. Słyszała tylko łagodny szum drzew, okrytych jesiennymi liśćmi w barwach nasyconego oranżu i ciemnej zieleni.

Wkrótce białe pończochy Mitry zaplątały się w pożółkłej trawie. Las ciągnął za spódnicę Signy, szarpał Mitrę za grzywę, drapał ich skórę, spragniony krwi. Signa próbowała osłaniać konia, na ile mogła, ale gałęzie wisiały nisko i bezlitośnie kaleczyły boki klaczy.

Na skraju pola widzenia mignął jej biały błysk tak przelotny, że przegapiłaby go, gdyby akurat wtedy mrugnęła. Pojawił się znowu po chwili i śmignął w prawo, gdzie drzewa się połamały albo je wycięto. Signa ruszyła za tym czymś, w czym odgadła ducha Lillian. Zaprowadził ją na polanę i do żelaznej bramy osadzonej w zniszczonym kamiennym murze. Pchnęła bramę, która jednak ani

drgnęła. Po krótkich poszukiwaniach Signa odkryła zamek ukryty pod bluszczem i dzikim winem.

Na szczęście nikt nie słyszał, jak zaklęła w sposób bardzo niestosowny dla damy. Zmierzyła wzrokiem mur, trzykrotnie wyższy od niej. Nie mogła się na niego wdrapać, nawet gdyby stanęła na grzbiecie Mitry. Z narastającą frustracją szarpnęła zamek, jednak ani drgnął.

Jak miała znaleźć klucz do ogrodu, który najwyraźniej był opuszczony od miesięcy? Przecież nie mogła poprosić Elijaha. Sylas pewnie wiedział, że ogród jest zamknięty, i wystawił ją na pośmiewisko, każąc szukać wiatru w polu. Zacisnąwszy palce na wodzach, Signa chciała już się odwrócić i znaleźć Sylasa, żeby mu powiedzieć parę słów do słuchu, kiedy kątem oka dostrzegła następny błysk bieli.

Lillian tam była, ukryta w cieniu żelaznej bramy. Włosy miała jasne jak len, twarz zarośniętą mchem, gnijące pnącza kłębiły się w rozdziawionej jamie ust. Puste oczy spoglądały spomiędzy liści bluszczu. Puste oczy, które nie patrzyły na Signę, tylko na ziemię za jej plecami.

Signa odwróciła się i ujrzała znajomy widok – małe czarne jagody belladonny. Zrozumiała tak dobrze, że serce jej się ścisnęło.

Tamtej nocy, kiedy po raz ostatni połknęła belladonnę – tamtej nocy, kiedy rozmawiała ze Śmiercią – użyła jego mocy jak własnej. A gdyby znowu mogła to zrobić? Widziała, jak ponury żniwiarz przechodzi przez ściany. Widziała, jak znika w cieniu, a potem znowu pojawia się na zawołanie. Czy to możliwe, żeby ona też tak mogła?

Zsiadła z konia, zaciskając zęby na widok jagód belladonny czekających u stóp. Nie zamierzała znowu spotykać się ze Śmiercią, dopóki nie odkryje sposobu, żeby go zniszczyć i przełamać swoją klątwę. Ale jeśli chciała, żeby Lillian zostawiła ją w spokoju, chyba nie miała wyboru.

Z żołądkiem ściśniętym ze strachu schyliła się i zerwała jagody, napełniła kieszenie i ręce.

Śmierć zawisł nad nią jak burzowa chmura, czarna i ciężka. Signa czuła ten ciężar, duszący, ostrzegający. Nawet szum wiatru ucichł, kiedy świat zwolnił wokół niej, jakby czas się zatrzymał.

Ale Śmierć jej nie tknie. Nigdy jej nie tknął.

Signa rozgniotła pięć jagód na języku i czekała. Krew jej płonęła, zimne dreszcze przebiegały po krzyżu. Wkrótce trucizna ścisnęła jej wnętrzności. Wzrok jej się zamglił, iluzja lasu zawęziła się wokół niej i w jej wnętrzu zbudziła się moc niepodobna do żadnej innej, kusząca, żeby ją wypróbować.

Przybył Śmierć.

Obecność Śmierci była jak lód mrozący szpik w kościach – jak zamrożone jezioro, w które wpadła głową naprzód. Ale zamiast pozwolić jej się wynurzyć i zaczerpnąć powietrza, Śmierć objął ją w tych lodowatych wodach i nie zamierzał jej wypuścić.

– Witaj, ptaszynko. Przyszłaś znowu mnie dźgnąć?

Jego głos podziałał jak balsam na gęsią skórę pokrywającą jej ciało. W środku skręcała się ze złości, że tak na niego reaguje. Nie gniewem ani strachem, tylko przemożną, niezdrową ciekawością, której nie potrafi stłumić.

– Powiedz mi, czy mogę użyć więcej twoich mocy – zażądała. Jeśli on się nie zawaha, ona też nie.

Uniosła głowę i odwróciła się do niego. Przynajmniej myślała, że odwraca się do niego. Trudno wyczuć, zważywszy na jego postać. Śmierć był zaledwie cieniem wśród drzew. Ciemnością zalegającą w zakamarkach, gdzie nie całkiem docierało światło. Był wszędzie i nigdzie, dopóki cienie nie zaczęły powoli kurczyć się nad ziemią, pochłaniać leśną ściółkę i zalewać ją ciemnością. I wreszcie stanął tam, bez twarzy, bez ust, górując nad Signą.

– Powiedz mi– zagadnął Śmierć, ignorując jej pytanie – czy ty się mnie boisz? – Cień przysunął się bliżej, zmałał, stał się mniej imponujący. – Większość ludzi boi się śmierci. Boją się mnie przez całe życie, chociaż nigdy mnie nie widzą, dopóki nie wydadzą ostatniego tchnienia. Oczywiście jest garstka ludzi o bystrzejszym wzroku. Ci, którzy przez całe życie próbują przekroczyć przepaść

między żywymi a zmarłymi i zajrzeć za zasłonę. Lecz kiedy staje przed nimi, nawet oni są na tyle mądrzy, żeby się mnie bać. Jednak ty wzywasz mnie raz po raz. Zadajesz mi pytania. Posunęłaś się nawet do tego, żeby próbować popełnić morderstwo.

Pomimo ponurej treści Signa wyczuła w tych słowach szczyptę humoru. Rozpaliły w niej dziki gniew.

– Czy ja cię bawię, panie? – Zacisnęła zęby, kiedy cienie zatańczyły między drzewami.

– Niekiedy. – Jego głos był zaledwie szeptem w ryczącym wietrze, chociaż słyszała go tak wyraźnie, jakby przemawiał w jej myślach. – A kiedy indziej okropnie mnie irytujesz. Jednak zawsze jesteś dla mnie fascynująca.

Rozmowa ze Śmiercią przypominała rozwiązywanie zagadki. Mówił tak rozwlekle, że z trudem się powstrzymała, żeby nie przewrócić oczami. Musiała rozgnieść na języku jeszcze dwie jagody.

– Powiedz mi, czy mogę zrobić więcej z twoimi mocami – powtórzyła bardziej stanowczo, ale zniżając głos, na wypadek gdyby Syłas był w pobliżu. – Tamtej nocy mówiłeś, że możesz to wyjaśnić, więc wyjaśnij. Szybko.

Wyobrażała sobie, że patrzy mu prosto w oczy, jeśli Śmierć miał oczy.

Drzewa przestały szumieć, kiedy się odezwał.

– Tutaj, w tym miejscu między żywymi a zmarłymi, na pewno jesteś w stanie zrobić więcej, niż tylko mnie dręczyć, ptaszynko. Nie znam zakresu twoich możliwości, ale przypuszczam, że zaledwie musnęłaś powierzchnię.

Signa przełknęła strach, który wzbierał jej w gardle. Jej podejrzenia się potwierdziły.

– Jak to możliwe? Coś ty mi zrobił?

Kiedy ziemia pod jej stopami zadrżała, Signa zrozumiała, że zadała niewłaściwe pytanie.

– Ponieważ tak ochoczo mnie obwiniasz – powiedział Śmierć – niech będzie wiadomo, że ja nic nie zrobiłem. Nie jestem odpowiedzialny za twoje zdolności. Nie jestem odpowiedzialny za to, co spotkało twoją ciotkę, chociaż czasami żałuję, że się do tego nie przyczyniłem. Tyle przez nią wycierpiałas... Gdybyś nie chciała, żeby żyła, mogłem ją zabrać dawno temu.

– To, że chciałam, żeby ktoś żył, nigdy wcześniej cię nie powstrzymało. – Mięśnie w jej ciele były napięte jak sprężyny. – Czy mam wierzyć, że nie miałaś nic wspólnego z tym, że ludzie umierali wszędzie wokół mnie? Że tylko ja odpowiadam za te śmierci?

Noc zgęstniała, kiedy Śmierć przysunął się bliżej.

– Nie ponosisz odpowiedzialności za tamte zgony. Magda była pierwszą, której odebrałaś życie. Nawet ja się tego nie spodziewałem.

Jeżeli mówił prawdę i nawet on się tego nie spodziewał, to...

– Jak?

Sam wiatr zdawał się szeptać odpowiedź.

– Nie bez przyczyny widzisz duchy, Signo. Nie bez przyczyny potrafisz przenikać zasłonę między życiem a śmiercią. Chociaż nie umiem wyjaśnić dlaczego, wydaje się, że twoje podejrzenia są słuszne. Kiedy tu jesteś... kiedy przenikasz przez zasłonę i możesz mnie widzieć... najwyraźniej masz dostęp do arsenału możliwości porównywalnych z moimi.

Przedziwna mieszanina ulgi i zgrozy załapała Signę, zółć podeszła jej do gardła. Potwierdziło się to, co zrobiła. Żadna z tamtych śmierci nie była jej winą, co oczywiście przyniosło jej ulgę. Jednak Magda umarła przez nią. Ciotka poniosła śmierć z jej rąk i już samo to sprawiło, że Signa chciała skulić się pod najbliższym drzewem i wymiotować.

– Słuchaj – wyszeptał Śmierć. – Tamtej nocy złamano ważne reguły. Życie i śmierć to gra równowagi, Signo. Zawsze trzeba utrzymywać równowagę, inaczej sprowadzisz do tego świata chaos. Magda nie miała umrzeć tamtej nocy. Kiedy zabiera się życie, inne trzeba oszczędzić. Rozumiesz?

Tak, rozumiała jego słowa, ale ich rzeczywiste znaczenie do niej nie docierało. Cień Śmierci owinał się wokół niej, jego westchnienie musnęło jej policzki.

– Kiedy zabiłaś Magdę – wyjaśnił zmęczonym głosem – musiałem darować życie innej osobie, która miała umrzeć tamtej nocy. To była Blythe.

Signa szeroko otworzyła oczy.

– Blythe miała umrzeć?

Chociaż spotkały się tylko na krótko, Signa spostrzegła, jak jasno płonie dusza Blythe. Dziewczyna była zbyt młoda, zbyt niewinna, żeby umrzeć, zanim miała szansę naprawdę żyć. Signa wiedziała, że nie powinna tak myśleć, że to niewłaściwe, jednak wiedząc, że śmierć ciotki Magdy ocaliła Blythe, czuła się... lepiej.

Jakby gotowa była zrobić to jeszcze raz, gdyby miała wybór.

– Ocaliłeś Blythe?

– To ty ocaliłaś Blythe – poprawił ją Śmierć. – Chociaż w tym celu zabiłaś inną osobę. Czy rozumiesz, co do ciebie mówię, Signo? Za

wszystko trzeba zapłacić.

Przez długą chwilę Signa zbyt skupiła się na jego słowach, żeby odpowiedzieć.

Ocaliła Blythe.

Nie skazała Blythe na nagłą śmierć. Nie rzuciła na nią klątwy, nie zabiła jej ani nie sprowadziła na nią cierpienia. Zamiast tego po raz pierwszy Signa kogoś ocaliła.

W głowie miała zamęt. Przycisnęła ręce do piersi, żeby uspokoić łomoczące serce. W tej strefie pomiędzy życiem a śmiercią posiadała moc ponurego zniwiarza. Jeśli wystarczała, żeby dawać i odbierać życie, to czego jeszcze mogła dokonać z taką mocą? W zakamarkach jej umysłu narodził się pewien pomysł, chociaż musiała dowiedzieć się więcej, zanim go urzeczywistni.

– Lillian nawiązała ze mną kontakt zeszłej nocy – wyznała nagle szeptem, jakby się obawiała, że duch ją podsłucha.

– To mnie nie dziwi – odparł. – Już raz uratowałaś jej córkę. Ty i Blythe jesteście teraz połączone.

– Wiedziałeś, że tak się stanie? – zapytała Signa, spoglądając w głębiny jego cieni ze śmiałością jak nigdy dotąd. – Wiedziałeś, że trafię tutaj, do Thorn Grove?

– Wiedziałem, że Blythe miała umrzeć tamtej nocy, i wiedziałem, że Hawthorne'owie są ostatni z twojej rodziny. Oszczędziłem ją, żeby cię tu zaprosili, chociaż nie mogłem uleczyć jej choroby.

Bardzo nierozsądnie było sprzeczać się ze Śmiercią, ale Signa się tym nie przejmowała.

– Czy naprawdę mnie zaprosili, czy też jestem tu z twojego powodu? Jakże czary musiały rzucić na Hawthorne'ów, żeby mnie przyjęli?



– Nie potrzebowalem żadnych czarów – odparł. – Po prostu przyspieszyłem to za pomocą listu. Wbrew temu, co o mnie myślisz, chcę, żebyś była bezpieczna i miała stały dom. Gdybym wybrał kogoś innego niż Blythe, zaprzepściłbym tę okazję.

Signa przetrawiała te słowa, sama nie wiedząc, w co wierzyć. On nie sprawiał wrażenia, że kłamie, ale przecież był Śmiercią. Pewnie to on wymyślił pojęcie fałszu.

– Lillian na mnie czeka. – Odwróciła się do zamkniętej bramy. – Tam, w ogrodzie.

– A jak zamierzasz tam wejść? – Ponownie w jego głosie zabrzmiało irytujące rozbawienie. – Wspiąć się po bluszczu? Z przyjemnością sobie popatrzę.

Signa ostentacyjnie go zignorowała. Jeśli powiedział prawdę i rzeczywiście miała dostęp do jego mocy, to znalazła sposób. Skoro on mógł się stać bezcielesny – stać się cieniem – co ją powstrzymywało? Wahala się tylko dlatego, że nie wiedziała dokładnie, jak użyć jego mocy. Tamtej nocy, kiedy zabiła ciotkę Magdę, nie chciała jej zrobić nic złego, tylko trzymać ją z daleka.

– Czy potrafisz przenikać przez ściany? – zapytała, chociaż chyba już znała odpowiedź.

– Potrafię przenikać przez wszystko – odparł, lekko zaintrygowany.

– Więc gdybym chciała przejść przez bramę ogrodu...

– Musisz po prostu wezwać moc, wyrazić swój zamiar i zrobić to.

– A co z moim ciałem? – zaniepokoiła się. – Czy pozostanie w całości, czy zmienię się w ducha?

Śmiech Śmierci zabrzmiał jak grzmot, od którego zadrżała ziemia.

– Pozostaniesz cała i zdrowa. Musisz tylko być tutaj ze mną, po drugiej stronie zasłony. Dlaczego nie spróbujesz?

Jakby miała jakiś wybór.

Głęboko wciągnęła powietrze przez nos, spróbowała przywołać swoje moce – co wydawało się śmieszne, skoro żadnych nie czuła i wciąż trochę podejrzewała, że to wszystko to tylko zręczne kłamstwo – i ruszyła prosto na grube żelazne pręty bramy ogrodowej.

Ku swojemu zdumieniu nie uderzyła o nie głową. Ale nie przeszła na drugą stronę bramy. Przynajmniej nie całkiem.

Drzewa zaszumiały i ziemia się zatrzęsła, kiedy Śmierć znowu się zaśmiał. Signa poczuła ten śmiech aż w kościach. Nie wiedziała, że potrafił wydawać takie dźwięki, ale kiedy to usłyszała, krew napłynęła jej do policzków. Ponieważ utknęła w ogrodowej bramie, przednią połową ciała w ogrodzie, tylną wciąż obok Śmierci.

Czuła w sobie coś twardego. Zimny, szorstki metal, który drapał jej wnętrzności. Ręce jej się trzęsły, bo to było takie niewłaściwe, jakby ją przepiłowano na dwie części.

– Zapomniałem dodać – odezwał się swoim łagodnym głosem Śmierć – że jeśli masz takie same moce jak ja, to twoje możliwości opierają się na twoich zamiarach. Możesz zrobić wszystko, czego chcesz, ale jeśli choć przez chwilę zwątpisz w siebie... no cóż.

Znowu się zaśmiał i Signa zauważyła, że gwiazdy mrugają na ten dźwięk, jakby one też się z niej śmiały.

*Właściwie jak dużą moc ma Śmierć? – pomyślała. Jak dużą moc mam ja sama?*

Pospiesznie wepchnęła do ust jeszcze kilka jagód. Woląta nie sprawdzać, co się stanie, jeśli powróci do całkowitej cielesności

w tej pozycji – albo, co gorsza, jeśli zobaczy ją Sylas.

– Zamierzasz mi pomóc – syknęła – czy będziesz tylko tak stał i mnie wyśmiewał, ty bezużyteczna kupo cienia?

Śmiech Śmierci powoli ucichł.

– No, no, ptaszynko. Musisz tylko poprosić o pomoc, żeby ją otrzymać.

Gniew wezbrał w niej i wykipiał.

– Po prostu zabierz mnie stąd, zanim...

– Zanim jagody ci się skończą i znowu staniesz się całkowicie śmiertelna? Albo zanim ten chłopak znajdzie cię w takim stanie? – Chociaż Signa go nie widziała, zamarła, kiedy cień musnął chłodem jej skórę. – Nikt nie ośmiela się mówić do mnie tak jak ty. Dlaczego dla innych jesteś taka uprzejma? Taka cicha i skromna, a jednak taka napastliwa wobec mnie? Poproś mnie grzecznie, Signo Farrow.

Signa przewróciła oczami.

– Może dlatego, że gdziekolwiek się pojawisz, zawsze ktoś w końcu umiera. – Ale było w tym coś więcej. Może dlatego, że Śmierć nie mógł istnieć... nie powinien istnieć i Signa nie miała pewności, czy nie jest tylko wytworem jej wyobraźni. Kimś, kogo stworzyła w swojej samotności, żeby wyjaśnić te dziwne rzeczy, które działy się wokół niej.

A może dlatego, że Śmierć był rzeczywisty i Signa czuła się przy nim zbyt swobodnie. Przystawała zachowywać pozory, a wtedy używała ostrzejszych słów, bardziej zjadliwych. Może chodziło o to, że nie musiała robić na nim wrażenia. Nie potrzebowała ogłady towarzyskiej, nie musiała zastanawiać się nad swoim zachowaniem. Z nim niczego nie udawała. Może po prostu była sobą.

– Obserwujesz mnie? – zapytała.

– Dzięki tobie czas mi mija szybciej. Inaczej zacznę się nudzić, a z kogo innego mogę sobie stroić żarty?

Zdumiała ją jego odpowiedź – taka bezczelna, taka obcesowa. Wytrąciła ją z równowagi, co ją dodatkowo zirytowało.

– Skoro tak cię fascynuję, lepiej pomóż mi się wydostać, zanim się zmaterializuję i dostanę wewnętrznego krwotoku od tych *żelaznych prętów*, które przebijają moje *narządy*. – Śmierć czekał, spokojnie i cierpliwie, znacznie bardziej rozbawiony, niż powinien, dopóki Signa z goryczą nie dodała zdawkowego: – Proszę.

– Ach, tak lepiej. Cieszę się, że się czegoś nauczyłaś. – Cień znalazł się przed nią, sięgnął do niej. Wyciągnął... rękę? Signa nigdy nie widziała niczego choćby trochę ludzkiego w Śmierci, ale to rzeczywiście była ręka spowita cieniem. Ręka, która na chwilę zawisała w powietrzu, zanim objęła palcami jej palce. Życie wokół zamarło, wstrzymało oddech.

I świat znowu odetchnął, kiedy Śmierć wciągnął Signę do ogrodu.

Ogród nie był tak wymarły, jak Signa się spodziewała.

Najpierw usłyszała cichy szmer wody z towarzyszeniem chóru rechoczących żab. Ziemia była żyzna i zrodziła obfitość jesiennych kwiatów; wszędzie rosły pachnące czerwone i pomarańczowe chryzantemy, tojad, bratki o żółtych i ciemnofioletowych płatkach, kwitnący oczar i mnóstwo innych efektownych roślin, jakich Signa nigdy jeszcze nie widziała. Przed nią ciągnęły się rzędy zbrązowiałych, niezebranych ziół, a dalej zieleniły się krzewy wilczej jagody. Chociaż zaniedbany, ogród nie wydawał się zapuszczony jak ogród ciotki Magdy. W zachodzącym słońcu był żywy i pełen dzikiej magii.

Signa próbowała sobie wyobrazić, jak wyglądał w ciepły letni dzień, ze śpiewem ptaków i cichym brzęczeniem owadów, kiedy Lillian leżała w trawie i wygrzewała się na słońcu. Albo urządzała piknik.

*Lillian, Lillian, Lillian.* Imię wibrowało w powietrzu, jakby ogród wskazywał do niej drogę i prowadził Signę.

– Czy ona umarła spokojnie? – O to samo Signa zapytała wcześniej Sylasa. Tym razem jednak zasięgnęła informacji u źródła.

Śmierć zawisł obok niej i w powietrzu zaiskrzyło napięcie.

– Wbrew temu, co o mnie myślisz, nie jestem potworem. Chociaż nie zawsze można uniknąć bólu, staram się w miarę możliwości, żeby umierali spokojnie. Nie mogę zabierać wszystkich w najlepszym stanie, ale próbuję.

Ku swojemu zdziwieniu stwierdziła, że mu wierzy.

– No więc, co z Lillian?

– Nie pamiętam każdego życia, ptaszynko, bo jest ich za dużo, więc niewiele mogę ci powiedzieć. Wiem jednak, że to było jej ulubione miejsce i że jest pochowana w głębi, obok stawu. Czy mam cię do niej zabrać?

Signa zadrżała.

– Tak, proszę.

Śmierć poprowadził Signę przez ogród, jakby chadzał tamtędy setki razy. Idąc za nim, zastanawiała się, jak długo chorowała Lillian. Ile razy była tak bliska Śmierci, że siedział z nią w tym ogrodzie i czekał, aż wreszcie zapuka do jego drzwi?

Staw, chociaż zielony od alg, kipiał życiem. Było to przyjemne miejsce, zasłane dywanem opadłych klonowych liści. Na brzegu rosły lilie. Małe brązowe żabki zagrzebywały się w wilgotnej ziemi albo chowały wśród kamyków obramowujących brzegi. W wodzie śmigały maleńkie rybki. Nad stawem stały dwie dębowe ławki, obie porośnięte wilgotnym mchem. Za ławkami, odsunięta do tyłu, znajdowała się płyta nagrobna, również omszała, na której leżał bukiet zwiędłych kwiatów.

– Bądź ostrożna podczas rozmowy z Lillian. – Z głosu Śmierci znikły wszelkie ślady rozbawienia. – Duchy rzadko komunikują się z żywymi, bo to wymaga od nich wiele energii. Ale jeśli duch jest wystarczająco rozgniewany, może spróbować cię opętać.

Signa nigdy nie przypuszczała, że to w ogóle jest możliwe. Choć nigdy nie spotkała ducha równie złośliwego jak duch Lillian. Wzięła się w garść i odczekała kilka uderzeń serca, zanim podeszła do

grobu. Po drodze zerwała jedną lilię i ostrożnie położyła ją obok zwiędłego bukietu.

– Kazałaś mi przyjść – szepnęła, poklepując ręką ziemię. – Jestem tu, Lillian. Przyjdź i powiedz mi, czego chcesz.

Serce jej się ścisnęło, kiedy zalała ją fala zimna, jakby ukłuły ją setki igieł. Żółć podeszła jej do gardła.

Kiedy podniosła wzrok, Lillian unosiła się nad brzegiem stawu.

Nie miała już czarnej jamy zamiast ust; jej wargi były pełne, w kształcie serca, pokryte wrzodami i pęcherzami. Z pewnością język nadal stanowił papkowatą masę gnijącego mięsa, ale przynajmniej zjawa wyglądała bardziej po ludzku.

Zakładając, że ludzie promieniują błękitnobiałą poświatą i unoszą się nad ziemią.

Śmierć zrobił krok do przodu i wyciągnął rękę do zjawy, ona jednak cofnęła się przed nim, jakby jego dotyk był trujący. Oparła się jego wezwaniu, odrzuciła ofertę życia po śmierci.

– Nie możesz po prostu jej zabrać? – zapytała Signa.

Śmierć zeszywniał, jakby sama ta sugestia była niegodna.

– Nie zrobiłbym czegoś takiego wbrew jej woli. Przyjdzie, kiedy będzie gotowa. – Skłonił głowę i wycofał się w cień.

Kiedy zostały tylko we dwie, Lillian wygięła usta w lekkim uśmiechu. Ale wargi miała tak spękane i owrzodzone, że od tego ruchu otworzył się jeden wrzód i strużka czarnej krwi spłynęła na podbródek. Jeśli duch to zauważył, nie przejął się tym.

Signa była zadowolona, że nikt z Hawthorne'ów nie mógł zobaczyć Lillian w tym stanie. Wszystko w niej przypominało, że zmarli nie należą do świata żywych. Lillian przeraziłaby nawet tych, którzy najbardziej ją kochali.

– Lillian – szepnęła Signa. Jeśli zjawa nie mogła wymawiać słów, musiały się porozumiewać w jak najprostszy sposób. – Czy zdajesz sobie sprawę, że nie żyjesz?

Z doświadczenia wiedziała, że wiele duchów nigdy nie przyjęło tego faktu do wiadomości i zachowywało się tak, jakby wciąż żyły. Jednak ku jej zdumieniu Lillian kiwnęła głową.

Dobrze. To był dobry początek.

– Lekarze mówili, że to choroba. Czy długo chorowałaś?

Zjawa wykrzywiła twarz, nagle pociemniała. Przepłynęła nad swój grób, pochyliła się nad bluszczem porastającym płytę i chwyciła oburącz łodygi. Spoglądając na Signę spod opalizujących rzęs, bez mrugnięcia rozszarpała łodygę na strzępy. Signa odruchowo napięła mięśnie karku.

– Śmierć – zawołała, nie odrywając wzroku od Lillian. – Czy wiesz, jak umarła Lillian? Na co chorowała?

Zmaterializował się, oparty o drzewo, i odpowiedział tonem niczego nie zdradzającym:

– Niestety, wiem tylko tyle, co ona.

*Żaden z niego pożytek*, pomyślała Signa. Jęknęła, próbując uspokoić galopujące serce. Lillian dalej szarpała bluszcz, po czym zamarła na widok kamyka leżącego obok grobu. Chwyciła go i drżącymi rękami wyryła w ziemi jedno słowo, tak koślawymi literami, że ledwie dały się odczytać: *zabita*.

To słowo bynajmniej nie uspokoiło Signy i musiała zebrać resztki determinacji, żeby zostać na miejscu, chociaż instynkt nakazywał jej uciekać.

– Czy ty... kogoś zabiłaś? – zapytała, na co Lillian skrzywiła się gniewnie. Wskazała na swoje wrzody, a potem na siebie i Signa



zachłusnęła się, kiedy zrozumiała.

Jeśli Lillian mówiła to, co Signa myślała... to całkowicie zmieniało sytuację i wprowadzało zbyt wiele komplikacji jak na jej potrzeby. W głębi duszy chciała się odwrócić i uciec natychmiast, zanim posuną się dalej. Zanim pozna sekret, którego nie chciała znać.

Ale nie mogła się cofnąć. Nie mogła oderwać stóp od ziemi, nawet gdyby chciała. Więc zamiast uciekać, zmusiła się, żeby zapytać:

– Lillian, czy ty próbujesz mi powiedzieć, że zostałam zabita?

Lillian odrzuciła kamyczek, odwróciła się do Signy i energicznie skinęła głową. Signa natychmiast dopasowała do siebie resztę. Nagła śmierć, daremne wizyty lekarza, rozgniewany duch, a teraz...

– Blythe. To się powtarza, tak? Cokolwiek... ktokolwiek cię zabił, wrócił po twoją córkę. Mam rację?

Lillian zniknęła i natychmiast pojawiła się ponownie obok krzaczka obsypanego jagodami po drugiej stronie ogrodu.

Signa podbiegła do niej i rozwarła pięść, w której wciąż ścisnęła garstkę jagód, teraz częściowo rozgniecionych. Wyciągnęła je do Lillian, której oczy poczerniały, kiedy Signa zapytała:

– Trucizna? Myślisz, że zostałam otruta?

Duch Lillian zadygotał w gwałtownym skurczu. Przewyciężając drżenie, Signa odważyła się dodać:

– Przez kogoś w Thorn Grove?

Następny gwałtowny skurcz. Wrzody na ustach Lillian gniły, najpierw purpurowosine, potem jadownicze czarne, aż wreszcie pękły i bluznęły krwią, która spłynęła po podbródku i splamiła przód sukni. Zjawa, wstrząsana spazmami, wściekle kiwała głową w przerażającym potwierdzeniu.

– Kto? – zapytała Signa, a oczy Lillian zapłonęły. – Czy to któraś kucharka? Pokojówka? Guwernantka? Ktoś, komu ufałaś?

– Dosyć! – Śmierć pojawił się obok Signy, otoczył ją cieniem, odciągnął do tyłu. – Nie dręcz zmarłych, Signo. Ona nie wie.

Ostrzeżenie przyszło za późno. Zjawa gwałtownie przechyliła szyję i kark jej trzasnął. Szarpała głowę na wszystkie strony, wykręcała ją, wykrzywiała. Krew chlusnęła jej z ust i księżyc oświetlił gnijącą masę języka, kiedy odrzuciła głowę do tyłu i wydała krzyk tak przeraźliwy, że Signa padła na kolana. Podmuch wiatru porwał wodę ze stawu i cisnął rechoczące żaby na drzewa, brudząc czyste gałęzie ich krwią.

Śmierć osłaniał ją swoim cieniem jak zbroją przed tą masakrą.

– Co się dzieje? – wykrztusiła Signa, przyciskając ręce do uszu, w których boleśnie dzwoniło.

– Za bardzo naciskałaś. – Ciemność rozpostarła się wokół nich, utworzyła barierę. – Zbłąkane duchy nie powinny sobie przypominać swoich ostatnich chwil. Nigdy nie wiadomo, jak zareagują.

Signa wychyliła się spoza cieni i patrzyła, jak Lillian sięgnęła sobie do gardła i chwyciła ohydny ochłap języka. Wbiła w niego brudne, uwalane ziemią paznokcie, wyszarpnęła strzępy ciała. Cisnęła krwawe resztki na ziemię i sięgnęła po następne, jakby chciała całkiem wyrwać sobie język.

A potem wiatr ucichł i wykręcona szyja Lillian wróciła na właściwe miejsce. Oczy skierowały się na Signę, na poszarpane szczątki języka, które już zniknęły. Na zakrwawione gałęzie, gdzie tkwiło kilka nabitych żab.

Potem Lillian spojrzała na Śmierć i w jej oczach wezbrały łzy, czarne i krwawe.

A potem znikła i powietrze z trzaskiem wypełniło pozostałą po niej pustkę.

Śmierć wypuścił Signę ze swojego cienia, a ona przytrzymała się najbliższego drzewa i zwymiotowała. Lodowaty chłód wypełniał jej ciało i ręce jej się trzęsły, chociaż przyciskała je do pnia, żeby się uspokoić. Za murem ogrodu Mitra zarżała, słysząc w oddali tętent kopyt drugiego konia.

– Pora iść – powiedział krótko Śmierć. Podniósł Signę z ziemi i poprowadził z powrotem przez ogród.

– Czy wiesz, kto to zrobił? – Słowa same jej się wyrwały, trochę bełkotliwe.

– Powiedziałbym ci, gdybym wiedział. Nie jestem wszechwiedzący, Signo. Kiedy kogoś dotykam, widzę przebłyski jego życia. Ale wiem tylko to, co on wie, i chociaż Lillian podejrzewa morderstwo, nie wie, kto za tym stoi.

Przed bramą Gundry grzebał w ziemi. Przestał węszyć, podniósł łeb i wywiesił język, kiedy zobaczył, jak Signa chwiejnie przechodzi przez bramę. Spojrzał na Śmierć i zaczął machać ogonem.

– On cię widzi?

Po wszystkim, co przeżyła tego dnia, nie rozumiała, dlaczego to ją dziwi. Widywała już duchy komunikujące się ze zwierzętami, ale Śmierć zawsze wydawał się poza ich zasięgiem. Jak ktoś, kto nie powinien nawet być rzeczywisty.

– Wszystkie zwierzęta mnie widzą – odparł Śmierć, klepiąc psa po łbie. Zdawało jej się, że widzi ślad uśmiechu w jego cieniach, ale kiedy mrugnęła, ślad zniknął.

Tylu rzeczy nie wiedziała. Tak wiele się działo, że nie potrafiła tego ogarnąć.

Posiadała moc Śmierci.

Lillian została zamordowana.

A teraz, żeby uratować Blythe, musiała znaleźć sprawcę zbrodni.

Zanim Sylas dotarł na polanę, Signa opierała się o bok Mitry i ściskając wodze, usiłowała się wdrapać na siodło. W rozczochranych włosach Sylasa tkwiły gałązki i liście, jakby przedzierał się przez krzaki. Natomiast Balwin wydawał się zadowolony i ani trochę niezdzyszany.

– Panno Farrow! – Sylas odetchnął z ulgą. – Nie powinna panienska tak uciekać.

– Nie moja wina, że nie mogłeś mnie dogonić – zdobyła się na odpowiedź.

Otarła usta i łapczywie wdychała zimne powietrze, które wypełniało jej płuca i chłodziło skórę. Dotąd nie zdawała sobie sprawy, że kontakt z duchem jest taki wyczerpujący, teraz jednak ledwie mogła podnieść rękę. Nie czuła już obok siebie Mitry, na której się opierała. Nie czuła już nic.

– Signo? – Ledwie słyszała głos Sylasa. – Jesteś chora?

– Trochę – zdołała wykrztusić. – Chyba... chyba zjadłam coś nieświeżego.

Nie mogła opanować dygotania, nie mogła pozbyć się zimna przenikającego aż do kości. Nie mogła myśleć o niczym innym, tylko że muszą się pospieszyć, bo zabójca Blythe jest na wolności gdzieś w Thorn Grove.

Jęknęła, kiedy Sylas wciągnął ją na grzbiet Balwina. Chciała już protestować, kiedy objął ją w talii i posadził przed sobą na siodle, chociaż prawie nic nie widziała. Starła się nie wzdrygnąć pod jego

dotykami. Przyjęła jego pomoc i powtarzała sobie, że teraz nie może nikogo skrzywdzić, bo nie ma już belladonny we krwi.

– Jeśli zamierzasz puścić pawia – ostrzegł – postaraj się nie obrzygać mi butów.

Niczego nie obiecywała. Miała wrażenie, że ktoś walnął ją w skroń kijem do krykieta. Żołądek obijał jej się o zęby i chociaż Sylas okrył ją własnym płaszczem, nie mogła przestać się trząść.

– Co ci się stało? – Chociaż Sylas zajął się nią troskliwie, mówił szorstkim tonem. – Często tak chorujesz czy tylko wtedy, kiedy znikasz, żeby hasać po lesie?

– Wcale nie hasałam – zaprotestowała Signa, kuląc palce pod osłoną płaszcza. – I nie, to się nie zdarza często. Chyba coś zobaczyłam w lesie. – Postanowiła przemycić odrobinę prawdy do następnego zdania, tylko tyle, żeby usprawiedliwić swój stan. – Zdawało mi się, że coś w tym lesie mnie woła.

Opierając się plecami o jego pierś, poczuła, że zeszywniał. Policzki jej zapłonęły i starała się nie myśleć o tym, jak niestosowna jest taka pozycja ani jakie silne są jego uda, tylko skupiła się na tym, że wstrzymał oddech.

– Coś się stało?

– Nic, czym powinnaś się martwić...

– Sama potrafię to ocenić – przerwała mu śmiało. Przy nim jakoś nie czuła się skrępowana. – Cokolwiek to jest, powiedz mi.

Przez chwilę słyszała tylko szelest liści pod końskimi kopytami. Przekręciła się, żeby spojrzeć na Sylasa, i kiedy w blasku księżyca napotkała spojrzenie jego dymnych oczu, zaschło jej w ustach.

Wszystko w tym mężczyźnie działało jej na nerwy, kiedy po raz pierwszy się spotkali. Teraz jednak było frustrująco inaczej.

Przesunęła wzrok na jego ręce wystające z podwiniętych rękawów tuniki, na szerokie ramiona, na klatkę piersiową widoczną w głębokim wycięciu... Wtedy odwróciła wzrok jak dobrze wychowana młoda dama i udawała, że przy nim nie robi jej się gorąco i jednocześnie nie ma ochoty go uderzyć.

Na szczęście Sylas chyba nie zauważył jej rozterki.

– Krążą plotki o Thorn Grove. – Jego szept brzmiał równie niepokojąco jak odgłosy lasu, przez który jechali. – Plotki, które chciałem ci przekazać tamtego dnia, kiedy po ciebie przyjechałem, ale nie wiedziałem jak. Powiedziałbym ci, gdybyś miała gdzie się podziać.

Musieli się schylić pod niskimi gałęziami. Jedna zaczepiła o rękaw jej pożyczonego płaszcza, grożąc rozdarciem, więc Sylas wstrzymał konia i zręcznymi palcami pomógł jej się wyplątać. Jak tylko się uwolniła, przechyliła się do przodu w siodle i odchrząknęła.

– Co mówiłeś? – Modliła się tylko, żeby się nie zaczerwienić.

Lekko zmarszczył brwi, ale kontynuował.

– Mówiłem, że służące twierdzą, że w nocy słyszą płacz kobiety. Niektóre nie chcą wychodzić na korytarz po zmroku, bo szepczą o duchu. Jasnowłosa kobieta w białej sukni patrzy na nie i po chwili znika. A pan Hawthorne... z nim jest najgorzej. On chyba też ją słyszy. Pewnie dlatego nie śpi, nie je, prawie nic nie robi.

– Tylko wydaje przyjęcia – wtrąciła Signa. Najbardziej wystawne i szalone, o jakich słyszała.

– Żeby zagłuszyć jej płacz, tak myślę – bronił go Sylas. – Żeby jej nie dopuścić do siebie i żeby zapomnieć. Znam Hawthorne'ów od dawna i zapewniam cię, że on nie zawsze taki był.

A więc wiedzieli o duchu Lillian. Może jej nie widzieli, ale zdawali sobie sprawę z jej obecności. Signa odetchnęła, rozluźniła się i znowu oparła o Sylasa. Poczuła taką ulgę, że gdyby wystarczyło jej sił, uściskałaby Balwina i pocałowała między oczami. Śmierć powiedział jej, że niektórzy ludzie potrafią zajrzeć za zasłonę dzielącą żywych od zmarłych. Wprawdzie nie widzieli Lillian tak jak ona, ale wiedzieli o duchu. Gdyby ktoś podejrzewał, że Signa widzi ducha Lillian, nawet nie mrugnąłby okiem. W końcu chyba dopisało jej szczęście.

– A co z tobą? – W objęciach Sylasa było jej o wiele za wygodnie, ale nic nie mogła na to poradzić, bo zmęczenie pozbawiło ją energii.  
– Czy pan wierzy w duchy, panie Thorly?

– Proszę mnie nie brać za głupca, panno Farrow. Jak mógłbym nie wierzyć w takim miejscu jak Thorn Grove?

Te słowa brzmiały jak słodka muzyka w uszach Signy.

– Więc zrozumiesz, kiedy powiem, że tej nocy coś wyciągnęło mnie z domu do lasu.

– Bez względu na powód musisz być ostrożniejsza. Nie przestajesz się trząść, odkąd cię znalazłem. – Dla podkreślenia swoich słów poprawił płaszcz, którym ją okrył. – Jeśli się wyda, co się stało i że tego nie zgłosiłem, stracę posadę. Jestem lojalny nie wobec ciebie, ale wobec mojego pracodawcy. Więc jeśli chcesz, żebym tak ryzykował, będziesz musiała mi podać dobry powód.

Signa usilnie próbowała wymyślić jakąś zręczną, wiarygodną historyjkę, która pozwoli jej się wykręcić i nie zdradzić Syłasowi żadnych istotnych szczegółów, ale skronie ją bolały i usta paliły od pragnienia, żeby po prostu wszystko powiedzieć. Powiedzieć komuś, co się dzieje, żeby nie musiała tego robić sama. Syłas mówił o tej



sytuacji tak spokojnie, otwarcie i rzeczowo, że Signa czuła, że mógłby jej uwierzyć. Z tego samego powodu w jego obecności trochę się rozluźniała. Mogła z nim rozmawiać otwarcie, a on nie uciekał. W dodatku sam przyznał, że wierzy, że duch Lillian nawiedza rezydencję Hawthorne'ów.

Wciągnęła oddech tak gwałtownie, że Mitra zastrzygła uszami.

– Jeśli ci powiem – szepnęła – musisz przysiąc, że nie zdradzisz tego żywej duszy. Sylas najwyraźniej był równie ciekawski jak Signa. Nachylił się do niej i odszepnął z uśmiechem:

– Obiecuję.

– Nikomu? Nawet jeśli pomyślisz, że jestem stuknięta?

– Ja już myślę, że jesteś stuknięta. – Signa odwróciła się i spiorunowała go wzrokiem. – Dobrze, w porządku, zgadzam się nie mówić żywej duszy o tym, co masz do powiedzenia. No więc nie trzymaj mnie dłużej w napięciu. Gadaj.

– Chciałam znaleźć jej grób.

Popatrzył na nią beznamiętnie.

– Fascynuje cię makabra, panno Farrow?

Nie dało się tego powiedzieć w oględny sposób. Signa nie miała wyboru – wyprostowała ramiona i oznajmiła:

– Mam powody wierzyć, że Lillian nie zmarła śmiercią naturalną. Została zamordowana i jeśli nie dowiemy się, kto to zrobił, Blythe też umrze.

Przez długą chwilę odpowiadało jej tylko dalekie pohukiwanie sowy. Signa skuliła się wewnętrznie i czekała. Spodziewała się, że jak tylko przejadą przez wrzosowiska, Sylas popędzi do najbliższego lekarza i każe ją zamknąć w domu wariatów. Jednak ku jej zdziwieniu pierwsze słowo, jakie wypowiedział, brzmiało:

– My?

Signa przegarnęła palcami grzywę Balwina. Nie zamierzała tego mówić, ale skoro już powiedziała... Nie ulegało wątpliwości, że ta sprawa ją przerasta. Potrzebowała pomocy, a Sylas znał Thorn Grove. Znał Hawthorne'ów i miał dostęp do służby, w przeciwieństwie do Signy. Mógł pomóc.

Odpowiedzi doczekała się dopiero po powrocie do stajni. Kiedy Sylas pomagał jej zsiść z Balwina, chwyciła go za rękę. Drgnął i przez chwilę bała się, że działanie belladonny jeszcze nie ustało. Że wciąż ma dostęp do swojej mocy i może mu odebrać życie. Ale oboje nosili rękawiczki, a on zamrugnął i spojrzał na nią ciekawie ciemnymi oczami.

– Chcę, żebyś mi powiedział wszystko, co wiesz o Hawthorne'ach – zażądała.

Zorientowała się, że w podnieceniu podniosła głos, kiedy Sylas nachylił się i szybko przyłożył jej palec do ust. Dotyk był tak intymny, że zaschło jej w gardle.

– Panno Farrow, ja pracuję w stajni. – Rozejrzał się, żeby sprawdzić, czy nikt nie patrzy, i wciągnął ją do środka. – Nie do mnie należy plotkowanie o ludziach, którzy mi płacą...

– Widziałam pańskie buty, panie Thorly. Widzę, jak pan się ubiera. To jasne dla każdego, kto na pana spojrzy, że pan chce być kimś więcej niż chłopcem stajennym. – Coś błysnęło w jego oczach. Coś, czego Signa się uczepiła, i naciskała dalej. – Proszę sobie wyobrazić, co się stanie, jeśli pan uratuje Blythe. Jeśli dzięki panu Lillian przestanie nawiedzać dom i Elijah odzyska spokój ducha. Jeśli potem w ogóle wejdzie pan do stajni, to tylko po to, żeby dosiąść własnego konia. Już nigdy nie będzie pan musiał pracować.

Sylas rozsiadł i rozkietował konie. Jego zmarszczone czoło świadczyło o toczących się w jego głowie procesach myślowych.

– Gdyby z jakiegoś powodu to wyszło na jaw i został pan zwolniony – dodała, żeby osłodzić umowę – sama pana zatrudnię, jak tylko otrzymam spadek. Niech pan wykorzystają swoją pozycję, żeby mi pomóc, panie Thorly. Niech pan będzie moim powiernikiem, moimi uszami, a pańska przyszłość będzie znacznie lepsza niż praca w stajni.

– Wygadana pani jest – stwierdził. Zamknął konie w boksach i odłożywszy uprząż na miejsce, oparł się o belkę siana. – Zapłaciłaby mi pani z własnej kieszeni, żeby pomóc rozwiązać zagadkę morderstwa w rodzinie, którą dopiero pani poznała?

– Hawthorne'owie są dla mnie dobrzy – odparła pod jego badawczym wzrokiem, wpatrując się w małą bliznę na jego czole. – Poza tym nie brakuje mi pieniędzy.

Zaśmiał się z pewną konsternacją.

– Chyba ma pani rację. No więc dobrze. Umowa stoi, panno Farrow.

Signa próbowała nie okazywać zdziwienia. Zawsze wiedziała, że pieniądze mają władzę. Na tym świecie pieniądze były wszystkim. Jednak po raz pierwszy przekonała się osobiście, jak wielki mają wpływ. Pozwoliła sobie na odrobinę ulgi i rozluźniła ramiona, zadowolona, że nie jest już sama. Za mało wiedziała o Hawthorne'ach i miała za mało czasu, żeby samodzielnie uporać się z tą sytuacją. Potrzebowała kogoś takiego jak Sylas, a on też mógł wiele zyskać. Ludzie zawsze chcieli od niej pieniędzy i jeśli mogła za nie kupić pomoc Sylasa, niech tak będzie.

– Proszę mi powiedzieć wszystko, co pan wie – ponagliła go. – Czy ktoś nie lubił Lillian?

– Wiele osób nie lubiło Lillian. – Przygładził ręką włosy, czarne jak noc. – Widziała pani bogactwo tej rodziny. I założę się, że widziała pani, do czego mogą doprowadzić zawiść i chciwość. Ludzie nie musieli jej znać, żeby jej nie lubić.

Signa z rozgoryczeniem pomyślała o tym, co spotkało jej rodziców i jak traktowali ją opiekunowie przez te wszystkie lata. Chociaż dzięki swojej przyjaciółce Charlotte miło wspominała czas, kiedy mieszkała u wuja, z wiekiem coraz bardziej miała mu za złe, że tak często zostawiał ją samą. Że wydawał pieniądze, przeznaczone na jej utrzymanie, na importowane stroje i hojne prezenty dla kochanek. Wieczory spędzała zamknięta na klucz w swoim pokoju, próbując nie słyszeć hałasujących gości, których nigdy nie pozwolono jej poznać.

Tylko babka Signy naprawdę ją kochała, a inni pożąдали wyłącznie jej majątku. Niektórzy byli na tyle przyzwoici, żeby zapewnić jej jedzenie i ubranie, jednak nigdy nie czuła się przy nich kimś ważnym. Zawsze była tylko niewidzialną dziewczynką, za którą ciągnęła się pokaźna suma pieniędzy.

Widząc odpowiedź malującą się na jej twarzy, Sylas kiwnął głową.

– Lillian była cudowną kobietą, ale Hawthorne'owie zawsze będą celem ataków, bez względu na ich dobroć. Są ludzie, którzy zabijają dla pieniędzy, Signo. Ludzie, którzy wplotą kłamstwa w słodkie słówka i jeszcze słodsze uśmiechy. Warto o tym pamiętać.

Signa nie uważała tego za problem. Spotykała już w życiu obcych, którzy okazywali jej życzliwość. Dopóki nie zobaczyli, jak rozmawia

z duchem, albo nie usłyszeli plotek, bo wtedy uciekali. Nie sądziła, że to się zmieni nawet po otrzymaniu spadku, dopóki nie znajdzie sobie odpowiedniego męża i nie zdobędzie pozycji w towarzystwie.

Czyżby?

– Jeśli to, co mówisz, jest prawdą – powiedziała – to dlaczego mam ci zaufać? Dość szybko zgodziłeś się wziąć moje pieniądze.

Jego odpowiedź była prosta i zdecydowana.

– Nie powinna pani ufać nikomu oprócz siebie, panno Farrow. Ale pomogę pani ze względu na Blythe. Przede wszystkim musimy przemycić panią z powrotem do Thorn Grove, nie budząc podejrzeń.

Sylas wstał i wyciągnął do niej rękę w rękawiczce. Przyjęła ją sztywno. Zaprowadził ją do boksu, gdzie jego pies Gundry leżał zwinięty na sianie. Warknął, kiedy Sylas odsunął go na bok i zaczął przerzucać bele siana. Signa nie mogła nie zauważyć, jak mięśnie jego pleców napinały się przy każdym ruchu. Skorzystała z chwili jego nieuwagi, żeby obserwować męskie ciało. Wzbudzało w niej coraz większe zainteresowanie.

– Przyciśnij rękę płasko do tej płyty.

Za sianem krył się kamienny mur. Signa wykonała polecenie i nacisnęła kamień. Zgrzytnął i poruszył się pod jej dłonią.

– Teraz go przekręć.

Kiedy to zrobiła, ściana odsunęła się i odsłoniła tunel skąpany w ciemnościach. Żadnego światła, żadnego dźwięku, tylko przeciąg i labirynt ciągnący się w nieskończoność.

Sylas wziął lampę naftową z warsztatowego stołu. Gundry wstał, przeciągnął się z ziewnięciem i podreptał do pana.

– Czy ktoś ci pokazywał tunele w Thorn Grove?

Sylas podniósł lampę i Signa zajrzała w mroczną pustkę. Zjeżyły jej się włoski na przedramionach.

– Nigdy. Dokąd prowadzą?

– Te? Do spiżarni przy kuchni – odparł Sylas. – Chociaż na pewno jest ich dużo więcej. Znam tylko parę. Wątpię, czy jeszcze są używane, ale ten miał stanowić drogę ucieczki dla kuchennej służby w razie pożaru. Innych używają służący, żeby zejść z oczu mieszkańcom rezydencji. Tunele są ciemne, ale tędy dostaniesz się do domu niezauważona. Jeśli ktoś cię dostrzeże, jak wychodzisz z kuchni, powiedz, że zwiedzałaś posiadłość i zabłądziłaś, a potem nabrałaś ochoty na późną przekąskę, bo nie jadłaś obiadu. No więc – schylił się, wszedł do tunelu i wyciągnął rękę – czy zaufasz mi, żebym cię poprowadził?

Te słowa wydawały się pułapką. Sylas ostrzegł ją wcześniej, żeby mu nie ufała. Żeby nie ufała nikomu. A jednak skwapliwie wzięła go za rękę, pragnąc jeszcze raz poczuć jego dotyk.

– Ani trochę.

– Bardzo dobrze, panno Farrow. No więc chodźmy.

Zacisnął palce na jej dłoni i wciągnął ją do tunelu.

\*

Według Sylasa w Thorn Grove często odbywały się przyjęcia.

– Ona niczego tak nie lubiła, jak towarzystwa i powodów do świętowania – mówił, kiedy powoli, ostrożnie posuwali się tunelem.

Opowiadał o Lillian w taki sposób, że Signa zobaczyła w wyobraźni kogoś o wiele wspanialszego niż upiorna zjawa, którą widziała. Tak wyobrażała sobie własną matkę – jako kogoś

stworzonego do brylowania w towarzystwie. Kobieta, która ożywa w blasku kandelabrow i przy dźwiękach muzyki. Kobieta, której przeznaczeniem jest nosić balowe suknie i której uśmiech potrafi każdego oczarować.

Dlatego z łatwością uwierzyła Syłasowi, kiedy mówił, że każdy, kto znał Lillian, musiał ją pokochać i że Elijah nie stanowił wyjątku.

– Krążą plotki, że nie zawsze był taki rycerski i nie zawsze należał tylko do jednej kobiety – szepnęła. – To się zmieniło, kiedy poznał Lillian.

– Czy morderczynią mogła być któraś z jego dawnych rozczarowanych kochanek? – Signa przymrużyła oczy, usiłując coś zobaczyć w słabym świetle naftowej lampy Sylasa.

– Możliwe. – Podniósł lampę wyżej, żeby lepiej oświetlić tunel. – Słyszałem, że brat Elijaha też uwielbiał Lillian, chociaż trudno znaleźć kogoś, kto jej nie lubił. Lillian zawsze mówiła, że Thorn Grove jest zbyt wspaniałe, żeby je zatrzymać dla siebie. Goście ciągle przyjeżdżali i wyjeżdżali.

Signa kiwnęła głową, chociaż w głębi duszy czuła, że to nie wszystko. Lillian zmarła od trucizny, sama w swoim ogrodzie. Signa wiedziała o belladonie tyle, że śmierć następowała szybko, jeśli spożyło się dostatecznie dużo jagód. Jednak Lillian chorowała od miesięcy, co oznaczało, że ktoś podawał jej truciznę w małych dawkach, umiejętnie wyliczonych, tak żeby umierała powoli i w męczarniach. Nie szukali przypadkowego gościa, który nie lubił Hawthorne'ów; szukali kogoś, kto miał czas na precyzję. Kogoś z częstym dostępem do rezydencji.

– Czy ktoś ze służby żywił urazę do Lillian? – zapytała, układając na nowo w myślach kawałki łamigłówki.

– Nie – zaprzeczył z przekonaniem Sylas. – Wszyscy, którzy wtedy pracowali w Thorn Grove, kochali Lillian.

Signa nie bardzo mogła uwierzyć, że ktoś wzbudzał tak powszechną miłość i podziw. Z pewnością ta kobieta musiała komuś nadebrać na odcisk.

– A co z Elijahem?

Sylas przechylił głowę z namysłem.

– Nie przepadali za nim tak bardzo. To nie znaczy, że go nie lubili; Elijah jest przede wszystkim biznesmenem, a cała reszta zawsze była na drugim miejscu. Większość czasu spędzał w swoim biurze albo w klubie dżentelmenów.

Signa przypomniawszy sobie jedną osobę, która z pewnością nie żywiła antypatii do Elijaha. Nie uszło jej uwadze, jak Marjorie głaskała go po ramieniu i zwracała się do niego z poufałością niestosowną dla guwernantki. Ale to niczego nie dowodziło. Jeśli coś łączyło Marjorie i Elijaha, mogło się zacząć niedawno.

Signa oparła się jedną ręką o ścianę tunelu dla równowagi, zbyt pochłonięta myślami, żeby uważnie patrzeć pod nogi.

– Powiedz mi więcej o jego pracy.

– Grey's to rodzinny interes – zaczął. – Myślę, że Hawthorne'owie tyle w niego zainwestowali głównie przez dumę. Klub założył pradziadek Elijaha, Grey Hawthorne, należy do rodziny od pokoleń i daje im dostęp do najbardziej wpływowych ludzi w kraju i za granicą. Jako najstarszy syn, Elijah odziedziczył lokal po ojcu. Prowadzi go razem ze swoim bratem Byronem i kiedyś przekaze go Percy'emu.

Dopiero po chwili Signa skojarzyła sobie to imię; przypomniawszy sobie mężczyznę, który zatrzymał ją i Marjorie na schodach



pierwszego wieczoru w Thorn Grove. Tego, którego Marjorie tak ostro potraktowała – Byrona. To z bratem ojca Percy rozmawiał tamtego wieczoru. Tym bratem, który uwielbiał Lillian.

– Czy Byron nie ma dzieci?

– Nawet gdyby miał, Percy jest najstarszym synem Elijaha i wszystko odziedziczy – odparł Sylas. – Ale nie, Byron nigdy się nie ożenił.

Coraz więcej kawałków łamigłówni tasowało się w jej głowie i żadne do siebie nie pasowały. Za tym kryło się coś więcej, coś, czego Signa nie widziała. Na szczęście to była dopiero druga noc. Teraz, kiedy zgodziła się wypełnić żądanie Lillian, może duch przestanie ją dręczyć i pozwoli spać spokojnie. Trzeba będzie zajrzeć do Blythe i zastanowić się, w jaki sposób podawano jej truciznę.

– Spotkałam Byrona pierwszego wieczoru po przyjeździe – napomknęła Signa. – Wydawał się rozgniewany, chociaż nie wiedziałam dlaczego.

Sylas chwycił za brzeg pożyczonego płaszcza Signy i odciągnął ją na bok, zanim potknęła się o niewielki wybój. Zrobił to bez wysiłku i Signa cieszyła się, że w ciemnościach nie widział jej zażenowania. Zerknęła ukradkiem na jego czarne włosy, rozsypane wokół twarzy jak ciemna aureola, i znowu uderzyło ją, jaki jest wielki. Jak chodzące drzewo. Drzewo z mięśniami. Był niesamowity.

– Elijah nie zaglądał do klubu od śmierci Lillian – powiedział i kącik jego ust drgnął, kiedy pochwycił spojrzenie Signy. – Ludzie gadają, że on już się nie nadaje do prowadzenia klubu, ale jest jedynym właścicielem i nie zgadza się przekazać go Byronowi.

Jeśli Sylas mówił prawdę, to może dlatego Byron był w Thorn Grove i rozmawiał z Percym tego wieczoru, kiedy Signa przyjechała.

Czy zaprzyjaźnił się z Percym po to, żeby przejąć kontrolę nad rodzinnym interesem? Zamierzała już wypowiedzieć na głos to pytanie, kiedy zawadziła czubkiem buta o następną dziurę w ziemi. Potknęła się i o mało nie przewróciła – czuła już, jak traci równowagę – jednak Sylas ją złapał i podtrzymał wolną ręką, a ona upadła twarzą na jego pierś.

Na długą chwilę zamarła w bezruchu, zastanawiając się, czy w tej sytuacji nie wypadałoby udawać, że nie żyje, żeby uniknąć dalszego upokorzenia. W końcu zdecydowała, że warto narazić się na zakłopotanie, żeby na niego ukradkiem spojrzeć. Zesztywniała, widząc, że jego dymnoszare oczy się w nią wpatrują.

– Czy ty nigdy nie patrzysz pod nogi? – Głos miał niski i energiczny. – Mogłaś sobie zrobić krzywdę.

– Nic mi nie jest, dziękuję. – Z tak bliska nie mogła się powstrzymać, żeby nie patrzeć na drobniutkie piegi pstrzące skórę pod jego oczami.

– W takim razie zechcesz mnie puścić? Jesteśmy prawie na miejscu.

Nie zdawała sobie sprawy, że zaciska pięści na jego koszuli. Natychmiast zabrała ręce. Fakt, że ze wstydu nie zapadła się pod ziemię, stanowił niezbitę świadectwo jej nieśmiertelności.

– Dziękuję za towarzystwo, panie Thorly. – Cofnęła się i wygładziła sukienkę. – Jutro postaram się odwiedzić Blythe i zobaczę, czego się dowiem.

– A ja dzisiaj przeszukam kuchnię i pogadam z kucharkami. – Spojrzał na nią z góry, przechylając głowę. W prawym policzku miał dołeczek, którego dotąd nie zauważyła. – Jeśli coś znajdę, dam ci znać.

Przed nimi znajdowały się drzwi, małe i wbudowane w ścianę.

– Tędy wejdiesz do spiżarni – dodał. – Śpij dobrze, panno Farrow. Możesz być pewna, że dowiemy się, co się dzieje w Thorn Grove.

Signa odepchnęła na bok worek ziemniaków niemal tak wielki jak ona i precyzyjnie się na czworakach przez mały otwór do spiżarni. Worek przewrócił się i kilka ziemniaków potoczyło się po podłodze. Podczas nocnej ciszy ten hałas wydawał się budzić echo w całym domu. Przeklinając swojego pecha, Signa pozbierała je szybko, wepchnęła z powrotem i zasłoniła wejście do tunelu. Ściągnęła rękawiczki, schowała je za stanik i próbowała wyglądać na zasnęłą, w razie gdyby ktoś przyszedł sprawdzić, co się dzieje. Nikt się nie pokazał, więc Signa zebrała spódnice i na palcach wyszła z kuchni. Minęła salon i dotarła już do podnóża schodów, kiedy opryskliwy głos zawołał:

– Co ty, u diabła, tu robisz o tej porze?

Signa odwróciła się gwałtownie i zobaczyła Elijaha Hawthorne’a, patrzącego na nią przez otwarte drzwi salonu. Miał na sobie koszulę nocną, chociaż wyczerpanie malujące się na jego twarzy świadczyło, że nie zmrużył oka. Może nie spał od wielu dni, zważywszy na cienie pod oczami.

Signa ciaśniej owinęła się pożyczonym płaszczem, wdzięczna za ciemność. Jedno spojrzenie na jej zabłocone spódnice i Elijah odgadłby, że jeszcze się nie kładła.

– Dobry wieczór, sir. – Pospiesznie szukała w myślach jakiejś wymówki, ale wszystkie wydawały się niezręczne. – Nie mogłam zasnąć.

– Więc wybrałaś się na spacer?

Zerknął ponad jej ramieniem w stronę kuchni, a wtedy krew zastygła jej w żyłach – on wiedział. A przynajmniej podejrzewał. W końcu to był jego dom. Pewnie znał te tunele jak własną kieszeń. Jednak nawet jeśli się czegoś domyślił, nie powiedział ani słowa. Zamiast tego zaprosił gestem Signę do małego okrągłego stolika, przy którym siedział pod jasnożółtą ścianą. Choć Signa nie znosiła tego koloru, musiała przyznać, że pokój w sumie jest przytulny, co wiele znaczyło, skoro potrafiła go podziwiać nawet pomimo przytłaczającej obecności Elijaha.

– Usiądź, dziecko. – Przed Elijahem stała szachownica i kiedy Signa usiadła naprzeciwko niego, ustawił figury. – Grasz?

– Tak – odpowiedziała, nie precyzując, że grywała tylko sama ze sobą. Miała przeczucie, że to prawidłowa odpowiedź, i nie chciała stracić sposobności do rozmowy z człowiekiem, który ją bardzo ciekawił. Więc sięgnęła po czarne, starannie osłaniając płaszczem spódnice.

– Rozumiem, że nie możesz spać. – Elijah pozwolił jej zrobić pierwszy ruch, nie patrząc na nią, tylko na szachownicę. – Niestety to nie jest przyjazny dom. Choć muszę cię ostrzec przed samotnymi wędrownkami, zwłaszcza o tak późnej porze. Noce w tej rezydencji bywają trudne dla osób słabego serca.

Signa zaczęła, aż Elijah przesunie swojego pionka na środek szachownicy, po czym przesunęła swojego, zanim odpowiedziała.

– Dotarły do mnie plotki, jednak zapewniam, że nie mam słabego serca. Czy pan też nie śpi przez te duchy, sir?

W jego szczęce drgnął mięsień. Tak szybko, że przegapiłaby to, gdyby go tak uważnie nie obserwowała.

– Czy ty też ją słyszysz, dziecko? – Zbił jedną z jej figur, zajmując środek szachownicy. – Czy słyszysz jej płacz?

Chociaż wyteżęła słuch, nie słyszała nawet szeptu w całym Thorn Grove.

– Nikogo nie słyszę, sir. Nie w tej chwili.

Elijah patrzył niewzruszony, jak próbowała obejść jego figury.

– Więc rozumiesz mój problem. Nie mogę spać, kiedy słyszę, jak się błąka po domu, nawiedza te korytarze, a jednak pod jej nieobecność też nie mogę zmrużyć oka, bo nie wiem, czy jeszcze kiedyś ją usłyszę.

Zabrał następną figurę Signy, korzystając z jej roztargnienia, ponieważ w tych ciemnościach wreszcie zrozumiała, z kim ma do czynienia – nie z głupcem, jakim się jej wydał przy pierwszym spotkaniu, nie z pijakiem, ale z człowiekiem u kresu wytrzymałości. Z człowiekiem, który już nie daje sobie rady.

Elijah przeciągnął dłonią po twarzy. Brodę miał pokrytą siwiejącym zarostem, za długim i zbyt zaniedbanym jak na towarzyskie wymogi.

Zbyt późno Signa uświadomiła sobie, że nawet w tym stanie to Elijah kieruje rozmową.

– Gdybym czuł, że mam jakiś wybór, nigdy nie przyjąłbym następnej podopiecznej.

Nie patrzył na nią, tylko na figury stojące przed nim na szachownicy, jakby rozwiązywał własną zagadkę.

Signa była zaskoczona, że jego słowa sprawiły jej taką przykrość. Rozumiała, że Elijah nie chciał jej przyjąć – była obciążona zbyt dużym bagażem, a dla kogoś tak bogatego pieniądze na jej

utrzymanie nie miały znaczenia. Jednak wypowiedziane na głos, to stwierdzenie bolało bardziej, niż chciała przyznać.

– Masz bystre oczy, dziewczyno – ciągnął Elijah. – Nie jesteś taka tępa, żeby nie rozumieć, że nie zwracam uwagi na drobiazgi, bo mam od tego ludzi, którzy mnie wyręczają. Jeden dzień w tym domu na pewno wystarczył, żebyś się dowiedziała, że moja żona nie żyje, a córka jest umierająca. A mój syn... Boże, mój syn. Zawiodłem tego biednego chłopca pod każdym względem. Jednak gdyby moja Lillian знаła twoje położenie po śmierci twojej babki, zażądałaby, żebyśmy cię wzięli do siebie. Pechowo się złożyło, że dopiero ostatnio się o tym dowiedzieliśmy, ponieważ ona zapewniłaby ci wspaniałe życie. Taka już była, niech spoczywa w spokoju. Przyjmowała wszystkich z miłością. Przez pamięć o niej nie mogłem postąpić inaczej, musiałem cię przyjąć.

Elijah zacisnął szczęki, jakby sobie uświadomił, że powiedział już za dużo na ten temat. Cięń przemknął przez jego twarz. Pozwolił Signie zbić dwie swoje figury.

– Od dziewiętnastu lat obywam się bez rodziców, sir – powiedziała mu. – Teraz już ich nie potrzebuję. Jestem wdzięczna za to, co pan mi dał, i to mi wystarczy. Całkiem dobrze sobie radzę sama.

Ku jej zdziwieniu Elijah się roześmiał. To był cichy dźwięk, zaledwie syk powietrza.

– Ja też tak myślałem.

Nie zdążyła nic więcej powiedzieć, ponieważ Elijah opróżnił szachownicę ostatnim ruchem. Otworzyła usta z zaskoczenia, kiedy jednym płynnym posunięciem zbił wszystkie jej pozostałe figury.

– Ten, kto stosuje w szachach obronną strategię, zawsze przegra.  
– Nie czekał, aż Signa wstanie, nie podał jej ręki. – Dobranoc, Signo. Oby sen znalazł do nas drogę i obyśmy się znowu tu nie spotkali jutro w nocy.

Wyglądało na to, że jeśli Signa chciała spotykać się z Sylasem po zmroku, będzie musiała znaleźć inny tunel. Albo nauczyć się przenikać przez ściany. Zaczekała, wpatrując się w szachownicę i odtwarzając z pamięci swoje ruchy, dopóki kroki Elijaha nie ucichły na schodach. Potem też weszła na górę.

Serce o mało nie wyskoczyło jej z piersi, kiedy odkryła, że nie jest sama. Na najwyższym stopniu siedział Percy. Gdyby nie jego włosy, jasne jak płomień, potknęłaby się o niego w ciemnościach.

– Percy! – Chwyciła się za serce. – Co ty robisz?

– Nie chciałem cię przestraszyć – odpowiedział szeptem. – Schodziłem na dół, żeby się czegoś napić, kiedy was usłyszałem i po prostu... Wybacz, że podsłuchiwałem. Tak dawno nie rozmawiałem z ojcem. Prawie zapomniałem, że jest do tego zdolny. – Ramiona mu obwisły jak płatki zwiędłego kwiatu. – Wiesz, to był jej ulubiony pokój. Dlatego on tak często tam przychodzi. Ten dom zawsze był trochę dziwny i ponury, i ona chciała mieć jakieś miejsce, gdzie czułaby się u siebie. Ojciec długo wyklócał się z nią o kolor... nie znosi żółtego. Ale moja matka zawsze potrafiła postawić na swoim. Czasami widzę, jak on patrzy na ściany i wspomina.

Signa niemal zobaczyła oczami duszy Lillian, jak sunie przez korytarze, popija herbatę w salonie i obmyśla wystrój wnętrza. Prowadziła tak odmienne życie, w tak odmiennej rodzinie niż ta, którą Signa zaczynała poznawać.



– Czy ty w ogóle z nim rozmawiasz? – zapytała z ciężkim sercem. Podejrzewała, że Elijah bardzo potrzebował towarzystwa, chociaż mógł się tego wypierać.

Percy spochmurniał.

– Ojca często nie ma. Marjorie dawała mi lekcje, a wuj Byron uczył mnie, jak być dżentelmenem. Ojciec i ja zawsze rozmawialiśmy tylko na dwa tematy: o interesie, którym kiedyś pokieruję, i moich obowiązkach, żeby zachowywać pozory i podtrzymywać status rodziny. Przez dwadzieścia dwa lata tylko to nas łączyło. A teraz on przeciął tę więź bez słowa wyjaśnienia. Więc nie, już ze sobą nie rozmawiamy, bo nawet się nie znamy.

Dopiero po chwili Signa zdobyła się na odpowiedź. Jako ktoś mający za sobą odmienne i głęboko frustrujące doświadczenia ze śmiercią, dobierała słowa z najwyższą ostrożnością.

– Żałoba to dziwna rzecz, Percy, bo każdy przeżywa ją inaczej.

Osobliwie było kogoś pocieszać. Nie wiedziała, czy postępuje właściwie, kiedy nakryła jego rękę swoją dłonią; wiedziała tylko, że sama zawsze tego pragnęła. Żeby ktoś usiadł przy niej i wziął ją za rękę, i po prostu z nią był.

Percy potrzebował kogoś – wyraźnie świadczyły o tym jego zgarbione ramiona i wzrok wbity w podłogę – i Signa cieszyła się, że może mu pomóc. Usiadła obok niego i łagodnie poklepała go po ręce.

– Przykro mi, że przez to przechodzisz. On na pewno bardzo kochał twoją matkę.

Spojrzał na jej dłoń, marszcząc brwi.

– Najbardziej na świecie. Ale to nie daje mu usprawiedliwienia, żeby znikać, kiedy wszyscy nadal go potrzebujemy.

Signa rozumiała go aż za dobrze. Przez lata patrzyła, jak wszyscy, których znała, zmieniają się w duchy... nawet ci, którzy jeszcze żyli.

– Nie daje – zgodziła się. – Ale on jest mądrym człowiekiem i wierzę, że odnajdzie drogę z powrotem do ciebie. Może potrzebuje tylko więcej czasu.

Percy wsunął rękę w jej dłoń.

– Dziękuję, kuzynko. Przez wzgląd na naszą rodzinę mam nadzieję, że się nie mylisz.

Podniósł się i podał jej rękę, żeby pomóc jej wstać. Przy tym jednak zauważył ubłoconą spódnicę Signy, wystającą spod płaszcza. Nic nie powiedział, ale głębokie zmarszczki przecięły mu czoło. Położył jej rękę na plecach i popchnął ją lekko w głąb korytarza, jakby się obawiał, że mu ucieknie.

– Chodź, kuzynko – powiedział. – Wszystkie kłopoty nadal będą na nas czekać, kiedy wstaniemy rano.

Przez następne tygodnie trzymano Blythe w izolacji, odwiedzali ją tylko Elijah i lekarz, który się nią opiekował. Signa codziennie próbowała wśliznąć się ukradkiem do pokojów kuzynki, ale napotykała drzwi zamknięte na klucz albo odciągały ją lekcje, albo musiała zrezygnować pod czujnym wzrokiem Elijaha, który spędzał wieczory przy łóżku córki, czuwając nad jej snem.

Tego ranka pokrzyżowała jej plany Marjorie, która wpadła do jej apartamentu, taszcząc naręczę sukien – sukienki popołudniowe i podróżne, przeznaczone na co dzień, i inne, ozdobniejsze i z kosztowniejszych tkanin, odpowiednie na przyjęcia. Były dużo ładniejsze niż codzienna żółta sukienka, którą tak często musiała nosić, jednak nie mogła opanować ukłucia żalu na widok ich nijakich, zgaszonych odcieni.

– Musisz się szybko przygotować. – Marjorie podała jej niebieskofioletową popołudniową sukienkę. – Niedługo będziesz miała gości.

Signa natychmiast się ożywiła – jak mogła mieć gości, skoro nikogo nie znała?

– Zaprosiłam na herbatę kilka młodych dam w twoim wieku – wyjaśniła Marjorie. – Pomyślałam, że chciałabyś mieć jakieś przyjaciółki, skoro musiaś opuścić poprzednie w takim pośpiechu. Wszystkie te dziewczęta przyjaźnią się z Blythe i pochodzą z wpływowych rodzin. Wszystkie są niezamężne i stanowią całkowicie odpowiednie towarzystwo.

Signa w to nie wątpiła, jednak zapytała:

– I muszą teraz składać wizytę?

– Co to znaczy „teraz”? – zapytała surowo Marjorie. – Miałam wrażenie, że tego chcesz.

– Chcę! – zapewniła pospiesznie Signa. Oczywiście, że tego chciała... zawsze marzyła, żeby się dostać do eleganckiego towarzystwa... jednak wolałaby wybrać na to jakiś inny dzień. – Myślałam tylko, że dzisiaj będę mogła odwiedzić Blythe.

To chyba ułagodziło Marjorie, która uśmiechnęła się ze współczuciem.

– Rozumiem. Niestety u panny Hawthorne jest lekarz. Możesz ją odwiedzić dzisiaj po południu, po lekcjach.

Signa zamierzała się domagać, żeby pozwolono jej chociaż na krótką wizytę u kuzynki, jednak kiedy Elaine przyszła jej pomóc w ubieraniu, zrozumiała, że wszelkie wysiłki są daremne. Blythe musiała poczekać trochę dłużej.

Suknia spłynęła po jej skórze jak jedwab. Uszyto ją z importowanej tkaniny, nie szzczędząc kosztów. Pasowała kolorystycznie do salonu, w którym podawano herbatę, i była sznurowana na plecach, żeby zostawić miejsce, kiedy Signa przytyje na odpowiedniej diecie. Na razie była odrobinę za luźna, dzięki czemu okazała się nadspodziewanie wygodna, zważywszy, że pod popołudniową suknią nie nosiło się gorsetu.

Zanim Signa skończyła toaletę, wyglądała naprawdę elegancko, jednak przez cały czas zastanawiała się, w jaki sposób przemycić niepostrzeżenie ze sobą do salonu *Poradnik urody i etykiety dla damy*. Obecnie leżał na biurku. Signa delikatnie przesunęła palcami po jego nieskazitelnym grzbiecie. Czy jej matka byłaby dumna, gdyby

ją teraz zobaczyła? Czy tak samo ubrałaby Signę? Czy upięłaby jej ciemne sploty tak samo, jak to zrobiła Marjorie, żeby podkreślić delikatny owal twarzy i smukłą szyję?

– One na pewno już są – poganiała ją Marjorie. – Chodźże wreszcie.

Signa cofnęła rękę od książki. Znała jej treść na pamięć, przeczytała ją od początku do końca więcej razy, niż mogła zliczyć. Teraz przyszedł czas na wprowadzenie tej wiedzy w życie.

Zeszła za Marjorie po schodach, wśród zabieganych służących, które wymijały ją pospiesznie, pochłonięte gorączkowymi przygotowaniami do następnego przyjęcia. Serce jej łomotało przy każdym kroku. Tym razem nie pozwoli sobie na żadne potknięcie, jak z Blythe – nie zapomni się ani na chwilę.

W salonie czekały na nią trzy młode kobiety, usadowione przy okrągłym stoliku, który wydawał się absurdalnie mały i kruchy. Marjorie przedstawiła je jako lady Dianę Blackwater, raczej pospolitą dziewczynę o jasnej skórze, mysich włosach i paciorkowatych szturczych oczkach; lady Elizę Wakefield o długiej, alabastrowej twarzy i blond lokach oraz...

Pod Signą ugięły się nogi, kiedy napotkała spojrzenie orzechowych oczu. Charlotte Killinger miała na sobie popołudniową suknię w biało-błękitne pasy. Ramiona miała wyprostowane, szyję długą i delikatną. Dawna przyjaciółka była jeszcze piękniejsza, niż Signa pamiętała – jej cera w ciepłym bursztynowym odcieniu jaśniała, policzki ożywiały leciutki ślad różowości. Była wyższa i straciła dziecięcy tłuszcz, ale nadal pozostała w każdym calu tą dziewczyną, którą Signa niegdyś znała. Przyjaciółką, o której wciąż

myślała, ale z którą nie rozmawiała od lat, od czasu skandalu z wujem Signy i matką Charlotte.

Charlotte otworzyła usta i wytrzeszczyła oczy. Po chwili wzięła się w garść i z wdziękiem skłoniła głowę.

– Miło z twojej strony, że nas zaprosiłaś.

– O tak! Wszystkie byłyśmy bardzo ciekawe nowej podopiecznej Hawthorne'ów – zawtórowała jej Diana, zdawkowo kiwnąwszy głową.

Głos miała donośny i przenikliwy, ale Signa prawie jej nie słyszała, bo serce jej biło jak szalone. Tak długo marzyła, żeby znowu zobaczyć Charlotte. Ale dlaczego to musiało się stać właśnie teraz? Teraz, kiedy wreszcie pozwoliła sobie uwierzyć, że może zacząć od nowa gdzieś, gdzie widma przeszłości nie będą jej prześladować na każdym kroku.

Signa potknęła się na odrętwiałych nogach, kiedy Marjorie popchnęła ją dyskretnie w stronę jej krzesła. Jedna służąca naląła do filiżanek parującą herbatę, a druga podała ciasteczka i paszteciki. Charlotte im podziękowała, ale dwie pozostałe dziewczyny zignorowały służbę. Całą uwagę skupiły na Signie i oczy im zabłyśły, jak tylko Marjorie zamknęła za sobą drzwi.

Eliza uśmiechnęła się do Signy ponad stołem.

– No, ależ chudzina z ciebie.

Signa nie potrafiła zdecydować, czy to komplement, czy zniewaga. Eliza nachyliła się nad stołem, jej długie loki musnęły obrus.

– Jak ci się podoba u Hawthorne'ów? To naprawdę bardzo interesująca rodzina.

– Interesująca? – powtórzyła jak echo Signa. Gardło miała boleśnie wysuszone. – Jak to?

– Na przykład te przyjęcia. – Eliza zaśmiała się, jakby pytanie było niemądre. – Nie wspominając o bogactwie, plotkach, tajemnicy. Pewnie nie wiesz, skoro dopiero co przyjechałaś, ale rodzina, u której mieszkasz, jest na językach całego miasteczka.

Signa odważyła się zerknąć ukradkiem na Charlotte, która siedziała wyprostowana i w milczeniu sączyła herbatę. Nie odezwała się ani słowem, tylko udawała, że podziwia widok pięknego wiosennego ogrodu.

*Poradnik urody i etykiety dla dam* wyrażał się bardzo jasno o plotkach: „Nie gadaj po próżnicy”. Signa zgadzała się z tym i nie zamierzała plotkować o ludziach, którzy okazali jej taką łaskę. Jednak oczy Elizy błyszczały złośliwą radością, a język gotów był sączyć jad, więc żeby zdobyć potrzebne informacje, Signa połknęła przynętę. Sięgnęła po placuszek z jagodami i nachyliła się do przodu, odetchnąwszy po cichu.

– Plotki? – powtórzyła takim tonem, jakby nawet sobie nie wyobrażała, że coś tak ohydneho w ogóle może istnieć. – Z pewnością się mylisz. Jakie plotki?

– Wszelkiego rodzaju – wtrąciła Diana. – Że Thorn Grove nawiedzają duchy. Że pani Hawthorne, biedactwo, sama odebrała sobie życie, kiedy odkryła, że jej mąż miał cały szereg płomiennych romansów i zbyt wiele nieślubnych dzieci. Mówią nawet, że służba jest w zмовie, żeby napaść na rodzinę.

Wszystkie te insynuacje zdawały się wyssane z palca, chociaż Signa zanotowała je sobie w pamięci, żeby w wolnej chwili dopasować je do pozostałych kawałków układanki.

– Hawthorne’owie to ciekawi ludzie – przyznała, starannie dobierając słowa; nie miała żadnej gwarancji, że to, co powie, zostanie między nimi ani że nie napiętnują jej jako plotkarki. – Ale są również bardzo wspaniałomyślni, skoro mnie przyjęli, chociaż spotkało ich takie nieszczęście.

Diana chrząknęła znacząco.

– Z pewnością twój majątek się do tego przyczynił. – Odchyliła się do tyłu na krześle i popatrzyła na swoje białe rękawiczki z falbankami. – Mój ojciec mówi, że interes pana Hawthorne’a upada i że odziedzicysz fortunę jeszcze większą od ich bogactwa.

Signa obficie smarowała placuszek masłem. Serce jej waliło, pot wystąpił na szyję. Wyobrażała sobie, że ta rozmowa będzie przebiegała znacznie spokojniej.

Charlotte podniosła wzrok.

– Ona dopiero co przyjechała, Diano – powiedziała gładkim głosem pomiędzy łyżkami herbaty. – Pewnie nic nie wie o Hawthorne’ach.

Eliza zacisnęła usta, a Signa sięgnęła po następny placuszek. Kalkulowała, że jeśli nie wie, co powiedzieć, to – dopóki ma pełne usta – może milczeć i pozwolić mówić innym.

Ale wtedy w pokoju powiało chłodem.

– Czy gdzieś jest otwarte okno? – Eliza zadrżała. – Nie myślałam, że będę potrzebować płaszcza.

Signa wiedziała aż za dobrze, co oznacza ten przeciąg. O mało nie zadławiła się ostatnim kęsem. Rozejrzała się dyskretnie i zobaczyła, że obok Diany siedzi Śmierć na krześle utkanym z cienia. Założył



nogę na nogę, a w jego dłoni cienie uformowały niematerialną filiżankę herbaty, którą uniósł w geście pozdrowienia.

– *Wybacz, że zapomniałem sukienki i rękawiczek.*

Nie wypowiedział tych słów na głos, ale rozbrzmiały w głowie Signy.

Był w jej głowie.

Zacisnęła palce na spódnicy i starała się oddychać spokojnie. *Nie. Nie, nie, nie, nie.* Nic nie szło zgodnie z planem.

Najpierw Charlotte, a teraz... nie. Przecież nie zjadła belladonny, nie przeniosła się do miejsca pomiędzy żywymi a zmarłymi, żeby go przywołać. Przez całe życie widywała Śmierć tylko wtedy, kiedy ktoś przy niej umierał. Prędzej znowu spróbuje go zabić, niż pozwoli mu zabrać którąś z tych dziewczyn. Starła się mu przekazać to wszystko, miażdżąc go wzrokiem. Widocznie to go rozbawiło, bo w jej głowie i piersi zawibrował bezgłośny śmiech.

– *Spokojnie, ptaszynko. Przyszedłem tylko posłuchać ciekawych plotek.*

Diana delikatnie skubnęła odrobinę placuszka, nieświadoma bliskości potwora, który obok niej udawał, że popija parującą herbatę z cienia. Jedno dotknięcie, muśnięcie jego cienia i te dziewczyny umrą. Signa miała tak ściśnięte gardło, że nie mogła przełknąć kęsa, który utknął jej w przełyku. Zakrztusiła się, chwyciła swoją filiżankę i jednym haustem opróżniła ją do połowy.

Charlotte świadomie omijała ją wzrokiem, natomiast Diana się roześmiała.

– Dobry Boże, czy ciebie tu nie karmią? Jesz, jakbyś od tygodnia nie miała nic w ustach. A te twoje obojczyki... takie wystające.

Signa skuliła ramiona. Oczywiście wiedziała, jak powinna się zachować. Nie spieszyć się, brać małe kęsy, udawać, że wcale nie pragnie pożreć tych wszystkich pyszności, że wcale nie jest głodna i właściwie nie interesuje jej jedzenie.

Obok niej Śmierć odstawił nieistniejącą filiżankę.

– *Co myślisz o tej kobiecie? Mógłbym ją zarazić odrobiną dżumy. A co powiesz na ospę? Może krosty wyleczą ją z próżności.*

Zirytowana jego lekkim tonem, rzuciła mu gniewne spojrzenie, a on westchnął.

– *Świetnie, zepsuj mi zabawę.*

Mając po jednej stronie Charlotte, a po drugiej Śmierć, Signa w ogóle nie mogła się skupić. Diana i Eliza zdominowały konwersację, a kiedy zauważyły, że Signa od jakiegoś czasu nie reaguje nawet mruknięciem na żadne plotki, Eliza wlepiła w nią wścibskie brązowe oczy i zapytała:

– Czy pani ma już konkurenta, panno Farrow?

Śmierć wstał i pochylił się nad Elizą tak blisko, że Signa poczuła ucisk w gardle.

– *Nie zwracaj na mnie uwagi – powiedział. – Odpowiedz, śmiało. Masz kogoś na oku, ptaszynko?*

Signa zacisnęła pięści. Najbardziej na świecie chciała krzyknąć, żeby się wynosił, ale musiałyby się wytłumaczyć przed gośćmi. Widząc jej rozterkę, Śmierć powiedział:

– *Wiesz, chyba możesz mi odpowiedzieć. Skoro mnie słyszysz, założę się, że ja usłyszę ciebie.*

Spróbowała mu przekazać, żeby zostawił ją w spokoju przynajmniej na tak długo, żeby mogła zebrać trochę informacji o Hawthorne'ach albo chociaż porozmawiać na osobności

z Charlotte. Jednak choć dokładała wysiłków, żeby mu przekazać te słowa, zachowywał się tak, jakby jej nie słyszał.

– Czy pani zamierza zadebiutować w tutejszym towarzystwie, panno Farrow? – odezwała się Charlotte z ostrzegawczą nutą w głosie.

Signa spojrzała na przyjaciółkę, trzymając w obu rękach porcelanową filiżankę. Pomimo zdenerwowania, pomimo świadomości, że Charlotte wie o niej rzeczy, które mogą podkopać jej reputację, czuła ulgę. Cieszyła się, że wreszcie odnalazła dawną przyjaciółkę, i przekonała się na własne oczy, że Charlotte jest bezpieczna, piękna i zdrowa.

– Tak, mam nadzieję zadebiutować w tym sezonie – odpowiedziała i spodobało jej się brzmienie tej odpowiedzi.

Eliza klasnęła.

– Och, musi pani wydać przyjęcie z tej okazji! Proszę nas zaprosić, a my dopilnujemy, żeby pani się dowiedziała wszystkiego o każdym kawalerze w miasteczku... – Chwyciła się za gardło i na chwilę zabrakło jej tchu, kiedy Śmierć przeszedł obok niej.

– *Czy mnie też zaprosisz na przyjęcie? Uwielbiam tańczyć.*

Signa nigdzie nie zamierzała go zapraszać i chociaż marzyła, żeby mu to wygarnąć, nadal się uśmiechała.

– Jacy mężczyźni pojawią się w tym sezonie? – zapytała Elizę.

Przy stole natychmiast zapanowało ożywienie. Eliza nachyliła się do przodu, wymachując widelcem.

– Na pewno wpadnie ci w oko mój kuzyn, lord Everett Wakefield.

Charlotte poderwała głowę i oczy jej zabłyśły, kiedy usłyszała to nazwisko.

– Przyjechał? – zapytała, a Eliza kiwnęła głową.

– Dopiero trzy dni temu. Zostanie u nas na lato i będzie się rozglądał za odpowiednią żoną. Ciekawa też jestem, kogo sobie znajdzie pani kuzyn Percy, panno Farrow. On ma odziedziczyć rodzinny interes, a to duży majątek, wie pani?

Eliza miała rację, choć wszystko zależało od tego, czy Elijah nie zmarnuje jego szans. Signa przypominała sobie przedwczorajszą wieczór, kiedy widziała, jak Elijah wepchnął synowi ciastko w usta. Wyobrażała sobie zażenowanie Percy'ego, wyobrażała sobie, jak się czuł, widząc, że ojciec tak całkowicie pograżył się w żałobie.

Hawthorne'owie się rozsypywali. Wystarczyło ich popchnąć i całkiem się rozpadną.

Kiedy Signa sięgnęła po następny placuszek, Diana, uśmiechając się sztucznie, odsunęła talerz. Signa wyprostowała się i cofnęła rękę, ogarnięta zwątpieniem.

– *Zjedz to.* – Głos Śmierci był zimny. – *Jeśli jesteś głodna, zjedz placuszek.*

Ale Śmierć nie należał do towarzystwa i nie znał panujących reguł.

Nie pij ani nie jedz za dużo ani za mało. Tylko tyle, ile wypada. Tej lekcji Signa nauczyła się z podręcznika etykiety. Po prostu nie wiedziała dotąd, ile to jest „za dużo”. Teraz wiedziała, że to trzy ciastka. Więc pomimo nalegania Śmierci nie sięgnęła po następne, nawet kiedy Diana znowu zaczęła wypytywać o interesy Hawthorne'ów, polując na plotki, które niewątpliwie zamierzała puścić w obieg. W tej rozmowie nie było miejsca nawet na chwilę odpoczynku. Signa pilnowała się przez cały czas, uważała na każdy szczegół – jak trzyma mały palec, w jakim tempie oddycha. Czy nie pije za szybko? Czy dodała do herbaty odpowiednią ilość cukru?

Czuła się wyczerpana; życie towarzyskie okazało się bardziej wymagające, niż się spodziewała.

Od tak dawna czekała na ten dzień; czekała, aż usiądzie w gronie przyjaciółek z wyższej sfery jako jedna z nich. Czekala, żeby inni okazali jej zainteresowanie i żeby wreszcie miała towarzystwo, za którym tak długo tęskniła. Teraz jednak zdawało jej się, że minęła wieczność, zanim Marjorie wróciła do salonu, i pragnęła tylko wyrwać się na wolność.

Charlotte wyszła jako ostatnia i ku zdziwieniu Signy nie zamierzała zwlekać. Przebiegła szybko wzrokiem po Signie i rzuciła zdawkowe: „Cieszę się, że u ciebie wszystko w porządku”, zanim zebrała spódnice i pospieszyła za Marjorie.

Łzy zapiekły Signę pod powiekami. Charlotte ją rozpoznała. Rozpoznała ją, a jednak... to nic nie znaczyło. Może cały ten wspólnie spędzony czas – cała ta przyjaźń – więcej znaczyły dla Signy niż dla Charlotte.

Zapomniała, że Śmierć za nią stoi, dopóki nie burknął:

– Dwie z tych dziewczyn zachowują się tak, jakby je spuszczo ze smyczy.

Signa gwałtownie odwróciła się do niego, wycierając oczy.

– Co ty tu jeszcze robisz?

Cienie wokół niego znowu się przesunęły, tworząc stół, na którym oparł nogi.

– Tobie również dzień dobry. Przyszedłem sprawdzić, jak się zadomowiłaś.

– Wolałabym, żebyś nie przychodził. – Signa odwróciła się i przeszła na drugi koniec salonu, żeby nie zobaczył, jak bardzo jest wstrząśnięta. – Skąd w ogóle się tu wzięłeś?

Zastanowił się nad odpowiedzią, odchylając się do tyłu na swoim krześle z cienia.

– Na razie uratowałaś Blythe, ale to nie znaczy, że jest wyleczona.  
– Postawił krzesło prosto i spojrzał na nią. – Jestem tu, bo ona wciąż się chwieje na krawędzi między życiem a śmiercią. Chyba z tego powodu, kiedy oboje jesteśmy dostatecznie blisko niej, możesz mnie widzieć. Do dzisiaj nie byłem pewien, czy o to chodzi.

Szlag by trafił ten ich niefortunny związek. Ileż by dała, żeby nigdy więcej nie zaglądać za zasłonę między życiem a śmiercią.

– A dlaczego słyszę w głowie twój głos?

– Pewnie z tego samego powodu, dla którego słyszysz mój głos, kiedy do ciebie zwyczajnie mówię.

Gdyby był cielesny, Signa złapałaby go i nim potrząsnęła. Teraz tylko okręciła się na pięcie i natarła na niego z furją.

– Nie widziałeś, że jestem zajęta? – warknęła. – To było dla mnie ważne.

Śmierć obejrzał się, jakby mógł widzieć te dziewczyny przez ścianę.

– Dlaczego? Takie osoby są ważne chyba tylko dla swoich matek. Nie wydaje ci się dziwne, że dwie z nich pytały wyłącznie o twój majątek i rodzinę? Wcale nie pytały o ciebie.

Chociaż miał rację, bynajmniej nie zamierzała się z nim zgodzić. Dlatego oświadczyła z uporem:

– To mają być moje przyjaciółki.

– Przyjaciółki? – Wstał, a stół i krzesło rozpląnęły się z powrotem w cieniu. – Dlaczego? Nigdy nie widziałem, żebyś była taka...

– Rozmowna? – podsunęła Signa. – Nigdy nie widziałeś mnie w towarzystwie?

Stali teraz metaforycznie nos w nos. W jego bliskości Signa czuła mrowienie na skórze. To nie był strach, tylko moc. Determinacja. On był Śmiercią i dlatego nie musiała się kontrolować. Nie musiała robić na nim wrażenia.

Śmierć pochylił się nad nią i jego twarz z cienia zawisła tuż nad jej twarzą.

– Nigdy nie widziałem, żebyś była taka potulna i taka ugrzecznona aż do mdłości. – Placuszek frunął w powietrzu i uderzył ją w pierś. Ledwie zdążyła go złapać, zanim spadł na podłogę. – Chciałaś go zjeść, prawda? Dlaczego pozwalasz, żeby cudza opinia cię powstrzymywała?

Wbiła palce w kruchą skórę placka.

– Byłam tylko uprzejma. Są pewne zasady...

– Byłaś głodna. A jeśli jesteś głodna, powinnaś jeść. Do diabła z zasadami.

W jego głosie pojawiły się mroczne tony. Gorzkie rozczarowanie, które ku jej irytacji sprawiło jej przykrość.

– A dlaczego cię to obchodzi?

To pytanie sprawiło, że w jego oczach zapłonęła furia. Szalejące inferno jakby wysssało całe powietrze z pokoju.

– Obchodzi, bo jesteś kimś lepszym. Nie jesteś stworzona na grzeczną, uległą panienkę. Jeśli zaakceptujesz to, kim jesteś, wyobraź sobie, jaką potęgą możesz władać. Wyobraź sobie, czego możesz dokonać.

– Masz na myśli życie, które mogę odbierać? – Teraz to Signa przysunęła się bliżej. – Duchy, z którymi mogę rozmawiać? Rzeczy, które mogę robić dla zmarłych? Nie muszę sobie tego wyobrażać; to jest moje życie. To mnie niszczy i nie chcę tego.

– Skąd wiesz? – zapytał. – Skoro przez cały czas tylko uciekasz, skąd wiesz, czego właściwie chcesz? Czy wolisz spędzić życie, udając kogoś, tak jak z tymi dziewczynami?

Rzuciła w niego z powrotem placuszką i ku jej zdumieniu ciastko nie przeszło przez niego na wylot jak nóż, kiedy go dźgnęła. Złapał je.

– Odejdź – powiedziała, kiedy już opanowała zdziwienie. – Nie znasz mnie i nigdy nie poznasz. Tak jak mówiłeś, oboje jesteśmy bardzo zajęci, a ty mi tylko przeszkadzasz.

Parsknął drwiąco, bardzo po ludzku. Bardzo po męsku.

– Przyszedłem zaofiarować pomoc. Zakładam, że znacznie szybciej rozwiążesz tajemnicę morderstwa, jeśli nauczysz się wykorzystywać swoje zdolności.

– To nie będzie konieczne – odparła, nie rozważając nawet jego oferty. – Przecież mogę rozmawiać z duchami...

– Więc nie uważasz, że warto nauczyć się przechodzić przez ściany? – zapytał. – Zmieniać swoje ciało tak, żeby inni cię nie widzieli? Stać się samą nocą i wtopić się w cienie? Tylko pomyśl, ile mogłabyś wyszpiegować.

Owszem, przydałyby się jej takie zdolności, ale zgoda oznaczała przyjęcie jego pomocy, a ona nie zamierzała dopieszczać jego ego ani chwili dłużej, niż to konieczne.

– Przez całe życie niczego nie chciałam bardziej, niż się ciebie pozbyć. – Wyprostowała się i spojrzała na cień, który nad nią górował. – Błagałam noc po nocy, śmierć po śmierci, żebyś zostawił mnie w spokoju. A teraz chcesz mi pomóc? – Zabrakło jej słów. Zabrakło jej siły, żeby mu powiedzieć, co o tym myśli. – Nienawidzę



cię i nienawidzę wszystkiego, co mi zrobiłeś. Rozwiążę tę sprawę, i to bez twojej pomocy.

Wokół nich zmierzchno światło dnia. Ciemność pochłonięła wszystko. Śmierć urósł jeszcze bardziej, jego gniew był niemal namacalny, wypełniał cały salon. Żyrandol na suficie zakołysał się, żarówki zamigotały jak przed burzą. Promienie słońca wpadające przez okna zgasły jak świeczka.

– Nie masz już wyboru w tej kwestii. – Od głosu Śmierci zatrzęśły się ściany, dwie porcelanowe filiżanki spadły na podłogę. – Nudzą mnie te gierki. Znam cię lepiej, niż myślisz, i wiem, że nigdy się mnie nie pozbędziesz, ptaszynko. Tak jak ja nigdy nie pozbędę się ciebie.

Wstrząsy ustały i do salonu znowu napłynęło światło dnia, kiedy Śmierć wycofał się w cień.

– Nasze lekcje zaczną się o północy. Do zobaczenia.

Chciała wrzasnąć, żeby się nie fatygował. Ale jak tylko otworzyła usta, placuszek sfrunął ze stołu i wpadł w jej usta, dławiąc protesty, których Śmierć nie chciał słyszeć.

Na głowie Signy balansowała książka tak ciężka, że przyprawiała ją o migrenę.

– Równowaga, Signo – pouczała ją Marjorie. – Wdzięk. Stąpaj z wdziękiem.

W kącie Percy się zaśmiał, rozparty wygodnie na zielonej aksamitnej sofie. Ponieważ nie miał powodu tu być, Marjorie skarciła go wzrokiem, ale on nie dał się speszyć. Ostentacyjnie wyjaśnił, że przyszedł popatrzeć, jak jego kuzynka usiłuje się nauczyć manier – i te wysiłki ogromnie go bawiły. Jednak niepokój był widoczny w zmarszczeniu jego rudych brwi i ukradkowych spojrzeniach, jakie rzucał służącym krzątającym się w korytarzach, kończącym przygotowania do wieczornego przyjęcia.

On i Marjorie udawali, że ich nie zauważają, więc Signa wzięła z nich przykład, rozumiejąc, dlaczego przyjęcie to dla Percy'ego drażliwy temat.

– *Wdzięk*, Signo – powtórzył nonszalanckim tonem Percy, przesadnie rozciągając to słowo.

Signa nigdy nie miała brata, ale wyobrażała sobie, że byłby dokładnie tak samo irytujący jak Percy. Prawie jakby odgadywał, że jej uprzejmość była tylko maską. Jakby to widział w jej twarzy i próbował wydobyć z niej prawdę. Ze wszystkich sił próbowała go ignorować i nadal udawać skromną, przyzwoitą młodą kobietę. Chociaż po scysji z Elijahem poprzedniej nocy podejrzewała, że właściciela Thorn Grove wcale nie obchodzi jej zachowanie. Dopóki

nie podłożyła ognia w rezydencji, mogła robić, co chciała, a on nawet nie mrugnąłby okiem.

Przypomniała sobie, jak Percy czekał na szczycie schodów i obserwował ojca z tęsknotą. To była całkiem inna wersja Percy'ego od tej, którą teraz widziała – beztroski Percy o swobodnych, niedbałych manierach, prawdziwy młody dżentelmen bez żadnych zmartwień.

Co miał na myśli Elijah, kiedy mówił, że zawiódł swojego syna zbyt wiele razy? Rozkojarzona pod wpływem natłoku myśli, Signa potknęła się o perski dywan i patrzyła, jak encyklopedia spada z jej głowy na podłogę. Zaklęła pod nosem, nie zdając sobie sprawy, że wymówiła to słowo na głos. Percy zgiął się wpół ze śmiechu, a Marjorie załamała ręce w rozpacz.

– Wyrażaj się, Signo! Przysięgam, oboje jesteście dzisiaj niemożliwi!

Signa miała na tyle rozsądku, że zaczerwieniła się i przepaszająco spuściła głowę, natomiast Percy tylko uśmiechnął się czarująco do guwernantki. O mało nie przewróciła oczami, widząc, jak oburzenie Marjorie stopniało pod wpływem uśmiechu chłopca. Guwernantka westchnęła i podniosła książkę z podłogi.

– Nie wiem, co dzisiaj w ciebie wstąpiło, Signo, ale jesteś beznadziejna – stwierdziła tylko fakt, nie zamierzała być nieuprzejma. – A ty, Percy... chyba wczoraj cię prosiłam, żebyś znalazł sobie jakieś pożyteczne zajęcia.

Chłopak splótł ręce za plecami i dumnie uniósł podbródek.

– Przepraszam, panno Hargreaves. Chciałem tylko się upewnić, że moja droga kuzynka dobrze się czuje w naszym domu.

Im dłużej Marjorie patrzyła na Percy'ego, tym bardziej jej spojrzenie łagodniało, aż wreszcie się poddała.

– No dobrze. Skoro i tak widać, że nic nie będzie z naszych lekcji, możesz odwiedzić swoją Blythe, Signo.

Percy się ożywił.

– Pójdiesz do niej? Mogę ci towarzyszyć?

– Oczywiście, że możesz – zdecydowała za nich oboje Marjorie. – Zanieście jej trochę ciastek ze śniadania. Na pewno się ucieszy.

Signa modliła się, żeby Marjorie miała rację. Potrzebowała gałązki oliwnej, zważywszy na to, jak przebiegła jej pierwsza wizyta u Blythe.

\*

Percy dotrzymywał Signie kroku, również nie mogąc się doczekać, żeby zobaczyć siostrę.

– Jeśli ona choruje na to samo, na co umarła moja matka, ostatnie, czego potrzebuje, to tkwić zamknięta w pokoju – mówił, kiedy wchodzili po schodach, pokonując po dwa stopnie na raz. – Wszyscy każą jej odpoczywać. Na pewno umiera z nudów.

Signa doskonale potrafiła sobie wyobrazić tę nudę i samotność. Jeśli ta wizyta się uda, może Blythe pozwoli częściej się odwiedzać.

– Czy ona ma te same objawy co twoja matka? – zapytała zniżonym głosem.

– Tak, dokładnie te same. Chociaż Blythe jeszcze nie dostała wrzodów na języku i nie miała tak silnych halucynacji jak matka.

W jego głosie pojawił się chłód, ślad bólu, i Signa wiedziała, że nie powinna dalej drażnić, chociaż miała na to ochotę. Pomyślała, że

widocznie staje się dorosła, skoro zrozumiała, że nie wszyscy potrafią rozmawiać o zmarłych równie swobodnie jak ona.

Percy zmienił temat i zaczął rozwlekłe opowiadać o portretach, które mijali, wskazując męskich przodków, poprzednich właścicieli Thorn Grove. Wyprostował się, dumny i pewny siebie.

– Cóż to byli za niezwykli ludzie, żeby zbudować takie imperium.

Signa uznała, że nie warto mu przypominać, że klub dżentelmenów nie oferował nic ponad to, czego mogła zakosztować na dzisiejszej porannej herbatce z młodymi damami – jedzenie, napoje i plotki o ludziach z tej samej sfery – tyle że nie musiała wносить opłaty członkowskiej. Niemniej rozumiała dumę błyszczącą w oczach Percy’ego. Klub Grey’s stał za fortuną Hawthorne’ów i Percy zamierzał kontynuować tę tradycję.

Minąwszy chyba z tuzin portretów nadętych, wystrojonych mężczyzn, zapukali cicho do drzwi Blythe i czekali na zaproszenie. W salonie jednak nic się nie poruszało. Ciężkie, duszące powietrze przygniotło ich, kiedy weszli do środka i stanęli na pluszowym dywanie. Chociaż Blythe żyła, jej apartament wydawał się należeć do duchów.

Napięcie narastające w piersi Signy opadło, kiedy zobaczyła Blythe siedzącą prosto w łóżku, opartą o zagłówek. Chociaż chora, Blythe nie skrzywiła się na widok Signy jak ostatnim razem. Spojrzała na brata i od razu się rozpromieniła.

– Percy! Gdzieś ty był? Z nudów o mało już nie zaczęłam liczyć nitek w zasłonie. Co tam masz?

Uśmiechnęła się jeszcze szerzej, kiedy pomachał do niej placuszką, i skwapliwie wyciągnęła rękę.

– Boże, tak czekałam, aż znowu upieką cytrynowe. – Wgryzła się w ciastko i jęknęła, jakby od tygodni nic nie jadła.

Percy odstawił talerz z resztą ciastek i zmierzwił słomiane włosy Blythe, po czym przysunął sobie małe żelazne krzesło i usiadł obok niej.

– Powiem w kuchni, żeby częściej je robili, skoro tak ci smakują.

Signa czekała na progu sypialni Blythe, z rękami splecionymi przed sobą. Ociągała się, widząc, jak jabłko Adama Percy'ego porusza się gwałtownie, kiedy patrzył na siostrę – na jej bezkrwistą, wychudzoną twarz. Suche, martwe włosy. Worki pod oczami i wargi blade jak okruchy, które z nich strzepnęła. Wziął ją za rękę, taką kruchą, i Signa po raz pierwszy zauważyła surowe podobieństwo między nimi. Tam, gdzie Percy był piegowaty, Blythe była biała jak porcelana. Jego włosy płonęły jak ogień, jej spłowieły jak sucha trawa. Natomiast oboje odziedziczyli po ojcu surowy wykrój ust i sposób spoglądania z boku przymrużonymi oczami, jakby coś ich ciągle zastanawiało – w przypadku Percy'ego – albo wiecznie irytowało – w przypadku Blythe. Chociaż tak się różnili w kwestii wyglądu, kiedy siedzieli obok siebie, nie dało się ukryć, że są tej samej krwi.

– Czy ona wreszcie wejdzie – zapytała Blythe – czy dalej będzie tam stać i wpuszczać przeciągi?

Percy konspiracyjnie nachylił się do siostry, ale mówił dostatecznie głośno, żeby Signa go usłyszała.

– Ostrożnie, Bee. Pamiętaj, żeby w obecności płochliwych jelonków nie podnosić głosu. Nie chcemy ich wystraszyć.

Signa wyprostowała ramiona i weszła do pokoju z wysoko uniesioną głową.

– Nie jestem jelonkiem.

Dziewczyna odwróciła się do niej z uśmiechem, od którego niemal zaparło jej dech w piersi. Znowu poczuła to samo co wtedy, kiedy po raz pierwszy zobaczyła Blythe – jakby były połączone nierozzerwalną więzią. Widocznie ta więź powstała, jak mówił Śmierć, kiedy Signa nieświadomie uratowała życie swojej kuzynce.

Prawie nie знаła tej chorowitej istoty, która ledwie miała siłę wstać z łóżka, ale jednym spojrzeniem mogła przesyć człowieka na wylot. Niemniej coś ją do niej przyciągało. Nie wiedziała, co to znaczy ani skąd się wzięły te zdolności. Wiedziała jednak, że zrobi wszystko, co w jej mocy, żeby uratować życie Blythe, a powinna zacząć od wykrycia źródła trucizny.

– Chciałam przeprosić za tamten wieczór. To, co powiedziałam, było... niegrzeczne. Nigdy nie byłam elokwentna.

Signa przycupnęła na drugim końcu łóżka, naprzeciwko Percy'ego, gotowa zerwać się i uciec w każdej chwili.

Lód w oczach Blythe stopniał.

– Powinnaś nad tym popracować – stwierdziła.

Zlizła z palców resztki cukru. Język miała bladziutko różowy, prawie białe.

Na ramionach Signy wystąpiła gęsia skórka i żołądek jej się ścisnął, zanim się zorientowała, że w pokoju zrobiło się zimno z powodu otwartego okna, a nie dlatego, że w pobliżu krąży Śmierć. Cieszyłaby się z jego nieobecności, gdyby nie wiedziała, że dni Blythe są policzone i morderca wciąż na nią poluje.

– Nie będę ci dziękować, że wtedy mnie uratowałaś, bo to była twoja wina, że w ogóle miałam wypadek. – Słowa Blythe raniły tak, jak Signa pamiętała, każde ostre jak nóż. – Ale nie odrzucę też

twojego towarzystwa, bo nigdy jeszcze nie miałam kuzynki. Jak długo u nas zostaniesz?

To Percy odpowiedział.

– Ojciec zamówił dla niej u modystki garderobę na sezon.

Twarz Blythe pociemniała.

– Chyba powinnam się cieszyć, że zwrócił na kogoś uwagę. Chociaż jeśli potrzebujesz sukienek, mogłaś wziąć moje. Ja ich już nie potrzebuję i wielu ani razu nie założyłam.

– Blythe...

– Och, cicho bądź, Percy. Nie o to mi chodzi. Już na mnie nie pasują i wątpię, czy kiedyś odzyskam poprzednią figurę. – Z każdym słowem gorycz w jej głosie łagodniała. – A teraz opowiedz mi o pracy. Są jakieś nowiny?

Percy mocniej ścisnął rękę siostry i Signa odniosła wrażenie, że między rodzeństwem zachodzi jakaś wymiana myśli na poziomie, który jest dla niej niedostępny.

– Wuj właśnie tu jedzie, żeby przemówić mu do rozsądku, ale obawiam się, że ojciec uważa się za człowieka bez zarzutu.

Blythe cmoknęła z dezaprobatą.

– Na pewno w końcu ustąpi. Musisz dalej próbować.

– Nie ustąpił, odkąd zachorowałaś, Blythe...

– A kiedy dokładnie to było? – zapytała pospiesznie Signa i próbowała nie okazywać zmieszania pod spojrzeniem dwóch par oczu, które skierowało się na nią ze zdziwieniem. – Pytam tylko z ciekawości. Kiedy zachorowałaś?

Blythe udała zaskoczenie.

– Więc jestem chora? Wielkie nieba, dziwię się, że zauważyłaś. Nikt nie ośmiela się o tym przy mnie mówić. – Wydała stłumiony



pomruk rozbawienia i znowu oparła głowę na poduszkach. – Jakiś miesiąc po śmierci mojej matki.

Ktokolwiek za tym stał, nie tracił czasu. Signa zerknęła na małą piramidkę czekoladek na nocnym stoliku Blythe, obok filiżanki z herbatą. Dyskretnie sięgnęła po jedną czekoladkę i skosztowała. Sama nie wiedziała, czy poczuła ulgę, czy rozczarowanie, kiedy stwierdziła, że to tylko zwykła czekolada, ale nie wzięła następnego kęsa. Następnie spojrzała na filiżankę herbaty i wyciągnęła po nią rękę, zanim zdążyła wymyślić jakiś pretekst.

Blythe poderwała się z groźną miną.

– Ani się waż! To moje lekarstwo.

Próbowała odebrać delikatną porcelanową filiżankę, ale Signa cofnęła się, by znaleźć się poza zasięgiem kuzynki, i ostrożnie wzięła łyk. I wtedy poczuła – zaledwie ślad gorzkich jagód, praktycznie niewyczuwalny dla kogoś, kto nie znał tego smaku.

To było to. W ten sposób ktoś truł Blythe.

Filiżanka nadal była prawie pełna, płyn zimny.

– Od jak dawna zażywasz to lekarstwo?

– Odkąd zachorowałam – odparła Blythe, piorunując wzrokiem Signę. – Boli mnie żołądek, jeśli piję za szybko. Odstaw to.

Zamiast posłuchać, Signa podeszła do okna i wylała herbatę na zewnątrz.

– Czyś ty zwariowała? – Percy wyrwał jej filiżankę. – Może właśnie to utrzymuje moją siostrę przy życiu!

– Wręcz przeciwnie, to ją wpędza w chorobę. – Signa nie chciała zdradzać się ze swoją wiedzą, bo gdyby zabójca odkrył, że został zdemaskowany, mógłby spróbować innej taktyki. – Kto ci to dał?

Blythe wygięła usta w podkówkę, głębokie zmarszczki przecięły jej czoło.

– Moja pokojówka przynosi to każdego ranka.

– A jak ona się nazywa?

– Elaine. Chociaż nie rozumiem...

Signa natychmiast rozpoznała imię służącej, która pomagała jej się ubierać.

– Kto ci to przepisał?

– Jeden z jej lekarzy. – Percy skrzyżował ręce na piersi. – Bardziej kompetentny od ciebie, ośmielę się zauważyć.

Nawet Signa wiedziała, że żaden lekarz nie przepisze choremu belladonny. Ktoś dodawał ją ukradkiem... może nie do każdej filizanki, ale do wielu.

– Wiem, że to dziwnie zabrzmiało – zaczęła niepewnie – ale myślę, że ty wcale nie jesteś chora, Blythe.

Percy chwycił Signę za przegub ręki tak mocno, że skrzywiła się z bólu, pewna, że zostaną siniaki.

– Nie nabijaj głowy mojej siostrze bzdurami. To ta sama choroba, która zabrała naszą matkę...

Signa wyrwała rękę i spojrzała mu twardo w oczy.

– To nie jest lekarstwo. Wiem, bo już tego próbowałam. To belladonna, z jagód, które rosną tu w lesie. Ktoś ją truje.

Blythe zamarła w bezruchu na długą chwilę, z półotwartymi ustami.

– Percy... – zaczęła, ale jej brat tylko pokręcił głową.

– Gdyby to była trucizna, któryś z lekarzy już by się zorientował.

– Podkreślał każde słowo z niewzruszonym przekonaniem. – Signa po prostu zgaduje.

– Niczego nie zgaduję – odparła, przywołując całą pewność siebie, na jaką mogła się zdobyć. – Rozpoznaję ten smak. A jeśli mi nie wierzycie, sprawdźcie sami. Blythe, kiedy następnym razem przyniosą ci lekarstwo, nie pij go. Ale nie możesz też odmówić, żeby się nie zdradzić ze swoimi podejrzeniami. Zaczekaj, aż nikogo nie będzie w pobliżu, i znajdź bezpieczny sposób, żeby się pozbyć trucizny. Percy, ty też powinieneś być ostrożny. Kto wie, czy nie będziesz następny?

Percy nadal sceptycznie marszczył brwi.

– Czy mam zapytać doktora? – Blythe mówiła słabym głosem, ale poza tym zniosła to lepiej, niż Signa się spodziewała. – A co z ojcem? Zasluguje, żeby wiedzieć, prawda? Jeśli istnieje możliwość, że to, co spotkało matkę, to nie był przypadek.

Signa pamiętała, jak Elijah wepchnął ciastko w usta syna, pamiętała worki pod jego oczami i udęczonego wyraz twarzy, pamiętała, że cierpiał na bezsenność. Zachowywał się zbyt nieobliczalnie, zbyt nieprzewidywalnie. Nie mogli mu zaufać, to byłoby zbyt ryzykowne. Na razie lepiej nikogo nie informować o ich odkryciu – włącznie z obecnym lekarzem Blythe. To dość podejrzane, że żaden z jej lekarzy nie zorientował się, co się dzieje.

– Najbardziej pomożemy waszemu ojcu, jeżeli będziemy chronić was oboje – powiedziała Signa. – Co znaczy, że na razie ten sekret zostanie między nami. Uważajcie przy posiłkach. Żadnych dżemów. Żadnych jagodowych sosów do pieczeni. Pijcie herbatę, ale wylewajcie ją, jeśli chociaż trochę dziwnie smakuje. Musicie jeść, oboje, i nie możecie wzbudzić podejrzeń. Ale podejmijcie dodatkowe środki ostrożności.

Nie odważyła się wyznać, że Sylas też znał ich sekret. Nierozsądnie byłoby o nim wspominać, a jego pomoc i znajomość służby w Thorn Grove nadal mogły się przydać – zwłaszcza teraz, kiedy Signa miała trop.

Elaine.

Blythe z westchnieniem zagrzebała się głębiej w pościeli i skuliła, jakby chciała się zrobić jak najmniejsza.

– Rozgryziemy to – zapewniła ją Signa, wkładając w te słowa jak najwięcej entuzjazmu i starając się przekonać również siebie. – Powstrzymamy tego kogoś i wyzdrowiejesz. Nie pozwolę ci umrzeć, Blythe.

Wierzyła w to. Blythe nie bez powodu dostała drugą szansę. Signa złączyła swój los z losem Blythe i zamierzała zrobić wszystko, co w jej mocy, żeby raz na zawsze pokonać Śmierć.

Później tego wieczoru ociężała po kolacji i z bólem głowy po ciężkim dniu, Signa poczuła ulgę, widząc, że w salonie czeka Elaine, żeby jej pomóc przygotować się do snu.

– Dobry wieczór, Elaine – zwróciła się do młodej kobiety, starszej od niej najwyżej o kilka lat.

Pokojówka ukloniła się lekko ze spuszczonymi oczami i pochyloną głową.

– Dobry wieczór, panienko.

Naszykowała już dla Signy bawełnianą koszulę nocną. Signa wyciągnęła ręce i pozwoliła, żeby pokojówka zdjęła jej białe giemzowe rękawiczki i pomogła się rozebrać jak co wieczór.

Tysiące pytań paliło ją na języku, ale musiała postępować ostrożnie, jeśli chciała zdobyć potrzebne informacje. *Poradnik urody i etykiety dla dam* nie zawierał żadnych instrukcji, jak należy się zwracać do służby, zapewne dlatego, że w sferach, w jakich czytuje się tę książkę, każdy powinien to wiedzieć. Wuj Signy miał sporo służących i prawie się do nich nie odzywał, jednak Signa nie zamierzała stosować jego taktyki zadzierania nosa, ponieważ chciała, żeby Elaine poczuła się przy niej swobodnie i rozmawiała szczerze.

– Długo jesteś u Hawthorne'ów? – zagadnęła, siadając przy toaletce.

Uśmiechnęła się przyjaźnie do Elaine, która wzięła szczotkę z kości słoniowej i zaczęła rozczesywać szczecina dzika włosy Signy.

– Niedługo, panienko.

Napięcie w ramionach pokojówki zdradzało, że tak samo jak Signa boi się, żeby nie powiedzieć czegoś niewłaściwego. Signa odchrząknęła i czekała w niezręcznym milczeniu, dopóki Elaine nie dodała:

– Pani Lillian, niech spoczywa w spokoju, przyjęła mnie trochę więcej niż rok temu. – Przerwała szcztokowanie, żeby się przeżegnać.

– Jako swoją garderobianą? – Signa miała nadzieję, że w jej głosie brzmi tylko niewinna ciekawość, co powinno uspokoić pokojówkę. Skoro tak trudno było z niej wyciągnąć jakieś informacje, widocznie w Thorn Grove państwo nie mieli zwyczaju rozmawiać ze służbą.

– Nie jej – sprostowała Elaine – tylko młodej panienci Blythe. Poprzednia garderobiana odeszła na emeryturę i wyjechała nad morze.

– Thorn Grove to dość ponure miejsce, prawda? – zadumała się Signa. – Rozumiem, dlaczego morze mogło kogoś skusić.

– Tak, panienko. – Elaine zniżyła głos i spoważniała. – Mówią, że ten dom jest nawiedzony.

Ach, wreszcie do czegoś dochodzimy.

– Mój rodzinny dom stoi nad morzem – zwierzyła się Signa, nie potrzebując udawać tęsknoty w głosie. – Nazywa się Foxglove. Prawie go nie pamiętam, bo byłam dzieckiem, kiedy go odwiedzałam. Nie mogę się doczekać, żeby go odziedziczyć, chociaż przyznam, że trochę mnie onieśmiela myśl o prowadzeniu takiego wielkiego domu. Wyobrażam sobie, że skompletowanie służby zabierze całe wieki.

Ręka Elaine zawahała się na chwilę, zanim wznowiła szczerkowanie, i Signa wiedziała, że jej słowa trafiły w sedno. Bo kto nie wolałby Foxglove nad morzem od ponurego Thorn Grove? Gdyby Elaine mogła dostać tam posadę, na pewno skorzystałaby z takiej szansy. Co znaczyło, że Signa miała w niej teraz sojusznika, chociaż nieświadomego.

– Jesteś bardzo zręczna – dodała Signa. – To cud, że znajdujesz czas i dla mnie, i dla panny Hawthorne. Na pewno to niełatwe zadanie.

Tym razem Elaine się nie wahała.

– Dziękuję, panienko. Chociaż trzeba przyznać, że młoda panienka Hawthorne nie wymaga teraz dużej usługi.

Signa uważnie obserwowała twarz pokojówki w lustrze toaletki. Między brwiami Elaine pojawiła się drobna zmarszczka. Jej smutek wydawał się szczerzy i Signa uświadomiła sobie, że przez cały czas, kiedy Elaine jej usługiwała, ani razu nie pomyślała, że rozmawia z potencjalną zabójczynią.

– Nie – przyznała z westchnieniem, czując już, że trop wymyka jej się z palców. – Chyba nie. Tylko pomoc przy ubieraniu i podawanie lekarstwa, prawda?

Elaine przytaknęła.

– Łatwo się ją ubiera. Herbatę i posiłki przygotowują dla niej w kuchni. Ja tylko je zanoszę. Więc proszę się nie martwić, panienko. Zawsze znajdę dla panienki czas.

Chociaż Signy to nie pocieszyło, uśmiechnęła się i skinęła głową.

– Słyszałam plotki o zmarłej pani Hawthorne. Ale powiedz mi, Elaine, czy w Thorn Grove są jakieś inne duchy?

Ta myśl, początkowo przelotna, powróciła i uczepiła jej się. Dlaczego w Thorn Grove nie mogło być więcej duchów, skoro Hawthorne'owie mieszkali tu od pokoleń?

Kiedy Elaine wciągnęła głowę w ramiona i odłożyła szczotkę na toaletkę, Signa poczuła, że jej podejrzenia się potwierdziły.

– Służący opowiadają, że widują jakiegoś mężczyznę w bibliotece – powiedziała. – Mówią, że książki same spadają z półek, ale nigdy tam nie byłam i sama tego nie widziałam.

Signa nie wiedziała nawet, że w Thorn Grove w ogóle jest biblioteka. Ale jeśli rezydencję nawiedzał jeszcze jeden duch – może taki, który mógł mówić – warto się tam wybrać.

Kiedy wreszcie Elaine uznała, że Signa jest gotowa do snu, wyszła do salonu i wróciła z tacą, na której stał czajniczek z gorącą herbatą, mały słoiczek miodu i talerzyk z biszkoptami. Signa właśnie sięgała po herbatę, kiedy przez szparę pod drzwiami wsunął się ciemny prostokąt.

Elaine zmarszczyła brwi i schyliła się, żeby go podnieść. Podała Signie czarną kopertę z piękną woskową pieczęcią.

– Może to od któregoś z kuzynostwa panienki? – odgadła.

Signa wzięła kopertę i przesunęła palcem po delikatnym pergaminie. Z jakiegoś powodu od razu wiedziała, że pokojówka się myli.

– Albo może od panny Hargreaves z planem moich jutrzejszych lekcji.

To również wydawało się mało prawdopodobne, ale wystarczyło, żeby usatysfakcjonowana Elaine kiwnęła głową.

Chociaż Signa marzyła, żeby jak najszybciej otworzyć list, niedbale położyła sobie kopertę na kolanach i sięgnęła po miód.



– Dziękuję, Elaine – powiedziała uprzejmym, obojętnym tonem z nadzieją, że to zabrzmiało jak odprawa.

– Miłego wieczoru, panno Farrow.

Rzuciwszy ostatnie ukradkowe spojrzenie na list, Elaine ukłoniła się i wyszła.

Jak tylko drzwi się za nią zamknęły, Signa rozdarła kopertę. Na grubym pergaminie najpiękniejszym charakterem pisma, jaki widziała w życiu, napisano trzy linijki tekstu:

*Spotkajmy się dziś wieczorem o jedenastej w stajni.*

*Ubierz się ciepło.*

*Pojedziemy do Grey's.*

Tego wieczoru przyjęcie rozkręciło się na całego. Z sali balowej wylewała się muzyka, fortepianowe tryle odbijały się od ścian. Było równie tłoczno jak tamtego pierwszego wieczoru, kiedy Signa właśnie przyjechała do Thorn Grove, suknie były równie długie i olśniewające, a roznoszone na srebrnych tacach słodczyce równie wykwintne.

Signa widziała tylko fragmenty zabawy. Gruba wełniana suknia, w którą się przebrała – z wyjątkiem gorsetu, bo sama nie potrafiła go zasnurować – bardzo się różniła od importowanych aksamitów i jedwabi, w jakie wystroili się goście. Signa przekradła się wśród służby, manewrując tak, żeby nie rzucać się w oczy i uniknąć zbędnych pytań. Śmierć miał rację – to byłoby dużo łatwiejsze, gdyby mogła przywołać swoje przeklęte moce.

Ale gdyby się wprowadziła w ten stan, wezwałaby go, a po tym, co mu powiedziała po południu, był ostatnią osobą, którą pragnęła widzieć.

Miała wszelkie powody, żeby nienawidzić Śmierci. Wszelkie powody, żeby się na niego rozgniewać.

Więc dlaczego dręczyło ją poczucie winy?

Z pochyloną głową zeszła po schodach i prawie dotarła już do drzwi, kiedy uderzyła twarzą w czyjaś pierś. Zatoczyła się do tyłu i najpierw zobaczyła laskę z drewna różanego, którą mężczyzna mocno ścisnął w garści. Potem skurczyła się pod badawczym wzrokiem Byrona Hawthorne'a.

Uniósł jeden kącik ust i obejrzał ją sobie od stóp do głów, zatrzymując się na oczach. Zachłysnął się, bladość powlokła jego twarz.

– Lillian? – wyrwało mu się, zanim zdążył się opanować. Pokręcił głową. – Nie. Ty jesteś tą dziewczyną, która była z Marjorie, tak? Nową podopieczną mojego brata. Dokąd to się wybierasz w takim stroju?

Signa zdawała sobie sprawę, że jedno niewłaściwe słowo i zostanie odesłana z powrotem na górę. Starannie rozważyła kłamstwo i postanowiła, że najlepiej odegrać rolę, jakiej ten człowiek się po niej spodziewał – młodej, głupiutkiej dziewczyny.

– Ja... tylko chciałam zobaczyć przyjęcie, sir.

Przełknęła ślinę, bo chociaż udawała, przy tym mężczyźnie naprawdę czuła się nieswojo. Chrząknął lekceważąco i chwycił ją za przegub, jakby zamierzał zaciągnąć ją z powrotem na schody. Zrobili zaledwie jeden krok, kiedy coś w korytarzu przyciągnęło jego uwagę. Signa podążyła za jego spojrzeniem i zobaczyła rudoblond włosy Marjorie, która wymknęła się z przyjęcia i spieszyła do kuchni.

Byron puścił rękę Signy.

– Wracaj do swojego pokoju, dziewczyno – rozkazał, nie patrząc już na nią. – To nie jest miejsce dla dzieci.

– Oczywiście, sir.

Skinęła głową, ale jak tylko się odwrócił, skorzystała z okazji i pobiegła w noc. Nie odważyła się obejrzeć za siebie, żeby sprawdzić, czy ktoś ją zauważył. Gdyby ktoś zobaczył, jak wymknęła się o tej porze na spotkanie z młodym mężczyzną, pomyślałby tylko

jedno, a według jej podręcznika etykiety to oznaczało towarzyską ruinę.

Sylas czekał w stajni z osiodłanymi końmi – z Mitrą dla Signy, a dla siebie miał ogiera czarnego jak nocne niebo, przypominającego jedno z tych pięknych zwierząt, które przywiozły ją z domu ciotki Magdy. U stóp Sylasa siedział Gundry. Czujnie spoglądał bursztynowymi ślepiami i unosił nos, pilnując, żeby nikt nie podszedł zbyt blisko.

– Nie spieszyłaś się. – Sylas spojrział tylko raz na jej wełnianą suknię, szybko rozpiął swój czarny płaszcz i zarzucił jej na ramiona, nie czekając na pozwolenie. – Zatrzymałaś się po drodze na przekąskę?

– Niestety nie miałam tyle szczęścia.

Signa ciaśniej owinęła się płaszczem, zbyt zażenowana, żeby podziękować. Sylas wcisnął jej w rękę wodze Mitry. Signa wsunęła stopę w strzemień i próbowała się podźwignąć na grzbiet klaczy. Nie mając ochoty tracić czasu, Sylas chwycił ją w talii, podniósł i posadził bezpiecznie w siodle. Tym razem starała się nie wzdrygnąć pod jego dotykiem.

– To pół godziny jazdy. – Dosiadł swojego ogiera z zachwycającym wdziękiem. – Trzymaj się blisko Mitry, żeby nie zmarznąć... nie będziemy się zatrzymywali.

– A mogę zapytać, dlaczego w ogóle jedziemy do Grey's?

Już za godzinę miała się spotkać ze Śmiercią. Chociaż nie miała specjalnej ochoty go widzieć, wolała nie sprawdzać, co by zrobił, gdyby się spóźniła na tę jego śmieszna „lekcję”.

– Po południu byłem przy koniach i podsłuchałem, jak twoja guwernantka rozmawiała z Byronem Hawthorne'em – wyjaśnił

szybko Sylas. – Dziś wieczorem Grey's jest zamknięty z powodu remontu i ona ma się tam z nim spotkać. On chce jej coś pokazać... mówił, że to coś ją „przekona”. Jeśli ich wyprzedzimy, może się dowiemy, co to jest.

To wyjaśniało głód w oczach Byrona, kiedy patrzył na Marjorie.

– Widziałam ich w domu, jak szli do kuchni – powiedziała Signa.

Sylas zacisnął szczęki.

– Pewnie skorzystają z zamieszania na przyjęciu, żeby wziąć jego powóz. Musimy się pośpieszyć.

Gundry kręcił się przy końskich kopytach, niecierpliwy, błyskając bursztynowymi oczami. Signa zastanawiała się, czy jest bardziej psem, czy wilkiem. Zaczynała podejrzewać, że tym drugim.

– Pies idzie z nami?

– Oczywiście. Jeśli napotkamy towarzystwo, ostrzeże nas, zanim oni nas zobaczą. A teraz ruszajmy.

Chociaż Signa miała więcej pytań – głównie co im grozi, jeśli ich przyłapią – nie zdążyła ich zadać, bo Sylas lekko kopnął konia piętą i ruszył. Mitra nie czekała na pozwolenie, żeby pocwałować za nim. Wiatr kąsał policzki Signy. Naciągnęła kaptur pożyczzonego płaszcza i ze zdumieniem przekonała się, że nie pachniał sianem i nawozem, tylko zimowym lasem, świeżym i sosnowym.

Otulona płaszczem, jechała za Syłasem, który wydawał się całkowicie swobodny i odprężony. Nie drżał z zimna jak ona, tylko odchylił głowę do tyłu i wpatrywał się w gwiazdziste niebo. Wiatr rozwiewał jego czarne włosy, dzikie i nieokiełznane jak on sam. Obok niego Gundry pędził co siłą, sapiąc ze zmęczenia, z wywieszonym językiem, ciesząc się każdą chwilą tej wycieczki. Sylas napotkał spojrzenie psa, roziskrzone taką samą szelmowską

radością, odrzucił głowę do tyłu i zawył w noc. Gundry przyłączył się do niego i niesamowicie piękny, upiorny dźwięk zbudził echo na wrzosowiskach.

Patrząc na Sylasa, Signa zmiękła. Zdawało się, że codziennie odkrywa inną jego stronę. Na razie ta była jej ulubioną.

Potem jechali w milczeniu przez długą chwilę. Słyszeli tylko parskanie koni i ciężki łomot kopyt, kiedy pędzili na wyścigi przez wrzosowiska. Gundry dyszał, ale nie zwalniał, chociaż grunt pod jego łapami się zmieniał: trawę zastąpił żwir, a potem bruk.

Sylas wstrzymał konia, a Signa zrobiła to samo. Zsiedli i Sylas luźno przywiązał wodze do pnia drzewa.

– Od tego miejsca idziemy na piechotę. Nie zdejmuj kaptura.

Zanurzona w jego leśnym zapachu, Signa nie protestowała.

Gundry biegł przodem i badał węchem drogę. Przy ulicy stały sklepy z kapeluszami, pracownie krawieckie i nawet malutka apteka, wszystkie zamknięte na głucho. Jednak z pubu na końcu ulicy padało jasne światło, więc lepiej było nie ryzykować.

– Byron i Marjorie. Myślisz, że któreś z nich stoi za tym morderstwem?

Szept Signy odbił się echem od pustej brukowanej ulicy. Dziwnie się czuła, będąc poza domem o tej porze – w ogóle dziwnie się czuła w mieście – ale się nie bała. Zbyt dobrze znała noc, żeby się czegokolwiek obawiać.

To samo chyba dotyczyło Sylasa. Chociaż biorąc pod uwagę jego rozmiary, to raczej noc powinna się lękać jego. Szedł pewnym krokiem, wyprostowany, z uniesioną głową.

– Nie jestem pewien. Ale jeśli ktoś wziął na cel Hawthorne'ów, musiał mieć motyw. Byron z pewnością taki ma... Grey's to źródło

dochodów rodziny. To jej dziedzictwo. Co do Marjorie...

– Coś jest między nią a Elijahem – wtrąciła Signa. Sylas zerknął na nią ze zdziwieniem, a ona uniosła brwi. – Myślisz, że tylko ty potrafisz szpiegować?

Sylas położył jej rękę na ramieniu i skierował ją na bok, pod ścianę budynku.

– Trzymaj się w cieniu, szpiegu. Jeśli ktoś cię zobaczy o tej porze, pomyśli, że masz coś na sprzedaż.

– Ale ja nie mam nic... och. – Policzki jej zapłonęły. – A nie pomyślą tak o tobie?

– Uznają to za skandal, ale ciebie spotka najgorsze potępienie. Gdybym pochodził z lepszej sfery, żądaliby, żebym się z tobą ożenił. Ale poszczyli ci się na tym świecie, panno Farrow, bo posiadasz środki utrzymania niezależnie od tego, co społeczeństwo o tobie myśli. Większość ludzi nie ma tyle szczęścia.

Objął ją ramieniem i pociągnął w stronę budynku z szarego kamienia – najwyższego na ulicy, z wielkim oknem wykuszowym obok frontowego wejścia.

Signa nie mogła dokładniej obejrzeć budynku, bo jej twarz płonęła. Takie spoufalanie się było absolutnie niedopuszczalne w towarzystwie. Ze względu na różnicę w ich pozycji społecznej oraz fakt, że nie są spokrewnieni, taki intymny dotyk był niemal równie skandaliczny, jak sprzedawanie się na ulicy. Nieważne, że miała pieniądze; nie chciała *kupować* niczyjej sympatii. Chciała, żeby ludzie naprawdę ją lubili i szanowali. A jednak... nigdy nie przypuszczała, że męskie ramię może być takie twarde. Że ręce mogą się wydawać takie silne i pewne.

Sylas należał chyba do najbardziej irytujących istot na ziemi, a jednak nie mogła oderwać od niego wzroku.

Chociaż klub Grey's był zamknięty na trzy spusty, Sylas, nie tracąc czasu, przykucnął i otworzył zamki wytrychem z niepokojącą łatwością. Wszedł do środka, wkładając do kieszeni ręce w rękawiczkach.

– Mam wprawę – wyjaśnił, kiedy zauważył, że Signa odsunęła się od niego, patrząc z niedowierzaniem. – Kłódki w stajni ciągle się zacinają, a przecież nie możemy trzymać koni zamkniętych w środku.

Signa kiwnęła głową i sztywno przekroczyła próg. Jakaż była głupia, że zgodziła się na tę wyprawę. Że znalazła się daleko od domu w środku nocy z mężczyzną, który był praktycznie obcy. Mężczyzną, który posługiwał się wytrychem jak zawodowy włamywacz.

Ciekawe, gdzie się tego nauczył. I co jeszcze jej groziło z jego strony? Może nie powinna była mu ufać – chociaż chyba nie miała powodu do obaw. Gdyby Sylas czegoś spróbował, musiałaby tylko wezwać swoje moce. Wezwać Śmierć i zakończyć życie Sylasa. Odruchowo sięgnęła ręką do kieszeni, ale były puste.

Zostawiła jagody belladonny w kieszeniach popołudniowej sukni.

Pot wystąpił jej na czoło, oddech stał się urywany. Nagły skowyt Gundry'ego przeszył noc, a potem rozległ się stukot kopyt końskich i terkot kół powozu na bruku. W okamgnieniu Sylas zamknął drzwi i chwycił Signę za rękę. Nie zdążyła go zapytać, co robi – nie zdążyła nawet się rozejrzeć – zanim wepchnął ją do szafy na płaszcze. Wpadł za nią i syknął, kiedy uderzył głową o coś, czego nie widziała po ciemku.



– Posuń się!

Signa zebrała spódnicę, chociaż i tak było mało miejsca. Prawie leżeli na sobie, kiedy Sylas wcisnął się do środka. Próbował oprzeć się o ścianę i otarł się skórzanymi rękawiczkami o talię Signy. Zachłysnęła się i kopnęła go w but.

– Trochę zaufania, panno Farrow – syknął Sylas. – Gdybym chciał cię uwieść, stosowałbym znacznie bardziej bezpośrednie metody.

Urwał, kiedy zachrobotał zamek w drzwiach wejściowych. Wzrokiem nakazując Signie milczenie, delikatnie zamknął drzwi szafy.

Signa miała wrażenie, że Sylas dotyka jej całej. Usilnie starała się nie myśleć o jego ciele. Sytuację pogarszało to, że wyszła bez gorsetu, ponieważ każde muśnięcie odczuwała znacznie intensywniej, a nacisk jego ciała stanowił jeszcze większe zagrożenie. Nie była to odpowiednia chwila na takie gwałtowne emocje, a jednak to uczucie zbudziło się w niej, przyspieszyło puls i zmąciło myśli. Zastanawiała się, jak by to było zanurzyć palce w jego smoliście czarnych włosach albo poczuć jego usta na swoich. Jak wyglądało jego ciało pod tymi wszystkimi warstwami ubrania...

– Ktoś tu jest – szepnął Sylas i Signa o mało nie kopnęła go ponownie.

– Oczywiście.

Wyrwana z rozmarzenia, próbowała wyrzeć przez szpary między cienkimi drewnianymi listewkami w drzwiach szafy. Chociaż było ciemno, mogłaby przysiąc, że Sylas się jej przyglądał, zanim odwrócił się i też wyjrzał przez listewki nad jej głową.

Kiedy klamka w drzwiach wejściowych zagrzechotała, Signa wstrzymała oddech z obawy, że jeśli wyda najmniejszy dźwięk,

zaraz ich nakryją. Och, jaka była głupia, że pozwoliła się tutaj zaciągnąć i schować ni mniej, ni więcej, tylko w szafie na ubrania.

Dwa cienie weszły bezgłośnie do środka. Jeden nachylił się i zapalił lampę naftową, która rzuciła na jego twarz słabą bursztynową poświatę. Signa zobaczyła przez szparki, że podłoga w Grey's jest z obsydianu, podobnie jak blat baru ciągnącego się wzdłuż całej ściany. Tu i tam stały szklane stoliki, a przy nich krzesła obite skórą i pluszem. Na drugim końcu sali skórzane sofy otaczały największy kominek, jaki Signa widziała w życiu.

– Musimy się pospieszyć – burknął Byron głosem szorstkim jak zgrzyt kół powozu na żwirze. – Gdyby ktoś odkrył, że wpuszczono tu kobietę, mielibyśmy jeszcze więcej kłopotów niż teraz.

– Błagałeś mnie, żebym tu przyszła, a teraz potępiasz, gdy tylko przekroczyłam próg? – Marjorie mówiła tak wyniosłym tonem, jakiego Signa jeszcze u niej nie słyszała. – Z przyjemnością zostanę na zewnątrz, jeśli cię rażą moje kobiece sztuczki, i niech cały świat słyszy naszą rozmowę. Albo lepiej wróćmy do powozu i odwieziesz mnie do domu.

Signa nie całkiem zrozumiała odpowiedź Byrona, tyle że chciał, żeby Marjorie sama zobaczyła to miejsce i zrozumiała, co on próbuje ocalić. Usiadł przy jednym ze stołów i coś jej podsunął – dokumenty.

– Rzuć na to okiem i zobacz, że alkoholu nie zamawiano od tygodni. A tutaj widać, że nie mielibyśmy jedzenia dla gości, gdybym się nie zorientował, że dostawa się opóźnia. Elijah nie zamówił żadnych rozrywek, nasze cygara już nie są importowane, a jednak to on trzyma księgi rachunkowe. To on nie przynosi tej firmie ani grosza. To on nie zgadza się przekazać obowiązków mnie,

a co gorsza, Percy'emu! Ten chłopak przychodzi tu codziennie od tygodnia i błaga o pracę, Marjorie, a mnie kończą się już wymówki.

Signa żałowała, że nie widzi twarzy Marjorie. Żałowała, że nic nie widzi, kiedy Marjorie odpowiedziała:

– Zrobiłam wszystko, co w mojej mocy, Byronie. Jednak nawet po śmierci Lillian wciąż trzyma jego duszę. Nie mogę do niego dotrzeć.

– Więc zmień to. – W głosie Byrona brzmiała taka uraza, że Signa się wzdrygnęła i przynajmniej raz była zadowolona, że może się oprzeć o Sylasa. Jedna z jego rąk spoczęła na jej talii, kiedy przechylił się przez nią, żeby obserwować scenę na zewnątrz. Signa usiłowała nie skupiać się na każdym drgnieniu jego palców i poruszeniu jego ciała, tylko zwracać uwagę na to, co się dzieje za drzwiami szafy.

– Czy już straciłaś cały urok, kobieto? – Byron oparł dłonie płasko na blacie stołu i nachylił się do przodu. – Jeśli on doprowadzi ten interes do upadku, Percy zostanie z niczym. Będzie pośmiewiskiem bez żadnej przyszłości. Nie mogę na to patrzeć i wiem, że czujesz to samo. Elijah nadal ma dwoje dzieci... nieważne, co sobie myśli. Musimy sprawić, żeby to zrozumiał, bo nie mogę już dłużej sprzątać tego bałaganu.

– Tak łatwo zapomniałeś Lillian? – W głosie Marjorie dało się wyczuć chłód, który kazał Byronowi zamilknąć i zmroził powietrze w pokoju. – Wiem, że nie zapomniałeś... wszyscy wiedzieli, co do niej czujesz.

– O Lillian nie można zapomnieć. – Byron zniżył głos tak bardzo, że Signa musiała przycisnąć ucho do drzwi, żeby coś usłyszeć. – A jednak nie możemy pozwolić, żeby mój brat rzucił wszystko w pogoni za nią.

– Musi ją opłakać...

– Już opłakał! Pora, żeby się otrząsnął, zanim zgubi swoją rodzinę. Niewiele mogę zdziałać, jeśli on odmawia nawet złożenia podpisu. Skoro nie chce przekazać interesu Percy'emu, namów go, żeby przekazał firmę mnie. Zresztą będę lepszym zarządcą, tak jak byłbym lepszym mężem.

Zapadło ciężkie milczenie. Każdy mięsień w ciele Signy zaczął drżeć, pot spływał jej po karku i plecach, ale nie zwracała na to uwagi.

– Czego – zapytała wreszcie Marjorie – ode mnie żądasz?

W głosie Byrona nie było wahania.

– Mój brat jest samotny, Marjorie. A samotni mężczyźni są... podatni. Zwłaszcza na kobiece sztuczki.

– Co ty sugerujesz? – Zacisnęła palce na krawędzi stołu. – Mów ze mną otwarcie, Byron.

Byron niespiesznie przyglądał dwoma palcami ciemny wąs, zbierając myśli.

– Ty i mój brat mieliście romans w przeszłości. Myślałem, że skwapliwie skorzystasz z okazji, żeby z nim być... mógłby ci zapewnić wszystko, o czym byś zamarzyła.

Krzesło zazgrzytało na obsydianowej podłodze, kiedy Marjorie wstała.

– Jak śmiesz? Mogłeś przez całe życie wzdychać za utraconą miłością, ale ja nie pozwolę się tak poniżyć.

– Przepraszam, jeśli cię obraziłem...

– Obraziłeś? – Śmiech Marjorie był jak strzał z pistoletu, nagły i ostry. – Podałś w wątpliwość moją cnotę. Dałeś do zrozumienia, że jestem zwykłą ladacznicą, a Elijah to marionetka, którą można

manipulować. Ty mnie więcej niż obraziłeś, panie. Dla dobra dzieci spróbuję jeszcze porozmawiać z Elijahem, ale nie po to, żeby ci pomóc. Masz się trzymać z daleka od Percy'ego.

Byron też wstał.

– Nie mogę tego uczynić. Jeśli zależy ci na chłopcu, zrobisz, o co proszę. Można go zrujnować na wiele sposobów, panno Hargreaves.

Marjorie odpowiedziała dopiero po chwili, bardziej niepewnym głosem.

– Percy nie zrobił nic złego.

Byron wyprostował ramiona, napawając się swoim zwycięstwem.

– Nie pozwolę, żeby dziedzictwo mojej rodziny przypadło z powodu śmierci jakiejś kobiety. Elijah nie może dłużej zaniedbywać swoich obowiązków.

– Jaki się stałeś bezwzględny, Byronie. Boże, jak żałuję, że ona nie może cię teraz zobaczyć.

Kłaśnięcie policzka było tak głośne, że Syllas zakrył Signie usta i przycisnął ją do piersi, żeby stłumić jej okrzyk zaskoczenia. Signa mogła tylko sobie wyobrazić, jak pali takie uderzenie. Całym sercem pragnęła otworzyć drzwi szafy i rzucić się na Byrona. Skrzywdzić go za to, że skrzywdził Marjorie.

Marjorie zachwiała się na nogach i przycisnęła jedną rękę do policzka. Drugą ręką sięgnęła po swój płaszcz.

– Czas już, żebyś dorósł i przestał rywalizować z bratem. Chociaż teraz jest zagubiony, zawsze będzie lepszym człowiekiem.

Splunęła na podłogę i wyszła.

Signa desperacko pragnęła, żeby Marjorie zabrała powóz i zostawiła Byrona na lodzie, on jednak zaklął i pospieszył za nią, zatrzasnąwszy za sobą drzwi.

Signa była zbyt odrętwiała ze zdumienia, żeby się poruszyć. Cisza spowiła ją jak całun. Czy Marjorie i Elijah byli kiedyś razem? To by tłumaczyło ich poufałość. Czy do tego doszło, zanim Elijah się ożenił, czy już potem? Tak czy owak, to był skandal. Jednak Signa zaczynała rozumieć pokusę zakazanych związków. Po chwili znowu zaczęła myśleć o twardym ciele Sylasa napierającym na nią i wyobrazać sobie rzeczy, których nie powinna sobie wyobrażać, zwłaszcza w ciasnej szafie, gdzie było tak piekielnie gorąco.

Na szczęście kiedy usłyszeli turkot odjeżdżającego powozu, Sylas pchnął drzwi szafy i Signa wypadła na zewnątrz, rozpaczliwie łaknąc świeżego powietrza. Marzyła, żeby zerwać z siebie ubranie przesiąknięte lepkim, śliskim potem, poprzestała jednak na zdjęciu płaszcza, którym cisnęła w Sylasa. Nigdy w życiu nie była bardziej wdzięczna za ciemność, kiedy próbowała odgadnąć, czy on myślał o jej ciele tak samo, jak ona myślała o jego.

– Czuję, że staliśmy się sobie naprawdę bliscy. – Prowokacyjny ton jego głosu potwierdził jej podejrzenia. – Śmiem powiedzieć, że jeszcze nikogo nie poznałem tak dobrze jak ciebie.

A potem zamarł, jakby się zorientował, że niechcący zdradził zbyt wiele. Odwrócił się i odchrząknął.

– On ją uderzył – szepnęła Signa, oszołomiona, rozpaczliwie pragnąc zmienić temat.

Sylas przytaknął, poprawiając rękawiczki.

– Rzeczywiście.

– Myślisz, że nic jej nie będzie?

– Szczerze mówiąc, martwiłbym się bardziej o Byrona niż o pannę Hargreaves. Nie ma nic groźniejszego niż wzgardzona kobieta. A widziałaś jej twarz? Dosłownie mord w oczach. No dobrze, dość

tego. – Wyciągnął rękę. – Skoro tu jesteśmy, zobaczmy, jakie jeszcze sekrety kryją się w tym miejscu.

Nawet w tej sytuacji – albo może właśnie dlatego – Signa nie mogła opanować dreszczu podniecenia, kiedy Sylas wziął ją za rękę i pociągnął w głąb budynku. Jeszcze dziś rano popijała herbatę i myślała, że spełniło się jej marzenie, żeby należeć do wyższych sfer. Spodziewała się, że to spotkanie wypełni pustkę jej samotnego życia, jednak tylko uświadomiło jej, ile jeszcze musi się nauczyć i jak ciężko musi pracować, żeby ją przyjęto do towarzystwa. Natomiast przy Sylasie wreszcie się odprężyła i jej ciało ożywało.

Przy nim nie musiała się martwić, że ktoś krytycznie obserwuje każdy jej ruch. Mogła po prostu być sobą.

Miała wrażenie, że ta noc z Sylasem to nowy początek. Jakby napełniła płuca ożywczym powietrzem. Pozwoliła się prowadzić, kiedy Sylas wziął lampę naftową i skierował się do gabinetu. Daremnie próbowała uspokoić łomoczące serce. Musiała wziąć się w garść – prawie nie знаła tego mężczyzny, a poza tym dzielił ich status. Zamiast fantazjować o przystojnych młodzieńcach, powinna się skupić na swoim zadaniu.

Gabinet Elijaha w Grey's wyglądał podobnie jak ten w Thorn Grove. Pośrodku na gładkim czerwonym dywanie stały duże mahoniowe biurko i aksamitny fotel. Ktoś urządził ten pokój w męskim stylu, ze skórzaną sofą przed regałem z książkami zajmującym całą ścianę. Chociaż Elijah podobno od dawna nie zaglądał do gabinetu, na półkach nie było ani śladu kurzu, a księgi



rachunkowe oprawione w czarną skórę były starannie ułożone na biurku.

Na pierwszy rzut oka gabinet wyglądał całkiem zwyczajnie. Jednak coś korciło Signę, żeby dokładniej się rozejrzeć. Sylas widocznie miał taki sam zamiar, bo padł na fotel za biurkiem i spróbował otworzyć górną szufladę. Ani drgnęła.

– Myślisz, że dasz radę się tam włamać? – zapytała Signa, pamiętając, jak łatwo poradził sobie z zamkiem w drzwiach wejściowych.

– Mogę spróbować, ale te zamki są bardziej wymyślne. Trudniej ukryć, że ktoś się do nich dobierał. I dlatego...

Wstał i podszedł do regału. Oglądał grzbiety starych książek i rozmaite drobiazgi. Nawet przesunął meble, aż wreszcie pod lampą znalazł ozdobny srebrny klucz.

– Dlatego wolę poszukać tego.

Gdyby tak się nie puszył, Signa przyznałaby, że jest pod wrażeniem. Wyraźnie czekał na pochwałę i spochmurniał, kiedy tylko kiwnęła głową, żeby otworzył szufladę.

Zawartość okazała się znacznie mniej ekscytująca, niż się spodziewali. Szufladę wypełniały rozrzucone bezładnie stare rachunki na importowany alkohol i cygara, a także listy od klientów. *Do nieopisanego pana Elijaha Hawthorne'a*, zaczynał któryś swoją epistołę i na dwóch stronicach wypisywał brednie, jak się cieszy, że miał szansę ubiegać się o członkostwo w Grey's, i jak wysoko ceni cnoty dżentelmena. Elijah widocznie zachował ten list dla zabawy. Było ich więcej, może tuzin, wszystkie utrzymane w tak pochlebnym tonie, jakby piszący mieli nadzieję wkraść się w łaski Elijaha i zdobyć członkostwo.

Signa odłożyła listy i znowu zaczęła szperać w szufladzie, aż wyciągnęła plik fotografii.

Sylas syknął w proteście.

– Ostrożnie. Jesteśmy jak duchy. Nie możemy zostawiać śladów.

Signa go zignorowała. Obecny Elijah był cieniem człowieka, którego widziała na fotografiach z rodziną. Chociaż tylko na chwilę uchwycony w czasie, jego śmiech na pierwszym zdjęciu z wierzchu był zaraźliwy. Jaśniał jak gwiazda, obejmując w talii piękną kobietę. Ona była promienna niczym słońce, z kaskadą lnianych włosów spływających aż do pasa.

Lillian. Tak bardzo się różniła od udręczonego ducha, którego widywała Signa – jeszcze nie zaznała cierpień śmierci i tortury bezradności, kiedy nie mogła zmienić losu córki.

Przed nimi stało dwoje dzieci: Percy, może dziesięcioletni, i obok niego młodsza Blythe. Dziewczynka wyglądała całkiem jak matka, tylko miała bardziej przebiegłą minę. Na tym miniaturowym portrecie Lillian opierała rękę na ramieniu syna, który patrzył prosto w obiektyw z surowym wyrazem twarzy. Obiema małymi rękami przytrzymał połę marynarki od garnituru, jakby się upewniał, czy wygląda jak należy. Pod tym względem chyba niewiele się zmienił od tamtego czasu.

Signa miała ochotę ukraść tę fotografię, żeby się z nim podroczyć, ale nie mogła ryzykować wykrycia. Zaczęła odkładać zdjęcia z powrotem do szuflady, kiedy jej kciuk musnął cienką krawędź na odwrocie jednego z nich – coś tam było przyklejone. Czubkiem paznokcia podważyła skrawek pergaminu, pokryty żółtymi plamami po kawie. Ciemny atrament rozpląnął się od wilgoci.

– To list – powiedziała do Sylasa, który nachylił się nad nią.

*Zaklinam cie, Elijahu, pomyśl o naszym synu.*

*Nieważne, co czujesz do Grey's, to wszystko, co on zna.*

*Rozumiem, że twoje relacje z tym miejscem są napięte, ale musimy pamiętać, że twój syn to nie ty. Jeśli masz jakieś skrupuły, nie przenoś ich na chłopca. Percy urodził się, żeby odziedziczyć spuściznę Hawthorne'ów. To wszystko, czego on chce, Elijahu. Proszę, nie pozwól, żeby twój ból – twój egoizm – stanął mu na drodze.*

Było jeszcze więcej słów, zamazanych i nieczytelnych, ale nie ulegało wątpliwości, że list napisała Lillian przed śmiercią. Przez cały czas Signa miała wrażenie, że Elijah odebrał Grey's synowi po śmierci żony. Ale według tego listu Elijah znacznie wcześniej miał opory przed przekazaniem firmy Percy'emu.

Następny kawałek układanki. Następny strzępek informacji, do zachowania na później.

Sylas nachylił się nad ramieniem Signy, żeby przeczytać list, za blisko, aż poczuła się nieswojo.

– Biedaczysko. Zdaje się, że Elijah naprawdę chce zrównać to miejsce z ziemią.

Signa z powrotem wetknęła list za tylną stronę fotografii i odłożyła ją do szuflady, zanim wyraziła na głos pewną myśl.

– Co spowodowało, że on tak nagle zmienił zdanie? Co sprawiło, że chciał się pozbyć rodzinnego dziedzictwa? Myślałam, że to z powodu żałoby.

– Chyba wszyscy tak myśleli. – Sylas wyjrzał przez okno na ciemne niebo. Z pewnością już dawno minęła północ. – Nie sądzę, że coś jeszcze znajdziemy tej nocy, panno Farrow. Powinniśmy szybko wracać, zanim ktoś zauważy twoją nieobecność.

Signa raczej się tego nie obawiała, biorąc pod uwagę przyjęcie. Jednak nierozsądnie byłoby ryzykować, że zostanie przyłapana na wykradaniu się drugą noc z rzędu. Ustąpiła i sprawdziwszy, czy wszystko jest na miejscu, wstała od biurka.

– Jesteśmy jak duchy – powiedziała.

Pozbywszy się nieśmiałości, wsunęła rękę pod ramię, które podał jej Sylas. Jego dotyk zbudził w niej coś, czego nie chciała tłumić. Nieustającą ciekawość, żeby poczuć pod palcami ciało mężczyzny.

Stwierdziła, że to całkiem przyjemne uczucie.

Godzinę po tym, jak Sylas zostawił ją w tunelu, udzieliwszy wskazówek, żeby skręciła najpierw na prawo, potem na lewo i dalej prosto aż do spiżarni, Signa wciąż wędrowała samotnie, sunąc prawą ręką po ścianie, żeby nie stracić równowagi. Z każdym zakrętem napotykała tylko ciemność i labirynt, który zdawał się przesuwać i zmieniać wokół niej.

Muzyka z przyjęcia Elijaha odbijała się dalekim echem od ścian tunelu. Signa próbowała iść za nią, ścigając te dźwięki w ciemnościach. Szła coraz dalej i dalej i wciąż nie widziała końca. Zakręt za zakrętem, tunel za tunelem, ucisk w jej piersi narastał. Całkiem jak pierwszego dnia po przyjeździe do Thorn Grove, kiedy wędrowała przez korytarze, które zdawały się ciągnąć w nieskończoność, wyszydzana przez portrety tych, którzy mieszkali tu przed nią.

Coś albo ktoś bawił się nią, jednak ta świadomość nie pomogła jej się uspokoić. Oddychała płytko, ogarnięta coraz większą desperacją. Przyspieszyła kroku, ale tylko znalazła się w następnym ślepym zaułku.

Sfrustrowana, walnęła pięścią w ścianę.

– Kto tam jest? Nie mam czasu na żadne gierki.

W ciemności rozległ się głos, niski i drwiący.

– Wręcz przeciwnie, ptaszynko, uważam, że przydałoby ci się w życiu więcej rozrywki.

Signa nigdy jeszcze nie doznała takiej ulgi, słysząc ten głos. Odwróciła się twarzą do Śmierci. Widziała go nawet w tunelu, bo jego cień był ciemniejszy od samej ciemności. Wydawał się większy niż zwykle.

– Spóźniłaś się – oświadczył surowo. – Miałem nadzieję, że spróbujesz raczej przejść przez ściany, niż stosować się do zasad tunelu, ale jesteś bardziej uparta, niż przypuszczałem.

– A ty jesteś aroganckim głupcem. – Nie zapomniała o lekcji o północy, chociaż nigdy by nie pomyślała, że Śmierć zniży się do takich małostkowych gier w ramach kary. – Nie mam przy sobie żadnych jagód, ty żałosna kupo cieni.

Ciemność zgęstniała wokół niej.

– Żałosna kupa cieni, tak? No cóż, panno Farrow, niestety w tej chwili ta żałosna kupa cieni jest pani jedyną nadzieją i radzę o tym pamiętać. Zwłaszcza jeśli chce pani uratować swoją kuzynkę.

Pomimo strachu, zdenerwowania i palącego gniewu Signa odchyliła głowę do tyłu i parsknęła śmiechem. Był to gorzki, nienaturalny dźwięk.

– A więc mam ci zaufać?

Westchnienie, które wyrwało się spomiędzy jego warg, stało się wiatrem w jej włosach.

– Co mam zrobić, żeby cię przekonać, że nie jestem twoim wrogiem?

– Może na początek przestań zabijać wszystkich wokół mnie. – Signa wyprostowała ramiona. – I nie odpowiadaj na moje pytania zagadkami.

Ciemność skurczyła się i Śmierć przybrał postać człowieka, chociaż nadal pozbawionego twarzy – zaledwie bezpostaciowa

smuga cienia, wykrwawiona z nocy. Nachylił się nad Signą.

– Pytaj zatem, a ja ci odpowiem.

Signa przybrała obojętny wyraz twarzy, pilnując się, żeby nie okazać zdziwienia. Chociaż nie wspominał o niejednym życiu, które odebrał, wiedziała, że lepiej nie tracić takiej okazji.

– Jeśli mam takie moce, jak twierdzisz, dlaczego mnie zawiodły, kiedy utknęłam w bramie?

Cień musnął jej skórę i odpowiedział bez wahania:

– Ponieważ się ich boisz. Ponieważ boisz się mnie i mojego świata i boisz się, że kiedyś staniesz się jego częścią.

Przygryzła policzek od środka, żeby niczego nie zdradzić.

– Nie należę do tamtego świata.

– Nie? Więc dlaczego nigdy nie spotkałem innej duszy posiadającej moją moc? – Cień krążył wokół niej. – Od stworzenia życia istnieje Śmierć, żeby je zrównoważyć. I przez cały ten czas nigdy nie spotkałem żywej duszy, z którą mogłem się tak dobrze komunikować.

Nie odważyła się oderwać wzroku od ponurego zniwiarza, tylko spróbowała przebić spojrzeniem chroniące go cienie. Jak on wyglądał bez tej osłony? Czy miał twarz? Ciało? Och, co by dała, żeby go przyłapać, jak się rumieni. Żeby poczuł się równie obnażony i bezbronny jak ona.

– Jak się czułaś – zapytał nagle – kiedy wczoraj użyłaś moich mocy? Czy polubiłaś ich palący dotyk? Czy spodobało ci się przebywanie w mroku i cieniach?

Spodobało, chociaż nie chciała się do tego przyznać nawet przed sobą. Przez całe życie nienawidziła Śmierci. A jednak wciąż go ściagała jak ćma lecąca do płomienia. Przecież powinna nim gardzić,

skoro przez niego miała takie trudne życie. Więc dlaczego za każdym razem w jego obecności cała płonęła?

Powinna drzeć w obliczu Śmierci. Powinna się bać. A jednak im więcej czasu z nim spędzała, tym dalej odpływał strach i na jego miejscu kiełkowała ciekawość.

W głębi duszy wcale nie nienawidziła Śmierci. Boże, jaką idiotkę z niej zrobił.

Cienie Śmierci przesunęły się, otoczyły ją. Powietrze w tunelach jakby zgęstniało, pełne napięcia, i Signa pozwoliła, żeby zmieniło jej palce w lód i zmroziło płuca. Jednak to zimno miało granice, za którymi zaczynało parzyć.

I chociaż ze wszystkich sił udawała, że jest inaczej, łaknęła tego parzącego dotyku.

– Ach tak. – Głos Śmierci był jak pomruk w ciemnościach. – Tak myślałem. Mam moc, żeby ci pomóc, ale nie będę się narzucać. Musisz sama do mnie przyjść. Mój dotyk jest zabójczy, ptaszynko. Wystarczy muśnięcie mojej skóry i znowu znajdziesz się za zasłoną. Będziesz miała dostęp do swoich mocy, dopóki twoje ciało się nie zregeneruje. – Wyciągnął rękę. – Dość udawania... chcę ci pokazać nasz świat. Powiedz tylko słowo, a tej nocy nauczę cię, jak sięgać do twojej mocy bez belladonny.

Wróciło wspomnienie ogrodu Lillian i Signa przypomniała sobie zimny metal bramy przecinający jej ciało. Ucisk w znieruchomiłych płucach, zastygłych w czasie. I pamiętała coś jeszcze: wolność. Poczucie mocy.

Ale co by się stało, gdyby dopuściła do siebie moc Śmierci? W co by się zmieniła? Tam czekała ciemność, żeby ją pochłonąć, zagarnąć. Walczyła zębami i pazurami z tą stroną swojej natury, bo



gdyby uległa takim pragnieniom i przyjęła ukryte w niej moce, czym mogłaby się stać?

– Czy wiesz, który tunel prowadzi z powrotem do Thorn Grove? – zapytała.

– Wiem – odpowiedział chłodno Śmierć.

– I zaprowadzisz mnie tam?

– Nie zaprowadzę. – Signę zirytował ten dobór słów. – Posiadasz niespotykane zdolności, Signo Farrow. Nie jesteś zwykłym człowiekiem i czas, żebyś przestała się zachowywać jak zwykły człowiek. Jeśli przyjmiesz moc, którą w tobie widzę...

– Nieważne, co widzisz! – Jej słowa zabrzmiały zbyt głośno, przeszły jej uszy. – A jeśli ja chcę być zwykłym człowiekiem? Mam dość tego, że wszędzie za mną chodzisz! Mam dość tego, że umierają ludzie!

Chociaż nie widziała twarzy Śmierci, miała wrażenie, że potarł swój nos.

– Jeśli pozwolisz mi pokazać, kim możesz być... jaką mocą możesz władać... może zmienisz zdanie. Zapewne teraz myślisz, że zwyczajne życie ci odpowiada, ale co będzie, kiedy przestanie ci wystarczać? Kiedy poczujesz w sobie pustkę, której nie zdołają wypełnić plotki przy herbacie?... Naprawdę próbowałem zostawić cię w spokoju – ciągnął. – Próbowałem trzymać się z daleka. Udawać, że mnie nie obchodzisz. Ale jesteśmy połączeni, ty i ja. Nasze losy...

– Los może się wypchać! – Narastający ból głowy pulsował jej w skroniach. – Sama zdecyduję o swoim losie, nie potrzebuję twojej pomocy.

W jego głosie krył się śmiech.

– Jeśli jeszcze kiedyś spotkam Los, przekażę mu twoje zdanie.

Signa zamarła, chociaż to nie powinno jej dziwić. Jeśli Śmierć był rzeczywisty, to dlaczego nie Los?

Śmierć zauważył jej zaciekawienie.

– Powiedz mi, czy naprawdę chcesz, żebym odszedł. Bo próbowałem cię zostawić. Jednak za każdym razem znajdujesz jakiś powód, żeby mnie przyciągnąć z powrotem. Powiedz tylko słowo, a spróbuję jeszcze raz, jeśli tego chcesz.

Cofnął się o krok i Signa odruchowo wyciągnęła rękę, żeby go zatrzymać.

– Czekaj!

Usłuchał bez wahania i napięcie w piersiach Signy trochę złagodniało.

– Tak, wolałabym, żeby wszyscy dookoła nie umierali. Ale... nie chcę tu zostać sama.

Śmierć ponownie wyciągnął rękę.

– Podtrzymuję moją ofertę, ale musisz się zdecydować. Jestem zajęty, pamiętasz?

– Tak, na pewno podczas tej naszej rozmowy ratuję dziesiątki ludzi od śmierci.

Prychnął drwiąco.

– Dusze nie grzeszą cierpliwością. Jeśli ich nie odwiedzę, same wkrótce mnie znajdą.

Signa przewróciła oczami, ale wiedziała, że on nie zmieni zdania.

– Dobrze – wydusiła przez zaciśnięte zęby. – Złóż obietnicę, a ja zagram w twoją grę.

Jego wyciągnięta, czekająca ręka zacisnęła się w pięść.

– Nie składam obietnic, których nie mogę dotrzymać.

– Dobrze. Więc obiecaj mi, że zostawisz w spokoju Thorn Grove. Mam dość nawiązywania przyjaźni tylko po to, żebyś mi je odbierał.

Powietrze zrobiło się jeszcze zimniejsze, płuca jej się ścisnęły. Kiedy Śmierć odezwał się ponownie, z jego głosu znikło wszelkie rozbawienie, wszelka ciekawość.

– Miałaś wuja, który cię ignorował. Który cię okradał i zamykał na klucz w pokoju, żeby sprowadzać pół miasta do swojego łóżka. Miałaś ciotkę, która cię dręczyła, i innego opiekuna, którego na szczęście nigdy nie poznałaś, bo nie można go było zostawić sam na sam z młodą dziewczyną, Signo. A ta, która zmarła w wannie? Ukuła plan, żeby wydać cię za syna swojego przyjaciela, który przejmie twój majątek i pomoże im zdobyć bogactwo. Ciągle miałem nadzieję, że następny będzie lepszy niż poprzedni, ale chciwość zmienia ludzi w potwory. Czy naprawdę to było takie straszne, że się od nich uwolniłaś?

Signa nigdy nie postrzegала swojego burzliwego życia w takim świetle. Była za młoda i zbyt często znajdowała się w dziwacznych sytuacjach, żeby wiedzieć, co jest normalne, a co nie. Miał rację, że wszyscy jej opiekunowie traktowali ją okrutnie. Wszyscy prócz jednej osoby.

– Miałam babcię, która nic złego mi nie zrobiła – wypomniała. – Co z nią?

Cienie wokół niego zafalowały gniewnie.

– Wszyscy, którzy żyją, muszą umrzeć, ptaszynko. Wiesz równie dobrze jak ja, że przyszedł jej czas. Zabrałem ją, kiedy jeszcze zostało jej trochę godności.

Signa zgrzytnęła zębami, nie zamierzając tłumić w sobie gniewu.

– Przez ciebie zawsze byłam samotna. Miałam trudne życie, bo wszyscy wierzyli, że jestem przeklęta.

Śmierć prychnął.

– Nie moja wina, że otaczają cię świętoszkowate sępy...

– Sępy czy nie, przynajmniej od czasu do czasu miałabym jakieś towarzystwo! Sam mówiłeś, że życie i śmierć muszą zachowywać równowagę, ale jakoś kiepsko ci wychodzi przestrzeganie tej zasady. Jeśli się nie mylę, tłumaczyłeś mi, że koniecznie powinnam poznać swoje moce i nie zabijać przypadkowo ludzi, żebyśmy mogli utrzymać jakąś kruchą równowagę między życiem a śmiercią?

Cienie znieruchomiały i Signa z sercem w gardle stwierdziła, że patrzy na tego dziwnego mężczyznę – wcielenie śmierci, krew nocy. Kiedy się odezwał, jego głos przypominał stukot kopyt na bruku, głuchy i urywany.

– Chyba byłem bardziej samolubny, niż sobie uświadamiałem, ale nie mogłem stać z boku i patrzeć, jak cię traktują.

Skutecznie wytrącił Signie argumenty. To, co zrobił, było złe. Ci wszyscy ludzie, chociaż tacy okropni, nie zasługiwali na śmierć. A jednak jego wyznanie sprawiło, że Signa poczuła motyle w brzuchu.

– Ty... zabrałeś ich, żeby mi pomóc?

Nie chciała wierzyć, że coś takiego może być prawdą. Nikt nigdy nie stanął w jej obronie. Nikt nigdy nie próbował jej pomagać. Więc dlaczego on to robił?

– Oczywiście, ty niemądra dziewczyno. – Zacisnął pięści i odetchnął głęboko, jakby próbował zdobyć się na cierpliwość. – Czy to cię satysfakcjonuje?

Potrzebowała chwili, żeby dojść do siebie. Ledwie rozumiała, co mówił. Ponieważ... nie. Jeszcze nigdy nie była taka nieusatisfakcjonowana. Jeszcze nigdy wargi jej nie mrowiły i żołądek nie kurczył się z pożądania, którego nie powinna odczuwać.

Powinna go nienawidzić. Ale świadomość, że ktoś nad nią czuwa... ktoś ją chroni i osłania... to było wszystko, czego zawsze chciała. I chociaż to nie było tak, jak się spodziewała, same te słowa sprawiły, że poczuła się o wiele lepiej.

– Przyjmuję twoją propozycję. – Wyrzuciła z siebie te słowa, zanim mogła się rozmyślić. – Pokaż mi, jak uzyskać dostęp do moich mocy bez belladonny, i zabierz mnie stąd.

Dała mu wolną rękę. Nie wzdrygnęła się, kiedy otuliły ją cienie. Chociaż jakaś jej cząstka ostrzegała, że to niewłaściwe, że powinna się bać, poddała się jego pieścizocie. Teraz czuła jego cienie. Czuła, jak pełzną po skórze, muskają szyję i wargi. Rozpalają w jej ciele miejsca, które dotąd były uśpione i nigdy nie przypuszczała, że mogą się obudzić.

Zacisnął palce na jej palcach i to była prawdziwa ręka, miękka i blada jak księżyc. Przyciągnął ją bliżej. Signa wstrzymała oddech – on jednak był czymś więcej niż ciemnością, w której się krył. Miał postać.

– Wszystko, czego dotykam – szepnął – umiera. – Nagle przycisnął drugą rękę do jej policzka i westchnął ciężko z takim zachwytem, że ciało Signy zapłonęło. – Oprócz ciebie, Signo Farrow. Kiedy cię dotykam, czuję cię. Na ciebie mam tylko przelotny wpływ.

Signa pragnęła jego dotyku. Śmierć mówił zupełnie inaczej niż zwykle, jego ciemny głos był chrapliwy i pełen zadziwienia. Powoli

opuścił rękę z jej policzka, chociaż drugą wciąż mocno trzymał jej palce. – Jeśli przerwiemy nasze połączenie, znów staniesz się cielesna – ostrzegł.

Signa kiwnęła głową i mocniej ścisnęła jego rękę. Nigdy więcej nie chciała doświadczyć czegoś obcego tkwiącego w jej wnętrzu. Śmierć wydał cichy, gardłowy dźwięk, kiedy przysunęła się jeszcze bliżej.

Im dłużej się dotykali, tym szybciej spadała temperatura. Signa czuła, że staje się nieważka, że wymyka się spod władzy grawitacji. Wypełnił ją lód, jej myśli pociemniały i moc wśliznęła się do jej wnętrza, zapewniając, że może zrobić wszystko. Że jest niezwyciężona.

Odchyliła głowę do tyłu, rozkoszując się tym uczuciem. Ten świat należał do niej.

– Jak się czujesz? – zagadnął znaczącym tonem Śmierć.

– Jakby świat, który znam, nagle przestał mi wystarczać.

Nie zdawała sobie z tego sprawy, dopóki nie wypowiedziała tej prawdy na głos. Coś w Śmierci – coś w jej obecnym stanie – napełniało ją odwagą. Dodawało jej pewności siebie, której zwykle jej brakowało.

– Dla ciebie ten świat rzeczywiście jest niewystarczający.

Śmierć poprowadził ją przez tunele. Żadne ściany nie stanowiły dla nich przeszkody, żadne drzwi nie zmieniały kierunku ich marszu. Świat stał przed nimi otworem.

– Dla ciebie – ciągnął Śmierć – ten świat może być nieskończony.

– Przeszli z jednego tunelu do następnego, świat posłusznie poddawał się ich kaprysom. – Sama zdecydujesz, czy przyjmiesz tę

moc, ale ten świat... to uczucie... może należeć do ciebie. Musisz tylko je wziąć.

Zamknęła oczy. W tyle czaszki czuła ucisk i wkrótce się zorientowała, że to samotne dusze wołają do niej, pragnąc przejść na drugą stronę. Potem poczuła kolejny ucisk, który rozpoznała jako nadchodzącą śmierć – wzywał ją ktoś gotów opuścić tę ziemię.

Kiedy Signa ponownie otworzyła oczy, były wilgotne.

– Czy to smutne? – zapytała. – To, co robisz.

Mięśnie jego dłoni napięły się ze zdziwienia.

– Czasami chciałbym, żeby było inaczej. – Nie odpowiedział wprost, ale Signa przypuszczała, że lepszej odpowiedzi nie dostanie.

– Czasami żałuję, że nie mogę ostrzec ludzi przed ich decyzjami. Żałuję tych, których muszę zabrać w zbyt młodym wieku albo kiedy otaczają ich ludzie, którzy nie są gotowi na rozstanie. Nienawidzą mnie i boją się mnie jak nikogo i niczego na tym świecie. Więc tak, czasami to bywa smutne. Ale tym właśnie jestem. Ale jest też w tym dobro – ciągnął. – Jestem pierwszą osobą, którą ludzie widzą, kiedy wydają ostatnie tchnienie. Jestem posłańcem, który może zaprowadzić ich do bliskich, za którymi tęsknią. Jestem tym, który ich uspokaja albo zapewnia szybką śmierć tym, których nie chcą przyjąć w zaświatach. Jestem wieloma rzeczami, ale żadnej się nie wstydzę.

– Jednak na pewno jesteś samotny – powiedziała Signa i lekko zakłuło ją w sercu na tę myśl. Tę znajomą myśl.

– Tak – przyznał. – Przez wiele lat byłem sam, zmuszony spędzać dni na obserwowaniu życia ludzi, nie mogąc się z nimi komunikować.

– Ale ze mną możesz się komunikować.

– Ach – powiedział – więc rozumiesz, dlaczego tak lubię droczyć się z tobą. Nie jestem już samotny, ptaszynko. Wcale nie jestem samotny.

Signa chciała dowiedzieć się więcej – dlaczego mogła go widzieć i co oznaczała ta więź między nimi. Lecz kiedy odwróciła się do niego, zobaczyła, że otaczają go przezroczyste błękitne kule, które tańczyły wokół niego i oświetlały im drogę.

– Pomimo tego, co myślisz, mój świat wcale nie jest taki mroczny.

Śmierć uważnie oglądał kule – dusze, zrozumiała Signa. Niecierpliwie dusze, którym obiecał, że go znajdą. Oświetlały jego kaptur i Signa przelotnie dostrzegła fragment twarzy ukrytej w cieniach. Zaledwie błysk włosów srebrnych jak gwiazdy i ślad uśmiechu, kiedy wyciągnął rękę do dusz, które gromadziły się wokół niego. Kilka przyleciało też do Signy, wirowały wokół jej sukienki i wplątywały się we włosy, chociaż natychmiast wróciły do Śmierci, kiedy odchrząknął.

– Potrzebują przewoźnika – wyjaśnił. – Jak ci powtarzam przez cały czas, jestem zajęty.

Pospiesznie pociągnął ją przez tunele, aż znaleźli się w Thorn Grove. Z każdą ścianą, przez którą przenikali, Signa trochę mniej się denerwowała i coraz bardziej poddawała się tej mocy, do której łatwo mogłaby przywyknąć. Szybko weszli po schodach i dotarli do jej pokoju.

Właściwie za szybko.

– *Muszę iść, ale wrócę jutro w nocy, bo musisz się więcej nauczyć.* – Powoli cofał rękę.

Grawitacja przygniotła Signę. Płuca ją paliły, puste palce piekły, kiedy życie z powrotem osiadało w kościach. Chwyła się za gardło;



to uczucie było gorsze, niż pamiętała.

– Wynoś się z mojej głowy – burknęła, ale rozkaz zabrzmiał niezbyt stanowczo.

– *Nie, dopóki nie nauczysz się ze mną rozmawiać.*

Śmierć zaśmiał się, chociaż krótko, bo dusze napierały na niego, dwoiły się i troiły, coraz bardziej natrętne. Odganiał je, sycząc.

– *Dobranoc, Śmierci.*

Signa patrzyła, jak uciekał przez okno, dusze wypychały go za szybko jak na jej gust.

– *Dobranoc, ptaszynko.*

Oparła się o parapet i odprowadzała wzrokiem jego znikającą postać, aż rozpląnął się w mroku. Dopiero potem, zwinięta w łóżku, rozmyślając nad wydarzeniami tej nocy, uświadomiła sobie, że jeszcze nigdy nie czuła się mniej samotna.

Signa zbudziła się przed świtem – o tej porze niebo było jeszcze ciemne i jedyne towarzystwo stanowili służący – i zeszła do kuchni na inspekcję. Energicznie myszkowała w szafkach i spiżarniach, przestawiała słoiki miodu, dżemu i mąki, a kucharka przez cały czas obserwowała ją z ponurą miną.

– Nie znajdzie panienska szczurów w mojej kuchni – burknęła.

Kucharka była stara i pomarszczona, o łagodnej twarzy i surowym spojrzeniu. Signa zapewniła ją, że oczywiście nie spodziewała się znaleźć żadnych szczurów, chociaż w tych czasach nigdy dość ostrożności. Potem wymyśliła pretekst, że chciała zdobyć trochę doświadczenia, zanim sama zacznie prowadzić dom.

Kucharka chrząknęła, przyjmując to wyjaśnienie wyraźnie bez entuzjazmu, niezbyt zadowolona, że Signa szpera po całej kuchni i wszędzie wtyka nos, jednak pochwałała ten zamiar. Tak więc Signa szukała, sprawdzała, wąchała i smakowała. Znalazła puszkę z herbatą i małą buteleczkę czegoś, co zapewne było prawdziwym lekarstwem Blythe, ale nigdzie nie było ani śladu belladony.

Prawie dwie godziny później, kiedy podano śniadanie, Signa usiadła do stołu z gniewnie skrzywioną twarzą, na co Marjorie zwróciła jej uwagę. Nie chcąc prowokować pytań, Signa musiała odłożyć śledztwo na później, kiedy będzie miała więcej czasu, żeby obmyślić następne kroki. Może Syllas miał jakiś pomysł albo wpadł na trop.

Jadła pod czujnym okiem Marjorie, pilnując, żeby brać małe kęsy i łyczki. Po śniadaniu poszła za Marjorie do salonu, gdzie rozpoczęła się druga połowa jej poranka – ta połowa, która wciąż miała związek z żywymi i życiem, jakie Signa miała prowadzić, kiedy jej pobyt w Thorn Grove dobiegnie końca.

A w tym nowym życiu, jeśli Signa miała kiedyś zająć swoje miejsce w społeczeństwie, musiała nauczyć się tańczyć.

– Rozumiem, że ty potrzebujesz tej lekcji – powiedział Percy, który wstał na jej przywitanie, wygładzając kołnierzyk koszuli tak, że ani jedna fałdka nie skaziła materiału. – Ale dlaczego ja tu jestem?

Marjorie usiadła przy fortepianie w kącie salonu. Włosy miała zaczesane do tyłu w piękne spiralne loki i wyglądała niezwykle elegancko w bawełnianym peniuarze koloru kości słoniowej.

– Jeśli Signa ma się czegoś nauczyć, potrzebuje muzyki i partnera. A skoro ja dostarczam muzykę, ty musisz być partnerem.

Signa gotowa była się założyć, że Marjorie po prostu nie mogła już patrzeć, jak Percy snuje się po domu, wzdychając żałośnie i szukając jakiegoś zajęcia. Wcześniej tego ranka słyszała, jak kazał przygotować powóz i zawieźć się do Grey's, ale stajenny poinformował go, że Elijah zabronił mu tam przyjeżdżać i służba dostała wyraźne rozkazy w tym względzie. Nie widziała reakcji Percy'ego, ale słyszała, jak trzasnął drzwiami.

Żal jej było kuzyna. Znała go już prawie od miesiąca, dostatecznie długo, żeby się zorientować, że był Hawthorne'em do szpiku kości. Dumnym, wytwornym Hawthorne'em, któremu wydarto z rąk jego dziedzictwo.

Percy spojrział na nią z góry lisimi oczami. Z tak bliska zauważyła, że miał dość gęste brwi, chociaż były tak jasnorude, że z pewnej odległości wydawały się niewidoczne. Rzęsy również miał jasne jak śnieg.

– Czy ty w ogóle umiesz tańczyć? – zapytał, na co Signa odparła z oburzeniem: „A ty?”. Powiedziała to jednak zbyt cicho, żeby Marjorie usłyszała.

Zaśmiał się niemal bezgłośnie.

Signa nie była złą tancerką, ale brakowało jej praktyki – jeśli nie liczyć samotnych wieczorów w jej pokoju, kiedy udawała, że tańczy z przystojnym księciem, który porwał ją z tej nędznej rudery. Nie знаła wtedy kroków i nauczyła się ich dopiero w ubiegłym tygodniu. Marjorie przez wiele godzin wbijała je do „tępej, upartej głowy Signy”, jak to „uprzejmie” określała. Teraz po raz pierwszy miała ćwiczyć z prawdziwym partnerem i nie mogła zaprzeczyć, że Percy nadawał się idealnie. Był ozdobą towarzystwa, arystokratą z urodzenia i wychowania. Pewnie potrafiłby tańczyć do tyłu, gdyby ktoś tego zażądał.

Percy wyciągnął piegowatą dłoń, Signa ją ujęła i z fortepianu popłynęły tony walca.

Dziewczyna natychmiast spuściła wzrok na swoje stopy i zaczęła liczyć kroki. Mogła powtarzać je bezgłośnie w myślach, ale wolała szeptać, żeby się upewnić, że żadnego nie pominęła. Koncentracja tak usztywniła jej ruchy, że stały się niemal mechaniczne.

– Och, droga kuzynko – parsknął Percy. – Tańczysz, jakby cię zrobiono z drutu i kół zębatych.

Uciszyła go tak gwałtownie, że cofnął szyję jak zółw. Potknął się o dywan i skrzywił, kiedy Signa straciła równowagę i nadepnęła mu

obcasem na palce. Nie przeprosiła, kiedy ze stłumionym okrzykiem wyrwał stopę – w końcu to była jego wina, że jej przeszkodził – i liczyła dalej.

– Jeśli zamierzasz oczarować mężczyzn tym tańcem, przynajmniej naucz się nie deptać im po nogach – syknął Percy. – Z kimkolwiek zatańczysz, będzie się spodziewał damy, a nie matematyka. Podnieś wzrok.

Signa straciła rachubę. Poderwała głowę i już miała warknąć, kiedy sobie uświadomiła, że jej ciało nadal wykonuje kroki.

Percy rozpromienił się w zwycięskim uśmiechu.

– No i proszę!

Mocniej ścisnął jej rękę, drugą dłoń oparł na jej krzyżu, przyspieszył kroku i okręcił ją dookoła.

– Percy – ostrzegła Marjorie, grając szybciej, żeby dotrzymać mu tempa. On jednak coraz bardziej przyspieszał i wciągał Signę w swoje błazeństwa. Śmiał się tak swobodnie i zaraźliwie, że Signa nie wytrzymała i też parsknęła śmiechem, kiedy kopniakiem usunął z drogi otomanę i zakręcił jej ciałem na dywanie. Potykali się o siebie nawzajem i kilka razy o mało nie upadli, ale zawsze prostowali się w ostatniej chwili z dramatycznym rozmachem.

– Ciągłe druty i koła zębate? – zapytała uszczypliwie.

– Och, absolutnie – zakpił. – Gdyby nie ja, dalej byś pełzała po podłodze i liczyła od jednego do trzech.

Signa umyślnie nadepnęła mu na palce.

Tak pochłonęła ich zabawa, śmiech i wygłupy, że żadne z nich nie zauważyło, kiedy do salonu wszedł Elijah Hawthorne. Zorientowali się dopiero wtedy, kiedy Marjorie wstała i muzyka nagle umilkła.

Oczy Elijaha różniły się kolorem od oczu Percy'ego. Były błękitne jak niezapominajki, posępne i pozbawione blasku. Lecz kiedy spojrzał na syna i usłyszał jego śmiech, spod tej ciemnej chmury błysnęło światło, jak słońce pośród burzy.

Elijah otworzył usta, żeby coś powiedzieć, ale przeszkodził mu kamerdyner Warwick, który wtargnął do pokoju. Za nim rozbrzmiały kroki i ciche stuk, stuk, stuk czegoś ciężkiego na mahoniowej podłodze. Do salonu wkroczył Byron Hawthorne z wyprostowanymi ramionami i gniewnym grymasem na ustach. Signa odważyła się zerknąć na Marjorie, która zacisnęła zęby i mocno chwyciła krawędź fortepianu.

– Bardzo przepraszam, panie Hawthorne – zaczął Warwick. – On nalegał...

– Gdzie są nasze dostawy, Elijah? – zapytał Byron, ściągając rękawiczki i rzucając je kamerdynerowi. Trzymał w ręku tę samą laskę, którą Signa widziała u niego, kiedy go zobaczyła po raz pierwszy: z drzewa różanego, z mosiężną gałką w kształcie ptasiej czaszki. Przesunął po niej kciukiem i zadrapał paznokciem drewno. – Przed końcem tygodnia w Grey's zabraknie jedzenia. Jeśli nie chcesz podpisywać czeków, to podpisz upoważnienie i skończ te gierki.

Elijah podniósł rękę. Kiwnął głową do Percy'ego i szepnął:

– Tańczcie dalej. Nie przerywajcie.

Percy odsunął się od Signy. W jego oczach był głód. Z determinacją zacisnął szczęki i wycedził:

– Pozwól mi złożyć zamówienie. – Głos mu nie zdrzął. – Mam kontakty i mogę przyspieszyć wysyłkę. Dostaniemy wszystko najpóźniej w środę.

Elijah go zignorował.

– Chcę, żebyś dalej tańczył.

Spojrzał na Signę tak surowo, że musiała usłuchać. Wyciągnęła rękę do Percy'go z nadzieją, że załagodzi sytuację. Ostatecznie, czego chciała, to następny incydent z ciastkami.

Ale jej kuzyn skupił się na swoim celu. Zacisnął pięści i zrobił trzy kroki w stronę ojca.

– Przysięgam, że mogę się tym zająć. Wiem, co zamawiać, i wiem, gdzie to dostać. Sam dopilnuję dostawy i na miejscu sprawdzę jakość. Gdybyś tylko pozwolił mi spróbować, zobaczysz...

– Powiedziałem, tańcz dalej, chłopcze! – Głos Elijaha przeciął powietrze jak nóż. – Ogłuchłeś i nie słyszysz, co mówię? Zapomniałeś, że w tej chwili tańczysz z kuzynką? Masz obowiązki wobec niej, nie wobec jakichś arkuszy zamówień. Nie zostawiaj jej, żeby rozmawiać o pracy.

Signa nade wszystko pragnęła, żeby Percy był szczęśliwy. Widziała, ile dla niego znaczy Grey's, i chciała, żeby go dostał; taniec mógł poczekać. Zanim jednak zdążyła się odezwać, Marjorie zabrała głos.

– Sir, już prawie skończyliśmy – powiedziała. – Niech Percy się zajmie tą sprawą. W porównaniu z tańcem jest znacznie pilniejsza...

Atmosfera w salonie nagle tak się oziębła, jakby Elijah stał się Śmiercią. Spojrzenie, które rzucił Marjorie, uciszyło wszystkich. Signa nie ośmieliła się nawet odetchnąć, dopóki Elijah nie zasiadł w szmaragdowym pluszowym fotelu i nie założył nogi na nogę.

Nie patrzył już na brata, natomiast Byron rzucił ostrzegawcze spojrzenie Marjorie, która delikatnie dotknęła policzka, jakby przypomniawszy sobie, jak ją uderzył.

– Pożałujesz tych decyzji, bracie. – Od Byrona emanowała wrogość. – Po śmierci Lillian myślałem, że pójdziesz do przodu. Ale patrz, jak ona cię ciągnie w dół nawet teraz, kiedy leży sześć stóp pod ziemią. Ta kobieta cię zgubi, zapamiętaj moje słowa. Nie jest tego warta.

– Nie mówiłbyś tak, gdyby zgodziła się być twoja. A teraz – Elijah odwrócił się do Signy i Percy’ego – tańczcie.

Pokonana Marjorie osunęła się na stołek, a Warwick dotknął pleców Byrona. Byron strząsnął jego rękę i przeklął brata, ale nie stawiał oporu, kiedy go wyprowadzano z Thorn Grove. Nie mając więcej argumentów, nachmurzony Percy wziął Signę za ramię. Skrzywiła się, kiedy szarpnięciem ustawił ją w pozycji, wbijając palce w jej skórę.

Muzyka znowu wezbrała wokół nich i zatańczyli. Tym razem żadne z nich nie pomyliło kroku.



Później po południu Signa wymknęła się z domu.

Marjorie była tak zdenerwowana, że pomyliwszy klawisze niezliczoną ilość razy, wcześniej zakończyła lekcję. Elijah nie został do końca; wyszedł bez słowa w połowie kolejnego tańca, a Warwick pospieszył za nim. *Pewnie trudno jest służyć komuś tak nieprzewidywalnemu jak Elijah*, pomyślała Signa.

Po lekcji próbowała porozmawiać z Percym, on jednak chwycił rękawiczki z biurka i cylinder z wieszaka, po czym wyszedł bez pożegnania. Signa właściwie mu się nie dziwiła. Była niemowlęciem, kiedy straciła rodziców, i w ogóle ich nie pamiętała. Percy był dorosły i miał wiele wspomnień, kiedy stracił swoich. A co najgorsze, jeden z jego rodziców jeszcze żył.

Signa zachowała dyskrecję i nie goniła Percy'ego, tylko odczekała chwilę, zanim weszła na schody. Powłócząc zmęczonymi nogami, wdrapała się na piętro i poczłapała posępnym korytarzem. Obok portretu w pozłacanych ramach, przedstawiającego rudowłosego mężczyznę z chartem, i wizerunku promiennej Lillian, wiszącego naprzeciwko pokoju Blythe. Kiedy Signa wsadziła głowę do środka, Blythe uniosła cienkie jasne brwi, ale nic nie powiedziała. W ostatnich tygodniach przyzwyczała się do częstych wizyt Signy.

– Brywieczór – rzuciła niedbale Signa.

Przybrała obojętny wyraz twarzy, żeby nie zdradzić niepokoju na widok chudości Blythe. Kuzynka nie przyjmowała już trucizny, więc

jej stan powinien się poprawić. A jednak wyglądała jak suchy listek klonu, gotów się rozkruszyć przy pierwszym podmuchu wiatru.

Na stoliku przy łóżku stał obiad Blythe: pieczony kurczak i ziemniaki z masłem. Chociaż Signa nie mogła sprawdzać wszystkich posiłków Blythe, starała się skontrolować jak najwięcej. Ostrożnie ugryzła kurczaka, potem skosztowała ziemniaków i odetchnęła z ulgą. W jedzeniu ani w herbacie ulung nie wyczuła belladonny.

– Co się stanie, jeśli jedzenie będzie zatrute? – zapytała Blythe, marszcząc brwi. – Czy zachorujesz tak jak ja?

– Niekoniecznie. – Signa odstawiła herbatę i podała talerz kuzynce. – Rozpoznam ten smak. Wypluję, zanim zacznie działać.

Blythe oparła się na poduszkach, uspokojona tą odpowiedzią. Jednak Signa bynajmniej nie była spokojna, kiedy patrzyła na kuzynkę, tak wychudzoną i kruchą. Teraz, kiedy Blythe zachowywała ostrożność, Signa miała nadzieję, że dziewczyna od razu wyzdrowieje. Sama zawsze tak szybko wracała do zdrowia, że nie miała pojęcia, jak długi i bolesny bywa dla innych proces rekonwalescencji. Może to normalne, że poprawa następuje w ślimaczym tempie.

– Słyszałam muzykę. – Blythe wtuliła głowę w poduszkę. Wargi miała równie blade jak skórę. Jeszcze nigdy nie wyglądała tak źle. – Znowu wydają przyjęcie?

Signa usiadła na brzegu łóżka i wzięła Blythe za rękę. Dziewczyna nie protestowała, kiedy Signa objęła jej nadgarstek i wyczuła puls.

Powolny. Taki powolny.

– Uczyłam się tańczyć – wyjaśniła, nie okazując zmartwienia. Jeśli Blythe ma wyzdrowieć, musi sama w to uwierzyć. – Mam

nadzieję wkrótce zadebiutować, jeśli przekonam pannę Hargreaves, że jestem gotowa. Ty też wystąpisz w sezonie, prawda?

Machała tą kolorową banieczką na sznurku, żeby wzbudzić zainteresowanie Blythe, ale w oczach kuzynki nie pojawił się żaden błysk.

– Miałam zadebiutować w tym roku – wyznała Blythe. – Odkładałam to, dopóki mogłam, ale kiedy skończyłam dziewiętnaście lat, Marjorie zaczęła nalegać. Chyba jedyną jasną stroną mojej choroby jest to, że nie muszę wystąpić w sezonie.

Signa wzdrygnęła się na słowa kuzynki.

– Nie chcesz należeć do towarzystwa?

Nigdy jeszcze nie słyszała czegoś takiego. Nigdy nie przypuszczała, że ktoś może tego nie chcieć. Młode kobiety powinny zadebiutować w towarzystwie – tego od nich oczekiwano i do tego je szkolono.

Blythe nachyliła się do przodu, widząc zaskoczenie Signy.

– Nie mów mi, że nie zastanawiałaś się, co to znaczy wyjść za mąż. – Chwyciła Signę za nadgarstek, ściągnęła brwi. – Posiadasz rodzinny majątek, Signo. Ale jeśli wyjdiesz za mąż, nie będzie już należał do ciebie. Oddasz wszystko... twoje pieniądze, władzę, pragnienia... mężczyźnie, który będzie się cieszył takim szacunkiem i wpływami, jakich ty jako kobieta nigdy nie zdobędziesz na tym świecie. – Blythe zacisnęła wargi w cienką, twardą linię. Po chwili rozluźniła uścisk na nadgarstku Signy, bo zabrakło jej sił i musiała się oprzeć na poduszkach, ale w jej spojrzeniu była stal.

Signa nie była tak naiwna, żeby nie zdawać sobie sprawy z tych faktów, jednak nie wydawały jej się tak ważne, jak je przedstawiała Blythe. Po co jej pieniądze, skoro spędzała samotnie całe dni? Jakie

korzyści przyniosła jej do tej pory rodzinna fortuna? Dlaczego miała jej skąpić?

– Nigdy nie wyjdę za mąż – oznajmiła w końcu odrobinę słabszym głosem Blythe. – Mam dość pieniędzy i wystarczającą pozycję, żeby robić, co chcę, nie dzieląc się z żadnym mężczyzną.

Wysunęła ostry podbródek i chociaż Signa nigdy jeszcze nie słyszała takich słów, uwierzyła kuzynce.

Umościła się na łóżku z podwiniętymi nogami i zapytała:

– W takim razie co będziesz robić z czasem?

– Cokolwiek zechcę. – W oczach Blythe zabłysła iskierka ożywienia. – Będę malować i podróżować, i włączyć się nocą po korytarzach, a potem spać do południa. Będę miała psa albo trzy i będę jeździć konno co rano, nikim się nie przejmując. Będę mogła robić wszystko, bez żadnych ograniczeń, ponieważ będę panią siebie.

Signa przyznawała, że wspaniale byłoby robić, cokolwiek zechce, i nie ponosić żadnej odpowiedzialności. To byłaby cudowna wolność, a jednak...

– I będziesz robić te wszystkie rzeczy sama? – Trochę martwiła ją ta myśl.

Blythe wydawała się dotknięta.

– Ależ skąd. Przecież mam przyjaciół, wiesz? Będę ich odwiedzać, kiedy się znudzę, i Percy'ego, i... ciebie też.

Ostatnie słowa wymówiła ciszej, jakby ją samą zdziwiły. Odwróciła wzrok, zanim zdążyła zobaczyć, że Signa odchyliła się do tyłu, uderzona wagą tej deklaracji.

Od dnia, kiedy nieświadomie uratowała swoją kuzynkę, czuła łączącą je więź. Ta więź z dnia na dzień stawała się silniejsza. Słaby

płomyk, który Signa pragnęła rozdmuchać. Pragnęła go chronić, podsycać i grzać się w jego ciepłe.

– Miło mi to słyszeć – szepnęła, wciąż trzymając rękę kuzynki. – Chociaż muszę przyznać, że poznałam kilka twoich przyjaciółek... i szczerze mówiąc, dziwię się, że mogło ci zależeć na ich towarzystwie.

Wtedy po raz pierwszy Signa usłyszała śmiech Blythe. Był ciepły i dźwięczny, tak niepasujący do zimnej, surowej osoby, jaką zwykle udawała. Przypominał dźwięk weselnych dzwonów albo pierwszy tryl na fortepianie. Trudno było oderwać wzrok od tej pięknej, fascynującej Blythe, która zapewne przyciągała wszystkie spojrzenia. Signa zastanawiała się, jaka była jej kuzynka, zanim zachorowała; jaka była, zanim straciła jednego z rodziców. Jeśli ten śmiech stanowił jakąś wskazówkę, Signa bardzo chciałaby poznać kiedyś tę dziewczynę.

– Niewiele z nich to prawdziwe przyjaciółki – wyjaśniła wesoło Blythe. – Większość to niefortunne znajomości.

– A Eliza i Diana? Nie jesteś z nimi blisko?

– Kiedy mam ochotę na plotki, ich pierwszych szukam. Ale nie jesteśmy blisko. Tak już jest z towarzystwem, kuzynko... to sępy, które tylko czekają na twoje potknięcie. A kiedy już się potkniesz, prędzej wydziobią ci oczy, niż pomogą stanąć na nogi. Zbyt łatwo paść ich ofiarą.

Signa spuściła wzrok i skupiła uwagę na głębokich bruzdach przecinających wnętrze dłoni Blythe. Słyszała, że niektórzy potrafią przepowiadać przyszłość z linii dłoni. Ciekawe, co zobaczyliby na dłoni Blythe. Czy takie życie, o jakim mówiła – wolne, lecz samotne – naprawdę może dawać zadowolenie?

– A co z panną Killinger? – zapytała w końcu. – Wiesz, kiedyś ją znałam. Dawno temu byliśmy dobrymi przyjaciółkami. Czy ona też jest sępem?

Blythe uśmiechnęła się lekko, lecz promiennie.

– Charlotte jest cudowna. Ona jedna mnie odwiedzała, odkąd zachorowałam i po śmierci mojej matki. Przyjaźnimy się od lat, od kiedy zamieszkała z ojcem w posiadłości za lasem, żeby miała większe szanse znaleźć męża. Jest bystra i dobra i fantastycznie gotuje. Przyrządza rozmaite dzemy, marmolady i syropy z tego, co rośnie w jej ogrodzie, i przywozi je nam w prezencie kilka razy do roku.

Taka dobroć rzeczywiście była w stylu tej Charlotte, którą znała Signa, i to ją ucieszyło. Bo jeśli eleganckie towarzystwo naprawdę było takie, jak ostrzegęła Blythe, a nie takie, jak Signa sobie wyobrażała przez cały czas, przynajmniej znalazło się w nim coś dobrego.

Signa nie zdawała sobie sprawy, że milczy od dłuższego czasu, dopóki Blythe nie poklepała jej po udzie.

– A co z tobą, kuzynko? – spytała. – Nie chciałam ci psuć przyjemności. Powiedz, czy masz już kogoś na oku?

Signa wygrzebała z pamięci nazwisko odpowiedniego kawalera, które Eliza wymieniła przy herbacie.

– Zdaje się, że lord Wakefield jest popularny.

Blythe zasznurowała usta.

– Owszem, jest dość przystojny. Utytułowany i szlachetnie urodzony, więc jest dobrą partią. Chociaż nigdy bym nie pomyślała, że będzie w twoim typie. Jest bardzo... poprawny.

– Myślisz, że ja nie mogę być poprawna?

Signa roześmiała się i przez chwilę próbowała sobie wyobrazić, jak wygląda lord Wakefield. Na pewno jest barczysty i bardzo dystyngowany. Lecz im dłużej próbowała w myślach nakreślić jego wizerunek, tym bardziej się on zmieniał, aż ujrzała dymne oczy i mężczyznę wysokiego jak topola. Ujrzała Sylasa. Powróciło wspomnienie dotyku jego ciała, kiedy schowali się w szafie w Grey's. Jednak im dłużej o tym myślała, tym częściej wracały do niej wspomnienia z zeszłej nocy spędzonej w objęciach Śmierci – i jakie to się wydawało naturalne. Pamiętała dreszcz, który przebiegł po jej ciele, kiedy się dotknęli, i ciekawość sprawiającą, że wciąż powracała do niego myślami.

Ci mężczyźni do tego stopnia zawładnęli wyobraźnią Signy, że podeszła do otwartego okna, żeby ochłodzić rozpaloną skórę. Co z nią było nie tak? To o lordzie Wakefield powinna myśleć. Bo jeśli taki dżentelmen jak on się nią zainteresuje, będzie miała zapewnione miejsce w społeczeństwie, dobre towarzystwo i wspaniałe bale. Tak, o tym powinna myśleć – o bezpieczeństwie. Żadnych nocnych schadzek z Sylasem ani sekretnych igraszek ze Śmiercią. Musiała się wziąć w garść.

Postanowiła skupić się na tym, czego potrzebowała – przewiercić się przez tamę Hawthorne'ów i wyciągnąć stamtąd jakieś informacje. Dowiedzieć się czegoś, co pomoże jej uratować Blythe.

– Tak naprawdę to Percy jest ulubieńcem dam. Dzisiaj uczył mnie tańczyć, kiedy wszedł twój ojciec. Wybacz, jeśli to nie moja sprawa, ale jestem tu od kilku tygodni i nie mogłam nie zauważyć, że ci dwaj niezbyt się dogadują.

Blythe wbiła palce w prześcieradło i Signa wstrzymała oddech w obawie, że posunęła się za daleko. Pamiętała, co czuła, kiedy

Eliza i Diana ją wypytywały, czyhając na plotki, które mogłyby przekazać dalej. Blythe byłaby głupia, gdyby liczyła, że Signa – dziewczyna, której prawie nie знаła – nie zrobi tego samego. Ale Signa nie miała głowy do plotek. Chciała tylko ocalić Blythe i ułożyć wreszcie kawałki tej łamigłówki.

Blythe chyba to rozumiała.

– Przez dwadzieścia lat mój ojciec i wuj wychowywali Percy’ego, żeby przejął rodzinny interes – zaczęła. – Po śmierci mojej matki ojciec stał się innym człowiekiem. Zabronił Percy’emu pracować w klubie. Już nie spędza tam czasu, tylko zamyka się w swoim gabinecie, jakby chciał, żeby interes upadł. Gdyby Grey’s się spalił, pewnie nawet nie mrugnąłby okiem. To więcej niż nasze źródło utrzymania... to decyduje o pozycji naszej rodziny. A dla mojego brata to zawsze była jego przyszłość.

Worki pod zamkniętymi oczami Blythe wyglądały jak dwa sińce. Ta rozmowa dużo ją kosztowała. Zmusiła się, żeby mówić dalej, coraz cichszym głosem.

– Ojciec nie chce nam powiedzieć, dlaczego odsunął Percy’ego od interesu, ale to chyba jasne, że śmierć mojej matki zmąciła mu rozum. On już nie myśli logicznie.

Ze słów Blythe wynikało, że jej ojciec odebrał Percy’emu pracę dopiero po śmierci Lillian, co stało w sprzeczności z listem, który Signa znalazła w Grey’s. Ciągle brakowało jej kawałka układanki. Chciała dalej naciskać, ale pierś Blythe unosiła się i opadała w regularnym rytmie. Dziewczyna zasnęła i Signa musiała wstrzymać się z pytaniami. Poprawiła jej koce dla lepszej ochrony przed ostrym chłodem, przenikającym do kości. Chłodem, uświadomiła sobie za późno, całkowicie nienaturalnym.



Obróciła się gwałtownie i zobaczyła, że za nią stoi Śmierć. Wyciągnął smugę cienia i zakrył jej usta, zanim zdążyła wydać jakiś dźwięk. Dotyk pozbawił ją tchu i zatrzymał serce, przeniósł w tę dziwną strefę pomiędzy krainą żywych i zmarłych. Zaledwie po kilku sekundach Śmierć się cofnął i jej serce znowu zaczęło bić, opornie i boleśnie.

– Sz-sz – szepnął Śmierć w jej umyśle. – *Obudzisz ją.*

Signa chciała go ugryźć, wbić w niego kły i wpuścić truciznę. Ale nie chciała zakłócać Blythe odpoczynku, więc machnęła ręką w stronę salonu i gestem kazała mu iść za sobą. Stawiała kroki powoli i ostrożnie, żeby nie skrzypnęła żadna deska w podłodze.

– Odejdź – zażądała, jak tylko znaleźli się za progiem. – Nie pozwolę ci jej zabrać, tak mi dopomóż Bóg.

– *Uspokój się, ptaszynko* – powiedział gładko Śmierć. – *Nie przyszedłem po nią. Chociaż obawiam się, że nie minie dużo czasu, zanim zabiorę duszę tej biednej dziewczyny. Przyszedłem cię ostrzec. Jeśli dziewczyna nie pozbędzie się z ciała trucizny, wrócę po nią przed końcem tygodnia. I jej śmierć nie będzie łagodna.*

Signa chciała rzucić się na niego, okładać go pięściami i żądać, żeby na zawsze zostawił Blythe w spokoju. Ale Śmierć nie próbował jej grozić ani straszyć swoim zimnym cieniem. Nie odbierał jej powietrza swoją bliskością. Wydawało się niemal... że Śmierć próbuje jej pomóc.

Zajrzała głęboko w te bezkształtne cienie, nachyliła się do przodu, wypatrując twarzy, oczu, które musiał mieć. Ale niczego nie zobaczyła.

– Dlaczego mi pomagasz? – zapytała, obejmując się ciasno ramionami. – Czy twoja praca nie polega na zabieraniu dusz z tej

ziemi?

– *Rozumiem, że nie byłem dla ciebie dobry. – Śmierć zawahał się, cienie wokół jego nóg zafalowały. – Przeze mnie masz trudne życie, chociaż wcale tego nie chciałem. Nie myślałem o twojej przyszłości, Signo. Nie myślałem o niczym, tylko o tym, jak źle cię traktują ci, którzy mieli się tobą opiekować. I za to cię... przepraszam.* – Ostatnie słowo zabrzmiało dziwnie, jakby mu nie smakowało. – *Nie mogę wiecznie jej oszczędzać, ale jeśli jej pomożemy, nie będzie musiała umierać tak szybko. Nie mogę ci udowodnić, że mam szczerą intencję. Ale jeśli moje słowa cokolwiek znaczą, musisz mi zaufać.*

– Pomożemy? – Nigdy nie myślała, że ten mężczyzna, uosobienie śmierci, może stracić pewność siebie.

– Ja też będę szukał i dam ci znać, jeśli znajdę coś, co jej pomoże. – Śmierć mówił teraz na głos i od tego łagodnego dźwięku dreszcz przeszedł Signie po kręgosłupie. Zapomniała już, jak bardzo lubiła jego głos.

– W Thorn Grove jest biblioteka – powiedziała nagle, odrywając myśli od miejsca, gdzie zbyt często błądziły w jego obecności. – Może znajdę coś o antidotum.

Kiwnął głową.

– Poszukaj tam czegoś dziś w nocy. A ja tymczasem pospieguję na własną rękę.

– Dziękuję ci – szepnęła Signa. Zadrzała, kiedy jego cień znieruchomiał i temperatura wokół nich spadła co najmniej o dziesięć stopni. – Za twoją pomoc i za to, że mi powiedziałeś.

– Proszę bardzo. – Ponownie te słowa zabrzmiały dziwnie, jakby wymówił je z wysiłkiem. – Wznowimy nasze lekcje, jak już znajdziesz coś, żeby się pozbyć tej trucizny.

Skinęła głową, a Śmierć znikł wśród cieni, które go zagarnęły. Dopiero kiedy się upewniła, że odszedł, zajrzała przez szparę w drzwiach do Blythe. Patrzyła, jak pierś kuzynki powoli unosi się i opada. Potem przycisnęła rękę do własnej piersi, w której serce szamotało się jak zwierzę zamknięte w klatce. Sprawdziła policzki, dotknęła ich po kolei wnętrzem dłoni i odkryła, że są rozpalone.

Wszystko z powodu Śmierci. Z powodu kogoś, kogo nienawidziła przez całe życie.

Na Boga, co z nią było nie tak?

Thorn Grove pogrążone było we śnie, kiedy Signa zorientowała się, że nie ma bladego pojęcia, gdzie właściwie jest biblioteka.

Chodziła tam i z powrotem po swoim salonie, koszula nocna wlokła się za nią i plątała wokół kostek. W bibliotece najłatwiej byłoby znaleźć antidotum dla Blythe. Wprawdzie Signa wolałaby prowadzić poszukiwania z dala od wścibskich oczu, jednak źle by się stało, gdyby ją przyłapano na nocnych wędrówkach po korytarzach, zwłaszcza że Elijah już raz ją zaskoczył. Do tej pory sprawdziła całe pierwsze piętro i większość parteru, więc zostało tylko drugie piętro.

Signa obmyślała plan – wymówkę na wypadek, gdyby ją przyłapano – kiedy usłyszała, że oszklone drzwi balkonowe zagrzechotały. Chłód ścisnął jej serce, ale zaraz sobie uświadomiła, że duch nie musiałby pukać, a Śmierć nie miał tak dobrych manier. Więc kiedy po chwili dźwięk się powtórzył i brzmiał tak, jakby ktoś stukał w szybę, zrozumiała, że to może być tylko jedna osoba.

Owinęła się szlafrokiem i otworzyła skrzydło drzwi dla Sylasa. Widocznie wdrapał się po gałęziach wierzby, żeby się tu dostać, bo miał jeszcze liście w ciemnych włosach.

– Brywieczór. – Błysnął uśmiechem w świetle księżyca. – Ty też nie mogłaś spać, he?

Miała ochotę zamknąć mu drzwi przed nosem i niech złazi z powrotem.

– Co ty sobie myślisz? Nie wolno ci tu być!

Pomimo wysokiego wzrostu poruszał się z wdziękiem jak kot. Nie robiąc hałasu, prześliznął się obok niej do pokoju.

– Zobaczyłem z dołu, że zapaliłaś świecę i twój cień ciągle przesuwiał się tam i z powrotem. Chciałem sprawdzić, czy nic ci nie jest.

Ten chłopiec mógł ją zgubić, gdyby nie zachowali ostrożności, chociaż musiała przyznać, że krew w niej szybciej krążyła z powodu tej ekscytującej nocnej wizyty. Nawet jej nie przeszkadzało, że ma na sobie jedynie szlafrok narzucony na koszulę nocną, raczej była ciekawa, co on o tym pomyśli i czy zareaguje tylko zażenowaniem. Rzeczywiście zatrzymał spojrzenie na jej ciele odrobinę za długo, kiedy myślał, że ona nie patrzy. Szybko odchrząknął i przeniósł wzrok na sufit, kiedy się odwróciła. Signa ukryła uśmiech, przepełniona ciepłą satysfakcją.

– Czuję się dobrze, na ile to możliwe ze świadomością, że moja kuzynka wciąż jest tak samo chora jak w dniu, kiedy ją poznałam. – Skrzyżowała ramiona na piersi i podjęła spacer po pokoju. – Jeśli zamierzasz tu zostać, mów cicho i powiedz mi, czy dowiedziałeś się czegoś pożytecznego.

– Nie bardzo. – Usiadł na podłodze i oparł się plecami o ścianę. – Przeszukałem kuchnię i kwatery służących, ale nie znalazłem niczego obciążającego.

Takie miała obawy, ale wypowiedziane na głos... ją zirytowały. Przeczesała włosy rękami i szarpnęła za końce.

– Musimy coś znaleźć, żeby jej pomóc. Słyszałam, że w Thorn Grove jest biblioteka, i chciałabym tam zajrzeć, żeby sprawdzić, czy istnieje antidotum. Coś ziołowego, co unieszkodliwi truciznę.

– Truciznę? – powtórzył, unosząc brwi. – To nowe odkrycie. Myślę, że jeśli chcesz się czegoś o tym dowiedzieć, rzeczywiście najlepiej spróbować w bibliotece. Jest ogromna.

– Więc wiesz, gdzie ona jest? – Signa chwyciła Sylasa za ramię i dźwignęła go na nogi. – Możesz mnie tam zabrać?

– Teraz? W środku nocy? W takim stroju? – Nie puszczała jego ramienia, więc uśmiechnął się szeroko. – Ależ, panno Farrow, zachowuje się pani skandalicznie. Skoro pani nalega, proszę za mną.

Ruszył przodem na korytarz. Wchodzili na drugie piętro męcząco powoli. Signa stawiała każdy krok z najwyższą ostrożnością, ściskając w garści długą koszulę nocną, żeby się nie potknąć o rąbek. Dreptała za Sylasem, dziwiąc się, że chłopak stajenny tak dobrze zna dom. No, ale Sylas nie zawsze był stajennym. Pewnie za życia Lillian jego obowiązki pozwalały mu na wstęp do rozległej rezydencji. Zanotowała w pamięci, żeby go o to zapytać – może później. Kiedy znajdą coś, żeby pomóc Blythe.

Na razie zagadnęła, nie mogąc opanować ciekawości:

– Często tu przychodzisz?

– Tylko parę razy miałem okazję zwiedzić dom. – Szedł swobodnym, pewnym krokiem, jakby w przeciwieństwie do Signy nie obawiał się, że zostanie przyłapany. – Ale służba często o nim opowiada. Nie zapuszczają się na górę, jeśli nie muszą, i nawet wtedy przychodzą tylko w dzień.

Elaine mówiła, że biblioteka podobno jest nawiedzona. Jeśli służący tak nie lubią tam przychodzić, Signa wolała sobie nie wyobrażać, jaki duch na nich czeka w środku. Przez lata starała się unikać duchów, chociaż jeśli ten duch wiedział coś istotnego o Thorn Grove albo morderstwie Lillian, nie należało pomijać

takiego tropu. Ale nie miała pojęcia, jak się porozumieć z duchem w obecności Sylasa.

– Powinieneś odejść, kiedy mnie zaprowadzisz na miejsce – powiedziała. – Nic dobrego z tego nie wyniknie, jeśli nas zobaczą razem.

Rzucił jej zirytowane spojrzenie przez ramię.

– Co dwie pary oczu, to nie jedna, a poza tym nawet jeśli mnie wyleją, sama obiecałaś, że się mną zajmiesz.

O mało nie westchnęła, bo chociaż jemu nic właściwie nie groziło, z nią sprawa wyglądała inaczej. I bynajmniej nie chciała zatrudniać Sylasa, gdyby z jego powodu stała się przedmiotem plotek czy insynuacji. Jednak miał trochę słuszności. Ostrzeżeń Śmierci nie należało lekceważyć i jeśli chciała uratować Blythe, warto było zaryzykować, żeby zapewnić sobie pomoc Sylasa.

Bibliotekę łatwiej było znaleźć, niż się spodziewała. Podwójne dębowe drzwi z ciężkimi mosiężnymi klamkami prowadziły do ogromnego pokoju, gdzie piętrzyły się rzędy za rzędami mahoniowych regałów, wypełnionych książkami. Na środku stały biurka i luksusowe skórzane fotele do czytania, które wyglądały na dostatecznie wygodne, żeby w nich spędzić cały dzień. Przez okna wlewało się blade światło gwiazd, wystarczająco jasne, żeby widzieć zarysy mebli i rozmiary biblioteki, ale za słabe, żeby odczytać tytuły książek.

Signa wciągnęła w nozdrza stęchlą woń starego pergaminu i atramentu.

– Musimy znaleźć jakieś światło.

Zaledwie wymówiła te słowa, na jednym biurku zapaliła się świeca.

Signa nie sięgnęła po nią natychmiast, tylko spojrzała na Sylasa, niepewna, czy chłopak nie ucieknie. Otworzył usta, ale zaraz znowu je zamknął. Nie istniało żadne wyjaśnienie dla płomienia, który sam się zapala, i żadne z nich nie próbowało tego tłumaczyć.

– No cóż. – Signa odchrząknęła. – Przynajmniej wiemy, że to całe gadanie o duchu nie było zwykłą plotką.

Sylas uniósł brwi aż do linii włosów, jednak biorąc wszystko pod uwagę, trzymał się zadziwiająco dobrze. *Pewnie ze względu na mnie*, pomyślała.

– Cokolwiek tu jest, nie wydaje się złośliwe.

*Przynajmniej na razie*, pomyślała Signa. Próbowwała przeniknąć wzrokiem cienie. Gdzie się chowa ten duch? To niepokojące, że jeszcze go nie widziała. Przez całe lata ignorowała duchy, udawała, że ich nie widzi, i z pewnością nie lubiła przewracanych stolików.

Sylas wziął świecę.

– Więc szukamy książek o... botanice?

– Tak. Najlepiej czegoś o medycznych zastosowaniach roślin.

W ciemnościach przez bibliotekę przemknął cień. Signa stłumiła okrzyk i dopiero po chwili zorientowała się, że to książka. Tom wyleciał z regału wiele rzędów przed nimi, a kiedy tak stali i patrzyli, z tej samej półki wypadła druga książka.

Sylas uniósł świecę przed sobą, a drugą rękę oparł na talii Signy, żeby ją uspokoić. Popatrzyła przez blask płomienia.

– Czy myślisz...

– Tak – odparł głosem bez wyrazu.

Ruszył w stronę regału, z którego sfrunęły książki. Zatrzymał się i uniósł świecę nad tą, która spadła. Był to gruby podręcznik botaniki w skórzanej oprawie.



Skręcili za róg do następnego rzędu regałów i Signa chwyciła Sylasa za ramię. Strach zaparł jej dech w piersi, kiedy zobaczyła, kto im pomaga. Był to duch starszego mężczyzny o przezroczystej błękitnej skórze, z długą siwą brodą, w okularach zsuniętych na czubek szerokiego nosa. Wyprostował się, widząc, że Signa go zauważyła.

– Dobrze się czujesz? – zapytał ją Sylas, przechylając świecę.

Duch przyglądał się temu z głęboką troską i kiedy zanosilo się na to, że świeca wypadnie z lichtarza, pospiesznie poprawił jej położenie świetlistym palcem.

– *Ostrożnie* – ostrzegł. – *Książki to kruche przedmioty.*

– Wszystko w porządku.

Signa oparła się o regał, mając nadzieję, że jej słowa uspokoiły zarówno Sylasa, jak i ducha. Dopiero kiedy przekonała się, że ten duch nie był tak nieprzewidywalny jak Lillian, rozluźniła ramiona. Nie był złośliwy i jego śmierć nie była tak makabryczna, żeby wpłynąć na jego wygląd.

– Czy wiesz coś o duchu, który podobno nawiedza tę bibliotekę? – zwróciła się do Sylasa.

– Niewiele. Słyszałem, że to był uczony, który wżenił się w tę rodzinę i zmarł w którymś z tych foteli. Zasnął nad książką i odszedł spokojnie. Podobno zamierzał przeczytać wszystkie książki z tej biblioteki.

– *Fotele wymieniono od tamtego czasu* – oznajmił duch. – *A ja nazywam się Thaddeus. Thaddeus Kipling. Do tej pory przeczytałbym wszystkie książki w bibliotece, tylko że ciągle dokładają nowe.*

Duch, który nie chce odejść, bo lubi czytać! To było tak oryginalne, że Signa o mało się nie roześmiała.

– Wydaje się dość uczynny. Wcale nie taki złośliwy, jak się obawiałam – zauważyła.

Thaddeus westchnął i podziękował jej, mamrocząc, jak to wszyscy za bardzo się boją, żeby tu przychodzić, chociaż on tylko zawsze próbował pomóc.

– *Chociaż jeśli nikt mi nie przeszkadza, mam więcej czasu na czytanie.*

Signa ponownie stłumiła śmiech. Przez dziewiętnaście lat unikała duchów, obwiniła je o to, że różni się od innych i dlatego ludzie jej unikają. Ale polubiła Thaddeusa i po raz pierwszy wcale się nie bała w obecności ducha. Może polubiłaby również inne duchy, gdyby dała im szansę?

– Naprawdę myślisz, że w którejś z tych książek znajdziemy coś o truciźnie?

Sylas przysunął świecę do książki, żeby obejrzeć grzbiet, skutecznie zmieniając temat. Wcale mu się nie dziwiła, że nie chce rozmawiać o duchach. Za każdym razem, kiedy nachylał świecę zbyt blisko nad książką, Thaddeus nerwowo wciągał powietrze przez zęby i wstrzymywał oddech, dopóki Sylas nie odsunął płomienia.

– Nie potrzebujemy informacji o truciźnie. – Signa zerknęła na ducha, upewniając się, że wszystko słyszy. – Chodzi o antidotum. Na pewno gdzieś tutaj jest o tym jakaś wzmianka.

– *Arszenik?* – zgadywał Thaddeus. W jego oczach zabłysła iskierka zainteresowania.

Signa upewniła się, że Sylas zajął się czytaniem, i szybko pokręciła głową.

Thaddeus mamrotał pod nosem:

– *Cyjanek? Tal? Strychnina? Atropina?* – przerwał, kiedy szybciotko przytaknęła. – *Ach, atropina! Kogoś trują belladonna, tak? No, to łatwe, antidotum... ach. To nic nie da, gdybym po prostu ci powiedział, prawda? Pewnie chciałybyś sama sprawdzić tę informację. Tutaj.*

Thaddeus przepłynął do następnego regału i pochylił się, żeby wskazać książkę z dolnej półki. Wyglądała raczej skromnie; jakiś naukowy periodyk, po który Signa nigdy by nie sięgnęła.

– *Dawno do niej nie zaglądałem* – powiedział Thaddeus, kiedy Signa schyliła się po książkę – *ale chyba znajdziesz to, czego szukasz, około setnej strony. Interesująca lektura. Sucha, ale pouczająca. Uważaj na nią, dobrze?*

Signa przekartkowała stronice do setnej, potem przerzuciła jeszcze kilka kartek, aż zobaczyła słowo, którego szukała – *Atropa. Atropa belladonna*. Przycisnęła książkę do piersi tak żarliwie, jakby miała się rozpłakać.

– *Dziękuję, dziękuję, dziękuję!* – zawołała tak głośno, że Sylas o mało nie upuścił książki, którą przeglądał.

– *Już coś znalazłaś?* – Skonsternowany, podrapał się po karku. – *Ale masz szczęście. Spodziewałem się, że spędzimy tutaj całą noc.*

Signa uśmiechnęła się promiennie do Thaddeusa, którego pierś wezbrała dumą.

– *Chyba tak, chociaż ktoś nam pomógł. Chodź.*

Pociągnęła Sylasa do jednego ze stołów i otworzyła książkę. Nawet w blasku świecy musieli wyteżać wzrok, żeby odczytać drobny druk. Przerzucili kilka stron naukowego żargonu, którego Signa nie rozumiała, zanim znalazła wzmiankę o leczeniu pacjentów.

– Tutaj! – Przycisnęła palec do kartki i nachyliła się nad książką. Syłas też się pochylił i próbował zaglądać jej przez ramię.

– Podczas gdy sama roślina jest toksyczna – przeczytała na głos i słowa pieściły jej usta jak jedwab – alkaloid zawarty w fasoli kalabarskiej okazał się skutecznym remedium na *Atropa belladonna*.

Z każdym słowem coraz bardziej kręciło jej się w głowie. Wczepiła się w ramię Sylasa i potrząsała nim, kiedy jej podniecenie narastało. Znaleźli rozwiązanie. Chociaż Signa nie miała bladego pojęcia, skąd wziąć tę obcą roślinę, teraz przynajmniej otrzymali szansę, czyli znacznie więcej niż dotąd.

– Podasz za dużo i Blythe umrze – ostrzegł Syłas, który czytał dalej. – Trzeba zetrzeć małą dawkę i rozpuścić w płynie.

Jedyny problem polegał na tym, jak zdobyć odtrutkę. Z pewnością nie znajdą tej rośliny w ogrodzie Lillian, chociaż Signa przypomniała sobie inną możliwość.

– W miasteczku jest apteka! Widziałam ją tamtej nocy, kiedy pojechaliśmy do Grey's... Myślisz, że będą to mieli?

Na twarzy Sylasa rozlał się szeroki uśmiech.

– Jesteś genialna. Apteka to najlepszy pomysł.

To wystarczyło, żeby Signa zamknęła książkę i ponownie przycisnęła ją do piersi. Zrobiło jej się tak lekko na duszy, że mogła tańczyć w obłokach. Mogła ją uratować. Tym razem naprawdę Signa mogła uratować Blythe.

– Dziękuję – szepnęła, ściskając ramię Sylasa. – Dziękuję, dziękuję, dziękuję! I dziękuję tobie, Thaddeusie!

Nie obejrzała się na ducha ani na Sylasa, który zdmuchnął świecę i powtórzył szeptem: „Thaddeus?”. Zamiast tego mocno przycisnęła do siebie książkę i wybiegła z biblioteki.

– Pojadę tam z samego rana – oznajmiła bardziej do siebie niż do kogokolwiek innego.

Sylas kiwnął głową i delikatnie ją uciszył. Posłuchała ze względu na niego, chociaż nie obchodziło jej, czy ktoś usłyszy, bo teraz wszystko będzie dobrze. Nie – lepiej niż dobrze. Będzie wspaniale, bo z samego rana Signa zdobędzie antidotum i Blythe wreszcie odzyska swoje życie.

Wkrótce wszystko znowu będzie dobrze.

Następnego ranka przy śniadaniu, dodając śmietanki do filiżanki herbaty, Signa podsłuchiwała, jak Warwick mówi do Elijaha, że na języku Blythe pojawiły się takie same wrzody, jakie miała Lillian w ostatnim stadium swojej „choroby”. Blythe chorowała przez całą noc, nie mogła utrzymać żadnych stałych pokarmów ani płynów.

Signa mocno ścisnęła nóż, starając się nie okazywać frustracji z obawy, żeby Elijah nagle sobie nie przypomniał, że nie wypada prowadzić takich rozmów przy śniadaniowym stole.

Ostrzeżenie Śmierci nadeszło w samą porę i teraz, kiedy Signa знаła lekarstwo, musiała tylko je zdobyć. Ale nie mogła przestać się zastanawiać, dlaczego Blythe ciągle chorowała. Kazała jej nie pić niczego oprócz wody. Wylewać lekarstwo, kiedy nikt nie patrzył. Jeszcze tego ranka sprawdziła sypialnię Blythe, kiedy kuzynka spała; skosztowała zimnej herbaty i ciasta zostawionych przy łóżku, ale jedno i drugie było w porządku. Ponieważ jednak na języku Blythe wyskoczyły wrzody, Signa wiedziała, że w jakiś sposób kuzynka wciąż przyjmuje belladonnę.

– Doktor uważa, że dzisiaj lepiej jej nie odwiedzać – powiedział Warwick do Elijaha, który smarował bułeczkę masłem z taką złością, że Signa nigdy nie przypuszczała, żeby ktoś mógł w ten sposób traktować pieczywo. – Do rana on i Percy zbili jej gorączkę, chociaż miała atak delirium.

Signa była zadowolona, że przynajmniej Percy był na miejscu i mógł pilnować lekarza. Próbowwała przyciągnąć jego uwagę przez

stół, żeby dać mu to do zrozumienia, ale on miał spuszczone oczy i grzebał łyżką w nietkniętej owsiance.

– Co zobaczyła tym razem?

Elijah był arogancki i rozczochrany, siwiejące włosy sterczały mu na głowie we wszystkie strony. Zsunął okulary nisko na nos i wciąż miał na sobie szmaragdowy szlafrok oraz pasujące kapcie, podczas gdy Signa założyła już gorset i peniuar w paski, a włosy zwinęła w elegancki kok na karku. Będzie musiała się przebrać w wełnianą suknię wizytową, zanim wyjdzie z domu, bo inaczej natychmiast wywoła plotki i drwiny. Chociaż od tylu lat marzyła o eleganckim towarzystwie, doszła do wniosku, że jest trochę... męczące. I ogromnie zazdrościła Elijahowi, że nie dba o konwenanse.

– To była matka – odpowiedział Percy, nie podnosząc wzroku. – Blythe twierdziła, że jest z matką w ogrodzie.

To nie miało sensu, że po tylu tygodniach choroby Lillian i Blythe nikt nie podejrzewał trucizny. Czy lekarz naprawdę był taki niekompetentny?

– Może ona właśnie potrzebuje towarzystwa – odezwała się Signa, doprowadzona do wściekłości.

Wszystkie objawy były widoczne jak na dłoni – delirium, wrzody, ból żołądka, płucie krwią. Wszystko. Wprawdzie Signa znała się na truciznach trochę lepiej niż przeciętna osoba, ale jednak.

– Panno Farrow... – Marjorie, która przyróżowała się mocniej niż zwykle, żeby zamaskować policzek wciąż spuchnięty po uderzeniu, zamierzała już skarcić Signę, ale Elijah uciszył ją machnięciem ręki, w której trzymał nóż.

– Niech mówi swobodnie. Wszelkie zasady obowiązujące w tym domu dawno straciły sens. – Odgryzł prawie pół placuszka na raz. –

Przedstaw swój argument, dziewczyno.

Signa doszła do wniosku, że raczej lubi Elijaha, chociaż zachowywał się tak nieprzewidywalnie. W świecie funkcjonującym na zasadzie wymuszonej grzeczności i naginania się do cudzego widzimisie jego bezpośredniość była odświeżająca. Jednak nie mogła po prostu mu powiedzieć, że znalazła antidotum na chorobę Blythe – musiała postępować ostrożnie.

– W tym stanie i tak jest jej ciężko, więc nie powinna zostawać sama ze swoimi myślami – powiedziała. – Za pana pozwoleniem chciałabym pojechać do miasteczka i poszukać czegoś, co poprawi jej nastrój. Jakiś drobny prezent, jeśli pan się zgodzi i da mi trochę pieniędzy.

Percy, który wpatrywał się gniewnie w swoją owsiankę, jakby była źródłem wszelkich kłopotów, w końcu z zainteresowaniem podniósł wzrok na Signę. Jednak Marjorie nie dała się przekonać.

– Skoro lekarz nie zaleca jej towarzystwa – oświadczyła, mocno ściskając widelec w garści – powinniśmy się stosować do jego wskazówek.

Jako guwernantka mogła jadać posiłki przy jednym stole z rodziną, jednak wypowiadała się zbyt otwarcie i swobodnie jak na swoją pozycję społeczną i nikt jej nie karcił.

– Tak jak z Lillian? – zapytał Elijah tonem dostatecznie lodowatym, żeby wszyscy przy stole zadrżeli. – Dużo to pomogło mojej żonie.

Signa zanotowała sobie w pamięci słowa Elijaha i dodała do swojej kolekcji. Wkrótce, już niedługo, pozbiera wszystkie fragmenty i ułoży cały obraz.



– Percy! – W głosie Elijaha zabrzmiał autorytet. – Pojedziesz z kuzynką. Zadbasz o jej bezpieczeństwo i dopilnujesz, żeby dostała, czego jej trzeba.

Percy się wyprostował.

– Skoro pojedziemy do miasteczka, za twoim pozwoleniem chciałbym zajrzeć do Grey’s i sprawdzić zamówienia. – Mówił rzeczowym, obojętnym tonem, bez śladu wcześniejszej emocji zdradzającej jego desperackie pragnienie, żeby odwiedzić klub.

Kąciki ust Elijaha drgnęły.

– Będziesz towarzyszył kuzynce przy załatwianiu sprawunków, a potem wrócisz. – Odmowa była ostateczna i nieodwołalna.

Percy chyba to zrozumiał, bo chociaż wyraźnie chciał się sprzeczać, tylko osunął się na krzesło i ścisnął filiżankę, aż knykcie mu pobiełały.

– Tak, ojcie. – Signa nie odważyła się na niego spojrzeć, przytłoczona poczuciem winy. – Oczywiście.

\*

Percy bynajmniej nie był zabawnym towarzyszem.

Ponieważ nie chciał jechać konno, przygotowano powóz. Jazda do miasteczka nie trwała długo, ale Signa jeszcze nigdy nie czuła się tak skrepowana. Nawet podróż z Sylasem, całkiem obcym i niespokrewnionym mężczyzną, zniosła dużo lepiej.

Żałowała, że Percy nie był taki jak poprzedniego dnia, zanim pojawił się Byron z nowinami o Grey’s i popsuł nastrój. Brakowało jej śmiechu i żartów Percy’ego, jego osobowości tętniącej życiem i energią. Percy, który teraz jej towarzyszył, nie był wesołym,

łobuzerskim chłopakiem, którego zaczynała poznawać, tylko sztywnym, poprawnym i surowym mężczyzną. Gładził kciukiem skórzaną portmonetkę, wyglądając przez okno powozu, wysunął podbródek do przodu z wielką stanowczością i obserwował krajobraz. Signa ugryzła się w język. Uważała, że Elijah postępuje okrutnie, nie dając synowi szansy i ignorując jego cierpienie.

– Odkryłam coś, kuzynie – powiedziała w nadziei, że poprawi mu nastrój. – Nie jedziemy do miasteczka, żeby kupić Blythe ładne nowe rękawiczki albo papeterię. Jedziemy, bo znalazłam dla niej lekarstwo.

Dopiero wtedy się ożywił.

– Jak to: znalazłaś lekarstwo? – Oczy mu się zwięziły. – Żaden lekarz nie potrafił pomóc mojej siostrze.

– Żaden nie wiedział, że ją trują. Ale my wiemy i znalazłam antidotum. W miasteczku jest apteka i...

– Apteka? – Uniósł brwi aż pod sufit. – Signo, nie możemy powierzyć życia mojej siostry amatorce. Musi być jakieś lekarstwo, które jej pomoże. Poradzimy się innych lekarzy...

– Jeśli lekarze jeszcze nie odkryli, co jej jest, to albo wszyscy są głupi, albo ktoś ich opłaca.

Odpowiedź zastygła mu na ustach.

– Myślisz, że to możliwe? – Jego jabłko Adama podskoczyło. – Nawet jeśli masz rację, nie powinniśmy się bawić jakimiś aptecznymi preparatami. Istnieją bezpieczniejsze metody.

– Rozumiem twoją frustrację, Percy, ale nic innego nie działa. – Wzięła go za rękę i mocno ścisnęła. – Ale to podziała, obiecuję. Musisz mi zaufać.

Podniósł wzrok na sufit powozu, jakby tam szukał odpowiedzi, i westchnął, kiedy żadnej nie znalazł.

– No dobrze. Jeśli jest taka możliwość, oczywiście musimy ją wypróbować. Chociaż nie możemy pozwolić, żeby ktoś nas tam zobaczył... całe miasteczko będzie gadać.

– Oczywiście.

Percy nie odwzajemnił jej uśmiechu, tylko przeniósł wzrok na brukowane ulice, znacznie jaśniejsze i przyjaźniejsze w dziennym świetle niż tamtej nocy, kiedy tu przyjechała z Sylasem. Teraz sklepy ciągnące się wzdłuż ulicy były otwarte. Przez nieskazitelnie czyste szyby Signa widziała kobiety w czepkach i rękawiczkach, wystrojone w kaszmirowe suknie, jak popijały herbatę albo wchodziły do sklepu, żeby zamówić ciepłe ubrania i dekoracje na nadchodzącą zimę.

Kiedy mijali Grey's, Percy przechylił się przez Signę i gwałtownym ruchem zaciągnął zasłonę. Cofnęła się pospiesznie. W twarzy Percy'ego nie było ani śladu humoru, tylko surowość.

Signa nie odważyła się więcej odezwać.

Zatrzymali się przed małą zielarnią i Percy wysiadł pierwszy z powozu. Po ścianach budynku piął się bluszcz, a w oknie wystawowym z plecionych kratownic zwisały rozmaite ozdobne rośliny. Signa tak się na nie zagapiła, że Percy musiał odchrząknąć, żeby zauważyła, że podaje jej ramię. Przechodnie przyglądali im się z ciekawością i odwracali, żeby poplotkować, zapewne zaintrygowani obecnością Signy. Percy poprawił mały złoty guziczek na jednej ze swoich brązowych skórzanych rękawiczek, nie zwracając na nich uwagi. Z pewnością nikt i nic nie mogło sprawić, żeby Percy publicznie chociaż na chwilę wypadł z roli dżentelmena.

W sklepie przywitała ich krucha siwowłosa staruszka. Percy tylko raz na nią spojrzał i zadarł nos.

– Nie marnuj czasu – szepnął. – Bierzemy, czego potrzebujemy, i wychodzimy.

Przez krótką chwilę Signa żałowała, że poprzedniego dnia nie nadepnęła mu mocniej na nogę. Jednak nie zamierzała się przejmować jego negatywnym nastawieniem, skoro weszli do takiej krainy cudów. Na rzeźbionych drewnianych półkach stały słoiki i buteleczki z ziołowymi tonikami, pojemniki z żywym mchem i misterne koszyczki z suszonymi ziołami, pachnącymi tak upojnie, że Signa chciała się w nich wykąpać.

Środek sklepu zajmowały żywe rośliny w doniczkach, większość z gatunków, jakich Signa nigdy jeszcze nie widziała, z płózącymi łodygami albo dużymi bulwiastymi kwiatami. Powstrzymała chęć, żeby pogłaskać płatki, zachwycona, że takie cudowne miejsce istnieje. Gdyby miała dość pieniędzy, chciałaby wykupić cały sklep.

– Czy mogę w czymś pomóc, panienko? – zapytała sprzedawczyni. Signa z zadowoleniem zauważyła, że staruszka nie zwróciła uwagi na snobistyczne zachowanie Percy'ego.

Zerknął na Signę i ostrzegł ją wzrokiem. Jak tylko wyjdą z apteki, zaczną się plotki. Chociaż ten, kto truł Blythe, mógł się już zorientować, że to wykryli, nie zamierzali ryzykować i dolewać oliwy do ognia. Nie chcieli, żeby Elijah się dowiedział, że można było uratować jego żonę, gdyby ktoś zwrócił baczniejszą uwagę na nietypowe objawy jej choroby.

– Moja przyjaciółka zjadła coś nieświeżego – zwróciła się do aptekarki Signa. – Szukam kalabarskiej fasoli, żeby pomogła jej się pozbyć toksyn z organizmu. I może czegoś na ból żołądka.

Staruszka taksująco zmrużyła małe oczka, po czym odchrząknęła gardłowo i pokuśtykała do regału w głębi, pełnego roślin i szklanych fiolek. Signa dołączyła do niej, a Percy trzymał się z tyłu oraz udawał brak zainteresowania, kiedy kobieta przeglądała półki.

Staruszka mamrotała pod nosem, coraz bardziej zirytowana, przeszukując rząd po rzędzie, aż wreszcie znalazła, czego szukała, i skwitowała to cichym: „Aha!”. Wyjęła małą fiolkę, zawierającą dziwny brązowy orzech. Kalabarska fasola.

Signa sięgnęła po lekarstwo, ale staruszka je odsunęła. Nachyliła się do Signy i szepnęła:

– Na pewno tego panienka szuka? To silna trucizna i nie pomoże na rozstrój żołądka.

Signa wiedziała, że kalabarska fasola jest niebezpieczna, ale wiedziała też, że jeśli niczego nie zrobi – jeśli nie zaryzykuje – Blythe umrze i Signa przez resztę życia będzie się zastanawiała, czy mogła ją uratować.

Kiwnęła głową i postanowiła zawierzyć Śmierci.

– Tak, proszę pani. Właśnie tego potrzebuję.

Kobieta rzuciła szybkie spojrzenie na Percy’ego i powiedziała bardzo cicho:

– Nic ci nie grozi, dziewczyno? Jeśli potrzebujesz czegoś dla niego, mam parę rzeczy trochę... dyskretniejszych.

Signa zbladła i chwyciła kobietę za ręce, mając nadzieję, że ten gest świadczy o jej szczerości.

– Wcale nie o to chodzi, zapewniam panią. To zupełnie wystarczy. Nieprzekonana aptekarka mruknęła coś i podała jej fiolkę.

– Rozetrzyj to na proszek. Potem rozpuść połowę w szklance wody, żeby wywołać wymioty.

Wymioty, które pomogą Blythe pozbyć się trucizny, jak Signa miała nadzieję.

Kobieta poczłapała na tyły sklepu, zamiatając spódnicą zakurzoną dębową podłogę. Szukała przez długą chwilę, aż wreszcie wyciągnęła słoiczek z małymi brązowymi ziarenkami, który przyniosła Signie.

– Kminek – wyjaśniła, wkładając jej słoiczek do ręki. – Pomoże na żołądek twojej przyjaciółce.

Niepokój Percy'ego wzrastał z każdą osobą, która przechodziła za brudnym, zmętniałym oknem wystawowym zielarni i mogła go zobaczyć w środku. Nieustannie bębnił o udo długimi palcami. Czujnie jak jastrząb obserwował kobietę, kiedy wręczała Signie nasiona kminku.

– Ma pani więcej tej kalabarskiej fasoli?

– Trudno znaleźć tę roślinę – odparła sklepikarka. – Na razie to wszystko, co mam.

Percy chrząknął z niezadowoleniem i wyjął portmonetkę.

– Ile jesteście winni?

Staruszka drgnęła, zaskoczona jego obcesowością, ale powiedziała stanowczo:

– Trzy pensy wystarczą.

Percy wcisnął szylinga w jej nadstawioną dłoń.

– Za dyskrecję.

Aptekarka prychnęła, po czym wrzuciła monetę do kieszeni.

– Zmykaj stąd, chłopcze, zanim dam ci powód do dyskrecji.

Nie musiała mu dwa razy powtarzać. Pospiesznie wyciągnął Signę z apteki, chociaż ona chętnie spędziłaby tam cały dzień, gawędząc ze staruszką o tych wszystkich pięknych roślinach. Miała wrażenie,

że obawiał się czymś zarazić od kobiety. Schowała fiolkę do kieszeni i czule objęła palcami słoiczek z ziarnami kminku.

Percy rozejrzał się szybko w obie strony, żeby się upewnić, że nikt nie patrzy, zanim otworzył drzwi.

– Ta kobieta jest szalona – oświadczył. – Nie ufam jej.

Signa się zjeżyła.

– To uzdrowicielka.

– To czarownica – burknął. – Ciągłe nie rozumiem, jak jakieś ziarenka mogą pomóc mojej siostrze, kiedy nic innego nie skutkuje.

Czarownica. To słowo sprawiło, że Signa przypomniała sobie wieczór śmierci Magdy.

– Nie nazywaj jej tak. Jeśli jakaś jagoda jest wystarczająco silna, żeby wpędzić w chorobę twoją siostrę i zabić twoją matkę, to dlaczego uważasz, że inna roślina nie ma mocy, żeby leczyć?

Na to nie znalazł odpowiedzi. Czuła, jak przepływają przez niego fale strachu. Wiedziała, że na jego miejscu broniłaby się przed nadzieją, że to małe ziarenko jakimś cudem wszystko naprawi. Bo jeśli nie...

– Pospieszmy się – mruknął Percy. – Musimy wrócić do powozu, zanim...

– Panna Farrow? – zawołał jakiś głos w głębi ulicy. – Panno Farrow, czy to pani?

Signa z przerażeniem zobaczyła, że zbliżają się do niej Eliza Wakefield i Charlotte Killinger w towarzystwie przystojnego dżentelmena o brunatnej skórze i jasnobrązowych kręconych włosach. Dżentelmen nosił modny oliwkowo zielony surdut i cylinder, którego uchylił z tak czarującym uśmiechem, że serce Signy zatrzepotało.

Pot wystąpił jej na czoło, kiedy Charlotte zauważyła, skąd wyszli. Na szczęście była zbyt uprzejma, żeby o tym wspomnieć, chociaż tego samego nie dało się powiedzieć o Elizie.

– Och, to pan – powiedziała Eliza i dygnęła przed Percym. – Tak myślałam, że to pan. Był pan w aptece?

Zanim Signa zdążyła mrugnąć okiem, Percy przybrał całkowicie nową osobowość.

– Żeby czarownica rzuciła na mnie klątwę? Nigdy w życiu – odparł tak lekkim, jowialnym tonem, że Signa zacisnęła zęby.

Eliza odwzajemniła jego irytujący uśmiech i zachichotała, jakby był najzabawniejszym człowiekiem na świecie. Czekwała, aż Charlotte i ich towarzysz przyłączą się do tego śmiechu, oni jednak zachowali kamienne twarze. Eliza wreszcie zdołała oderwać wzrok od Percy'ego na dostatecznie długą chwilę, żeby się opamiętać, skłoniła głowę i wzięła Signę za rękę.

– Przepraszam – powiedziała. – To jest mój kuzyn, lord Everett Wakefield, syn księcia Berness.

Ze złośliwym uśmieszkiem trzymała go za ramię.

Signa nigdy jeszcze nie spotkała lorda. Nosił się tak dumnie, że zastanawiała się, czy jest pierwszy w linii dziedziczenia, czy ostatni. Pamiętała z rozmowy na swojej powitalnej herbatce, że obok Percy'ego jest najbardziej pożądanym kawalerem w miasteczku i potencjalnym konkurentem, o którym rozmawiała z Blythe poprzedniego dnia.

Nawet gdyby Everett nie miał pieniędzy ani tytułu, przyciągałby uwagę swoim wyglądem i królewską postawą. Ramiona miał wyprostowane, pierś dumnie wypiętą, twarz pełną młodzieńczej energii, a jego importowany strój krzyczał o bogactwie. Obserwował



Signę z błyskiem w oku. Jeszcze nigdy nie spotkała równie przystojnego mężczyzny jak Everett Wakefield i zakreśliło jej się w głowie, kiedy się do niej uśmiechnął.

– Kuzynie – zagruchała Eliza – to jest Signa Farrow, o której ci opowiadałam.

Charlotte patrzyła z obojętną miną, jak Everett nisko skłonił głowę. Złote iskierki w jego orzechowych oczach błysnęły olśniewająco, kiedy spojrzał na Signę spod imponująco długich rzęs.

– Doskonale wiem, kim byli Farrowowie... poznałem kiedyś pani matkę, dawno temu.

Po kręgosłupie Signy przebiegły drobne elektryczne wyładowania, kiedy Everett wycisnął pocałunek na jej rękawiczce.

– Moją matkę?

Everett obdarzył ją promiennym uśmiechem.

– Nasi rodzice kiedyś się znali, chociaż niestety nie pamiętam pani ojca. Moje wspomnienia są niezbyt wyraźne, bo byłem wtedy małym chłopcem, chociaż pamiętam, jak cały dom się śmiał, kiedy zjawiała się pani matka. To była istna petarda i moja rodzina ją uwielbiała. Moje kondolencje z powodu pani straty, panno Farrow.

Signa musiała sobie przypomnieć, żeby odwzajemnić ukłon, zbyt pochłonięta myślami. Chciała zadać temu mężczyźnie milion pytań. Nigdy nie przypuszczała, że ktokolwiek nazwie jej matkę petardą. Jeśli podręcznik etykiety i historie opowiadane przez babkę Signy były prawdziwe, lord Wakefield z pewnością miał na myśli inną kobietę.

– Cudownie znowu panią widzieć, panno Farrow – wtrąciła Charlotte, chociaż ku zdumieniu Signy wydawała się raczej chora niż uradowana, a ręce trzymała ciasno splecione przed sobą. –

I pana również, panie Hawthorne. Niestety nie możemy dłużej pogawędzić, ponieważ jesteśmy umówieni w herbaciarni...

– Ojej, Charlotte, dziękuję, że mi przypomniałaś! – Eliza klasnęła.

– Wybaczcie mi bezpośredniość, ale bylibyśmy zachwyceni, gdybyście do nas dołączyli.

Nie uszło uwadze Signy, jak oczy Charlotte pociemniały, kiedy powiedziała:

– Nie jestem pewna, czy będziemy mogli tak w ostatniej chwili zwiększyć liczbę osób...

– Nonsens. Nikt nie odmówi dwóm najwybitniejszym dżentelmenom w mieście. – Eliza skierowała na Percy'ego pełne nadziei spojrzenie. – Z pewnością zrobią wyjątek, jeśli będzie pan tak miły i zechce nam towarzyszyć?

Percy zabębnił palcami po boku i rzucił ukradkowe spojrzenie na Signę.

Herbata, jak Signa zaczynała się przekonywać, nigdy nie oznaczała wyłącznie herbaty, a przyjęcie zaproszenia miało równie wielkie znaczenie, jak jego wystosowanie. Elizie nie wypadało samej ich zapraszać, jednak uwieszona u ramienia kuzyna, nabrała zuchwałości. W zasadzie nie wypadało odmówić herbaty z lordem i Signa to rozumiała, jednak ostrzeżenie Śmierci wciąż dźwięczało jej w uszach i mogła myśleć tylko o tym, żeby jak najszybciej zanieść Blythe antidotum.

– To bardzo miła propozycja, ale może przełożymy to na inny dzień? Nie chcemy się narzucać.

Eliza nawet nie przyjęła do wiadomości słów Signy.

– Wszyscy przepadają za tym miejscem. Proszę mi wierzyć, panie Hawthorne, jak reszta miasteczka zwącha pismo nosem, nie będzie

można się tam dostać. Everett i ja absolutnie nalegamy, żeby państwo się do nas przyłączyli, prawda, Everett?

Lord Wakefield uśmiechnął się do Signy.

– Obrazimy się, jeśli odmówicie.

I chociaż mówił kpiącym tonem, Signa wiedziała, że przegrała bitwę.

Blythe musi jeszcze wytrzymać.

Gdyby kalabarska fasola i wszystko, co sobą symbolizowała, nie ciążyła Signie w kieszeni, byłby to uroczy dzień na spacer. Eliza wzięła pod rękę z jednej strony Signę, a z drugiej Charlotte i trzy dziewczyny znacznie wyprzedziły mężczyzn.

– Co za przypadek, że was tu spotkałam. Taką miałam nadzieję, że zdąży pani poznać Everetta przed wiosną. Nadal zamierza pani zadebiutować w sezonie, prawda?

Oczywiście Signa musiała jeszcze porozmawiać z Marjorie, ale debiut na wiosnę brzmiał rozsądnie, więc kiwnęła głową.

– Taką mam nadzieję.

Charlotte uśmiechnęła się uprzejmie, ale blado.

– Zdaje się, że w tym sezonie pojawią się wszyscy i ich mamy.

– Masz całkowitą rację – zaśmiała się Eliza. – Znalezienie męża będzie prawdziwym wyzwaniem, zwłaszcza teraz, kiedy przyjdzie nam konkurować z panną Farrow. – Ostatnie słowa wypowiedziała konspiracyjnym szeptem. – W tym wyścigu będzie pani faworytką, na którą będą stawiać wszyscy mężczyźni. Mamy szczęście, że tylko jedna z was z Thorn Grove wystąpi w tym sezonie, bo to samo będzie, kiedy zadebiutuje Blythe. I na szczęście dla mnie ten, który wpadł mi w oko, jest pani krewnym.

Chociaż ustawiczna paplanina Elizy była męcząca, dziewczyna była całkiem ładna i pochodziła z majątnej rodziny, toteż Signa wiedziała bez pytania, że Percy mógł odwzajemnić jej

zainteresowanie. Ale czy Elizie nadal by na nim zależało, gdyby nie odziedziczył Grey's?

– Przepraszam was – Eliza oderwała się od towarzyszek – ale zacznę z wyprzedzeniem.

Zrobiła szybki krok do tyłu, zajęła miejsce u boku Percy'ego i przechylając głowę, śmiała się ze wszystkiego, co powiedział.

Signa, pozostawiona z Charlotte, zapytała:

– Czy to prawda, co powiedziała panna Wakefield? Nigdy nie myślałam, że mój debiut może stwarzać dla kogoś problemy.

Z pewnością nie to zwarzyło nastrój Charlotte, kiedy ostatnio rozmawiały. Tak, Signa miała pieniądze, ale inne panny znacznie lepiej nadawały się do prowadzenia domu. Signa nie chciała od razu mieć dzieci, poza tym fatalnie grała na fortepianie i nie umiała szyć. Nie wspominając o tym, że w sezonie będą znacznie piękniejsze panny, na przykład Charlotte, którą każdy chciałby mieć za żonę.

– Nie żeby to był problem. – Charlotte zniżyła głos i Signa musiała wyęczać słuch, żeby ją usłyszeć. – Ale to utrudnia zadanie tym z nas, które muszą znaleźć dobrą partię. Gdyby Blythe nie zachorowała, sytuacja wyglądałaby tak samo. Mężczyźni pchają się najpierw do tych najbogatszych, a reszta z nas dostanie ochłapy i będzie musiała się tym zadowolić.

– A co z małżeństwem z miłości? – zapytała Signa, której nie w smak była taka bezwzględna deklaracja. – Przecież nie ma znaczenia, ile panien debiutuje każdego sezonu, jeśli ktoś wybierze jedną z nich?

Charlotte spuściła głowę i spojrzała na Signę, jakby ją zobaczyła po raz pierwszy.

– Odkąd zmarła moja matka i musieliśmy się przeprowadzić po tym skandalu, ojciec usiłuje utrzymać nas na powierzchni. Nie miał syna, więc moim obowiązkiem jest znaleźć kogoś, kto zapewni byt naszej rodzinie. Nie stać mnie na luksus małżeństwa z miłości, panno Farrow. Zresztą przekona się pani, że to dotyczy większości z nas. Jeśli tego pani pragnie, życzę pani szczęścia, ale mnie zależy tylko na zabezpieczeniu swojej przyszłości. Więc proszę mi wybaczyć, że nie okazuję entuzjazmu, jeśli muszę z panią konkurować już w moim pierwszym roku.

Słowa Charlotte zapiekły jak ogień. Signa wiedziała, że sama może decydować o swojej przyszłości, ale nigdy nie przyszło jej do głowy, że inne kobiety muszą związać się z mężczyznami, których nie kochają, żeby po prostu przeżyć. Wcale tego nie chciała dla swojej przyjaciółki.

Signa pragnęła małżeństwa z miłości. Chciała kogoś, z kim mogłaby tańczyć i śmiać się do późnej nocy. Chciała kogoś, kogo towarzystwo nie znudzi jej się przez wiele lat. I chciała tego samego dla przyjaciółki.

Zamierzała zapytać Charlotte, czy jest ktoś, kto jej się podoba, ale zamilkła, kiedy zbliżyły się do małej herbaciarni. *Innym razem*, pomyślała. Porozmawiają innym razem.

Everett przytrzymał drzwi otwarte i dziewczyny jedna po drugiej weszły do środka.

Herbaciarnia była czysta i urokliwa. Nakryto już dla nich duży, okrągły mahoniowy stół, zastawiony paterami, na których pięknie ułożono pozłacane ptifurki, trójkątne placuszki z gruszkowym dżemem i czekoladą, miniaturowe lukrowane tarty owocowe i delikatne kanapeczki z ogórkiem. Żołądek Signy zdradziecko

zaburczał. Chciała skosztować tego wszystkiego. Co za szkoda, że zasady etykiety są takie surowe. O ile życie byłoby prostsze, gdyby nie musiała pamiętać, co powinna zjeść i w jakiej kolejności. Znacznie bardziej podobała jej się filozofia Śmierci: jeśli czegoś chcesz, po prostu to weź.

Everett przysunął krzesła dla Signy i Charlotte, która usiadła z takim wdziękiem, na jaki Signa nigdy nie mogłaby się zdobyć. Percy zrobił to samo dla Elizy, która rozłożyła czarny wachlarz i zatrzepotała nim, żeby ukryć rumieniec, chociaż Signa była pewna, że tamta tylko udawała. Najwidoczniej istniał sekretny język wachlarzy, którego Signa nie rozumiała. Jednak Percy patrzył jak urzeczony, kiedy Eliza wachlowała się powolnymi, odmierzonymi ruchami nadgarstka. Im dłużej się wachlowała, tym większą Signa miała ochotę sięgnąć przez stół, wyrwać jej to paskudztwo i wyrzucić przez okno, bo nawet nie było gorąco, a przeciąg rozwiewał jej włosy i łaskotał ją w twarz.

Everett chyba miał podobne odczucia: skrzywił się i powstrzymywał śmiech, patrząc na kuzynkę. Kiedy napotkał spojrzenie Signy, uśmiechnął się ironicznie. Charlotte spokojnie odwróciła wzrok, wsypując cukier do herbaty.

– Od dawna mieszka pani w Thorn Grove, panno Farrow? – zagadnął Everett, zajmwszy miejsce. Zaczekał, aż kobiety poczęstują się przysmakami, zanim sam nałożył sobie porcję na mały porcelanowy talerzyk.

Percy rozpostarł sobie serwetkę na kolanach, po czym dołożył po placuszku na talerze Elizy i Signy. Kimże była Signa, żeby odmówić smacznego placuszka? Posmarowała go cytrynową marmoladą i gęstą śmietaną z największym wdziękiem, na jaki mogła się

zdobyć, ukrywając wygłodniały wzrok za maską spokojnego opanowania.

– Już od miesiąca – odparła z nadzieją, że Everett przerwie pytania i pozwoli jej ugryźć chociaż kęs. – Thorn Grove to piękne miejsce. Państwo Hawthorne wyświadczili mi wielką łaskę, że pozwolili mi u siebie zamieszkać.

– Nonsens – skarcił ją Percy. – Należysz do rodziny. Cieszymy się, że jesteś z nami.

Signa ugryzła placuszek, żeby powstrzymać się od riposty. Dlaczego wcześniej nie był taki uprzejmy, kiedy wygonił ją z apteki albo krytykował jej taniec?

– Wiecie, Signa ma na wiosnę urodziny – powiedziała Eliza. – Zadebiutuje w tym sezonie.

– To chyba znaczy, że będziemy się często widywać, bo ja też zamierzam tu zostać w nadchodzącym sezonie. – Uśmiech Everetta był nieprzyzwoicie czarujący.

Kęs placuszka utknął Signie w gardle. Popiła go dużym łykiem parującej herbaty. Gorący płyn sparzył ją w język i przypomniała sobie jedną z zasad wymienionych w *Poradniku urody i etykiety dla dam*: „Herbatę należy popijać maleńkimi łyčzkami i nie wolno dmuchać na napój, nawet bardzo gorący”.

– Cóż za zbieg okoliczności.

Signa nie wiedziała, czy to od drżenia serca, czy z nerwów żołądek jej się ściska. Everett teoretycznie był wszystkim, o czym Signa marzyła – przystojny, czarujący, uprzejmy i oczywisty lew salonowy. Niezbyt jej imponowała jego pozycja, ale z pewnością mogła tylko przynieść korzyści, sądząc po ukradkowych, zaciekawionych spojrzeniach, jakie przyciągali. Ale, dobry Boże,



jeżeli zwykłe picie herbaty za każdym razem było takim wyczerpującym zadaniem, Signa nie miała pojęcia, jak sobie poradzi w roli bywalczyń salonów, o jakiej zawsze marzyła. Przelotnie pożałowała, że nie może zapytać matki, jak ona to zносиła.

Upiła następny łyk zbyt gorącej herbaty i sięgnęła po kanapkę z ogórkiem, po czym posmarowała racuszek masłem. Pozwoliła Percy'emu gadać, a sama zajęła się jedzeniem. Im szybciej ono zniknie, tym szybciej wróca do Thorn Grove i Blythe i wreszcie będzie mogła spokojnie się zastanowić.

Percy zachowywał się jak wzór dżentelmena, nadskakiwał Elizie i prawił jej komplementy, które budziły jej zachwyt. Odgrywał bawidamka, jakim podobno był kiedyś jego ojciec, wypytywał Charlotte i Elizę o ich hobby i czy ostatnio oglądały jakieś przedstawienie w operze. Z nadzwyczajną troskliwością dolewał Elizie herbaty i wdziękzył się w sposób, jakiego Signa się po nim nie spodziewała. Tymczasem Charlotte rozmawiała z Everettem o jego licznych podróżach.

Signa słuchała zafascynowana, jak omawiali przyjęcia i imprezy sportowe, w których nie miała szczęścia uczestniczyć. Włączyła się do rozmowy, kiedy Everett zaczął ją wypytywać o jej zainteresowania i co ona i Percy robią w mieście. Percy oczywiście zdążył skłamać, zanim ona wymyśliła odpowiedź. Przez cały czas dotkliwie odczuwała sztywność kręgosłupa i bolała ją szyja, którą starała się trzymać prosto. Miała pewność, że złamała sporo zasad etykiety obowiązującej przy posiłkach – na przykład co jeść w jakiej kolejności, kiedy słodzić herbatę, iloma palcami podnosić filiżankę do ust – ale na szczęście nikt nie zgłaszał żadnych zastrzeżeń, chociaż kilka razy zauważyła, że Eliza gapi się na nią. Mimo że

miała wpojone pewne zasady, w praktyce wydawały się nienaturalne. W końcu całkiem przestała jeść i pić, żeby nie urazić nikogo na sali, kto ją widział u boku lorda Wakefielda.

Reszta popołudnia minęła jak we śnie. Signa zadała kilka pytań, ale nie mogła całkiem się odprężyć ze strachu, że zrobi albo powie coś niestosownego. Może niepotrzebnie się martwiła, skoro Eliza była zbyt zakochana w Percym i zajęta wachlowaniem się, żeby policzyć placuszki skonsumowane przez Signę, a Charlotte i Everett okazali jej tylko serdeczność. Jednak pod wpływem stresu skóra jej cierpła i żołądek wywracał się na lewą stronę.

Wreszcie, kiedy herbata wystygła i jedzenie zniknęło, Percy odłożył poskładaną serwetkę na stół i wstał. Everett poszedł w jego ślady i pomógł wstać Signie i Charlotte. Kiedy już wszyscy stali, podał Signie ramię.

Na chwilę uległa panice, zanim przyjęła jego rękę i pozwoliła, żeby ją wyprowadził z herbaciarni.

– Miło mi było panią poznać – powiedział, błyskając w uśmiechu najbielszymi, najprostszymi zębami, jakie Signa widziała w życiu. – Nie mogę się doczekać, żeby lepiej panią poznać, panno Farrow, w nadchodzącym sezonie.

Przez lata Signa wyobrażała sobie taką chwilę. Jednak w tych wyobrażeniach nigdy pot nie spływał jej po plecach ani umierająca kuzynka nie czekała, żeby dostarczyć jej lekarstwo. Tego już było dla niej za wiele, więc odsunęła się od Everetta i uczepiła Percy'ego z nadzieją, że jej uśmiech wygląda przekonująco.

– Ja też nie mogę się doczekać – zapewniła Everetta i dyskretnie wbiła paznokcie w ramię Percy'ego, który z uśmiechem nakrył jej dłoń swoją ręką.

Uśmiech Everetta był taki szczery, że Signa aż się skręciła wewnątrz z poczucia winy. Wiedziała jednak, że nie ma na to czasu, bo czeka ją pilniejsze zadanie. Pożegnawszy się, zawróciła i pociągnęła Percy'ego do powozu, który czekał, żeby zawieźć ich z powrotem do Thorn Grove.

Gdy tylko wsiedli do powozu, Percy zaciągnął zasłony i odetchnął głęboko, opadając na siedzenie.

– Nie mogę uwierzyć, że niemal zobaczyli nas w aptece. – Zacisnął usta i wyglądał znacznie surowiej niż przed paroma minutami. Ta nagła zmiana smagnęła Signę jak biczem. – W dodatku tam był syn księcia.

Signa żałowała, że powóz nie jedzie szybciej.

– Czy to naprawdę ma znaczenie, gdyby nas zobaczyli? – zapytała. – Przecież każdy z odrobiną współczucia powinien zrozumieć naszą desperację i szukanie alternatywnych lekarstw dla Blythe.

– Też mam taką nadzieję – powiedział Percy. – Ale to również mogło wzbudzić w nich podejrzliwość.

Signa przybrała obronną postawę.

– Jak to podejrzliwość?

– Ponieważ im dłużej o tym myślę, tym dziwniejsze mi się wydaje, że akurat ty przypadkiem wiesz, co dolega mojej siostrze, a w dodatku podobno znalazłaś antidotum. – Zwęził zielone oczy. – Chcę ci ufać, kuzynko, ale muszę przyznać, że nie bardzo rozumiem twoje nagłe zainteresowanie Blythe. Pogorszyło jej się, odkąd przyjechałaś, i trudno mi się oprzeć podejrzeniu, że to z twojego powodu.

Signa zmartwiała. Zimna, lodowata zgroza wpełzła jej do żołądka. Nie widziała dotąd takiego wyrazu w oczach Percy'ego: obcego,

pełnego jadu. Rozumiała go, bo Blythe była jego siostrą, i nie wątpiła, że zrobiłby wszystko, żeby ją chronić.

Ale nie wiedziała, jak go przekonać. Kalabarska fasola też była w zasadzie trucizną. Jeśli Percy się o tym dowie, nie pomoże jej.

– Sama najpierw zażyję antidotum, jeśli potrzebujesz dowodu – zaproponowała wreszcie. – Czy to cię uspokoi?

Percy znieruchomiał, słysząc tę deklarację. Potem odchylił się do tyłu na skórzanym siedzeniu i popatrzył na Signę. Rozważył jej propozycję i kiwnął głową – bo o ile wiedział, nie istniał lepszy dowód.

– Doskonale – powiedział.

– Więc sprawa załatwiona.

Signa złożyła ręce na kolanach i liczyła upływające minuty. Nie chciała się przejmować jego wahaniem; Thorn Grove, pomimo swoich dziwactw, było najlepszym miejscem, w jakim dotąd mieszkała, i zdążyła już polubić jego mieszkańców. Nie chciała również zdradzić, jaką przykrość jej sprawiło snobistyczne zachowanie Percy'ego w aptece, ponieważ był żywym symbolem wyższych sfer. Jego reakcja, a także jej skrępowanie przy herbacie świadczyły wymownie, jak bardzo nie pasowała do tego towarzystwa.

Mogła uformować samą siebie jak glinę. Mogła nosić długie suknie, upinać włosy i nakładać róż na policzki – mogła nawet udawać zainteresowanie, gdyby musiała. Odkąd była małą dziewczynką, zawsze wiedziała, że takie jest jej przeznaczenie. Babcia jej to wytłumaczyła. Powiedziała, że Signa wyjdzie za mąż i będzie chodzić na przyjęcia. Powiedziała, że Signa będzie jak jej matka, a Signa jej uwierzyła, bo tylko tego zawsze chciała. Teraz

jednak pojawiło się coś jeszcze. Ciekawość. Ciemność, która wzbierała w niej przez te wszystkie lata i może nie była taka mroczna, jak niegdyś się wydawała. Signa poczuła moc. Poczwała żar na skórze pod dotykiem mężczyzny. Poczwała, jak to jest wymknąć się w nocy i galopować na koniu w blasku księżyca.

I ta ciemność podobała jej się bardziej, niż chciała przyznać.

W milczeniu zadreślała się tymi myślami przez całą drogę, a potem w kuchni, gdzie roztarła kalabarską fasolę, i kiedy szła po schodach na górę, do pokoju Blythe, z Percym u boku.

W chwili, kiedy otwarała drzwi, jakby ktoś walnął ją obuchem w pierś. Śmierć wisiała w powietrzu jak duszący dym.

Na szczęście sam Śmierć jeszcze się nie pojawił. Nie czał się w cieniu, czekając na nią. Zrozumiała, że ślady jego obecności w tym pokoju były ostrzeżeniem. Jeśli miała uratować Blythe, musiała działać szybko. Percy też na pewno zrozumiał, że czas nagli, bo wystarczyło tylko jedno spojrzenie na siostrę i kolana się pod nim ugięły.

Blythe leżała na łóżku na wznak i wyglądała niemal jak nieżywa. Oddychała płytko i urywanie. Kiedy usłyszała, że weszli do sypialni, powieki jej zatrzepotały, ale nie mogła długo utrzymać otwartych oczu.

Signa usiadła obok niej, nie czekając na pozwolenie. Wzięła szklanke wody z nocnego stolika, wsypała do niej proszek z rozartej fasoli i zamieszała, aż płyn zrobił się mlecznobiały.

Zanim zdążyła zrobić coś jeszcze, Percy chwycił ją za ramię. W oczach miał płomień.

– Ty pierwsza – zażądał.

Patrząc mu w oczy, Signa podniosła szklanke do ust i wzięła łyk.

Wiedziała, że jej żołądek za chwilę zaprotestuje, więc zacisnęła zęby i nie traciła więcej czasu.

Wsunęła ramię za kark Blythe i pomogła jej usiąść. Dopiero kiedy przysunęła jej szklankę do ust, zawahała się. Blythe była lekka jak piórko, głowa jej opadała bezwładnie na ramię Signy. Nie wiadomo było, czy zniesie kurację. Życie szybko z niej uciekało, a kalabarska fasola sama też była trucizną; wywoła torsje, chociaż powinna też przeciwdziałać skutkom belladonny.

– To będzie trudne – ostrzegła Signa – ale musisz walczyć. Jeśli poczujesz, że zbiera ci się na wymioty, nie powstrzymuj się. To pomoże.

Blythe nie odpowiedziała, ale trzepotanie jej rzęs świadczyło, że zrozumiała.

Percy stał obok i przyglądał się niespokojnie.

– Czy nic jej nie będzie?

Signa mogłaby go zabić za to pytanie. Spojrzała na niego ostrzegawczo. Blythe była chora, ale wszystko słyszała.

– To powinno jej bardzo pomóc – zapewniła Signa, nie dodając: „Jeśli jej organizm to wytrzyma”.

Nakłoniła Blythe do wypicia połowy szklanki. Potem podniosła z podłogi miszkę, której wkrótce będą potrzebować.

– Przepraszam – szepnęła, odgarniając z czoła Blythe wilgotne, zlepione pasma jasnoblonde włosów. – Myślałam, że tylko lekarstwo jest zatrute, ale teraz już nie jestem pewna.

– Albo może któreś z nas się wygadało przy niewłaściwej osobie.  
– Szept Percy’ego brzmiał oskarżycielsko.

Signa rzeczywiście przed kimś się wygadała, chyba nazbyt pochopnie. Ale Sylas jej pomógł; pokazał jej bibliotekę i zabrał ją do

Grey's. Gdyby chciał śmierci Blythe, z pewnością nie byłby tak uczynny.

– Nikt się nie wygadał – oświadczyła z przekonaniem Signa. – Widocznie coś przeoczyłam. Musimy dokładniej sprawdzać wszystko, co ona je i pije.

– A twoje lekarstwo? – Wskazał resztę mlecznobiałego płynu. – Czy go wystarczy, jeśli to się powtórzy?

Signa przytaknęła.

– Na jeszcze jedną dawkę. Chociaż miejmy nadzieję, że nie będzie potrzebna.

– Módlmy się, żebyś miała rację.

Percy z pochmurną miną patrzył, jak Signa przygotowuje nasiona kminku, żeby je podać Blythe po ataku mdłości, który wkrótce nastąpił.

– Zostanę z nią – powiedziała.

Na szczęście w samą porę zdążyła podsunąć Blythe miskę. Znowu odgarnęła jej włosy z twarzy. Sama też miała skurcze żołądka, targały nią mdłości i zimny pot wystąpił na skórę. Nie chciała okazywać słabości przy Percym; skurcze wkrótce miną.

– Potrzebujemy wody – oznajmiła surowym, autorytatywnym tonem. – Idź do kuchni i poproś o trochę chleba. Ona będzie musiała zjeść coś lekkiego na żołądek, kiedy minie najgorsze. I proszę, bądź dyskretny.

Percy kiwnął głową i po raz ostatni spojrzął na siostrę. Nigdy jeszcze nie widział u niej tak zapadniętych policzków, tak pustych oczu. Odwrócił się na pięcie, nie dodając już ani słowa, i stukot jego obcasów ucichł w korytarzu.



\*

Dopiero późnym wieczorem Blythe zaczęła się uspokajać. Signa nie była pewna, czy kuzynka przeżyje, bo oddychała z coraz większym trudem i skórę miała rozpaloną od gorączki. Ale w którymś momencie podczas tych długich godzin nastąpiło przesilenie. Gorączka spadła i torsje ustały. Blythe leżała w łóżku, z włosami splecionymi w luźny warkocz, który zaplotła jej Signa pomiędzy opróżnianiem miski a donoszeniem wody.

Blythe oddychała teraz głęboko i wreszcie mogła utrzymać otwarte oczy.

– Jesteś ze mną? – zapytała Signa i odprężyła się, kiedy Blythe kiwnęła głową. Wzięła bochenek chleba z tacy, którą przyniósł Percy, oderwała mały kawałek i podała Blythe. – Spróbuj to zjeść. Przez jakiś czas będziesz osłabiona, ale myślę, że wyzdrowiejesz. Musimy tylko uważać na wszystko, co wkładasz do ust.

Chleb wysliznął się z palców Blythe; była za słaba, żeby go utrzymać. Łzy wezbrały jej w oczach, ale Signa nie zamierzała dać za wygraną. Podzieliła bochenek na jeszcze mniejsze części i wsunęła kęs do ust Blythe. Karmiła ją kawałek po kawałku, pozwoliła jej oprzeć głowę na swoim ramieniu, pozwoliła się wypłakać, aż wyczerpana dziewczyna nie mogła już przełknąć ani jednego kęsa i wypłakać ani jednej łzy, i zasnęła.

Signa pogłaskała po głowie śpiącą kuzynkę, pragnąc przelać w nią trochę siły.

– Nie martw się – szepnęła. – Znajdę tego, kto ci to zrobił. Obiecuję.

Cichy głos spod drzwi zapytał:

– Jak ci się udało jej pomóc?

Marjorie przyglądała im się błyszczącymi oczami. Dostrzegła szklankę na stoliku przy łóżku, widoczny dowód.

– To tylko stare lekarstwo, które znalazłam w bibliotece – szepnęła Signa, nie wiedząc, co powiedzieć.

Rozumiała, że Marjorie mogła ją wyrzucić, gdyby chciała. Mogła uznać ją za czarownicę i wypędzić z Thorn Grove. Ale oczy guwernantki złagodniały.

– Ty też powinnaś odpocząć.

Signie ścierpła skóra na myśl, żeby zostawić Blythe samą albo zdaną na cudzą opiekę. Jednak na razie w pokoju nie wyczuwało się obecności Śmierci, jego ostrzeżenie zostało wycofane. Blythe znowu udało się uratować.

Signa mogła tylko mieć nadzieję, że ratowała ją po raz ostatni.

Ostrożnie ułożyła głowę Blythe na poduszce i wyśliznęła się z łóżka. Na nocnym stoliku zostawiła kawałeczki chleba i dwie szklanki wody. Do jednej dodała zmielonego kminku, dobrego na rozstrój żołądka. Na razie tylko tyle mogła zrobić.

– Najlepiej pozwolić jej się wyspać – powiedziała Marjorie.

Signa wiedziała, że nie ma prawa się sprzeciwić. Nawet jeśli pomogła Blythe, nadal była prawie obca dla Hawthorne'ów. Poza tym była kobietą, i w dodatku młodą. Chociaż bardzo chciała zaszyć się w pokoju Blythe i czuwać nad nią przez cały czas, rodzina nigdy by na to nie pozwoliła, skoro zatrudniała prawdziwych lekarzy.

Tak więc Signa zebrała spódnice w garść i pozwoliła się wyprowadzić. Poszła za Marjorie korytarzem oświetlonym świecami do swojego pokoju.

Marjorie zwolniła w korytarzu, więc Signa musiała się do niej dostosować.

– Pasujesz do Thorn Grove lepiej, niż się spodziewałam – powiedziała guwernantka. Nocne ciemności skrywały ślad uderzenia na jej twarzy. W słabym blasku kinkietów Signa widziała tylko blednący siniec na dolnej wardze.

– Dziękuję – bąknęła, przypominając sobie, że widziała, jak powstał ten ślad. Zaciśnęła pięści po bokach.

– Przyjemnie widzieć, że dobrze się dogadujesz z pannami w twoim wieku. – Obcasy butów Marjorie stuknęły głośno na drewnianej podłodze. – Pragniesz zadebiutować w tym sezonie, prawda?

Zapewne to była dziwna chwila na rozmowę o takich sprawach, ale przedłużająca się obecność Śmierci w Thorn Grove dała się wszystkim we znaki i Signa przekonała się, że kiedy nieustannie myślisz o śmierci, takie błahe rozmowy dają wytchnienie. Marjorie zapewne czuła to samo.

– Nie chcę sprawiać nikomu kłopotu – powiedziała Signa. – Wtedy już przeniosę się z Thorn Grove do własnego domu. Mogę zadebiutować po wyjeździe...

– Nie masz za co przepraszać, Signo. Wspaniale dajesz sobie radę z lekcjami i myślę, że twój debiut w wiosennym sezonie to dobry pomysł. Poza tym nikt się nie zgodzi, żebyś zadebiutowała sama, bez stosownej przyzwoitki. To nie wypada.

Signa wciągnęła policzki.

– Myśli pani, że to dobry pomysł?

– Tak. I jutro porozmawiam o tym z Elijahem. – Signa zauważyła, jak swobodnie Marjorie wymieniła imię pana domu. – Tymczasem

w święta wydajemy bal, na którym się zjawisz. To będzie dla ciebie dobre ćwiczenie.

Krew napłynęła do policzków Signy. Przez cały dzień zajmowała się tylko chorobą Blythe. Plecy ją bolały, oczy same się zamykały i na pewno cuchnęła potem. Jednak pomimo tego wszystkiego słowa Marjorie wzbudziły w niej podniecenie. To była jej szansa, żeby udowodnić sobie i innym, że nadaje się do życia poza zasięgiem cienia. Do życia, które zawsze było jej pisane. Chciała być jak jej matka albo Lillian – kimś uwielbianym, o kim opowiada się historie. Kimś, kogo imię wymawia się z czułością.

– Ja... bardzo bym chciała.

Marjorie się uśmiechnęła.

– Więc wszystkiego dopilnuję. Najwyższy czas, żeby Thorn Grove zaczęło wydawać prawdziwe przyjęcia... może właśnie tego wszyscy potrzebują.

Sylas czekał na Signę w jej apartamencie. O mało nie wybiegła z powrotem na korytarz na widok głowy wysuwającej się zza łóżka. Stłumiła okrzyk zaskoczenia, który palił ją w gardle.

– Jak się czuje panna Hawthorne? – To była pierwsza rzecz, o którą zapytał. Wystarczyło, żeby Signa złagodniała.

– Antidotum podziałało – odpowiedziała.

Wyjrzała na korytarz, żeby się upewnić, czy są sami, po czym zamknęła drzwi na klucz. Skrzywiła się z niezadowoleniem, kiedy odkryła, dlaczego w pokoju jest tak zimno. Sylas znowu wdrapał się po wierzbie i zostawił otwarte drzwi balkonowe, żeby szybko uciec w razie potrzeby.

– W końcu nas przyłapią. – Chociaż Signa była wyczerpana, nie potrafiła się zdobyć na oziębłość. Dzięki jego pomocy Blythe została uratowana.

– Jeszcze nas nie odkryli.

Sylas wyszczerzył zęby i przysiadł na krawędzi łóżka. Signie zrobiło się gorąco, kiedy na niego patrzyła. Odgarnęła włosy za ucho, nagle świadoma, że cuchnie chorobą i bardzo potrzebuje kąpieli.

– Chcę ci podziękować za pomoc – zaczęła, pocąc się pomimo zimna. – Wiem, że ci zapłacę, ale mimo wszystko to wiele znaczy. Sytuacja jest niebezpieczna i mojej kuzynce przyda się każda pomoc.

Usiadła na szeszlunku z obawy, że gdy znajdzie się zbyt blisko niego, może mu podsunąć pewne... pomysły. On jednak wstał i zajął

krzesło naprzeciwko niej.

– Wyciągnąłem rejestry wszystkich zatrudnionych w Thorn Grove, a także wszystkich zwolnionych w ciągu ostatniego roku. – Sylas wskazał gruby plik papierów, który położył już na biurku Signy. – Niczego nie znalazłem w tych, które przejrzałem, ale może tobie bardziej się poszczęści. Uważaj, żeby nikt ich nie znalazł. Raczej trudno byłoby ci wytłumaczyć, skąd je masz.

Signa kiwnęła głową. Pilno jej było zabrać się do tych dokumentów, ale to zadanie musiało poczekać do rana. Gdyby teraz próbowała je czytać, pewnie nie zrozumiałaby ani słowa. Marzyła tylko, żeby się wykąpać i przebrać w coś wygodniejszego, zanim Śmierć się zjawi o północy. Ale przedtem, skoro Sylas tu był, chciała wyjaśnić jedną rzecz, nad którą się zastanawiała, odkąd Percy ją oskarżył.

– Dlaczego w ogóle zgodziłeś się mi pomóc? – Słowa same się jej wyrwały i nie rozumiała, dlaczego serce jej wali tak mocno pod jego wzrokiem. – Nawet pomijając pieniądze, czy nie obawiasz się o swoją reputację? Nic dobrego ci z tego nie przyjdzie, jeśli cię nakryją.

Nie musiał się długo namyślać, zanim odpowiedział.

– Szczerze mówiąc, panno Farrow, z mojej reputacji niewiele już zostało.

Zauważył, że spuściła wzrok na jego buty, podziwiając błyszczącą skórę wysokiej jakości. Przesunął stopę w bok, jakby w ten sposób mógł uniknąć inspekcji.

– Nie jestem bezinteresownym człowiekiem – wyznał. – Nie narażałbym się tak, gdybym nie miał w tym bardzo konkretnego

interesu. Wystarczy ci wiedzieć, że pomagając ci, zdobędę środki, żeby pomóc komuś bardzo mi drogiemu.

Signa pożałowała, że nie ma choćby łyka wody, bo nagle zaschło jej w ustach. Sylas mówił z takim przejęciem, z taką żarliwą pasją, że natychmiast zagotowała się z zazdrości o osobę, która wzbudziła tak głębokie uczucie. Szybko poklepała się po policzku, próbując ugasić rumieniec. Nie wypadało, żeby tak się interesowała Sylasem, skoro jego serce należało do innej. Nic nie mogła poradzić na to, że jej się podobał i że lubiła jego towarzystwo. No cóż, więc po prostu zostaną przyjaciółmi. Przyjaciółmi i nic więcej.

Poza tym nie tylko Sylas pojawiał się aż nazbyt często w myślach Signy. Był jeszcze inny mężczyzna, którego pragnęła ponownie zobaczyć, chociaż nie chodziło jej o przyjaźń.

– Bez względu na powody jestem panu wdzięczna, panie Thorly.

Sylas jakby rozpromienił się wewnątrz na tę pochwałę.

– Wystarczy Sylas – zapewnił. – I oczywiście nie trzeba dziękować. Będę nadstawiał uszu i skontaktuję się, jeśli usłyszę coś istotnego.

Signa chciała zadać jeszcze kilka pytań i wyciągnąć od niego więcej szczegółów. Ale nie miała czasu, bo zbliżała się północ. Wstała, a Sylas poszedł za jej przykładem, rozumiejąc aluzję, że spotkanie dobiegło końca.

– Dobrej nocy, Sylasie.

Splotła dłonie przed sobą, zastanawiając się, czy powinna być bardziej zgorszona, czy podekscytowana faktem, że zakradł się przez okno.

Sylas podszedł do okna i przelazł na gałąź wierzby w sposób na tyle dystyngowany, na ile było to możliwe. Znalazłszy bezpieczne

oparcie, odwrócił się do Signy i światło księżyca zabłysło w jego oczach.

– Miłego wieczoru, panno Farrow. Odezwę się wkrótce.



Godzinę później, kiedy wybiła północ, Signa była gotowa.

Chodziła tam i z powrotem po swoim salonie, czekając, aż do środka wypełni ciemność i Śmierć przyniesie ze sobą chłód późnej jesieni. Była zadowolona, że założyła kapcie i narzuciła szlafrok na cienką koszulę nocną. W powietrzu wisiała zapowiedź nadchodzącej zimy, ostry ziąb kąsał jej skórę.

– Dobrze się spisałaś. Cieszę się, że znalazłaś sposób, żeby pomóc Blythe.

Śmierć popatrzył na ciemne, wyszczotkowane sploty Signy i policzki wyszczypane do różowości. Po wyjściu Sylasa spędziła następną godzinę na chaotycznych rozważaniach, przygotowała sobie wszystkie pytania, które chciała mu zadać, wszystkie kwestie, które chciała z nim przedyskutować.

– Tylko dlatego, że mnie ostrzegłeś. – Signa wykręcała sobie ręce.  
– Chociaż to tymczasowe rozwiązanie. Powiedz mi... czy jesteś pewien, że nie masz pojęcia, kto stał za śmiercią Lillian?

Śmierć przysiadł na poręczy szeslonga.

– To nie jest żaden skomplikowany plan. Jak ci wcześniej mówiłem, moja zdolność widzenia jest ograniczona. Kiedy kogoś dotykam, odbieram mu życie. Ten dotyk pokazuje mi urywki jego przeżytych lat, ale nie jestem jasnowidzem ani nie jestem wszechwiedzący.

Signa westchnęła. Chociaż tego się spodziewała, byłoby znacznie łatwiej, gdyby coś wiedział.

– A co z twoimi mocami, Signo? – Podniósł się z szezlonga i zbliżył do niej. Z każdym jego krokiem serce trzepotało jej w piersi i zimny ogień ogarniał płuca. – Zawsze ciekawiła mnie jedna rzecz. Kiedy dotknęłaś Magdy, czy coś zobaczyłaś?

Zagrzebała głęboko wspomnienie tamtej nocy i wołała nigdy nie myśleć o tym, co zrobiła. Teraz jednak rozważyła to pytanie i pokręciła głową. Śmierć mógł widzieć życie tych, których zabierał, ale Signa niczego nie widziała, kiedy dotknęła Magdy.

Śmierć mruknął coś pod nosem.

– Wprawdzie posiadasz moje moce – powiedział – ale chyba nie potrafisz z nich korzystać w tym samym stopniu. Przynajmniej na razie.

– Co to znaczy „na razie”? – Signa stała bez ruchu, kiedy zbliżył się jeszcze o krok.

Cienie zakołysały się na ścianach wokół niego tam i z powrotem w powolnym tańcu, który podziałał na nią uspokajająco.

– To tylko taka myśl, ale zastanawiałem się, czy nie mogłabyś lepiej wykorzystać swoich zdolności, ptaszynko, gdybyś nie żyła.

W końcu wystarczyło jej rozsądku, żeby cofnąć się o krok.

– Ale ja nie mogę umrzeć. Nie chcę.

– Właśnie – powiedział. – Zapewniam cię, że masz przed sobą bardzo długie i bogate życie. To tylko teoria, ale wierzę, że kiedy twoje życie dobiegnie końca... a kiedyś to nastąpi, Signo... te moce będą na ciebie czekać.

Signa objęła się ramionami.

– Myślisz, że jestem jak ty. – Jej słowa były zaledwie tchnieniem, szybkie i niedowierzające. – Myślisz, że jestem... czym? Śmiercią?

Cienie Śmierci przesunęły się, stał się odrobinę mniejszy i nie tak onieśmielający.

– Kostuchą – sprecyzował najłagodniejszym głosem, jaki kiedykolwiek słyszała. Niczym jezioro pod gwiazdami, ciche i spokojne. – Tak.

Powiedział, że to tylko teoria, jakby sam pomysł nie wystarczył, żeby zakręciło jej się w głowie. Teoria, ale bardziej prawdopodobna, niż Signa chciała przyznać.

Nagle zadrżała z zimna, które nie miało nic wspólnego z obecnością Śmierci. Chwyliła krawędź stołu, żeby nie upaść, a kiedy to nie pomogło, chwiejnie osunęła się na krzesło. Straszne słowo huczało jej w skroniach.

– Jak to możliwe? Czy ty też byłeś kiedyś człowiekiem?

Ukląkł przed nią.

– Nie, nie sędzę. Nie mogę wszystkiego pamiętać, jestem taki stary... ale to na pewno bym zapamiętał.

To nie miało sensu. Dlaczego po tak długim czasie Przeznaczenie zdecydowało, że na świecie potrzebny jest jeszcze jeden ponury zniwiarz? Signa nie miała pewności, że tym właśnie jest, ale... istniała taka możliwość. Okropna możliwość, której nie potrafiła w pełni objąć umysłem.

– Myślę, że warto byłoby sprawdzić granice twoich zdolności – odezwał się Śmierć takim tonem, jakby zwracał się do dziecka. Jakby Signa była małą, kruchą istotką, z którą trzeba się delikatnie obchodzić. Nie mogła tego nie zauważyć i musiała zadać sobie pytanie, gdzie nauczył się mówić tak czule, w sposób tak niepasujący do Śmierci, jaką zawsze sobie wyobrażała. Przez tyle lat postrzegala go tylko jako ponurego zniwiarza – cień o zabójczym

dotyku, który odbierał jej po kolei wszystkie bliskie osoby. Ale kiedy położył rękę na jej kolanie i serce jej podeszło do gardła, zrozumiała, że był czymś całkiem innym.

Śmierć był przewoźnikiem dusz; nie był demonem ani potworem, tylko tym, kto kierował zbłąkanymi duchami. Widziała, jak się go czepiały. Jak rozpaczliwie go szukały. A dla tych, którzy się bali... cóż, musiał się nauczyć delikatności.

Jego egzystencja tak się różniła od życia, które Signa sobie wymarzyła. A jednak, kiedy podał jej rękę i zapytał: „Czy mi zaufasz?“, jej ciało zareagowało bez wahania. Nagą dłonią dotknęła jego cienia i splotła palce z jego palcami.

Lód wdarł się w jej żyły, zatrzymał serce, ale z nim nie walczyła. Pomógł jej wstać i poczuła w sobie palącą moc, silniejszą niż ta uzyskana kiedykolwiek dzięki jagodom belladonny – stabilną i tak potężną, że kiedy zamknęła oczy, czuła pod stopami wibrowanie samej ziemi.

Śmierć przesunął się i stał teraz za nią. Podniósł rękę i musnął jej obnażoną szyję, żeby nawiązać połączenie. Signa stłumiła okrzyk, kiedy poczuła, że jego pierś przywiera do jej pleców. Zbyt łatwo zapomniała, że Śmierć po prostu kryje się w tych cieniach. Zapomniała, że był prawdziwym mężczyzną, posiadającym klatkę piersiową i całą resztę.

– Uznaj to za początek dzisiejszej lekcji – szepnął jej do ucha, żeby ją uspokoić. – Co czujesz?

Signa mogła odpowiedzieć na wiele sposobów. Mogła powiedzieć, że czuje jego twardą pierś i żar w brzuchu, kiedy sobie wyobrażała tę pierś miażdżącą jej piersi. Albo mogła powiedzieć, że próbowała

sobie wyobrazić, co mógł zrobić tym swoim cieniem. Do tego jednak oczywiście nie chciała się przyznać.

Oparła się o niego i rozluźniła ramiona. Świat wyostrzył się i skupił wokół niej. Czuła go tak, jakby oddychał – płonące gwiazdy, liście więdnące na drzewach, chłód ziemi w deszczu padającym z ciężkich chmur. I bicie serc – czuła ostatnie uderzenia, zbyt wiele w każdej sekundzie.

– Czuję... życie – szepnęła.

Śmierć chrząknął cicho, z aprobatą.

– A co słyszysz?

Przesunął palce z jej szyi i zakrył jej uszy.

Nigdy jeszcze nie słyszała takiej ciszy – jakby na całym świecie istniało tylko ich dwoje. Ale potem świat powrócił kawałek po kawałku. Słyszała ostatnie oddechy i ciche słowa. Słuchała słów miłości wypowiedzianych do umierających i chociaż brzmiał w nich smutek, było też ciepło życia, które doprowadziło ich do tej chwili.

– Słyszę ich pożegnania.

Przełknęła ślinę, kiedy Śmierć zakrył jej rękami oczy. Nachylił się nad nią i musnął wargami jej ucho. Zadrzała, tak bardzo pragnąc zobaczyć ten kosmyk włosów i twarz, którą przed nią ukrywał, i wreszcie na niego spojrzeć.

– Co widzisz? – szepnął głosem, od którego zmiękły jej kolana.

Napłynęły do niej obrazy – trawa zwarzona mrozem. Rodzina zebrana wokół starca, którego serce się zatrzymało. Widziała ich twarze, słyszała ich głosy i tuż poza jej zasięgiem wisiał sznur, który niemal mogła wyłuskać z powietrza. Więź, która mogła ją doprowadzić do każdego z nich.

Śmierć cofnął dłonie i Signa natychmiast odwróciła się do niego. Mieli więcej do zrobienia, musieli przeprowadzić więcej testów. Ale w tamtej chwili Signa chciała tylko spojrzeć na tego człowieka, który przez cały czas patrzył na takie rzeczy. To jego pierwszego widzieli zmarli, kiedy po raz ostatni zamknęli oczy, i przygniótł ją ciężar tej myśli.

– Jak to wytrzymujesz dzień po dniu? – zapytała, przyciskając rękę do jego piersi. Bez jego dotknięcia życie powracało do niej ukradkiem, budziło jej zmarłe serce i zmuszało do ruchu zastygłą krew.

– Można przywyknąć – odparł Śmierć. – Niektórzy przyjmują śmierć cierpliwie i ich dusze czekają, aż przyjdę i je zabiorę. Inni są bardziej natarczywi, jak widziałas kilka nocy wcześniej. Jeśli natychmiast ich nie znajdę, oni mnie znajdują. Ale nigdy nie jestem daleko od zabłąkanych dusz, ptaszynko, i mogę być w wielu miejscach jednocześnie.

Teraz był tak blisko, że wyobrażała sobie, jak ściąga mu kaptur i wreszcie na niego patrzy. W dole brzucha czuła żar, bo to, co miało nastąpić później, bynajmniej nie było niewinne. Śmierć przysunął się jeszcze o krok i wziął ją za ramiona, jakby ją prowokował, żeby uległa swoim popędom.

A ona była dostatecznie ciekawa, żeby to zrobić. Nie tylko go pocałować, ale zbadać jeszcze inne możliwości. Szlafrok i koszula nocna nagle stały się niepotrzebne, zbyt cienkie. Czuła każde dotknięcie jego rąk i zachłysnęła się, kiedy cienie owinęły się wokół niej, ześliznęły po jej nagich ramionach do talii i Śmierć przyciągnął ją bliżej.

Przerwał, kiedy nie zrobiła żadnego ruchu, żeby go powstrzymać. Pogładził kciukiem jej biodro.

– Czy to w porządku?

Pytanie wytrąciło Signę z transu. Była zbyt zauroczona, zbyt wypełniona pragnieniem, żeby sobie uświadomić, co to wszystko znaczy. Nawet jeszcze nie zadebiutowała w towarzystwie, a już gotowa była złamać najświętsze tabu, jakie społeczeństwo narzuciło kobiecie – stracić dziewictwo. Zasady w podręczniku etykiety jasno to określały, a jednak robiła to, i w dodatku ze Śmiercią. Teraz rozumiała go lepiej, jednak przez to nie stał się mniej niebezpieczny – chociaż niebezpieczeństwo nie ugasiło jej bolesnego pragnienia. Widywała ludzi szukających związków i wiedziała, że sama też pragnie fizycznego kontaktu z mężczyzną, o czym świadczyła każda reakcja jej ciała.

Poza tym nikt oprócz niej nie mógł zobaczyć Śmierci – skąd mieliby wiedzieć?

– J-jak to w ogóle możliwe? To znaczy z twoimi cieniami? – zapytała.

Zamiast odpowiedzi jeden z cieni Śmierci wśliznął się pod koszulę nocną Signy i musnął wewnętrzną stronę jej uda, parząc jej skórę.

– Chcesz się przekonać?

Jej ciało krzychało: „Tak!”, ignorując ostrzeżenia dźwięczące w umyśle. Cichy głosik powtarzał, żeby się opanowała i pamiętała, z kim ma do czynienia. Ona jednak zdusiła ten głos i zakopła głęboko. Słuchając najbardziej prymitywnej części siebie, kiwnęła głową.

Śmierć przestał się powstrzymywać. Otoczył ją swoim cieniem i ułożył na szezlongu. Uniósł rękami jej włosy, musnął ją wargami

tak lekko, że wygięła się w łuk i uniosła ku niemu. Zaśmiał się cichym, gardłowym dźwiękiem i schylił do jej szyi. Powieki jej zatrzepotały i zamknęła oczy, kiedy poczuła jego pocałunki wędrujące od ucha do obojczyka – miękkie, parzące pocałunki. Chwilami delikatnie ssał jej skórę, a ona wiała się i przyciągała go bliżej. Cienie ją owijały, głaskały jej udo zimnymi, płynnymi pieścizotami, a ona odrzuciła głowę do tyłu, oddając mu się.

Skupiła się na swoich odczuciach, kiedy cienie Śmierci przesunęły się bliżej do miejsca, gdzie najbardziej go pragnęła. Gdzie go pożądała. Jego wargi powoli przesuwały się w górę po jej podbródku, a cienie robiły to samo. Serce jej waliło i oddech chrapliwie rwał się z piersi, kiedy czekała na jego wargi. Na jego dotyk.

Ale w jej głowie znowu rozbrzmiało ostrzeżenie, tym razem głośniejsze: Jeśli pozwoli, żeby to się z nim stało, co to oznacza? Czy jest gotowa pogodzić się z tym, czym była? Przyjąć to?

Śmierć znieruchomiał, kiedy oparła ręce na jego piersi i odepchnęła go.

Nie była jeszcze gotowa. Nie wiedziała, jakiego życia chce dla siebie.

Więc odsunęła się i powiedziała, zanim mogła zmienić zdanie:

– Powiedz mi, co lubisz.

– Co... lubię? – Ześliznął się z niej. – Chyba lubię ciebie.

O mało nie zakrztusiła się własnym oddechem.

– A masz jakieś hobby? Albo jedzenie... lubisz jedzenie?

– Niewiele jadam, chociaż smakuje mi to, czego próbuję. – Ze śmiechem usiadł na brzegu szezlonga i jak tamtej nocy, kiedy



spotkali się w lesie, stał się mniejszy. Signa zrozumiała, że uczynił to dla niej. Starał się lepiej prezentować ze względu na nią.

– Nie musisz tego robić. – Przygryzła wargę, jak tylko to powiedziała, żałując, że nie może się przymknąć chociaż na chwilę i najpierw pomyśleć. – Nie musisz się zmniejszać. Wolałabym zobaczyć prawdziwego ciebie i uniknąć niespodzianek.

Poczuła na sobie jego spojrzenie.

– Czy to znaczy, że już się mnie nie boisz?

– To znaczy, że nie jestem pewna.

Nie powinna udawać, że nie czuje się nieswojo w obecności Śmierci i nie lęka się jego mocy. Ale bać się go jak dawniej? Po tym, co dla niej zrobił... po tym, jak ją ostrzegł, że Blythe umiera? To też byłoby kłamstwem. Otuliła się ciaśniej szlafrokiem, unikając jego spojrzenia. Czar prysnął, cichutki głosik wydostał się na wolność i krzyczał o cnocie.

– Powinam iść spać. Czy możemy jutro wrócić do naszej lekcji?

Śmierć kiwnął głową.

– Chcę, żebyś poćwiczyła rozmawianie ze mną. W myślach, nie słowami. Nie powinnaś potrzebować jagód belladonny, żeby się ze mną skontaktować.

Idąc do łóżka, Signa przystanąła, kiedy powiedział:

– Najbardziej lubię zwierzęta.

Odwróciła się i zobaczyła ostatnie smugi jego cienia wypływające za okno.

– Lubię je za to, że mnie widzą.

A potem zniknął, a ona poczuła się tak lekko, jakby mogła wzlecieć do nieba.

Minęła dopiero jedna noc, odkąd Blythe zażyła roztwór kalabarskiej fasoli, ale jej stan już znacznie się poprawił.

– Nigdy nie widziałem czegoś takiego – powiedział lekarz, patrząc, jak Blythe zajada owsiankę. – Co to za cud?

Percy stał z założonymi rękami, wyraźnie zmieszany.

– Prawdziwy cud.

Blythe nie mogła pójść na świąteczny bal ani nawet na spacer po domu w najbliższym czasie, jednak antidotum działało. I Signa wiedziała, że już niedługo znajdzie osobę, która skrzywdziła jej kuzynkę. Wciąż obracała w myślach słowa Percy’ego i cieszyła się nimi. „Prawdziwy cud”.

Wymknęła się z pokoju chorej, żeby przygotować się do śniadania. Chciała zjeść szybko i kontynuować poszukiwania źródła trucizny. Zamierzała przejrzeć rejestry, które jej dostarczył Sylas. Na razie okazały się niezbyt pomocne, chociaż dowiedziała się z nich aż za dużo o służbie i jej zachowaniu. Oczywiście oprócz Sylasa. Nie uszło jej uwadze, że celowo usunął swoje dokumenty z rejestrów.

Siedziała przed toaletką i jeszcze układała włosy, kiedy weszła Marjorie z listem w ręku.

– To od lorda Everetta Wakefielda.

Podła Signie małą białą kopertę. Widniało na niej nazwisko Signy wykaligrafowane starannym, eleganckim pismem. Dziewczyna spodziewała się, że guwernantka okaże podniecenie, ale Marjorie wzięła ją za rękę i ścisnęła.

– Bądź ostrożna – powiedziała tylko, po czym chwyciła szczotkę i zaczęła czesać włosy Signy.

– Z lordem Wakefieldem? – zapytała z niedowierzaniem Signa.

– Z nimi wszystkimi.

Słyszając stanowczy ton guwernantki, Signa zachowała milczenie i otworzyła list obojętnym ruchem.

*Droga Panno Farrow,*

*Nie mogłem czekać ani chwili dłużej, żeby znowu z Panią porozmawiać. Bardzo chciałbym się z Panią spotkać – dzisiaj, jeśli Pani się zgodzi? To piękny dzień na przejażdżkę po wrzosowiskach.*

*Z poważaniem  
Everett Wakefield*

Signa podniosła wzrok na odbicie Marjorie w lustrze.

– On chce się ze mną spotkać.

Marjorie nie zareagowała, tylko zaczęła upinać włosy Signy na karku, zwijając je w luźne pukle, które opadały kaskadą na jedno ramię.

– A czy ty chcesz się z nim spotkać?

Signa przesunęła kciukiem po swoim nazwisku wypisanym na kopercie. Ze zdziwieniem uświadomiła sobie, że nie myślała o lordzie Wakefieldzie od tamtego spotkania w herbaciarni. Początkowo przypuszczała, że to dlatego, że była zajęta Blythe i miała co innego na głowie. Co jednak nie przeszkadzało jej myśleć o Śmierci, jak się zorientowała. Ani marzyć o następnej przejażdżce z Sylasem.

– Niedługo skończę dwadzieścia lat, a lord Wakefield jest miłym, dobrze sytuowanym człowiekiem – powiedziała, waząc każde słowo.

– Czy powinnam go zaprosić, żeby mnie odwiedził?

– Odrzucenie jego prośby jest całkowicie na miejscu – zapewniła Marjorie. – Możesz o to obwinić Elijaha, jeśli wolisz. Powiedz lordowi Wakefieldowi, że nie przyjmujesz przed początkiem sezonu. To da ci więcej czasu na przygotowania.

Signa odchyliła się na oparcie krzesła, próbując zebrać myśli.

– Pani uważa, że nie powinnam się z nim spotkać?

Marjorie szybko ją napomniała:

– Chcę, żebyś była rozsądna. Wszyscy mężczyźni, których znam, są urodzonymi kłamcami. Będą oszukiwali i prawili słówka słodsze niż nektar, żeby zdobyć to, czego pragną. Twoje nazwisko oznacza fortunę. Myślę, że bezpieczniej będzie najpierw zadebiutować w sezonie, a potem przyjmować konkurentów tutaj, w Thorn Grove. Nie musisz biec na każde zawołanie i dobrze ci zrobi, jeśli się zorientujesz, jaki masz wybór.

Intencje Everetta nie wzbudzały wątpliwości. Gdyby zjawił się miesiąc wcześniej, Signa zaprosiłaby go w mgnieniu oka. To jego twarz widziała, kiedy zamykała oczy i wyobrażała sobie życie w wyższych sferach. Był przystojny, bogaty i charyzmatyczny. Razem zamieszkaliby we wspaniałej rezydencji, gdzie wydawaliby wielkie przyjęcia. A kiedy nie zapraszaliby gości, chodziliby na bale, do opery i na herbatki... i Signie nigdy więcej nie brakowałoby towarzystwa.

Więc dlaczego nie mogła się zmusić, żeby przyjąć jego propozycję?

– Dlaczego nigdy nie wyszła pani za mąż? – zapytała nagle.

Może to nie było zbyt uprzejme pytanie i może narażała się na reprimendę, ale potrzebowała jeszcze jednego bodźca. Jeszcze jednego zapewnienia, że nie skazuje się na wieczne nieszczęście, jeśli odrzuci Everetta.

Nawet jeśli Marjorie nie miała grosza przy duszy, z pewnością podobała się wielu godnym szacunku mężczyznom. Była piękna.

– Miała pani konkurentów, prawda? – dodała Signa.

– Moja rodzina nie zajmowała wysokiej pozycji, ale nie byliśmy też bardzo biedni. A ja miałam urodę i włosy, które przyciągały spojrzenia wielu mężczyzn. – Marjorie pociągnęła za jeden ze swoich miękkich pukli i zaśmiała się cicho do siebie. – Więc tak, Signo, miałam mnóstwo konkurentów. I ty też będziesz miała. Nie odradzam ci zamążpójścia, ale nie musisz się spieszyć. Przyjmuj bilety wizytowe, jeśli chcesz, ale cokolwiek zrobisz, z mężczyznami, których poznasz, postępuj powoli.

Signa nie potrzebowała doświadczenia, żeby zgadnąć, co ma na myśli Marjorie. Przypomniała sobie wszystko, czego o mało nie zrobiła ze Śmiercią poprzedniej nocy. Podręcznik etykiety przedstawiał związki z mężczyznami jak transakcje handlowe. Jakby ona, jako kobieta, musiała zachować każdy aspekt swojej kobiecości – włącznie z dziewictwem – bo inaczej zostanie uznana za nieczystą. Za ladacznicę.

*Poradnik urody i etykiety dla dam* postrzegała w coraz mniejszym stopniu jak pomoc, a coraz bardziej jak przeszkodę. Ponure przypomnienie, że ponieważ nie potrafiła opanować zasad – dlatego że tak ją męczyły – nigdy nie będzie wystarczająco dobra, wystarczająco idealna, wystarczająco godna uznania. *To głupie,*

myślała, *żebym miała tak sobą pogardzać z powodu książki. Przecież jestem czymś więcej, zasługuję na coś lepszego.*

– Czy nie spodobał się pani żaden z poznanych mężczyzn?

Nie dało się ukryć, że Marjorie była niezamężną kobietą na służbie. Prowadziła wygodne życie, ale jednak. Osoba z jej wyglądem powinna być panią takiej rezydencji jak Thorn Grove.

Marjorie usiadła w fotelu.

– Przeciwnie, zakochałam się w mężczyźnie, który nigdy nie zamierzał odwzajemnić tej miłości. I zapłaciłam za to.

Signa pamiętała, jak Marjorie zachowywała się w obecności Elijaha. Jak dotykała jego ramienia i zwracała się do niego swobodnym tonem.

– Co się z nim stało?

– Wierzyłam, że będziemy razem do końca życia. Ale on zakochał się w innej kobiecie i wkrótce się zaręczyli. Oddałam mu się cała, a on opuścił mnie bez słowa wyjaśnienia – mówiła z nieobecny wzrokiem, pogrążona we wspomnieniach.

– Nie mogła pani znaleźć kogoś innego?

Marjorie splotła dłonie na podołku.

– W oczach społeczeństwa miałam zrujnowaną opinię. Rodzice się mnie wyparli. Całe szczęście, że znalazłam pracę tutaj, w Thorn Grove, bo mogłam trafić gorzej.

Marjorie nie zrobiła nic złego, tylko się zakochała, a jednak została za to potępiona. Wyrzucona poza nawias społeczeństwa, jakby była trędowata i mogła zarażać innych. Jakby miłość czy pożądanie były chorobą zakaźną. Czy społeczeństwo tak samo potraktuje Signę? Jeśli wykona jeden fałszywy ruch, czy zostanie na zawsze odrzucona przez ludzi, których tak się starała zadowolić?

Jeśli odpowiedź była twierdząca... Czy w ogóle komukolwiek na niej zależało? Mogła przestrzegać wszystkich zasad z podręcznika etykiety aż do całkowitego otepienia i utraty własnej woli. Mogła codziennie nakładać maskę jak dotąd, tylko po co? Żeby zdobyć sympatię tych, którzy natychmiast by ją potępili, gdyby zboczyła o krok z wyznaczonej ścieżki?

Signa położyła kopertę na toalecie.

– A pan Hawthorne... dobrze panią traktuje?

– Bardzo dobrze, panno Farrow, ale dość już o mnie. Czy podjąłś decyzję?

Signa skierowała uwagę na swoje odbicie, podziwiała połysk włosów i gładkie policzki. Pobyt w Thorn Grove dobrze jej robił i nie zamierzała ryzykować tego wszystkiego dla przystojnego chłopca. Zresztą miała ważniejsze sprawy do załatwienia. Toteż uśmiechnęła się w lustrze do Marjorie i powiedziała:

– Proszę przekazać lordowi Wakefieldowi, że zobaczymy się w Wigilię, na balu maskowym.

Wyprawa do biblioteki w ciągu dnia była znacznie mniej upiorna niż nocna eskapada z Sylasem.

Signa wbiegła po schodach, pokonując dwa stopnie na raz, i ostrożnie uchyliła dębowe drzwi, żeby nie spłoszyć Thaddeusa, jeśli akurat czytał.

– Thaddeusie? – zawołała, otwierając drzwi szerzej. – Przepraszam, że przeszkadzam. Chciałam ci podziękować za pomoc...

Natychmiast zobaczyła dym i żołądek jej się ścisnął. Zgarniając spódnicę, pobiegła w tamtą stronę. Thaddeus stał przed rzędem regałów, które wtedy przeszukiwali z Sylasem. Na podłodze leżały płonące sterty książek. Ogień podłożono niedawno i jeśli szybko nie zostanie ugaszony, pożar mógł się rozprzestrzenić na całe Thorn Grove.

– Kto to zrobił?

Thaddeus nie odpowiedział. Patrzył, jak jego ukochane książki obracają się w popiół, płomienie odbijały się w pustych szklach jego okularów.

Signa objęła się ramionami. To była jej wina. Zaledwie dwie noce wcześniej stała w tym miejscu, roześmiana i uszczęśliwiona, że wreszcie znalazła sposób, żeby pomóc kuzynce. Komuś to się nie spodobało. Ktoś chyba nie chciał, żeby znalazła coś jeszcze.

Musiała przynieść wodę albo wezwać pomoc, albo zrobić *cokolwiek*. Jeśli od razu ugaszą ogień, ocalą większość książek. Ocalą



bibliotekę.

Lecz kiedy Signa zerwała się do biegu, drzwi biblioteki się zatrzasnęły. Panika podeszła jej do gardła jak żółć, kiedy Thaddeus odwrócił się i ruszył w jej stronę. W jego oczach nie było ciepła. Ani śladu uśmiechu i wcześniejszej życzliwości. Ruchy miał urywane, spojrzenie groźne; wydawał się równie nieprzewidywalny jak Lillian tamtej nocy w ogrodzie.

– Thaddeusie, pomóż – błagała głosem zachrypłym od dymu Signa. – Możemy powstrzymać ten ogień, żeby się nie rozprzestrzenił, ale musisz mnie wypuścić.

Nadal przysuwał się do niej, głuchy na jej prośby, z twarzą bez wyrazu.

Signa przycisnęła drżące ręce do boków, żeby się uspokoić.

– Thaddeusie...

Skoczył... nie na nią, ale w nią. Zimno ostrzejsze od wszystkiego, co dotąd znała, odrętwiło jej kończyny, zmroziło ją tak samo jak wtedy, kiedy dotykał jej Śmierć. A jednak to było zupełnie inne uczucie, bo nie czekała na nią żadna moc. Żadna łączność z zaświatami i nadnaturalne zdolności. Tylko lód.

Próbowała mrugnąć, ale powieki nie chciały się zamknąć. Poruszyć palcami, które nie chciały się zacisnąć, i stopami, które nie chciały iść. Nie mogła nawet dygotać i wtedy uświadomiła sobie – niejasno, bo nawet jej myśli rozmywały się na krawędziach – co się stało.

Śmierć ostrzegał ją, że duch może opętać żywą osobę, chociaż nigdy się nie spodziewała, że to ją spotka.

Duch przejmował kontrolę nad każdą jej cząstką, nad ciałem i umysłem, bo jej myśli stały się teraz dzikie i bezładne jak jego

myśli. Pragnęła tego samego co on.

Thaddeus chciał wrzucić do ognia więcej książek i pozwolić, żeby Thorn Grove spłonęło. Ale jakaś jego cząstka rozumiała, że można uzyskać pomoc. Że jeśli teraz ugaszą ogień, nie wszystko będzie stracone. Signa uczepiła się tego wahania, tej iskierki podejrzenia drżącej w jego wnętrzu. To była jedyna nadzieja, więc Signa skupiła się na tej myśli. Spróbowała ją wypchnąć z zakamarków ich wspólnego umysłu na pierwsze miejsce, rozwinąć ją powoli i wzmocnić.

Pchała i pchała, ale jego szaleństwo wciągało ją coraz głębiej z każdą chwilą i nie potrafiła już odróżnić swoich myśli od jego.

Drzwi biblioteki rozwarły się gwałtownie i świat wokół nich zalała fala bardziej znajomego chłodu.

Signa jeszcze nigdy tak się nie ucieszyła z obecności Śmierci. Ujrzała jego cień ześlizgujący się ze ściany, formujący postać, która przed nią stanęła. Niejasno dostrzegła, że wyciągnął do niej rękę.

Nie. Nie do niej, lecz do Thaddeusa.

– Puść dziewczynę. – W jego głosie nie było ani jednej łagodnej nuty. Thaddeus nie zareagował od razu, więc Śmierć powtórzył cicho, z tłumioną wściekłością: – Puść. Ją.

W końcu Thaddeus usłuchał.

Signa opadła na kolana, drżąca i tak nienaturalnie przemarznięta, że miała ochotę wskoczyć w ogień.

Thaddeus przeszedł przed Śmiercią, do jego oczu powróciła odrobina światła.

– *Oni przyszli tak szybko. Tak szybko, nic nie mogłem zrobić, żeby ich powstrzymać.*

Śmierć zapytał, ponieważ wargi Signy nie zdołały uformować słów:

– Kogo nie mogłeś powstrzymać?

Thaddeus się wzdrygnął. Podniósł książkę ze stołu i upuścił, podniósł i upuścił.

– *Czytałem. Czytałem i nie widziałem. Przyszli tak szybko. Czytałem. Czytałem i nie widziałem.*

Ogień się rozprzestrzeniał. Signa nie miała czasu, żeby dygotać. Nie miała czasu, żeby poddawać się odrętwieniu. Zrobiła chwiejny krok, potem drugi i trzeci. Cienie ją podtrzymały, a później cofnęły się do boku Śmierci i kiedy mogła już ustać o własnych siłach, pospiesznie ruszyła do drzwi.

– Co z nim zrobisz? – szepnęła drżącymi wargami, oglądając się przez ramię na Śmierć. Rozpostarł swoje cienie na podłodze jak koc, jakby mógł stłumić płomienie.

– Mówiłem ci już, nie zabieram duchów wbrew ich woli.

Pokój pogrążył się w ciemności. Głos Śmierci zadźwięczał w głowie Signy.

– *Pospiesz się, Signo. Sprowadź pomoc!*

Zbiegła po schodach, krzycząc na cały głos.

\*

Natknęła się na Elijaha, który wyszedł z pokoju Blythe. Panika zabłysła w jego oczach, kiedy powiedziała mu o pożarze. On i Warwick pobiegli na górę, wzywając służbę, żeby ugasiła ogień.

Signa nie wiedziała, czy Sylas sam do niej przybiegł, czy go przysłano jako należącego do ekipy ratowniczej, ale zjawił się już po

chwili. Objął ją, wyprowadził z zamieszania i skierował w stronę jej apartamentu.

– Co się stało? – zapytał.

W pierwszej chwili nie mogła odpowiedzieć. Wprawdzie większość biblioteki ocalała, ale to było okropne, kiedy Thaddeus patrzył, jak płoną jego ukochane książki. Tyle ich przepadło. Jednak lepiej chyba stracić książki niż życie. Co mogłoby się stać, gdyby Signa nie poszła na górę i nie odkryła ognia? Czy podpalacz zamierzał puścić z dymem całe Thorn Grove? Nie była w stanie o tym myśleć.

– Sądzę – wykrztusiła, szczękając zębami – że ktoś próbuje nas ostrzec.

Sylas mocniej ścisnął jej ramię.

– Wyglądasz, jakbyś zaraz miała zemdleć – powiedział, kiedy dotarli do jej drzwi. – Przyślę kogoś, żeby się tobą zajął, ale muszę wracać i pomagać w gaszeniu pożaru. Tymczasem obiecaj mi, że odpoczniesz.

– Obiecuję – odpowiedziała potulnie. I tak nie miała siły na nic innego.

Sylas trzymał ją jeszcze przez chwilę, zanim się odsunął. Patrzyła, jak jego buty znikają na schodach, zanim otworzyła drzwi swojego apartamentu i weszła do środka. Każdy krok był męczarnią.

Na szczęście wkrótce zjawiała się Elaine z imbryczkiem herbaty i półmiskiem placuszków. Przysunęła pluszowy fotel do kominka i usadowiła w nim Signę, chociaż rozpalenie ognia zabrało jej trochę czasu. Z kuchni zginęła podpałka i Elaine musiała szukać innej w kwaterach służby. Chociaż ogień był ostatnią rzeczą, na jaką

Signa chciała patrzeć, nic innego nie mogło przegnać zimna wciąż przenikającego ją do kości.

Siedziała w fotelu przy kominku aż do zachodu słońca i próbowała nie myśleć o tym, jak pozwoliła, żeby duch opanował jej ciało. Na szczęście Śmierć pojawił się w porę, chociaż irytowała ją świadomość, że musiał ją ratować.

Elaine wróciła później, żeby pomóc jej przy kąpieli, i kiedy już Signa była czysta, stopniowo doszła do siebie. Przejaśniło jej się w głowie i ułożyła nowy plan. Postanowiła, że nauczy się sama bronić, nieważne, ile nocy będzie musiała trenować ze Śmiercią i jak długo ćwiczyć swoje moce. Warto było przyłożyć się do nauki, żeby tylko uniknąć ponownego opętania.

Tak więc późnym wieczorem siedziała w łóżku w koszuli nocnej, z mokrymi włosami i zamkniętymi oczami. Zostawiła otwarte okno, żeby wpuścić do pokoju rześkie powietrze. Baldachim nad łóżkiem falował w przeciągu, chłód wdzierał się pod pościel. Tym razem dobry chłód. Ostry, świeży i *rzeczywisty*.

Babcia zawsze ją ostrzegała, żeby nie zostawiała otwartego okna, kiedy ma mokre włosy, ale Signa nigdy nie chciała słuchać tego ostrzeżenia. Lubiła dotyk ostatnich powiewów jesieni na skórze, znajdowała pociechę w tej chłodnej pieszczocie i zapachu wilgotnej ziemi. Wtedy czuła się bliżej związana ze światem.

I wtedy również pomyślała o Śmierci. Nie czuła jego obecności od incydentu w bibliotece i jej ciekawość narastała z godziny na godzinę. Śmierć rzucił Signie wyzwanie, żeby porozumiała się z nim myślami. Teraz wreszcie postanowiła spróbować.

– *Cieszę się, że wtedy się zjawiałeś. Nie wiem, co by się stało, gdyby nie ty.*

Odpowiedziało jej tylko milczenie. Przesunęła się na środek łóżka i podwinęła nogi.

– *Co się stało z Thaddeusem?* – Nie miała pojęcia, czy to działa; nie istniał żaden podręcznik dla kostuchy. Zamknęła oczy i wykorzystywała chłód nocy, żeby pomógł jej stworzyć wizję Śmierci. Wyobraziła sobie, że zimno to jego dotyk na skórze. – *Dowiedziałeś się od niego czegoś więcej?*

Iskierka we wnętrzu powiedziała jej, że on słucha.

– *Kochał te książki. To moja wina, że spłonęły.*

W końcu nadeszła jego odpowiedź i przejęła ją mimowolnym dreszczem.

– *Uspokój się, ptaszynko. Nie jesteś winna tego pożaru, podobnie jak ja nie jestem winien, że ludzie umierają. Zrobiłaś wszystko jak należy... dzięki tobie twoja kuzynka wciąż żyje. Pamiętaj o tym.*

Signa przygryzła wargę. Chociaż zdawała sobie sprawę, że w jego słowach jest odrobina prawdy, nie mogła w nie uwierzyć.

– *Thaddeus znowu jest sobą, chociaż nie sądzę, żeby pozostał długo na tym świecie.* – Głos Śmierci parzył zimnem jej skórę. – *Doświadczyłaś czegoś rzadkiego, Signo. Duch musi wiele dać z siebie, żeby kogoś opętać, i większość z nich wkrótce potem decyduje się przejść dalej. Duchy nie potrafią kontrolować swoich emocji tak jak my, działają impulsywnie. Przepraszam, że nie pomogłem ci wcześniej.*

Nie chciała jego przeprosin; był ostatnią osobą, do której mogła mieć pretensje. Przecież ostrzegał ją przez cały czas, że powinna ćwiczyć swoje zdolności. Wypróbowywać swoje moce kostuchy. Powinna była go posłuchać.

– *Dziękuję* – pomyślała. – *Za to, że mi pomogłeś i że mnie ostrzegłeś w sprawie Blythe. Nie wiedziałabym, że ona jest w takim strasznym*

stanie, gdybyś mnie nie uprzedził.

Jego odpowiedź nadeszła po dłuższej chwili.

*– Zabrałbym ją dziś w nocy, gdybyś jej nie pomogła. Obawiam się, że mamy coraz mniej czasu, żeby znaleźć mordercę. Blythe chwilowo jest bezpieczna, ale kto wie, na jak długo?*

Wtedy Signę ogarnął wstyd. Wstyd, że nie odkryła jeszcze zabójcy. Wstyd, że kontynuuje swoje lekcje i marzy o mężczyznach, podczas gdy Blythe jest śmiertelnie chora.

Jakby wyczuwając jej rozterkę, Śmierć powiedział:

*– Nie jesteś odpowiedzialna za jej życie. I nie będziesz odpowiedzialna, kiedy nadejdzie czas... a kiedyś nadejdzie... żebym ją zabrał. Nie możesz pozwalać, żeby śmierć tak całkowicie cię pochłaniała. Nie jest egoizmem żyć.*

Signa podwinęła palce u stóp i przegarnęła wilgotne włosy. Śmierć dotknął wrażliwego nerwu, chociaż usłyszeć to jedno, a uwierzyć to całkiem co innego.

*– Miałaś rację, kiedy mi mówiłaś, że łatwiej mi będzie, jeśli zacznę bardziej polegać na moich zdolnościach – odparła w myślach. – Chyba... potrzebuję cię. Potrzebuję twojej pomocy. Ale boję się.*

Łatwiej było jej to wyznać, kiedy siedziała bezpiecznie w łóżku, a Śmierć nie stał przed nią. Ale i tak policzki jej płonęły.

Milczenie między nimi narastało, tak donośne, że raniło uszy.

*– Ćwiczenia to ułatwią – powiedział wreszcie – a ja zrobię wszystko, co w mojej mocy, żeby ci pomóc. Sporo już cię nauczyłem, prawda? Masz w sobie moc świata, Signo Farrow. Musisz tylko ją przyjąć.*

Niewypowiedziana prawda legła ciężko między nimi – Signa musiała przyjąć nie tylko swoje moce. Musiała przyjąć jego.

Gardło jej się ścisnęło. Pomyślała o ich wspólnej nocy. Jak blisko była decyzji, od której nie było odwrotu. Powstrzymali się w samą porę, na szczęście... Czyżby? Ponieważ oczywiście nie powinna tego chcieć... nie powinna chcieć *jego*. A jednak...

– *Przestań się przejmować towarzyskimi regułami i martwić, że nie jesteś dość dobra – skarcił ją Śmierć. – Nie ma czegoś takiego jak prawdziwa dobroć, to tylko kwestia postrzegania. Więc dlaczego nie spróbujesz żyć tak jak ja? Myślę, że to by ci odpowiadało.*

Nie tak dawno temu trzymała w ręku nóż i próbowała go dźgnąć. Od tak dawna chciała się pozbyć Śmierci, ale teraz nie była już tego pewna. Nawet dźwięk jego głosu w głowie ją rozgrzewał. Śmierć budził w niej nieskończoną ciekawość. Chciała rozłożyć go na czynniki pierwsze, poznać jego najgłębsze głębie, jego myśli i pragnienia. Chociaż dowiadywała się coraz więcej, to jej wciąż nie wystarczało.

Im więcej o nim myślała, tym bardziej podkulała palce u stóp w pościeli. Przenikliwie zimny wiatr przypominał jej, jakie to uczucie być w jego ramionach. W tych ramionach kryła się nieskończona moc, która na nią spływała. Nigdy nie czuła czegoś takiego, takich bezecnych pragnień, za które ciotka Magda kazałaby ją spalić żywcem.

Ponieważ myślała o Śmierci. O sobie i Śmierci. A do takich myśli nie wypadało się przyznawać w przyzwoitym towarzystwie.

– *Przyjdę do ciebie –* zniżył głos, który zabrzmiał niemal czule. – *Jeśli mnie wezwiesz, przyjdę.*

Powiedział to niemal z naciskiem – żarliwie, pytająco.

Signa przycisnęła poduszkę do piersi.



Mogła to zrobić. Wystarczyło wypowiedzieć słowo i stanąby przed nią.

A potem co? Czy pozwoliłaby mu ukoić głód swoich warg? Ugasić pożar w brzuchu? Czy zaczęliby od miejsca, w którym przerwali poprzedniej nocy?

„Porządne” dziewczyny nie chciały tych rzeczy, o których myślała Signa. Tak długo czekała, marzyła i planowała, a teraz on zamierzał to wszystko zniweczyć. Wypuściła z objęć poduszkę. Potrzebowała całej siły woli, żeby go nie wezwać do swojej sypialni. Żeby nie wypowiedzieć słów, które paliły ją na języku. Zamiast tego zwinęła się w kłębek pod kołdrą i zamknęła oczy, odsuwając od siebie pożądanie.

Z pewnością będzie o nim śniła. I chociaż raz nie mogła się tego doczekać.

– *Będę o tym pamiętać* – powiedziała do niego i na tym poprzestała.

Potraktował to jak obietnicę. Chrapliwe brzmienie jego głosu kazało jej podejrzewać, że myślał o tym samym co ona. Nieprędko miała zapomnieć ten głos.

– *Dobranoc, ptaszynko. Dobrze się spisałaś.*

Nie była pewna, czy odszedł. Wsunęła rękę pod koszulę nocną i pogładziła kciukiem wewnątrz uda, wyobrażając sobie, że to on jej dotyka. Odchyliła głowę do tyłu, otworzyła się na chłód nocy i wchłaniała go, jakby zanurzyła się w objęcia Śmierci.

Wiedziała, że nadejdzie taka noc, kiedy nie zazna wiele snu.

Od wielu lat Signa nie miała okazji, żeby świętować Boże Narodzenie.

Ostatni raz obchodziła święta, kiedy żyła jej babcia. W grudniu co wieczór zajadały nadziewane babeczki i pudding, dekorowały choinkę świeczkami, wstążkami i suszonymi owocami. Wspomnienia już zbladły, ale Signa pamiętała sypki śnieg za oknem i ogień buzujący w kominku. Pamiętała zapach ciasta, pierników i pomarańczy, pamiętała głos babci czytającej jej bajki.

Zachowała te wspomnienia po śmierci babci. Tęskniła za jej bliskością, bajkami i słodyczami. Wuj dekorował dom na święta, ale nie pozwalał Signie zbliżyć się do choinki z obawy, żeby czegoś nie zniszczyła. Grudniowe wieczory spędzał z brandy i kochanką, a Signa siedziała sama w swojej sypialni. Żaden z jej pozostałych opiekunów nie obchodził uroczyste świąt. Niektórzy piekli indyka albo ubierali choinkę, ale nigdy nie było w tym takiego ciepła jak u babci.

Po kilku latach Signa przestała tęsknić za przeszłością. Lecz kiedy grudzień zawitał do Thorn Grove, ta nostalgia powróciła w dwójnasób. Signa siedziała na szczycie schodów i patrzyła, jak służące rozwieszają wieńce i girlandy, dekoracje na bal, który odbędzie się dopiero za parę tygodni. Kręciła się przy kuchni, gdzie Percy dla zabicia nudy plądrował spiżarnię i zadreślał kucharki, żądając słodyczy, którymi dzielił się z Blythe, żeby trochę podtuczyć siostrę. A potem wyglądała przez oszronione okna, czekając na

pierwszy śnieg. Kiedy spadł, poszła prosto do pokoju Blythe, pomogła jej się ciepło ubrać i razem z Percym sprowadziła ją na dół, na gorącą czekoladę, którą zabrali na dwór.

– Nie rozumiem, czym się tak podniecasz – powiedział do Signy Percy. Starał się nie dzwonić zębami z zimna. Za bardzo przywykł do ciepłej kuchni i miał tak jasną cerę, że uszy i czubek nosa zaczerwieniły mu się już po paru chwilach na dworze. – Dlaczego nie możemy tego wypić przy ogniu?

Blythe, zakutana w wełnianą suknię i grubą pelerynę, z zielonym aksamitnym kapturem naciągniętym na głowę, roześmiała się. Ten dźwięk przypominał Signie kościelne dzwonki: ciepły, piękny i bezpieczny. Nawet Percy zamilkł, kiedy go usłyszał, bo ostatnio Blythe tak rzadko się śmiała. Patrzył z zaciętą miną, jak popijała gorącą czekoladę, jakby się bał, że siostra za chwilę zniknie.

– Zmarzęś trochę, Percy? – droczyła się z nim Signa, również się śmiejąc, kiedy wsadził pod pachy ręce w rękawiczkach, żeby je rozgrzać.

– Nie możemy na niego liczyć, że ulepi bałwana albo zrobi orła – powiedziała Blythe. Oparła się na rękach i patrzyła, jak śnieg pada na trawnik. – Mój brat nigdy nie lubił śniegu.

– Paskudna pogoda, a ta wełna drapie jak wściekła – burknął Percy. – O wiele bardziej wolę lato nad morzem.

Signa nie mogła się doczekać, aż śnieg pokryje pola i temperatura spadnie, może dlatego, że lubiła zimno. Jesień i zima to zawsze były jej ulubione pory roku. Wydawały się takie spokojne, jakby ziemia odpoczywała, przygotowując się na cieplejsze miesiące. Signa przypuszczała, że powinna się nauczyć cieszyć również wiosną,

skoro zbliżał się jej debiut w towarzystwie – ale było coś pięknego w tym mroźnym spokoju. Coś kruchego i magicznego.

Spoglądając na wrzosowiska i marząc, jak cudnie będą wyglądać okryte bielą, Signa dostrzegła w oddali Sylasa. Prowadził do stajni gniadą klacz. Jakby poczuł na sobie spojrzenie Signy, obejrzał się przez ramię. Nieznacznie skinął głową, kiedy napotkał jej wzrok. Natychmiast się odwróciła, z policzkami płonącymi z upokorzenia.

Dlaczego zdradzały ją własne myśli, przeskakujące między Sylasem a Śmiercią? Ona i Sylas byli tylko przyjaciółmi, nic więcej. Poza tym Śmierć wcale nie był dla niej mniej ważny; myślała o nim nawet częściej niż o Sylasie. Chociaż nie była jeszcze pewna, jak to o niej świadczy.

– Wracam do środka, do kawy, książek i kominka – oznajmił Percy, oglądając się na siostrę. – Nie zostawaj długo na dworze. Zimno może ci zaszkodzić.

Blythe nieuważnie potaknęła i odprawiła go machnięciem ręki. Odchyliła głowę do tyłu, żeby popatrzeć na niebo. Signa zrobiła to samo, leżąc na ziemi obok kuzynki.

To był idealny dzień na pierwszy śnieg tej zimy. Szare, zachmurzone niebo i ostatnie, niknące ślady jesieni. Wkrótce drzewa staną się nagie, ogołoczone z liści, i biały płaszcz okryje całą ziemię.

– Nie wiedziałam, czy doczekam następnych świąt. – Głos Blythe był cichy jak padający śnieg, jednak wwiercał się głęboko we wnętrzości Signy jak nóż. Signa przetoczyła się na bok i spojrzała na kuzynkę, która odwzajemniła jej spojrzenie z leciutkim uśmiechem. – Muszę ci podziękować, kuzynko. Nie wyłącznie za twoją pomoc, ale ponieważ czuję, że tylko ty jedna nie dałaś za wygraną.

Łzy zapiekły Signę pod powiekami, ale nie pozwoliła im popłynąć. Wzięła Blythe za rękę.

– Nigdy nie miałam rodziny. Nie wiem, jak to jest mieć rodzeństwo, chociaż potrafię to sobie wyobrazić. I wyobrażam sobie, że gdybym miała siostrę, czułabym do niej to samo, co do ciebie.

Blythe znowu się uśmiechnęła i po jej twarzy przemknął cień emocji. Potem usiadła i wyprostowała się, widocznie nie chcąc okazywać uczuć.

– Chodź – powiedziała, wstając. – Percy ma rację, powinniśmy wracać do ciepła. Poza tym chcę ci coś pokazać.

Signa weszła za nią do domu. Widać było, że wyjście na dwór zmęczyło Blythe. Trzymała się kurczowo poręczy, wchodząc po schodach, zdecydowana nie pokazać po sobie wyczerpania. Signa wolała, żeby kuzynka tego nie ukrywała, ale Blythe była najbardziej upartą dziewczyną pod słońcem. Tak upartą, że oszukała Śmierć niemal tyle razy co Signa.

Kiedy dotarły do apartamentu, Blythe zrzuciła pelerynę i usiadła na kozetce. Skórę miała lepką i zaczerwienioną.

– Pociągnij za dzwonek, dobrze? – poprosiła, wskazując sznur do wzywania służby. – Potrzebuję Elaine, żeby pomogła mi zdjąć tę suknię. Zapomniałam, jaka wełna jest ciężka.

Signa spełniła polecenie. Potem zauważyła na toalecie cienkie białe pudełko ozdobione złotą wstążką.

– Przynieś je tutaj. – Znużenie w głosie Blythe przytłumiło podniecenie.

Signa wzięła pudełko i usiadła obok kuzynki na kozetce, trzymając je na kolanach. Było wyjątkowo lekkie, ale za duże, żeby

zawierać biżuterię czy rękawiczki – i o wiele za małe na suknię. Chciała nim potrząsnąć, ale Blythe złapała ją za rękę.

– Ostrożnie, jest krucha! – warknęła. – Chociaż bardzo chciałabym pójść na bal maskowy, obawiam się, że to przekracza moje możliwości. Zapewniam cię, że w przyszłym roku moja krynolina będzie najszersza ze wszystkich, a dekolt najodważniejszy. Ale na razie tylko w ten sposób mogę tam wysłać z tobą część siebie. – Wskazała pudełko i na jej twarzy rozkwitł uśmiech. – Otwórz.

Signa nie pamiętała, kiedy ostatni raz dostała prezent. Ostrożnie pociągnęła za wstążkę, jakby mogła zniszczyć zawartość pudełka, gdyby ją wystrzepiła. W środku znajdowała się maska, którą Signa delikatnie wyjęła z kokonu bibułki.

– Przymierz – nalegała Blythe. – Śmiało.

Signa posłuchała. Pozłacane gałązki wiły się jak winorośl po prawej stronie jej twarzy i oka barwy miodu. Z gałązek wyrastały subtelnie rzeźbione liliowe płatki i ciemnozielone łodygi bluszczu, otaczając jej głowę i błękitne oko. To była przepiękna, czarodziejska rzecz i Signa natychmiast ją zdjęła ze strachu, że ją uszkodzi.

– To na maskaradę – Blythe mówiła trochę za szybko i wpatrywała się w twarz Signy, szukając reakcji. – Kazałam ją zaprojektować dla ciebie jako prezent gwiazdkowy. Podoba ci się?

Signa położyła maskę na kolanach i wpatrywała się w jedno z najpiękniejszych dzieł sztuki, jakie widziała w życiu. Jakimś cudem należało do niej. Ktoś o niej myślał, kiedy je zamawiał, i to był najwspanialszy komplement, jaki kiedykolwiek otrzymała.

– Jest zachwycająca – szepnęła, delikatnie odkładając maskę do pudełka. – Chociaż nie wiem, czy mogę nosić coś takiego. Powinno

się ją oprawić w ramkę.

– Nonsens – cmoknęła Blythe. – Jeśli uważasz, że to dzieło sztuki, to noś ją i sama stań się dziełem sztuki. Wiem, że nie możesz się doczekać balu, i jeśli sama nie mogę tam być, żeby wszystkich przyćmić, musisz mnie zastąpić.

Signa się roześmiała.

– Chyba nie mam wyboru. – Zrobiło jej się ciepło na sercu. – Jeszcze nikt nigdy nie dał mi takiego cudownego prezentu. Dziękuję.

Blythe lekceważąco machnęła ręką i lekko zmarszczyła nos.

– To tobie należą się podziękowania, bo Thorn Grove zmieniło się od twojego przyjazdu. Ja wstałam z łóżka. Ojciec znowu się uśmiecha. Nie jest idealnie, ale nastąpiła poprawa, jakiej wcale się nie spodziewałam, i to tobie musimy dziękować. Jesteś dużo warta, Signo. Chcę, żebyś to ode mnie usłyszała, zanim jakiś sęp rodzaju męskiego zacznie ci szeptać słodkie słówka do ucha. Polubiłam cię nie za twoje talenty towarzyskie, ale za twoje wszystkie dziwactwa, które sprawiają, że jesteś jedyna w swoim rodzaju. I ktoś inny na pewno też cię polubi. – Przyłożyła maskę do twarzy Signy i przyjrzała jej się z uśmiechem, zanim odłożyła ją z powrotem do pudełka. – Wiem, że społeczeństwo uczy nas, że mamy być ciche, nudne i uległe, ale ty taka nie bądź, rozumiesz? Nie zmieniaj się po to, żeby zadowolić innych. Nie staraj się dopasować do norm, które inni nam narzucają. Takie są zasady noszenia maski.

Signa mocniej ścisnęła pudełko, próbując zapamiętać te słowa, ponieważ wyrażały wszystko, co czuła. Wszystko, czego się obawiała.

– To męczące – przyznała ze spuszczoneym wzrokiem – udawać kogoś, kim nie jesteś.

Blythe wzięła ją za rękę.

– Więc nie musisz się męczyć przez całe życie.

Signa miała wrażenie, że stoi na rozstajnych drogach, jedną nogą w świecie, który ją wzywał, ale budził w niej strach, drugą w świecie, którego zawsze pragnęła, ale odkryła, że nie jest dla niej przeznaczony. Nie znała odpowiedzi... nie wiedziała, czego chce. Miała jednak nadzieję, że wkrótce się tego dowie, więc kiwnęła głową, chociaż bez przekonania.

Blythe zmrużyła oczy, ale zanim zdążyła zapytać, czy to kiwnięcie głową oznacza obietnicę, rozległo się pukanie do drzwi.

– Panno Hawthorne?

To była Elaine z tacą. Signa spotkała ją na progu sypialni Blythe i nie pytając o pozwolenie, podniosła do ust porcelanową filiżankę. Wzięła łyk, ignorując zdumione protesty Elaine.

– Panno Farrow...!

Signa nie czekała na koniec zdania. Odstawiła niezatrutą filiżankę z powrotem na tacę i powiedziała do Blythe:

– Smacznego.

– Pamiętaj, co mówiłam, kuzynko!

Słaby głos Blythe ścigał Signę, kiedy wyszła na korytarz. Idąc, wyjęła maskę z pudełka, żeby jeszcze raz ją obejrzeć.

Wkrótce. Wkrótce dowie się, czego chce. Na razie jednak musi się przygotować do balu.



Signa spędziła cały dzień z Blythe, zapamiętując nazwiska wszystkich szacownych dżentelmenów i dam, którzy zjawią się na świątecznym balu. Pod koniec głowa jej pękała, ale Blythe wydawała się w dobrym nastroju, kiedy Signa wychodziła wczesnym wieczorem. Podejrzewała jednak, że Blythe spędzi całą noc przy oknie, obserwując gości, którzy przybywali do Thorn Grove w aksamitnych strojach i ekstrawaganckich maskach.

Teraz Signa stała przed lustrem, upudrowana i uróżowana, z ciemnymi włosami upiętymi w kok na karku. Dziewczyna, która spoglądała na nią ze szklanej tafli, wyglądała dokładnie tak, jak powinna – wcielenie urody, wdzięku i elegancji.

Pełne wargi były szkarłatne, włosy lśniące jak skrzydło kruka, a jasna cera w ciągu ostatnich tygodni nabrała rumieńców. Signa uważała, że wygląda całkiem ładnie. Posiłki w Thorn Grove dobrze jej zrobiły; nigdy nie przypuszczała, że będzie miała krągłości, wyraźnie zaznaczone biodra czy przyjemnie miękki brzusek. Wiedziała, że tego wieczoru dobrze odegra swoją rolę w towarzystwie. Natomiast nie była pewna, jak długo utrzyma się w tej roli. Nawet teraz jej ciało wydawało się zbyt ciężkie; źle się czuła we własnej skórze. Nie zdawała sobie sprawy, jaka jest słaba; kiedy nie używała swoich mocy, czuła się jak liść na wietrze. Ptaszynka, jak ją nazywał Śmierć, bezwolna i bezradna, zdana na łaskę byle powiewu.

Skórę miała lepką i dygotał w niej każdy nerw, kiedy czekała, aż Elaine przyniesie suknię. Marjorie droczyła się z nią już od tygodnia i nie chciała nic pokazać, ale zapewniała, że suknia będzie w ładnym odcieniu lila. Signa przeklinała swoje zdenerwowanie. Przecież była człowiekiem, całkowicie normalną dziewczyną, która nie powinna mieć żadnych kłopotów na balu. Dziewczyną, która chce odbyć praktykę w sezonie, zanim przejdzie do następnego etapu życia.

Ale im dłużej Signa o tym rozmyślała, tym głośniejsze rozbrzmiewały w jej głowie ostrzeżenia Marjorie i Blythe. Jaki jest cel tego wszystkiego? Wyjść za męża, a potem... co? Wydawać herbatki we wtorki oraz soboty albo w jakiś inny przeklęty dzień tygodnia, żeby zaspokoić kaprysy męża czy też gości? Signa chciała czegoś więcej niż herbata i plotki. Czegoś więcej niż prowadzenie domu, ładny charakter pisma i znośna gra na fortepianie.

Co takiego jej zrobił Śmierć, że takie życie przestało jej wystarczać?

– Panno Farrow?

Rozległo się pukanie do drzwi i weszła Elaine, niosąc wspaniałą suknię, czerwoną jak krew. Signie zaparło dech w piersi. Cofnęła się o krok, niezdolna oderwać spojrzenie, kiedy służąca rozkładała suknię na łóżku.

Signa nigdy nie nosiła sukni w takim odcieniu – nigdy nie odważyła się na taką zuchwałość. Musnęła palcami gładką tkaninę. Suknia była najpiękniejsza na świecie i bynajmniej nie w obiecany odcieniu lila.

– To dla mnie?

– Tak, panienko – potwierdziła z lekkim uśmiechem Elaine. – Musimy szybko panienkę ubrać, żeby nie traciła panienka przyjęcia.

Signa z trudem się powstrzymała, żeby nie zedrzeć z siebie ubrania. Pozwoliła, żeby służąca zasnurowała jej gorset i pomogła nałożyć suknię. Satynowa kreacja miała tiurniurę i obcisły stanik sznurowany na plecach. Przylegała jak rękawiczka do nowych kształtów jej ciała. Dotyk obcego materiału na skórze sprawiał, że Signa czuła się tak, jakby wynurzyła się z morza krwi. Odcień był tak intensywny i głęboki, że nie potrzeba było żadnych haftów ani dodatkowych ozdób, żeby przyciągać wzrok.

Suknia prezentowała się jeszcze wspanialej, kiedy Elaine pomogła Signie nałożyć pozłacaną maskę, prezent od Blythe.

– Jeśli panienka jest gotowa – powiedziała, przyglądając się Signie z uśmiechem – pan Hawthorne będzie panience towarzyszył.

Signa nie spodziewała się Percy’ego, ale to on czekał przed jej apartamentem w eleganckim czarnym garniturze i srebrnej lisiej masce ze spiczastym nosem. Na jej widok skłonił się i obdarzył ją szczerym uśmiechem.

– Szkoda, że tak długo trzymano cię pod kluczem. – Podał jej ramię. – Chodź, kuzynko. Pokażmy tym ludziom, co tracili.

Żołądek ciążył Signie jak kamień, ale wyprostowała plecy i wzięła Percy’ego pod rękę. Razem zeszli po schodach.

Na dole w sali balowej grała muzyka, Signę powitało łkanie skrzypiec i dźwięk fortepianu. Znalazła się w miejscu pięknym jak ze snu. I pięknie pachniało, pieczonymi kasztanami i perfumami przesycającymi powietrze. Pozłacana boazeria, marmurowa posadzka i takie same kolumny odbijały blask kryształowych

żyrandoli, zalewając salę złocistą poświatą. Na ścianach wisały świerkowe girlandy, a kolumny ozdabiały wieńce z ostrokrzewu.

Wszędzie kręcili się dobrze ubrani nieznajomi w maskach z koronki i klejnotów, zajadali pudding i popijali szampana, podawanego na srebrnych tacach przez służących w schludnych czarnych garniturach i nieskazitelnym białym rękawiczkach.

Signa poczuła, że Percy zeszywniał, kiedy podszedł do nich jego ojciec. Elijah Hawthorne był niemal nie do poznania, ramiona miał wyprostowane, głowę dumnie uniesioną. Był gładko ogolony, elegancki i przystojny, ze starannie ufryzowanymi blond włosami. Nosił maskę ozdobioną ostrokrzewem, którego zielone liście wyglądały jak oszronione. W ręku trzymał kieliszek bez bąbelków ani żadnego bursztynowego trunku, jakiego Signa mogła się spodziewać. Zdawało się, że pije... wodę. Teraz, kiedy był trzeźwy, Signa dostrzegła w nim kawalera, który potrafił łamać serca. Dostrzegła za zasłoną smutku mężczyznę, który był uroczy.

– Wspaniałe, prawda? – zagadnął Elijah.

– Wspaniałe. – W głosie Percy'ego zabrzmiała nuta goryczy.

– Miło widzieć, że się ogarnąłeś, synu. A ty... – Elijah wziął Signę za rękę i okręcił ją dookoła. – Dosłownie promieniejesz. Wyglądasz całkiem jak twoja matka, taka wystrojona.

Signa zamarła w połowie obrotu.

– Naprawdę?

– O tak. To była prawdziwa dusza towarzystwa. Niczego nie nienawidziła bardziej niż ludzi i niczego nie kochała bardziej, niż przyciągać uwagę. Prawdziwa zagadka.

Signa przycisnęła rękę do gardła, szukając słów, żeby sformułować pytanie, które od dawna cisnęło jej się na język.

– Czy moja matka stosowała się do zasad obowiązujących w towarzystwie?

Natychmiast, kiedy wypowiedziała te słowa, ogarnęły ją wyrzuty sumienia, bo zadając na głos to pytanie, jakby przekreślała wszystkie historie, które opowiadała jej babcia.

Przez całe życie Signa wyobrażała sobie matkę w pewien szczególny sposób i starała się ją naśladować. Ale inni mówili o Rimaie takie rzeczy, że Signa nie mogła się pozbyć wątpliwości. Pytań.

– Rima była jak słońce – oznajmił z przekonaniem Elijah. – Wszyscy chcieli być przy niej. Ale jeśli za bardzo się zbliżyli... mogli spłonąć. Rima robiła, co chciała, bez żadnych skrupułów, i w dodatku była piękna. Szkoda, że nie mogłaś jej poznać, Signo. Jeśli to coś znaczy, Blythe czasami mi ją przypomina.

Signa przełknęła emocje, od których ścisnęło jej się gardło. Przez dziewiętnaście lat miała obsesję na punkcie tego podręcznika etykiety. W sekrecie pragnęła być miłą, dobrze ułożoną młodą kobietą, z której matka byłaby dumna.

Przez dziewiętnaście lat... a teraz nawet nie wiedziała, czy jej matce w ogóle zależało na takich rzeczach.

Skłoniła głowę.

– Dziękuję, Elijah...

Elijah przerwał jej, gdy tylko otworzyła usta. Odstawił kieliszek i wziął Signę za obie ręce.

– To tobie należy się podziękowanie. – Ścisnął jej dłonie. – Tak głęboko pograżyłem się w smutku, że... wstyd przyznać... zacząłem tracić wszelką nadzieję. Winienem ci wielką wdzięczność za to, co

zrobiłaś dla mojej córki, panno Farrow. Ten bal to mój pierwszy z licznych prezentów dla ciebie.

Percy zeszywniał obok niej.

– Jeśli mi wybaczysz, kuzynko, znajdę cię później na parkiecie.

Poprawił krawat, potem guziczki przy rękawiczkach... i odszedł, nie zaszyciwszy ojca nawet jednym spojrzeniem.

Jeśli Elijahowi zrobiło się przykro, nie dał tego po sobie poznać. Signa starała się naśladować jego beztroską postawę. Nie pozwoli, żeby pretensje Percy'ego do ojca zepsuły jej nastrój. Z ulgą zrozumiała, że jest tu mile widziana, że Elijah nie pragnie jak najszybciej się jej pozbyć. Od dawna nie czuła się tak swobodnie w żadnym domu. Od dawna w żadnym domu nie chciała dłużej zostać.

– Mam nadzieję, że już niedługo będziemy uczestniczyć w przyjęciu na cześć Blythe – powiedziała.

Elijah przestał ścisnąć jej rękę i chociaż w słabym świetle nie widziała wyraźnie, zdawało jej się, że oczy zaszły mu łzami.

– Istotnie – powiedział cicho. – Bardzo bym tego chciał.

Wyprostował się i całkiem puścił jej rękę.

– A teraz nie marnuj tego wieczoru z takim starym piernikiem jak ja. Idź i znajdź sobie partnera do tańca. Znajdź pięćdziesięciu partnerów, jeśli masz ochotę.

Więc Signa tak zrobiła. Weszła pomiędzy wirujące postacie, dostatecznie blisko, żeby wyglądać na zainteresowaną tańcem – ale nie tak blisko, żeby deptały ją obcasy albo smagały rozwiane spódnice. Z rozmarzeniem patrzyła na dwie kobiety tańczące ze sobą, jakby płynęły unoszone falą jedwabnych sukien. Z drżeniem

serca patrzyła, jak przystojny mężczyzna podaje rękę młodej damie, i miała nadzieję, że następny wybierze ją.

Ale następny przystojny mężczyzna, którego Signa zobaczyła, nie podał jej ręki, tylko zapał dech w piersi.

Pod ścianą sali balowej Sylas Thorly sącył szampana z wysokiego kieliszka. Serce Signy uderzyło szybciej na jego widok, ponieważ w tamtej chwili nie wyglądał jak służący czy chłopak stajenny, tylko jak dżentelmen w każdym calu. Nosił dobrze skrojony garnitur w ciemnym onyksowym odcieniu oraz maskę, która wyglądała jak wykuta w metalu i ozdobiona misternymi grawerunkami. Signa musiała spojrzeć ponownie, żeby się upewnić, że się nie pomyliła, wiedziała jednak, że wszędzie rozpozna te dymnoszare oczy.

Chociaż doskonale zdawała sobie sprawę, że nie powinna się nim zachwycać, a raczej zastanowić się, od kogo pożyczył taki piękny garnitur, nie mogła się powstrzymać, żeby jeszcze raz na niego nie spojrzeć. Boże, jaki był przystojny. Chociaż jak tylko o tym pomyślała, zmusiła się, żeby odwrócić wzrok. Stąpała już po cienkim lodzie w związku ze Śmiercią i nie potrzebowała dodatkowych komplikacji. Sylas wyraźnie dał do zrozumienia, że ma już kogoś bliskiego. Signa powinna go sobie wybić z głowy.

Jednak bardzo chciała wiedzieć, dlaczego ośmielił się tu przyjść, nawet zamaskowany. Nie mogła do niego podejść, więc zamiast tego podeszła do pobliskiego bufetu ze słodyczami i demonstracyjnie zaczęła je oglądać. Kiedy podniosła wzrok znad pięknie polukrowanej tarty z owocami i napotkała spojrzenie Sylasa, dopił szampana, odstawił kieliszek i podszedł do bufetu.

– Do twarzy ci w tym kolorze – powiedział z kpiącym uśmiechem.  
– Pięknie wyglądasz.

Signa wzięła się w garść, zdecydowana nie pozwolić się zaskoczyć i zbić z tropu. Odchrząknęła i szybko się opanowała, chociaż nie wiedziała, jak długo jeszcze będzie w stanie kontynuować to przedstawienie z oglądaniem słodyczy. Tej lekcji wyraźnie zabrakło w jej podręczniku etykiety.

– Co ty tu robisz? – zapytała. – Mogli cię przyłapać!

– Spokojnie – powiedział, wziął z bufetu nadziewaną babeczkę i ugryzł. – W takim przebraniu na pewno nikt mnie nie rozpozna. Poza tym właśnie tutaj powinienem być. Jeśli ktoś próbuje zaszkodzić Hawthorne’om, dziś wieczór w tym zamieszaniu ma idealną okazję, żeby uderzyć. Chcę rozwiązać tę sprawę tak samo jak ty, więc się rozglądam.

Signa nie fatygowała się już udawaniem, że wybiera słodycze, tylko spojrzała mu prosto w oczy.

– A to dlaczego, panie Thorly?

Z pewnością nie chodziło mu tylko o pieniądze. Chyba że z jakiegoś powodu bardzo ich potrzebował.

Sylas zacisnął zęby.

– Już pani mówiłem i nic się nie zmieniło, panno Farrow. Jest pewna kobieta, na której ogromnie mi zależy, i przyjmując pani ofertę, pomagam jej w jedyny sposób, jaki obecnie jest dla mnie możliwy.

Signa chciała dalej naciskać – dowiedzieć się, kim jest ta dziewczyna i w jaki sposób ich umowa jej pomoże – ale Sylasa uchronił od odpowiedzi znajomy głos, który rozległ się nagle za plecami Signy.

– Co za wspaniałe przyjęcie! – odezwała się Diana Blackwater, łapiąc Signę za ramię.



Obok niej stała Eliza Wakefield, wachlując się falbaniastym wachlarzem z białej koronki. Zapewne miał wyglądać kosztownie, jednak Signie kojarzył się tylko z dekoracyjną serwetką.

– Zawsze słyszałam, że przyjęcia u Hawthorne'ów są bajeczne, ale to wykracza nawet poza moją wyobraźnię.

Głos Diany był tak zgrzytliwy, że Signa obawiała się, że uszy zaczną jej krwawić. Obejrzała się na Sylasa i westchnęła, widząc, że już umknął, żeby uniknąć nowych znajomości. Pomyślała, że później wyciągnie z niego odpowiedzi.

Diana trzymała Signę w żelaznym uścisku, ale nie patrzyła na nią, tylko wodziła wzrokiem po tłumie, upewniając się, że wszyscy widzą, jak bliska zażyłość łączy ją – rzekomo – z Signą. W zasadzie Signa przyznawała jej rację, skoro nie знаła prawie nikogo innego na balu. Ale Diana sypała dowcipami, jakby rozdawała komplementy, i Signa jeszcze nie zapomniała, jak chętnie Diana plotkowała o Hawthorne'ach, kiedy się po raz pierwszy spotkały.

Eliza też wyglądała całkiem inaczej. Zasłaniała twarz nadmiernie ozdobioną klejnotami maską na długim białym drążku. Wystroiła się w suknię koloru lila – dokładnie w tym odcieniu, który miała nosić Signa, zanim ku swojemu zaskoczeniu otrzymała tę przepiękną czerwoną kreację.

– Myślałam, że ubierasz się na zielono – zagadnęła Signa, zadowolona, że dziewczyna miała przynajmniej na tyle przyzwoitości, żeby ukryć rumieniec za maską. – Chociaż w liliowym też ci do twarzy. Powiedzcie mi, czy któraś z was widziała pannę Killinger?

Rozglądała się za dawną przyjaciółką w rozkołysanym morzu masek i ciał.

– Pewnie siedzi gdzieś i rozmyśla o lordzie Wakefieldzie – zadrwiła Diana głosem przesyconym złośliwą satysfakcją.

Signa ostrożnie poprawiła swoją maskę, traktując ją jak cenne dzieło sztuki.

– Dlaczego miałyby o nim rozmyślać?

Diana uniosła brwi.

– Wszyscy myśleliśmy, że on i panna Hawthorne zaręczą się w tym sezonie. Ale skoro Blythe zeszła ze sceny, panna Killinger pewnie myśli, że ma u niego szanse.

Zachichotała brzydtko, z goryczą. Signa nie przyłączyła się do niej, tylko dalej rozglądała się w tłumie. Z ulgą zobaczyła, że Charlotte wcale nie siedzi nadąsana w kącie. Jej suknia w głębokim szafirowym odcieniu wspaniale podkreślała śniadą cerę, a wysoko upięte loki odsłaniały delikatną szyję. Maskę, którą założyła, błyszczała jak płatek śniegu.

Charlotte rozmawiała z Percym, który szczyrzył zęby, jakby właśnie opowiedziała mu wyjątkowo śmieszny dowcip. Charlotte też się uśmiechała. Wkrótce oboje odstawili kieliszki i weszli na parkiet. Wbrew temu, co sugerowały Diana i Eliza, te dwie plotkary, Charlotte najwyraźniej świetnie się bawiła.

– Jej cierpienia wkrótce się skończą – odezwała się ze zbytnią nonszalancją Eliza. Powędrowała wzrokiem ponad ramieniem Signy.

– Mojemu kuzynowi wpadł już w oko kto inny.

Signa odwróciła się do mężczyzny, który podszedł do niej od tyłu. Nawet w masce rozpoznała Everetta Wakefielda po wzroście i włosach. Prezentował się przystojnie w eleganckim czarnym garniturze i biało-złotej masce, zaprojektowanej tak, żeby wyglądała na popękaną. Zasłaniała mu tylko oczy i Signa zastanawiała się, czy

umyślnie wybrał taki model, żeby inni nadal widzieli jego mocną szczękę i gładką brązową skórę. Jeśli tak, to sztuczka się powiodła. Młode kobiety cisnęły się wokół niego, przedstawiane przez gorliwe mamusie albo po prostu stojące w pobliżu i wachlujące się dramatycznie w nadziei, że przyciągną jego uwagę.

Signa z zadowoleniem zobaczyła, że Everett uprzejmie traktował te mamusie i wydawał się rozkosznie nieświadomy bliskości tych wszystkich kobiet, chociaż poczuła się trochę nieswojo, kiedy spostrzegła, że on patrzy tylko na nią.

– Znowu się spotykamy, panno Farrow.

Sądziła, że na dźwięk jego głosu serce powinno zatrzepotać jej w piersi, i zmarszczyła brwi, kiedy tak się nie stało.

– Rzeczywiście.

Służący podsunął każdemu z nich smakowitą lukrowaną tartę. Everett odmówił, naśladując Signę. Ze zdenerwowania miała takie skurcze żołądka, że chyba zwymiotowałaby, gdyby coś zjadła.

– Cieszę się, że mógł pan przyjść, lordzie Wakefield.

Jak to jest, zastanawiała się Signa, kiedy wszyscy zabiegają o twoją uwagę? Gdyby weszła na przyjęcie wsparta na jego ramieniu, czy ludzie też tłoczyliby się, żeby z nią porozmawiać, jak tłoczyli się wokół niego? Signa złościła się na siebie za takie myśli. Złościła się, że jej zależało. Jakie to ma znaczenie, co inni o niej myślą? To wszystko wydawało się śmieszne, a jednak nie mogła stłumić ciekawości podszytej goryczą.

– Proszę wybaczyć, że się narzucałem z wcześniejszą wizytą – zaczął głosem lekkim jak piórko Everett. – Nie zdawałem sobie sprawy, że pani jeszcze nie przyjmuje.

Zaczerwieniła się; tyle się ostatnio wydarzyło, że całkiem zapomniała o jego liście i propozycji odwiedzin.

– Nie ma czego przebaczać. Czułam się zaszczycona.

Uśmiechnął się.

– Czyżby? A zatem, panno Farrow, czy zechce pani zaszczyścić mnie z kolei, ofiarowując mi pierwszy taniec?

Najpierw rozejrzała się ukradkiem. Nigdzie nie widziała Sylasa i nikt chyba nie czekał na nią w cieniu, więc odchrząknęła i uniosła głowę, żeby odpowiedzieć:

– Z przyjemnością.

Dyskretnie wytarła spocone dłonie o suknię, zanim podała rękę Everettowi. Poprowadził ją na środek tanecznego parkietu, gdzie rozbrzmiewała wesoła polka galopka.

Everett uklonił się, a Signa dygnęła, zanim zrobiła krok do przodu i położyła mu jedną rękę na ramieniu, a drugą wsunęła w jego dłoń. Przełknęła ślinę, kiedy objął ją w talii i zaczęli. To był szybki, skoczny taniec, w którym wszyscy zmieniali partnerów, lawirowali w tłumie i wracali na swoje miejsca. Radosny śmiech wypełniał salę balową. Signa i Everett kręcili się i przesuwali w tył i w przód, spoceni i zaczerwienieni, ale zbyt uszczęśliwieni, żeby się tym przejmować.

Everett był wprawnym tancerzem i opanował kroki tak dobrze, że nie potknął się, kiedy Signa się pomyliła. Objął ją mocniej i pomógł odzyskać rytm, nie okazując pogardy ani zażenowania, tylko z szerokim uśmiechem.

– Egoistycznie się cieszę, panno Farrow, że przyjechała pani do Thorn Grove.

Jego uśmiech był zaraźliwy. Policzki ją od tego bolały, nie wiadomo dlaczego. A jednak, chociaż tańczyli tak wesoło, nie czuła, że jego ramiona są odpowiednim oparciem dla jej rąk. To nie z nim chciała tańczyć. Nie on powinien ją zobaczyć w tej sukni, piękną, strojną i zuchwałą.

Zadyszała się, kiedy po raz kolejny okrążyli pokój, a potem obracali się wokół siebie. Nie odpowiedziała, więc nachylił się bliżej.

– Nie mogę się doczekać wiosny.

Mówił dość cicho, jednak Signa uchwyciła fragmenty stłumionych rozmów, które brzmiały całkiem jak plotki. Obserwowało ich zbyt wiele oczu. Zastanawiała się, czy on też to zauważył i czy mu to przeszkadzało. Była tak rozkojarzona, że zmyliła krok, a on ją złapał, zanim się potknęła, akurat kiedy melodia dobiegła końca.

Ściągnął brwi i na jego czole pojawiły się głębokie zmarszczki.

– Dobrze się pani czuje?

Signa pożałowała, że nie ma ohydneho koronkowego wachlarza Elizy, żeby zakryć rozpaloną twarz.

– Doskonale – zapewniła, naśladowując kobiety wokół niej, które dygały przed swoimi partnerami. – Dziękuję, lordzie Wakefield. Jest pan cudownym partnerem do tańca.

Skłonił się i chociaż zmarszczki na jego czole nie całkiem się wygładziły, nie naciskał więcej.

– Pani też. Mam nadzieję, że to nie będzie nasz ostatni taniec tego wieczoru.

– Nie, nie przypuszczam.

Zdawało się, że tym pierwszym tańcem lord Wakefield przełamał jakąś niewidzialną barierę. Signa zrobiła zaledwie kilka kroków,

kiedy ktoś ją przeprosił i się przedstawił. Wkrótce jej karnecik się zapełnił z wyjątkiem ostatniego miejsca. Nikt nie odważył się odebrać ostatniego walca lordowi Wakefieldowi. W ciągu wieczoru Signa kilkakrotnie napotykała jego spojrzenie, kiedy tańczyła z niezliczonymi mężczyznami, starszymi i młodszymi, zamożnymi i pragnącymi podwyższyć swój status.

Chociaż spodziewała się, że przyjemnie spędzi czas, im więcej ludzi poznawała, tym bardziej czuła się wyczerpana. Większość mężczyzn zachowywała się przyzwoicie, jednak w towarzystwie wielu z nich cierpła jej skóra, a jeden – starszy dżentelmen o wąskich wargach i chudej, żylastej sylwetce – nawet przesunął rękę niżej, niż wypadało.

Widziała Charlotte wirującą w ramionach nieznanym mężczyzną, a potem znowu z Percym. Szeptali i śmiali się z jej kuzynem, oczy im błyszczały. Ciepło jej się zrobiło na sercu na ten widok, chociaż Eliza obserwowała ich z zaciśniętymi ustami, gniewnie trzepocząc wachlarzem.

Wszyscy inni zdawali się naprawdę dobrze bawić. Teraz, po paru godzinach – i wielu drinkach – śmiech rozbrzmiewał częściej i nastroje jeszcze się poprawiły. Zabawnie było obserwować tych ludzi, chociaż Signa wkrótce stwierdziła, że najbardziej pragnie wymknąć się do własnej sypialni, zapalić świecę i zażyć długiej, nocnej kąpieli. Od tygodni próbowała wziąć się w garść. Starła się odgrywać swoją rolę i powtarzała sobie, że łatwo znajdzie miejsce w kręgach towarzyskich. Jednak wymęczyły ją surowe, bezwzględne zasady i bała się, że wybuchnie, jeśli nie wyjdzie stąd chociaż na chwilę, żeby odetchnąć.

Lecz kiedy taniec się skończył i Signa przygotowała się do ucieczki, wszystkie głowy odwróciły się na widok nowego gościa.

Signa nigdy wcześniej nie widziała tego mężczyzny. Włosy miał srebrne jak światło gwiazd, związane na karku. Odziany był w czarny garnitur z kosztownej importowanej tkaniny, wysokie buty z najlepszej czarnej skóry i skórzane rękawiczki. Na twarzy nosił maskę z czystego złota, na której widok w sali wezbrała fala szeptów. Nikt nie odważyłby się założyć czegoś takiego na bal. Maska wyglądała wręcz makabrycznie, surowa i niemal diabelska, z dwoma długimi spiralnymi rogami wyrastającymi u podstawy czaszki. Jej właściciel był imponująco wysoki i dobrze zbudowany, i kiedy ruszył przed siebie, ludzie się przed nim rozstępowali. Nie zwracał na nich uwagi, tylko przeszedł przez salę balową i stanął przed Signą. Bez słowa wyciągnął do niej rękę.

Ujęła jego dłoń, zanim się zorientowała, co robi. Muzyka urwała się pod jego dotykiem i kiedy wziął ją w ramiona, natychmiast go rozpoznała.

– Witaj, ptaszynko. Zatańczysz?

Światła przygasły i śmiechy ucichły, kiedy Signa wysunęła się z objęć Śmierci.

– Co ty tu robisz? – Serce jej łomotało, kiedy spoglądała ponad jego ramieniem na ludzi nieruchomych jak posągi. – Czy oni cię widzą?

– Noszę maskę, Signo. Cokolwiek wydaje im się, że widzą, to tylko iluzja.

Słyszała wesołość w jego głosie, ale i bez tego wiedziała, że się uśmiechał, bo teraz zobaczyła to na własne oczy. Pełne różowe wargi wygięte w uśmiechu i kości policzkowe – jedyne fragmenty jego twarzy, których nie zakrywała maska.

Jedna po drugiej nieruchome twarze, obserwujące ich niemrugającymi oczami, rozwiały się jak dym i sala balowa znikła. Jakimś sposobem znaleźli się teraz w ogrodzie, oblani bladą poświatą księżyca. Ziemia pod stopami Signy zwilgotniała, powietrze pachniało upojnie. Śnieg chrzęścił pod jej pantofelkami, a nad głową wirowała kopuła gwiazd.

– Wyglądasz jeszcze piękniej, niż sobie wyobrażałem. – Przysunął się bliżej i musnął jej biodro dłonią w rękawiczce, sprawdzając fakturę tkaniny. – Podoba ci się mój prezent?

Och, mogła utonąć w tym jego głosie, bo był słodszy niż nektar. Miała wrażenie, że leży przed nim naga, obnażona w sposób, jakiego sobie nawet nie wyobrażała.

– To najpiękniejsza rzecz, jaką widziałam w życiu.



Oddech uwiązał jej w piersi. Powinna była się domyślić, że Marjorie nigdy nie dałaby jej takiej sukni. Tylko gdyby zdołała sięgnąć do głębin swojej duszy, mogłaby wybrać taki strój dla siebie.

Śmierć potwierdził chrapliwym chrząknięciem i na ten dźwięk Signa nachyliła się ku niemu.

– Nie mogłem być pierwszy, więc pozwól, że będę ostatni tej nocy. Zatańcz ze mną, ptaszynko.

Śmierć był chyba najpotężniejszym z istniejących bytów – potężniejszym od wszystkich królów. Był straszny jak noc, niepowstrzymany jak wiatr i deszcz. A jednak w tej prośbie kryło się subtelne drżenie.

Każde włókno w jej ciele krzyczało, żeby uciekać. Lecz kiedy Śmierć wyciągnął do niej rękę – nie cień, prawdziwą rękę – jej ciało zapłonęło. Jak to się stało, że przez tyle lat z nim walczyła – walczyła z tą częścią siebie – a teraz pożądała jego dotyku?

Dłoń Śmierci zacisnęła się na jej biodrze, a ona poddała się temu dotykowi i pozwoliła mu prowadzić. Poruszał się płynnie i z wdziękiem; im dłużej tańczyli, tym Signa czuła się lżejsza. Była jak piórko, a on był jak wiatr, który ją unosił.

– Jesteś więcej niż tylko cieniem. – Signa z trudem wydobyła z siebie głos.

Zmylił krok, ale szybko się poprawił.

– Mogę być czymś więcej, kiedy to służy moim celom.

– Masz materialną postać. – Nachyliła się bliżej, żeby zajrzeć pod cienie i złotą maskę. Tym razem nie pomylił kroków, ale trzymał ją na dystans. – Jak wyglądasz pod tą maską?

Cmoknął.

– Cóż za obcesowe pytanie na maskaradzie. Może kiedyś ci pokażę.

Coś wtedy zmiękło w jego głosie, zachwiał się dzielący ich mur. Takiej chwili Signa potrzebowała, żeby uderzyć w ten mur i obalić go do reszty.

– Nie podoba ci się twój wygląd?

Jego śmiech był jak szelest liści, jak ciche krakanie kruka o zmierzchu.

– Z pewnością uznasz, że jestem niezwykle przystojny. Po prostu wolę nie używać zbyt często mojej prawdziwej twarzy. Mogę zmieniać wygląd, żeby dawać ludziom to, czego potrzebują w ostatnich chwilach. Ale mój wizerunek... mój prawdziwy wizerunek... rezerwuję dla siebie. Nie chcę, żeby cały świat widział moją twarz jako ostatni obraz przed śmiercią.

Signa marzyła, żeby zobaczyć tę twarz. Zaledwie parę godzin wcześniej tańczyła w objęciach Everetta i wyobrażała sobie życie z nim w wyższych sferach. Teraz wyobrażała sobie dotyk warg Śmierci na ustach.

Z nim nie chciała już sobie niczego wyobrażać. Chciała wiedzieć. Śmierć nisko pochylił głowę, słowa musnęły jej ucho.

– Bardzo długo na ciebie czekałem, Signo Farrow.

Bez tchu, nie mogła znaleźć słów w odpowiedzi. Więc zamiast tego wspięła się na palce i przycisnęła wargi do jego ust.

Świat zniknął i sekundy rozciągnęły się w chwilę dostatecznie długą, żeby zdążyła zarzucić mu ręce na szyję. Żeby zimno przeniknęło ją do kości, a zaskoczenie Śmierci zmieniło się w pożądanie. Oparł ją o drzewo i odwzajemnił pocałunek, a dotychczasowa uprzejmość i powściągliwość ustąpiły przed

gwałtownym głodem. Wsunął ręce w jej włosy, wyjął szpilki i ciemne pukle rozsypały jej się na ramionach. Dotykał jej twarzy, jej talii, jej szyi i ciemność zamknęła się wokół nich.

Przywarł do Signy, która się nie broniła. Od chwili, kiedy ją pocałował, należała do niego. Nie chciała tego przerwać, nie chciała się powstrzymywać. Okryły ich cienie, jakby Śmierć zamierzał ją pochłonąć w całości, a ona zamknęła oczy, gotowa i przyzwalająca. Chciała, żeby ją pochłonął.

Cienie się rozproszyły i Śmierć oderwał się od niej. Signa zadygotała. Ten postępek godny był diabelskiej maski, którą nosił. Szukała go dzikim wzrokiem, nie chcąc, żeby to się skończyło. Gdyby położył ją na ziemi, powróciłaby do tego, co zaczęli tamtej nocy w jej sypialni.

Ale on powiedział:

– Już prawie północ. Powinnaś wrócić na bal.

I to był koniec. Śmierć powiódł palcami po jej ramieniu aż do dłoni, znowu zawirowali i świat wokół nich zaczął powracać. Gwiazdy zniknęły, zastąpione przez pozłacany sufit, mech pod stopami Signy zmienił się w marmur. Szmer wody w sadzawce przerodził się w hałaśliwy śmiech obcych ludzi i Signa zatęskniła za tamtą ciszą.

– Mogę przyjść do ciebie później. – Nie patrzył na nią, kiedy mówił. – Musisz tylko otworzyć okno, a wtedy przyjdę.

Przegarnął palcami jej rozpuszczone włosy i zniknął.

W ciągu sekundy sala balowa wyglądała dokładnie jak przedtem. Ale godzina się nie zgadzała. Dochodziła północ.

– Tu jesteś!

Signa odwróciła się i zobaczyła Marjorie, spieszącą do niej z ulgą wypisaną na twarzy.

– Lord Wakefield się o ciebie dopytuje, ale nikt nie miał pojęcia, gdzie się podziałaś. – Zmierzyła Signę wzrokiem. – Co ty masz na sobie? I coś zrobiła z włosami? Och, nieważne. Nie ma czasu, żeby to poprawić. Chodź.

Signa czuła tylko swoje obrzmiałe wargi. Pozwoliła, żeby guwernantka wzięła ją za ramię i wyprowadziła z sali balowej. Nie słuchała jej paplania o Everecie, pochłonięta wspomnieniem warg Śmierci na swoich.

Zebrał się tłum, kiedy zaczęło się odliczanie do północy. Na środku holu stała choinka, udekorowana ogromnymi czerwonymi i złotymi bombkami, owocami i zapalonymi świeczkami. Obok choinki Signa dostrzegła Percy'ego, śmiejącego się razem z Charlotte, która podała mu kieliszek szampana i wzięła drugi dla siebie. Eliza też tam była i usiłowała przysunąć się do tej pary. Jakiś mężczyzna w masce kruka chwycił Percy'ego za ramię. Signa nie poznałaby go, gdyby nie trzymał w ręku laski. Byron. Z ulgą zobaczyła, że Percy się uśmiecha. Powiedział coś do Byrona zniżonym głosem, stłumił ziewnięcie, uwolnił ramię i wychylił kieliszek szampana.

Everett Wakefield stał na przedzie tłumu. Uśmiechnął się lekko, z zakłopotaniem, kiedy Signa napotkała jego wzrok, ponieważ przepuściła ostatni walc z nim. Odwróciła spojrzenie, nienawidząc się za to. Był miłym człowiekiem, ale odkąd poczuła dotyk Śmierci na ustach, nie miało znaczenia, jaki był miły. Śmierć był jej trucizną i chciała tylko więcej.

Wydawało jej się, że dostrzegła również Sylasa. Chciała już do niego podejść i zapytać, czy coś zauważył, ale zanim weszła do holu, Elijah podniósł kieliszek z wodą i kończył swoją przemowę. Signa, wepchnięta w wiwatujący tłum, usłyszała tylko ostatnie słowa:

– I niech to będą prawdziwie radosne święta!

Tłum powtórzył chóralnie te słowa, kiedy wybiła północ. Ktoś wetknął Signie kieliszek do ręki. Przyjęła go ze śmiechem i łyknęła szampana, podczas gdy wszyscy dookoła wznosili toasty i życzyli sobie nawzajem wesołych świąt. Byli obcy, ale w tamtej chwili to nie miało znaczenia, bo w jej ciele tętniła radość.

Gdyby hałasowali trochę bardziej, mogłaby dalej pławić się w szczęściu i nie usłyszeć brzęku rozbijanego kryształu ani stłumionych okrzyków. Nie zauważyć, że w sali balowej zapadła cisza i wszystkie oczy zwróciły się na choinkę. Nie spostrzec, że obok niej Marjorie krzyczy, a Sylas nagle zjawia się przy niej i chwyta ją za rękę.

– Zamknij oczy – szepnął tak cicho, że Signa nie wiedziała, czy tylko jej się nie zdawało. – Nie musisz tego widzieć, Signo.

Ale ona nie zamknęła oczu i musiała to widzieć, ponieważ ktoś wpadł na choinkę i przewrócił ją na podłogę, rozbijając ozdoby. A tym kimś był Percy, nieprzytomny, z oczami wywróconymi w głąb czaszki, zachlapany własną krwią i wymiotami.

Na szczęście dla Percy'ego Signa miała jeszcze jedną dawkę kalabarskiej fasoli.

Kazali Warwickowi wyprowadzić wszystkich gości z Thorn Grove. Signa poczuła do nich jeszcze większą niechęć, kiedy jej uszu dobiegły szeptane komentarze, że pewnie Percy wypił za dużo, jak jego ojciec. Zjeżyła się na te słowa. Jacy podli byli ci ludzie, żeby oczerniać człowieka, który zaprosił ich do swojego domu. Zresztą te plotki były wyssane z palca: Elijah przez cały wieczór nie wypił ani kropli alkoholu.

Schronili się w pokoju Elijaha, z dala od wścibskich oczu. Marjorie i Elijah bez protestów pozwolili Signie działać, kiedy zapewniła, że potrafi wyleczyć Percy'ego, tak jak wyleczyła Blythe. Gniew dodał jej sił, kiedy ucierała resztę kalabarskiej fasoli na proszek, który rozmieszała w szklance wody. Percy dyszał i dygotał, grube krople potu spływały mu po szyi. Marjorie i Elijah patrzyli ponurym wzrokiem, nie śmiejąc się odezwać, kiedy poła chłopca miksturą.

Na szczęście Percy szybko zwymiotował truciznę i już po godzinie oddychał swobodniej. Śmierć, który przez cały czas siedział przy jego łóżku, nieruchomy i wyczekujący, w końcu kiwnął głową i znikł. Napięcie towarzyszące Signie od razu ustąpiło.

– Jak to się stało? – Elijah spojrzał na Signę i resztkę mlecznobiałej odtrutki na nocnym stoliku.

Signa nie znała odpowiedzi. Widziała Sylasa tylko przez chwilę, zanim pobiegła za Marjorie i Elijahem, lecz w ciągu tej chwili zdążył przysiąc, że nie zauważył niczego niezwykłego. Chociaż wyteżęła umysł, kawałki łamigłówek nie chciały się ułożyć. Hawthorne'owie, jeden po drugim, padali ofiarą trucizny – ale dlaczego? Dla ich majątku? Signa podejrzewała Byrona i Marjorie od tamtej nocy, kiedy pojechała z Sylasem do Grey's. Tak, Byron chciał, żeby brat przekazał mu zarządzanie klubem, ale czy w tym celu skrzywdziłby Percy'ego? I jaką rolę odgrywała w tym wszystkim Marjorie?

Signa przegarniała włosy palcami, coraz bardziej sfrustrowana. Percy czuł się doskonale, kiedy eskortował ją na przyjęcie. Widziała, jak się uśmiechał i tańczył. Nawet w tych ostatnich chwilach, zanim upadł, wydawał się szczęśliwy, gawędził wesoło z Charlotte i Elizą. Ale Byron też tam był. Byron, którego słowa Signa pamiętała z tamtej nocy w Grey's. „Skoro nie chce przekazać interesu Percy'emu, namów go, żeby przekazał firmę mnie”. W jego słowach brzmiała taka gorycz. Taka wściekłość. „Zresztą będę lepszym zarządcą, tak jak byłbym lepszym mężem”.

– Gdzie jest Byron? – zapytała Signa. – Stał obok Percy'ego, zanim Percy upadł.

Elijah klęczał przy łóżku Percy'ego i patrzył, jak pierś syna powoli unosi się i opada.

– Myślisz, że on jest za to odpowiedzialny?

Signa nie wiedziała i wolała nie rzucać pochopnych oskarżeń. Byron nie ukrywał, że zależy mu, aby Grey's został w rodzinie, i chociaż tamtej nocy wstawiał się za Percym, może chodziło mu o coś więcej.

– Możliwe, że on coś widział.

Prawda sama pchała się Signie na usta, domagała się głosu. Signa bardzo chciała powiedzieć Elijahowi i Marjorie, co się dzieje. Jednak im więcej osób wiedziało, tym większe był ryzyko wycieku informacji. Nie mogła również wykluczyć, że oni wiedzą więcej, niż wyjawili. Ciągle wracała myślami do Marjorie i dziwnych sytuacji, w których widywała guwernantkę. Sytuacji, w których nie potrafiła odnaleźć żadnego sensu, chociaż bardzo się starała.

Potrzebowała odpowiedzi... szybko. Zanim będzie za późno.

– Cieszę się tylko, że lekarstwo działa – powiedziała. – Stosuje się je na dolegliwości żołądkowe, ale zużyłam już wszystko, co miałam.

Poczuła się bezbronna, wyznając to na głos. Objęła się ramionami. Dziś wieczorem o mało nie stracili Percy'ego. Jeszcze jeden taki wypadek i umrze on, Blythe albo ktoś inny z Hawthorne'ów, kto stanie się następnym celem.

– To nie jest choroba, prawda? – powiedział Elijah. – To nie jest przypadek. Ktoś się wziął na moją rodzinę.

Elijah ledwie panował nad sobą. Nie chcąc, żeby się załamał, Signa szepnęła:

– Wszystko jest możliwe.

Marjorie w milczeniu otuliła Percy'ego kocami i położyła mu wilgotny kompres na czole. Zatraskanie wryło się w każdej zmarszczce na jej twarzy.

Signa mogła tylko myśleć o śmiechu Percy'ego, kiedy tańczyli razem na lekcji. Jak przynosił jej ciastka i placki późnym wieczorem, kiedy nie mógł spać albo zamartwiał się o Grey's. Musiała też myśleć o Blythe. Blythe, której śmiech chciała częściej słyszeć. Dość miała patrzenia, jak dziewczyna walczy – o oddech, o ulgę, o życie.



Czas położyć temu kres.

– Nic więcej nie mogę dziś dla niego zrobić. – Signa wstała i zgarnęła spódnice. – On potrzebuje odpoczynku.

Elijah kiwnął głową.

– Postaram się zdobyć więcej tego lekarstwa – obiecał. – Marjorie, znajdź Byrona i przyprowadź go do mnie. Możemy go zapytać, czy coś wie.

– Oczywiście, sir. – Marjorie szklistymi oczami patrzyła, jak Elijah pochyła się nad synem i delikatnie kładzie drżącą dłoń na jego policzku.

Ktokolwiek stał za tymi zatruciami, był sprytny, zawsze wyprzedzał Signę o krok. Teraz jednak ona powinna być sprytniejsza.

Wyschnięte jagody belladonny, które Signa ostrożnie trzymała w złączonych dłoniach, przypominały suszone śliwki. Siedziała z podwiniętymi nogami na łóżku, wciąż w balowej sukni. Przez otwarte okno napływało zimno kłuszące jej skórę, kiedy odtwarzała w pamięci swoje lekcje. Nie wystarczyło tylko przechodzić przez ściany. Musiała unikać wykrycia, wtopić się w cienie i stać się niewidzialna, tak jak Śmierć. Wyrównała oddech, skupiła się na swoich intencjach – porzucić cielesną postać, na jedną noc dołączyć do duchów Thorn Grove – i położyła na języku dziesięć suszonych jagód.

Po chwili pokój wokół niej zawirował. Skronie jej pulsowały, w uszach dzwoniło, jakby ktoś przy niej wystrzelił z pistoletu.

– *Signa?* – Zaniepokojony głos Śmierci oczyścił kawałek przestrzeni w jej umyśle i przywrócił jej równowagę.

– *Gdziekolwiek jesteś, nie musisz przychodzić* – odpowiedziała. – *Dam sobie radę. Pilnuj innych.*

Kiedy otworzyła oczy, wciąż znajdowała się w swoim ciele, jednak wydawało się lżejsze. Wyciągnęła rękę do cieni w kącie pokoju. Natychmiast posłuchały, skłębily się wokół jej stóp i owinęły wokół ramion, ukrywając ją w ciemnościach.

Dreszcz mocy przebiegł przez jej żyły i świat otworzył się przed nią, gotów na jej skinienie. Podeszła, żeby przejrzeć się w lustrze. Nie spojrzała na nią żadna widmowa twarz, ponieważ Signa nie była

duchem. Spowijały ją cienie, ciemność samej nocy – całkiem jak Śmierć.

– *Nie oddychasz.* – Głos Śmierci był twardy jak lód. – *Dlaczego nie oddychasz, Signo?*

– *Powiedziałam ci, żebyś się nie martwił.* – Z nową pewnością siebie przeszła przez drzwi swojej sypialni, nie otwierając ich. – *Zamierzam wreszcie z tym skończyć.*

Początkowo nie całkiem wierzyła, że nikt jej nie widzi, ale skupiała się na swojej niewidzialności tak mocno, jak jeszcze nigdy w życiu, i ledwie zdążyła uskoczyć z drogi, kiedy służąca o mało na nią nie wpadła. Miała gołe ręce i nogi i chociaż cienie ją chroniły, to nie była odpowiednia pora, żeby wypróbować zabójczy dotyk.

Signa szukała już wskazówek wszędzie w Thorn Grove oprócz prywatnych pokojów. Teraz przechodziła po kolei przez sypialnie, wypatrując sekretów i kłamstw – czegokolwiek, żeby wypełnić luki w niekompletnej układance.

W pokoju Warwicka znalazła księgi rachunkowe, nudne tomiszczą oprawione w skórę, wypełnione notatkami o konieczności uzupełnienia domowych zapasów i szczegółami o wszystkich służących oraz jakości ich pracy. Kiedy Signa sięgnęła po księgi, cienie posłuchały jej milczącego rozkazu i przewracały dla niej stronicę. Niemal się roześmiała i coraz ufniej przywoływała swoje moce, żeby przejrzeć rejestry. Niewiele się różniły i ku swemu rozczarowaniu nadal nie znalazła żadnych zapisków dotyczących Sylasa. Powinna sprawdzić następne księgi rachunkowe, teraz jednak nie miała wyboru, musiała iść dalej.

W jednym pokoju zastała służącą, która pakowała kufer podróżny, mamrocząc coś o duchach i klątwach. W innym przyłapała parę,

bynajmniej nieprzejmującą się tajemniczą zarazą nawiedzającą Thorn Grove. Z płonącymi policzkami przeniknęła spieszenie przez następną ścianę, odwracając wzrok.

Pokój, do którego teraz trafiła, zdecydowanie należał do kobiety. Ściany miały subtelny odcień zieleni, na toaletce stały buteleczki bursztynowych perfum, leżała szczotka do włosów i pudełeczko z różem. Signa zorientowała się, że to pokój Marjorie, kiedy zobaczyła na biurku plan lekcji ze swoim imieniem i krótkimi notatkami o swoich postępach.

Na pierwszy rzut oka notatki wydawały się proste, ale Signa w głębi duszy przeczuwała, że Marjorie nie jest prostą osobą. Coś musiała znaleźć, więc grzebała w biurku, aż natrafiła na mały pamiętnik w skórzanej oprawie, schowany na dnie szuflady.

Usiadła na brzegu łóżka Marjorie i położyła sobie pamiętnik na kolanach. Drżącymi rękami otworzyła go na pierwszej stronie.

*22 października 1852*

*Nie wiem, czy kiedykolwiek będę należała do Thorn Grove.*

*Przez ile jeszcze dni będę zamiatać kuchnię i pracować prześcieradła, zanim ona mi pozwoli go zobaczyć?*

*Może ona ma rację i nie powinnam mu mówić. Może on nie przyjmie mojej miłości po wszystkim, co się stało. A jednak to okrutne nas rozdzielać. Gdyby nie Lillian, wszystko byłoby tak, jak powinno. Wszystko byłoby dobrze.*

Signa przewróciła następną kartkę, z datą późniejszą o trochę ponad tydzień.

1 grudnia 1852

Lillian ma oczy wszędzie. Ciagle je czuje na sobie, obserwujące każdy mój ruch, pilnujące, żebym się do niego nie zbliżyła.

Ale dzisiaj zabrała Blythe do miasta, żeby zamówić nowe suknie na sezon, a ja zastałam go w stajni, podziwiającego konie. Jest znakomitym jeźdźcem – celuje we wszystkim, co robi.

Może nie powinnam była mu powiedzieć, ale przez dwadzieścia lat wierzyłam, że prawda nas wyzwoli. Obawiam się jednak, że Lillian miała rację, żądając mojego milczenia – nikt jeszcze nie patrzył na mnie z taką pogardą.

Może gdybym jej postuchata, moje serce by nie pękło.

10 stycznia 1853

Nigdy sobie nie wyobrażałam, co się stanie z Lillian, jeśli prawda wyjdzie na jaw, ale nie żałuję jej.

Zastąpiła sobie na to, a kiedy odejdzie, Elijah będzie wolny. Ta rodzina będzie wolna.

\*

11 kwietnia 1853

Lillian odeszła, boję się jednak, że zabrała ze sobą mojego Elijaha.

Modlę się za dzieci. Modlę się za Lillian, niech spoczywa w spokoju i niech wkrótce stanie się dla nas tylko wspomnieniem.

Modlę się, żebyśmy wreszcie mogli być rodziną.

Signa przerzucała kartki najszybciej, jak mogła. Strona po stronie Marjorie opisywała swoje uczucia do Elijaha i do dzieci – i jakie inne byłoby życie, gdyby to ona wychowywała Percy'ego i Blythe. Marjorie chciała się pozbyć Lillian i sądząc po wzmiankach w pamiętniku, Lillian równie mocno chciała się pozbyć Marjorie. Ale w takim razie, dlaczego Elijah po prostu nie zwolnił Marjorie?

Signa wertowała pamiętnik, szukając czegoś o belladonie, jakiegokolwiek aluzji do trucizny. Ale jeśli Marjorie cokolwiek na ten temat wiedziała, rozumiała, że lepiej tego nie zapisywać.

Pamiętnik nie był dowodem, że Marjorie otruła Lillian, ale zawierał wskazówki. Może jednak to nie Byron był mordercą. Tak czy owak, Signa potrzebowała czegoś więcej.

Zamknęła pamiętnik i cienie ciasno owinęły się wokół niego. Gdyby ktoś chciał go jej odebrać, musiałby go wyrwać z jej zimnych, martwych palców.

Zrewidowała pokój od góry do dołu, szukając potwierdzenia swoich podejrzeń. Jęknęła z frustracji, kiedy niczego więcej nie znalazła, cienie wyrwały szufladę z komody i cisnęły przez cały pokój.

Położyła na języku jeszcze dwie jagody. Zapasy jej się kurczyły, ostatnio uzupełniała je tamtej nocy w ogrodzie. Gdzieś w Thorn Grove na pewno było coś bardziej konkretnego i potrzebowała więcej czasu, żeby to znaleźć. Pokój za pokojem szukała odpowiedzi. Im dłużej pozostawała pod wpływem belladonny, tym bardziej naturalnie przychodziło jej przenikanie przez ściany i mijanie ludzi, którzy nie zaszczycali jej nawet jednym spojrzeniem.

W końcu Signa dotarła do pokoju naprzeciwko apartamentu Blythe. Portret Lillian spoglądał na nią wyczekująco, ponaglał, żeby

zrobiła ten następny krok. Posłuchała wezwania.

Pokój dzienny był nawet większy od jej saloniku, z mahoniowymi meblami i kremowo-błękitnymi ścianami – wszystko pokryte grubą warstwą kurzu. Widocznie nikt tu od dawna nie wchodził. *Pewnie od śmierci Lillian*, pomyślała Signa.

Tylko że apartament nie był taki pusty, jak przypuszczała.

Drgnęła na odgłos kroków dobiegający z przyległej sypialni, zanim sobie przypomniała, że nikt nie może jej zobaczyć. Zebrała swoje cienie, przepłynęła przez ścianę i zastała tam Marjorie. Guwernantka siedziała na zakurzonej łóżku i dysząc ciężko, wpatrywała się w małą czarno-białą fotografię. Signa podeszła i zajrzała kobiecie przez ramię.

Na fotografii był Percy z ojcem i matką. Wyglądał bardzo młodo, z czego Signa wywnioskowała, że zdjęcie zostało zrobione, zanim urodziła się Blythe.

Signa nie spodziewała się łez wzbierających w oczach Marjorie i nie wiedziała, co robić, kiedy guwernantka przedarła fotografię na pół. Szarpnięciem otworzyła najbliższe okno i wyrzuciła kawałki zdjęcia na śnieg, zanosząc się płaczem.

Signa chciała już przerwać węszenie i ratować te strzępy zdjęcia, bo dla Percy'ego byłyby to cenna pamiątka z dzieciństwa. Ale zamarła na widok rąk Marjorie. Na czubkach palców widoczne były ciemnooliwkowe plamy.

Signa spojrzała na własne ręce. Wyglądały tak samo: palce poplamione sokiem belladonny.

Zatoczyła się na słupek łóżka. Ku swojej konsternacji nie przeleciała przez niego, tylko uderzyła mocno, aż łóżko jęknęło.

Marjorie odwróciła się gwałtownie i Signa musiała użyć całej samokontroli, żeby się skupić i ponownie ukryć w cieniach.

– Kto tam? – Oczy Marjorie skakały po pokoju, szukając osoby, której nie mogły zobaczyć. Signa skuliła się i modliła, żeby belladonna nie przestała działać. Przygotowała się już, żeby wymknąć się po cichu, kiedy Marjorie znowu się odezwała.

– To ty, Lillian? – W tych słowach był chłód bardziej lodowaty niż obecność Śmierci. Marjorie obróciła się i rozejrzała po pokoju, trzymając przed sobą zapaloną świecę, która opromieniała jej twarz bursztynowym blaskiem. – Czy tak mało dla ciebie znaczą, że życie w męczarniach nie wystarczy? Czy będziesz mnie dręczyć nawet po śmierci? Boże, co bym dała, żebyś po prostu odeszła! – Jeszcze przez chwilę słuchała ciszy, potem osunęła się na kolana, odstawiła świecę i wtuliła głowę w kolana. – Przepraszam – szepnęła modlitewnym tonem. – Tak bardzo przepraszam.

Kolejne kawałki układanki wskakiwały na miejsce. Marjorie od dawna była zakochana w Elijahu. To on był tym młodym człowiekiem, o którym wspominała, tym, który ją rzucił. Kochała go i wierzyła we wzajemność jego uczuć.

Może chciała mieć drugą szansę. Może chciała zakosztować życia, jakie mogłaby mieć, gdyby nie Lillian.

Signa czuła palenie w piersi, oddech boleśnie wdzierał się jej do płuc. Chwyciła się ręką za gardło. W głowie kłębiły jej się pytania, na które potrzebowała odpowiedzi... ale nie miała już czasu, żeby ich szukać.

Nie odważyła się zaryzykować przyłapania z pamiętnikiem w ręku. Precisnęła się przez ścianę, nie patrząc dłużej na Marjorie. Znowu poczuła ciężar własnego ciała. Ledwie zdążyła wytoczyć się



na korytarz, zanim belladonna znikła z jej organizmu, serce zaczęło bić i cienie od niej umknęły. Podkasawszy spódnicę, pobięła korytarzem do swojego pokoju obok portretów w ramach, których oczy śledziły jej każdy krok.

Zatrzasnęła za sobą drzwi i oparła się o nie bez tchu. Nie miała okazji odpocząć, ponieważ Śmierć czekał przy oknie, które zapomniała zamknąć, znowu pod postacią cieni. Jednak nie przyszedł, żeby naprawić to, co obiecał po tańcu. Signa czuła, jak przetaczają się przez niego fale gniewu. Zamroził świat wokół siebie, jakby wysysał tlen z powietrza.

– Co jest? Co się stało? – zapytała Signa.

Pytanie roztrzaskało się między nimi jak lód i Śmierć się odwrócił.

– To Blythe.

Blythe klęczała na łóżku na czworakach, wymiotując żółcią. Krztusiła się i usiłowała chwytać powietrze między kolejnymi skurczami.

Elijah trzymał córkę za ramiona.

– Pomóż jej! Proszę!

Signa objęła się ramionami; nic nie mogła zrobić. Zużyli resztę kalabarskiej fasoli, żeby ratować Percy'ego. Znajomy dreszcz na karku, zwiastujący bliskość Śmierci, przepełnił Signę zgrozą. Śmierć stał w kącie, obserwował, czekał. Ponury żniwiarz, gotów zebrać plon.

– *Już czas, Signo.*

Odwróciła się, nie chcąc się pogodzić z jego obecnością.

Blythe znowu zgięła się i zwymiotowała w róg łóżka. Elijah delikatnie odgarnął jej włosy.

Drzwi otwarły się gwałtownie i do środka wpadła Marjorie. Oddychała z wysiłkiem, na rękach miała rękawiczki. Zrobiła zaledwie dwa kroki za próg, kiedy Signa zastąpiła jej drogę.

– Ani kroku dalej. – Signa usiłowała naśladować surowość, która tak łatwo przychodziła Blythe, jednak nie mogła opanować drżenia w głosie. – Nie zbliżaj się do niej.

Skoro Blythe umierała, a Percy miał pójść w jej ślady, skończyło się zachowywanie pozorów. Ściskając w ręku pamiętnik Marjorie, Signa zażądała:

– Zdejmij rękawiczki.

Marjorie była blada jak ściana.

– Skąd to masz?

Drżącymi rękami próbowała odebrać pamiętnik, ale Signa odsunęła go poza zasięg guwernantki.

Nie wiedziała, w jaki sposób Marjorie podała truciznę, ale ta kobieta miała dostęp do całego domu i nieograniczone możliwości. Chciała mieć rodzinę. Chciała być z Elijahem. Może to znaczyło, że musiała usunąć wszystko, co zostało po Lillian.

– Ona ma na palcach truciznę – powiedziała wreszcie Signa, pragnąc zerwać z rąk Marjorie skórzane rękawiczki.

Marjorie, z którą spędzała tyle czasu i której towarzystwo lubiła. Marjorie, która udzielała jej rad i wskazówek. Signa pamiętała, z jaką czułością Marjorie spoglądała na dzieci. Jak delikatnie głaskała włosy Percy'ego i przykładała mu wilgotny kompres na czoło. Dotykała go z taką miłością, ale Signa czytała pamiętnik i na własne oczy widziała plamy po belladonie.

– Myślisz, że to moja robota? – Marjorie zacisnęła pięści tak mocno, że dygotały.

– Obejrzyj jej prawą rękę – zwróciła się do Elijaha Signa. Boże, jaka była głupia, że już dawno się nie zorientowała, co się dzieje. Gdyby tylko wcześniej sprawdziła sypialnię. – Zobaczysz plamy po belladonie. To otruło Blythe i zabiło Lillian. Nie chciałam nic mówić, dopóki nie wiedziałam, kto za tym stoi.

Elijah był wrakiem człowieka. Zdawało się, że nie rozumie ani słowa. Wpatrywał się w córkę pustymi oczami. Tylko drżenie dolnej wargi i trzęsące się ręce zdradzały, że usłyszał Signę, chociaż nie mógł sobie pozwolić na rozproszenie uwagi.

Blythe nie miała już czym wymiotować. Skręciła się w konwulsjach, rozpaczliwie łapiąc powietrze.

W kącie żniwiarz zrobił krok do przodu.

Signa gwałtownie odwróciła się do niego.

– Ani się waż.

W tamtej chwili niczego bardziej nie pragnęła niż bezpieczeństwa Blythe. Chciała argumentować, że Śmierć jest jej coś winien za ten cały ból, który kazał jej znosić. Ale nie miała racji. Śmierć nie był winien tego, że jest sobą. A Blythe żyła już dłużej, niż miała żyć. Chociaż wciąż za krótko.

– Daj jej jeszcze jedną szansę – szepnęła, nie zważając na to, że inni mogą usłyszeć i pomyśleć, że zwariowała. – Zamierzam to powstrzymać. Daj mi jeszcze jedną szansę.

W tamtej chwili była tylko ona, żniwiarz i pokój zimny jak lód. Spadek temperatury odebrał jej czucie w nogach i padła na kolana.

– *Śmierć nie jest czymś, co można kontrolować. Musisz się tego nauczyć, Signo. Musisz to zrozumieć.*

– Wiem, że możesz to zrobić. – Błagała, ale było jej wszystko jedno. – Uratowaliśmy ją raz i możemy znowu ją uratować. Tylko jeszcze jeden raz, proszę.

– *Czy jest ktoś inny, kto bardziej zasługuje na śmierć?*

Te słowa były sprawdzianem. Jeśli chciała kogoś oszczędzić, musiała w zamian odebrać życie komuś innemu. Może przypadkowej osobie. Może komuś, kogo wybierze. Ktokolwiek to będzie, Signa nie pozwoli Blythe umrzeć tej nocy. Dźwignęła się na nogi, precyzyjnie przeszła przez mroźne zimno i cienie, które próbowały ją odepchnąć – i stanęła między Śmiercią a swoją kuzynką.

– *Nie bądź głupia. To okrutne zmuszać ją, żeby pozostawała w tym stanie.*

Mówił prawdę. Blythe wyglądała jak chodzący trup, wyschnięta skóra upiornie naciągnięta na sterczących kościach. Nie miała nawet siły odwrócić głowy, żeby spojrzeć na Signę, zbyt wyczerpana, żeby dalej walczyć.

– To nic – szeptała tylko raz po raz jak najcichszy, najsmutniejszy refren. – To nic. To nic, jeśli odejdę.

Pot spływał jej po szyi i plecach, wilgotna koszula lepiła się do skóry. Nie musiało tak być. Teraz, kiedy wiedzieli, że trucicielką jest Marjorie, Blythe mogła wreszcie wyzdrowieć.

Wystarczyłyby tylko dwa słowa. Jeden rozkaz i Blythe dostałaby kolejną szansę.

– *Zrób to* – powiedziała stanowczo Signa, zwracając się nie do swojej kuzynki, ale do ponurego żniwiarza. – *Ona dzisiaj nie umrze.*

– *Czy rozumiesz, co to znaczy?* – Nie osądzał jej, chciał się tylko upewnić, że zrozumiała wagę swojej decyzji. – *Igrasz z Losem, Signo. Bawisz się w Boga.*

– *Wszystko jedno* – odparła. – *Rób, co musisz, ale jeśli choć trochę ci na mnie zależy, pomóż jej.*

Śmierć zmierzył Blythe długim spojrzeniem, skłonił głowę i cienie wokół niego się rozproszyły.

– *Dobrze.*

Oddech Blythe natychmiast zaczął się uspokajać.

Żniwiarz zniknął i zostawił za sobą śpiące dziecko, zdumionego mężczyznę, kobietę o poczerwieniałej twarzy i dziewczynę, która właśnie bez chwili wahania skazała inną osobę. Która stała przed nimi i moc pulsowała w jej krwi.

Signa mogła się upić tą mocą. Mogła się zatracić w tym cudownym uczuciu.

– Czy ty jesteś czarownicą, dziewczyno? – zapytała głosem kruchym jak pękająca filiżanka Marjorie. – Coś ty zrobiła?

Signa nie musiała nic mówić. Elijah już stał obok niej, oczy miał dzikie, twarz purpurową i trząsł się z gniewu.

– Pokaż mi rękę. – Z pewnością to on nauczył Blythe władać głosem, bo gdyby posiadłość była trochę mniejsza, usłyszano by go w całym domu.

Marjorie cofnęła się o krok.

– Elijah, nigdy bym...

– Zdejmij rękawiczki i pokaż mi rękę!

Przeszedł przez pokój, z każdym krokiem coraz wścieklejszy, ledwie panując nad sobą. Marjorie cofnęła się chwiejnie, a Signa szybko przywarła do ściany. Elijah chwycił rękę guwernantki i zerwał z niej rękawiczkę. Spojrzał tylko raz na jej palce i puścił jej rękę. Ból i wstręt odmalowały się na jego twarzy.

– Nigdy nie troszczyłaś się o Blythe. – Nachylił się nad nią tak blisko, że dotknął piersią jej piersi, jego słowa ociekały jadem. – Nigdy o nią nie dbałaś, tak jak nigdy nie dbałaś o Lillian. To była dobra kobieta, Marjorie. A te dzieci są niewinne. Jak śmiałaś podnieść na nie rękę?

Z gardła Marjorie wydobył się dziwny dźwięk, coś pomiędzy westchnieniem a prychnięciem.

– Jeśli myślisz, że cokolwiek im zrobiłam, to śmieszne, i dobrze o tym wiesz. Nigdy nie podniosłam na nie ręki.

Zacisnął szczęki i wskazał na drzwi.

– Chcę, żebyś odeszła.

Marjorie chwyciła się framugi, jakby chciała zgłosić swoje roszczenia do tego pokoju.

– Nie możesz tego zrobić.

– Mogę zrobić, co zechcę. – Migotliwy blask lampy naftowej pogłębił cienie na twarzy Elijaha, podkreślił zapadnięte policzki. – Nie chcę cię widzieć w Thorn Grove. Wynoś się natychmiast albo wezwę konstabla.

Pierś Marjorie zapadła się, jakby wyciśnięto z niej powietrze. Kobieta spojrzała na Elijaha jak na samego diabła.

– Popełniasz błąd. – Odwróciła się do Signy, której krew zastygła w żyłach. – A ty. Nie masz pojęcia, co robisz, dziecko. Nic nie wiesz.

Niełatwo przestraszyć młodą kobietę, która zadaje się ze Śmiercią. Ale w tamtej chwili strach zmroził Signę do szpiku kości i na jej ramionach wyskoczyła gęsia skórka.

Na szczęście Marjorie zniknęła w następnej chwili.

Jak tylko drzwi się za nią zamknęły, pod Elijahem ugięły się kolana. Dźwięk, który wyrwał mu się z gardła, był urywany i chrapliwy. Wystarczył, żeby serce Signy się ścisnęło. Rozpaczliwie chciała wyciągnąć do niego ręce, powiedzieć mu, że wszystko będzie dobrze. Blythe przeżyła ostatni atak trucizny i wkrótce pozbędzie się jej z organizmu. Ale takiego załamania nigdy dotąd nie doświadczyła i nie potrafiła go ubrać w słowa. Człowiek stojący przed nią rozpadł się na kawałki, których nie dało się pozbierać.

Elijah nie pytał o wyjaśnienie. Poprosił tylko, żeby go zostawiono samego ze śpiącą córką, a Signa aż nazbyt chętnie spełniła tę prośbę.

Stopniowo zaczęło do niej docierać, co zrobiła. Percy wyzdrowieje, a Blythe dożyje do następnego dnia. Wykryto morderczynię i wkrótce wszystko będzie dobrze w Thorn Grove. Ale żeby tego dokonać, Signa skazała na śmierć inną osobę. Poświęciła czyjeś życie, żeby uratować Blythe.

Krażyła po korytarzu, obgryzając paznokcie do krwi. W głowie miała zamęt. Wiedziała, że powinna bardziej się przejmować, powinna żałować. Ale postąpiłaby tak samo jeszcze raz, gdyby musiała.

Boże, co się z nią stało?

Kiedy dotarła do swojego apartamentu, chłód ostrzegł ją, że w środku czeka Śmierć. Chodził tam i z powrotem po salonie, wlokąc za sobą cienie jak płaszcz. Jak tylko stanęła na progu, cienie rzuciły się do niej i zawisły tuż przed jej twarzą.

– Chodź ze mną. – To nie było pytanie, jednak rozkaz zabrzmiał niepewnie.

– Dokąd? – Tylko tyle zdołała wykrztusić.

– Czas, żebyś zobaczyła, co robię. – Ponaglająco wyciągnął rękę. – Czas, żebyś zobaczyła, że śmierć jest czymś więcej, niż myślisz.

Wyciągnięta do niej ręka oznaczała o wiele więcej niż grzeczne zaproszenie. Signa wiedziała, że jeśli się zgodzi, otworzy się na



niego i jego świat. Pogodzi się z tym, co zrobiła, raz na zawsze zaakceptuje tę część siebie.

To nie Śmierć zabójca stał przed nią. Nie demon, którego wizerunek tworzyła w wyobraźni, nienawidząc go przez całe lata. To był człowiek, który przeprowadzał niewinne dusze w zaświaty. To był Śmierć, którego moce posiadała. Który rozumiał ją tak dobrze jak nikt inny. Zmęczyło ją uciekanie od niego.

Splotła palce z jego palcami, odchyliła głowę i obserwowała dusze unoszące się wokół nich. Im dłużej je obserwowała, tym wyraźniej widziała twarze.

– Dlaczego nie wyglądają jak typowe duchy?

Ścisnęła rękę Śmierci jak w imadle. Naginał przestrzeń wokół nich, a wtedy przesuwali się w inne miejsce. Przypominało to brodzenie w stawie, z którego wychodzili suchą stopą.

– Przybraliby tę postać, gdybym dotarł do nich szybciej – wyjaśnił Śmierć. – Pilno im przejść, a podróżowanie jest łatwiejsze dla dusz. Duchy obciążone są przez emocje i wspomnienia, których się czepiają. Duchy zwlekają, dusze przechodzą dalej.

– Przechodzą... dokąd?

Gdziekolwiek byli, to nie było Thorn Grove. Przecięli miejsce, gdzie czas się zatrzymał. Signa była zadowolona, że nie musi już oddychać, ponieważ tutaj powietrze było za gęste. Utkwiło jej w gardle i nie mogła przełykać. Potknęła się, a Śmierć pociągnął ją dalej. Im dłużej wędrowali, tym bardziej niespokojne stawały się dusze. Nie skupiały się już ciasno wokół Śmierci, tylko wylatywały do przodu, a potem cofały się ze strachu, że zabłądzą w gęstniejącej mgle.

Dotarli do wspaniałego biało-błękitnego mostu, rozpiętego nad bezkresnym jeziorem. Chociaż okrywała go mgła, niezliczone dusze stłoczone na przeprawie rzucały na niego słabą poświatę.

Niektóre unosiły się jako niewielkie świetlne kule, inne powracały do własnej postaci ducha i przeciskały się przez tłum, spiesząc do czegoś cudownego, co czekało po drugiej stronie. Czegoś, co Signa czuła głęboko w swoim wnętrzu, ciepłe, piękne i wabiące.

Ruszyła za duszami, żeby się dowiedzieć, co to jest, ale Śmierć chwycił ją mocno.

– Przejdziesz przez ten most i nie wrócisz już do tego świata – ostrzegł ją. – Jeszcze nie nadszedł twój czas.

Usiedli na brzegu jeziora i z daleka obserwowali dusze.

Signa od wieków nie była w kościele i nie pamiętała żadnych lekcji o życiu pozagrobowym. Zawsze wierzyła, że tam jest ciemno i samotnie. Ale cokolwiek znajdowało się za mostem, nie wydawało się końcem wszystkiego – wydawało się początkiem. Jak podróż, która się zaczyna.

– Co się dzieje, kiedy przejdziesz na drugą stronę?

– Jest wiele możliwości. – Śmierć rozluźnił uścisk i odchylił się do tyłu, żeby ją obserwować. Tutaj był łagodniejszy, może nie chciał straszyć dusz. – Niektóre dusze wolą porzucić wspomnienia swojego życia na ziemi i odrodzić się jako nowe. Inne zatrzymują wspomnienia i zostają w zaświatach, czekając na tych, których zostawili.

– A co z tymi, którzy nie żyli sprawiedliwie? – zapytała. – Jest jakaś kara?

W głosie Śmierci pojawiły się mroczne tony.

– Zaświaty to moje królestwo, ptaszynko, i troszczę się o moich ludzi. To niełatwa decyzja, ale nie przyjmuję tych, którzy mogą skalać mój dom. Zabieram te dusze dla siebie i pozbywam się ich. Dla nich nie ma życia po śmierci. Nie ma nic.

To był smutny los, ale Signa czuła się już opiekunką tego miejsca. Wiedziała, że zrobiłaby wszystko, żeby chronić tych ludzi czekających na moście.

– Czy znasz tam wszystkich? – zapytała, obserwując jedną z dusz przelatujących przez most.

– Poznałem wszystkich mieszkańców zaświatów. – W głosie Śmierci brzmiała duma. – Chociaż przyznaję, że niektórzy wyróżniają się bardziej od innych. Wiesz, niezbyt często odwiedzam to miejsce, między innymi z powodu twojej matki. Ciągłe zadrecza mnie pytaniami o ciebie.

Signa podkuliła palce w trawie, uśmiech opromienił jej twarz.

– Wszyscy mówią, że miała taki żywy temperament. Zawsze sobie wyobrażałam, że była trochę podobna do Marjorie.

– Do morderczyni?

Signa wymierzyła mu kuksańca.

– Oczywiście, że nie! Miałam na myśli kogoś, kto zawsze wydaje się bardzo poprawny.

Śmierć z namysłem kiwnął głową.

– Z pewnością miała lepsze maniery od ciebie, ale to niewiele znaczy. – Tym razem, kiedy Signa chciała go trzepnąć, jego cienie schwyciły jej rękę i odepchnęły ze śmiechem. – Twój ojciec to dobry, łagodny człowiek, cichy. Rima bardziej przypomina ciebie, zawsze wtrąca się do rozmowy, głośno wypowiada swoje opinie. Dobrze zdawała sobie sprawę ze swojej pozycji społecznej

i nadużywała jej dla własnej korzyści. Twoja rodzina miała tyle pieniędzy i wpływów, że nikt nie odważył się jej krytykować ze strachu, że straci możliwość zainwestowania w interesy Farrowów.

Signa oparła się o jego cienie, które znieruchomiały dla niej, miękkie jak chmurka.

– Chyba dużo o nich wiesz.

– Oczywiście, że wiem – odparł z taką powagą, że Signa zamarła.

– To twoi rodzice. Chciałem dowiedzieć się o nich wszystkiego. A ty jesteś równie zuchwała jak ona, wiesz? Nikt nigdy nie traktował mnie równie wrogo jak ty, ale ona jest zaraz na drugim miejscu.

Może jednak matka nie byłaby nią aż tak rozczarowana. Przez te wszystkie lata, kiedy Signa obsesyjnie starała się wtłoczyć w określone formy – sądząc, że wszyscy tego od niej oczekują – chyba niepotrzebnie się męczyła.

Nie mógł wiedzieć, jaka wdzięczna mu była w tamtej chwili. Nie mógł wiedzieć, że chociaż chętnie słuchała, jak opowiada o jej rodzicach, boleśnie przypomniał jej o samotności. Ale siedząc obok niego, z dłonią w jego dłoni, uświadomiła sobie, że nie musi cierpieć samotnie. Nie musiała udawać. Nie musiała kłamać ani odgrywać kogoś innego. W obecności Śmierci Signa mogła być w pełni sobą.

Przy nim nie czuła się taka samotna.

Oparła głowę na jego ramieniu i uśmiechnęła się, kiedy zeszywniał, zaskoczony.

– Opowiedz mi, co jest po drugiej stronie mostu.

Oparł podbródek na czubku jej głowy.

– Jeśli naprawdę chcesz wiedzieć, z największą radością zaproszę cię tam i zatrzymam dla siebie na wieczność. – Szturchnęła go w ramię, a on się roześmiał. – To miejsce lepsze od świata żywych.

Tam niczego nie potrzebujesz, niczego nie pragniesz, niczego się nie boisz.

– Więc dlaczego nie spędzasz tam więcej czasu?

Śmierć pogładził kciukiem wierzch jej dłoni i jej skóra zapłonęła pożądaniem.

– Robię, co trzeba, żeby chronić to miejsce i jego mieszkańców. Ale mężczy mnie zbyt długi pobyt po tamtej stronie. Nie mogę dzielić ich radości, ptaszynko. Nie czeka tam na mnie żadna rodzina. Niektóre moje pragnienia chyba nigdy się nie spełnią, w żadnym miejscu, i ich widok mi o tym przypomina. Poza tym świat żywych jest dużo ciekawszy.

Signa, która nadal usiłowała znaleźć swoje miejsce, nie miała zdania na ten temat. Śmierć był najbardziej znienawidzoną osobą na świecie i nigdzie nie pasował, nawet tutaj, w zaświatach. Nic dziwnego, że stał się taki drażliwy. Ona pewnie też się taka stanie.

– Wybrałem mężczyznę po osiemdziesiątce. – Signa natychmiast zrozumiała, o czym on mówi, i serce ją zabolęło. – Pożyłby jeszcze przez dziesięć lat, chociaż cierpiałby na bóle w kościach. Jest tam, na moście. – Śmierć wskazał go ruchem głowy.

Signa nie chciała patrzeć na człowieka, którego skazała na śmierć, żeby uratować Blythe, ale była mu winna przynajmniej tyle. Objęła ramionami brzuch i zmusiła się, żeby spojrzeć na niskiego, krępego mężczyznę, któremu ukradła życie. Dziesięć lat to dużo czasu. Co mógłby zrobić ten człowiek ze swoim życiem, nawet pomimo bólu? Jakie wspomnienia zgromadzić? Jakich radości doznać?

– Nie lubię tego robić, Signo. – Cienie zgęstniały wokół nich, przesłaniając widok mostu. – Igramy z Losem, któremu lepiej się nie

narażać. Nie prosź mnie więcej, żebym odebrał życie komuś, kto jeszcze nie jest gotów odejść.

Te słowa zapadły głęboko w jej duszę. Skuliła się i jakby stała się mniejsza.

– Przepraszam, że cię o to poprosiłam – mówiąc to, drżała. – Ale jeśli tak bardzo tego nie znosisz, to... dlaczego to zrobiłeś? Dlaczego mnie posłuchałeś?

Odwrócił się do niej i w blasku księżyca wyglądał jak obraz, a smużki cienia przypominały pociągnięcia pędzla.

– Ponieważ czekałem przez całą wieczność, żeby cię spotkać, Signo Farrow. – Te słowa były balsamem, który przyniósł jej ulgę. – Dla mnie jesteś pieśnią duszy, która nigdy nie znała muzyki. Światłem dla kogoś, kto znał tylko ciemność. Wydobywasz ze mnie to, co najgorsze, i staję się mściwy wobec tych, którzy traktują cię w sposób, jaki mi się nie podoba. Ale wydobywasz ze mnie również to, co najlepsze... chcę być lepszy ze względu na ciebie. Lepszy dla ciebie. Przez całą moją egzystencję prosiłem tylko o jedno: kogoś, kto mnie zrozumie i kogo będę mógł dotknąć. Kiedy kogoś dotykam, widzę jego życie w przebłyskach wspomnień, zanim umrze. Ale kiedy dotknąłem cię po raz pierwszy, zobaczyłem twoją przyszłość. Wizję ciebie w pięknej czerwonej sukni, tańczącej w moich ramionach w świetle księżyca.

Uniół jej podbródek i Signa zadrżała, rozkoszując się jego dotykiem.

– Jesteś tym, czego chcę. – Cofnął rękę. – Wiem, że nie mogę cię zmusić, żebyś też mnie chciała, ale powiedz tylko „tak”, a będę twój, całkowicie i do końca. Powiedz, że mnie chcesz, a ofiaruję ci cały świat, Signo.

Te słowa uderzyły w nią jak cios. Od tak dawna pragnęła tylko żyć jak normalna dziewczyna, bez cienia Śmierci krążącego w pobliżu. Marzyła, jakie to będzie cudowne, ale zamiast słodczy poczuła tylko gorycz. Mogła spędzić życie u boku Everetta, słuchając jednym uchem plotek, czując się jak w więzieniu, słaba i bezradna. I przez cały czas pamiętałaby, że było coś – był ktoś – przy kim czuła, że żyje.

Normalna dziewczyna nie mogłaby uratować kuzynki.

Normalna dziewczyna nie mogłaby siedzieć na brzegu i patrzeć na most prowadzący do pięknych zaświetów.

Od tak dawna walczyła z tym, kim jest, żeby stać się taka, jak inni sobie życzyli. Miała dość.

Znała odpowiedź – zawsze znała. Odwróciła do niego twarz, jej usta znalazły się tuż przy jego ustach.

– Myślę, że zawsze byłam twoja, Śmierci. Stworzona dla ciebie, jak ty jesteś stworzony dla mnie. Bo zawsze pragnę czuć to, co czuję, kiedy jestem przy tobie. Zawsze pragnę czuć to, co czuję, kiedy mnie dotykasz.

Odetchnął niemal bezgłośnie, ciemność w nim zapłonęła i stał się samą nocą.

Był ogniem gwiazd. Blaskiem księżyca. Ciemnością cieni i pieszczotą wiatru na jej skórze, i ciemność piła ją jak najlepsze wino.

Wiedziała, zanim oplotła ramionami jego szyję – zanim przywarła piersią do jego piersi – że nie będzie odwrotu. Kiedy się pocałowali, jego dotyk coś w niej zmienił. Coś małego i bojaźliwego. Coś, co zbyt długo ją powstrzymywało.

Nieważne, co o niej pomyślą inni ludzie. Nieważne, jak ją nazwą. Oto kim była. I gotowa była to przyjąć.

– Nie jesteś delikatną istotką, którą trzeba rozpieszczać. – Jego głos był kojący jak pierwszy wiosenny deszcz i spływał po jej skórze, aż zadrżała. – Jesteś zuchwalsza niż słońce, Signo Farrow, i już czas, żebyś zaświeciła.

Śmierć wciągnął ją do lasu i położył na zimnej ziemi. Przesuwał ustami po jej szyi aż do wycięcia gorsetu. Próbowwała na niego zerknąć, ale ciemność i mgła go zakrywały. Mogła bardziej się postarać, jednak ostatecznie nie miało dla niej znaczenia, jak wygląda Śmierć. I tak pragnęła go aż do bólu.

Przez niemal dwadzieścia lat nigdy nie czuła się tak żywa. Bez żadnych zahamowań sięgnęła przez cienie, wbiła palce w jego włosy, w jego ramiona, wpiła się wargami w jego usta, jego szyję, spragniona go równie mocno, jak on jej.

Rozsznurował jej suknię, jedna tasiemka po drugiej, jedwab ześliznął się po jej skórze. Odchylił się do tyłu, żeby podziwiać jej nagość pod gwiazdami, jej ciemne włosy rozpuszczone i spływające na jasne ramiona.

Signa jeszcze nigdy nie czuła się tak obnażona, jednak nie zasłaniała się przed nim ani nie wzbraniała przed cieniem, który otoczył jej nagie uda. Skierowała jego ręce na swoją talię, na piersi i na biodra, a potem niżej i zadrżała z przyjemności pod jego dotykiem.

– Na pewno tego chcesz? – zapytał, niemal jakby nie mógł w to uwierzyć. Jakby się spodziewał, że ona się opamięta i go odepchnie.

Ale Signa nie postrzegала już Śmierci jako zagrożenia. Był podnieceniem i wyzwoleniem i chciała go tak bardzo, jak niczego na



świecie.

– Nigdy w życiu nie byłam niczego bardziej pewna.

Przyłożyła rękę do jego twarzy i łagodnie pociągnęła go na dół, żeby nakrył ją swoim ciałem. Jej pocałunek był czuły, lecz mocny, wyrażający pożądanie. Pragnęła uśmierzyć jego niepokój, pokazać mu, że pragnie tego równie mocno, jak on jej.

Albo ten pocałunek, albo te słowa podziałały na niego tak, że jęknął i pocałował ją w usta. Potem już się nie wahał. Przywarł wargami do jej uda, całował nagą skórę, aż zachłysnęła się i odrzuciła głowę do tyłu, kiedy jej ciało rozpływało się pod jego dotykiem.

Cienie objęły jej kości biodrowe, prześliznęły się na wrażliwe miejsce, którego wcześniej dotykał wargami. Odetchnęła cicho, czując, jak odpływa z niej napięcie. Każdy dotyk palił jej skórę, wstrząsał nią i domagał się uwagi. Teraz nie liczyło się nic innego. Ani dziedzictwo, ani duchy, nic, tylko jego ciało nakrywające jej ciało i wypełniające ją gwałtowne pożądanie.

Wcisnął się w nią z jękiem i wkrótce poczuła, że się uwalnia. Teraz to ona była ciemnością cieni. To ona sprawiała, że skręcał się i wyginał, brała wszystko, co jej dawał i czego pragnęła.

Oplotła go nogami i przyciskała do siebie, pragnienie narastało i coś w niej wzbierało. Czuła nie tylko jego, czuła samą noc, cienie, mrok i gwiazdy, które w niej eksplodowały, kiedy się uwolniła.

Wygięła się pod nim w łuk, a on chwycił jej włosy w garść. Wyrwał mu się niski jęk. Napiął mięśnie, a ona przyciągnęła go jeszcze bliżej i całowała jego usta, szyję i wszystko, czego mogła dosięgnąć, dopóki nie warknął jej imienia i nie zatracił się w niej. Cienie ją owinęły, kiedy opadł obok niej na ziemię.

Signa wyplątała się z jego objęć, pełna satysfakcji. Sprawiała, że Śmierć spełniał jej zachcianki. Sprawiała, że szeptał jej imię, kiedy odrzucała głowę do tyłu, i całkiem jej się to podobało.

Splotła palce z jego palcami, a on gładził kciukiem wierzch jej dłoni w długiej, spokojnej pieszczocie.

– Czekam na ciebie od tysiącleci, Signo Farrow. – Teraz w jego głosie brzmiała jedwabista nuta i wydawał się aż nadto zadowolony.  
– Czekam od zarania czasu. Jesteś moja, a ja jestem twój. I ten świat należy do nas.

Signa i Elijah siedzieli przy śniadaniu na długo przed świtem, roztrząsając teorie i motywy. Żadne nie chciało wypowiedzieć na głos prawdy – że Marjorie nie mogła działać w pojedynkę. Że zareagowała zbyt wielkim zaskoczeniem. Że jej miłość do dzieci Hawthorne'ów była zbyt szczerą.

Ale plamy z belladonny na czubkach jej palców i wpisy w jej pamiętniku nie kłamały. Chciała się pozbyć Lillian, to jednak nie wystarczało. Ręce można umyć, szklanki z trucizną wypłukać. Potrzebowali dowodów. Dlatego spotkali się, żeby je znaleźć.

Signa z ulgą przekonała się, że Elijah rozmawia z nią szczerze i uważnie słucha jej sugestii. Kiedy wysunęła kandydaturę Byrona jako współnika Marjorie, nie zapierał się i nie twierdził, że zwariowała. Oparł brodę na złączonych palcach i powiedział:

– Na pewno wkrótce będziemy mieli okazję porozmawiać z moim bratem.

Miał rację, chociaż nie rozumiała, skąd wiedział, że Byron się zjawi. Już o świcie załomotał do drzwi dostatecznie głośno, żeby obudzić umarłego.

– Wpuść go, Warwick – zawołał do kamerdynera Elijah.

Głos miał zachrypnięty, był u kresu sił. Zdawało się, że minęły wieki, odkąd błyszczał na sali balowej, uśmiechnięty, trzeźwy i szczęśliwy. Teraz podciągnął na fotel stopy w kapciach i popijał herbatę, do której dolał o wiele za dużo mleka. Miał wielkie worki

pod oczami i nie uczesał rozczochranych włosów, które opadały mu na czoło i włożyły w oczy. Nieogolony zarost ocieniał mu twarz.

Chwilę wcześniej przyniesiono śniadanie i Signa nabrała na łyżkę owsianki, słuchając stukania laski Byrona na drewnianej podłodze. Byron nie czekał, aż Warwick wprowadzi go do jadalni, tylko wtargnął tam bez pozwolenia, gwałtownie otwierając drzwi. Jego twarz była tak czerwona, jakby miała wybuchnąć. Spojrzał tylko raz na Signę i warknął:

– Wynoś się, dziewczyno.

Elijah podniósł rękę w jej obronie.

– Signa zostanie. – Wskazał krzesło naprzeciwko niej. – Siadaj, Byronie.

– Jeśli myślisz, że będę...

– Powiedziałem: siadaj.

Signa spojrzała w kąt pokoju, w najgłębsze cienie, niemal się spodziewając, że Elijah przywołał Śmierć tym tonem.

Byron odrzucił na bok poły surduta i usiadł. Położył zaciśnięte pięści na białym koronkowym obrusie.

– Coś ty zrobił, Elijah? Z samego rana do Grey's przyszedł pośrednik i gadał jakieś bzdury o sprzedaży interesu.

Elijah nabrał łyżkę owsianki, zmarszczył nos, dodał mleka i kostkę cukru.

– Oczywiście, że był pośrednik. Spodziewałeś się, że pozwolę mojej rodzinie umrzeć z głodu?

Strach było patrzeć na Byrona. Z czerwonego zrobił się purpurowy, tak wściekły, że zapomniał oddychać. Signa myślała, że gość zaraz padnie trupem albo co najmniej wrzaśnie, ale on zaczerpnął powietrza i stłumił narastający gniew.

– Jeśli chcesz sprzedać interes – zaczął z podziwu godnym spokojem – sprzedaj go mnie. Możemy opracować plan spłat albo umówić się na procent od dochodów. Nigdy więcej nie będziesz musiał zajmować się rachunkami.

Elijah polecił Warwickowi zawiadomić kuchnię, że potrzebują więcej herbaty. Przy stole zapadło ciężkie milczenie. Signa czuła ciarki pełzające po skórze. Siedząc cicho między dwoma skłóconymi mężczyznami, przeżywała istne tortury.

Byron chyba też tak myślał.

– Elijah. – To imię padło na stół jak kamień. – Czy zgadzasz się na moją ofertę? Wiesz, że nigdy nie pozwoliłbym, żeby twoja rodzina cierpiała.

Elijah zacisnął szczęki.

– Ja też nigdy nie chciałem, żeby moja rodzina cierpiała. I dlatego zapytam cię tylko raz, Byronie: czy działałeś wspólnie z Marjorie na szkodę mojej rodziny?

Signa nie odważyła się mrugnąć z obawy, że przegapi reakcję Byrona. Ale jego uniesione ramiona i zmarszczone czoło świadczyły tylko o zdumieniu.

– Czy ty znowu piłeś – zapytał – czy zupełnie zwariowałeś? Co ty wygadujesz?

Elijah podniósł do ust porcelanową filiżankę i obserwował brata przez kłęby pary z zadziwiającym spokojem.

– Czy wiesz, co się stało z moim synem?

Byron trzasnął filiżanką o spodek, rozchlapując kilka kropli herbaty na kremowym obrusie.

– Elijah, dość tych gier. Co się stało Percy'emu?

Signa chciała, żeby Byron był winny. Chciała odpowiedzi, chciała nawet wykorzystać swoje nowe zdolności, żeby przeszukać jego dom i osobiście potwierdzić swoje podejrzenia. Ale Byron wydawał się szczerze zatroskany i chociaż Signa doznała pewnej ulgi, w duchu zgrzytała zębami z frustracji, że znowu nic nie wie.

Rysy Elijaha stwardniały.

– Zachorował wczoraj wieczorem, jak tylko wyszedłeś z przyjęcia. Znaleźliśmy truciznę u Marjorie i mam powody podejrzewać, że wy dwoje działaliście razem.

– Truciznę? – Byron odepchnął się od stołu z laską w rękę, jakby zamierzał wstać. W ostatniej chwili rozmyślił się i opadł z powrotem na krzesło. Zimnym, gładkim głosem powiedział: – Różnie się między nami układało, Elijahu, ale dlaczego, na litość boską, miałbym skrzywdzić kogoś z twojej rodziny?

– Masz więcej powodów, niż potrafię wymienić, żeby mi źle życzyć – zaczął Elijah, odliczając je na palcach. – To nie tajemnica, że chcesz przejąć Grey's, ale może chodzi o coś więcej. Może to z powodu Lillian. Może zabiłeś ją, bo nie mogłeś patrzeć, że jest ze mną. Albo może chciałeś, żebym cierpiał tak samo, jak ty cierpiełeś, kiedy mnie wybrała. Albo może...

– Dosyć!

Byron ścisnął brzeg stołu tak mocno, że kłykcie mu zbielały. Signa skuliła się na krześle, marząc, żeby zniknąć. Rodzinne kłótnie były dla niej nowym i z pewnością niezbyt przyjemnym doświadczeniem.

– Sam fakt, że w ogóle sugerujesz... – Byron urwał i pokręcił głową. – To prawda, że kochałem Lillian, i to prawda, że chcę przejąć Grey's. Ale tylko dlatego, że ty rujnujesz firmę, Elijahu. Czy wiesz, że w lecie Percy przyszedł do mojego domu i błagał mnie,

żebym z tobą porozmawiał? Jak mogłeś uwierzyć, że skrzywdziłbym twoją rodzinę? Ja kocham te dzieci, ty głupcze.

Nie mówił z taką pasją i przekonaniem jak Elijah, jednak Signa stwierdziła, że wierzy w każde jego słowo.

– Raczej nigdy się nie ożenię i nie będę miał własnych dzieci – ciągnął Byron. – Percy i Blythe są mi bliscy jak rodzeni. Zaprzyjaźniłem się zwłaszcza z Percym, co sam byś zobaczył, gdybyś tylko przejrzał na oczy. Kiedy go odtrąciłeś, to mnie obdarzył zaufaniem. Chcę, żeby odniósł sukces. Chcę, żeby przejął Grey's, ożenił się, był szczęśliwy. Nigdy bym go nie tknął nawet palcem.

– Ale tknąłeś palcem kobietę. – Signa za późno ugryzła się w język.

Byron gwałtownie odwrócił się w jej stronę, jakby zobaczył ją po raz pierwszy.

Elijah napiął mięśnie szczęki.

– To ty pobiłeś Marjorie? – Signa nie zdawała sobie sprawy, że Hawthorne zauważył ślady. – Dlaczego?

Byron postawił obok siebie laskę.

– Za długo byłeś sam, Elijah. Wiem, że kiedyś coś czułeś do tej kobiety. Myślałem, że jeszcze coś czujesz.

Elijah zaśmiał się z goryczą.

– Co myślałeś? Że gdybym ją wziął do łóżka, zapomniałbym o śmierci mojej żony? Że wróciłbym do dawnych zwyczajów i znowu zaczął pracować w Grey's? To ty jesteś głupcem, bracie.

– Przy stole jest dama, Elijah...

– Więc niech zakryje swoje delikatne uszy, jeśli ją obrażam. Jesteś zbyt staroświecki, Byronie. Nic dziwnego, że Lillian nigdy nie kochała...

– Dokończ to zdanie – syknął Byron, grożąc bratu palcem – a pożałujesz.

– Czyżby? Ojej, drzę na samą myśl...

– Och, na miłość boską, dosyć już się nasłuchałam. – Signa z trzaskiem odsunęła krzesło i wstała, nie mogąc już wytrzymać tego ujadania. – Zachowujecie się jak dzieci. Jeśli nie potraficie prowadzić normalnej rozmowy, to pijcie herbatę, a ja będę zadawać pytania.

Obaj spojrzeli na nią zaskoczeni, z jednakowo wytrzeszczonymi oczami. Teraz dostrzegała ich podobieństwo jeszcze wyraźniej niż przedtem. Te same surowe brwi i mocny zarys szczęki. Smągła cera, u Elijaha ciemniejsza o kilka odcieni. Byron miał ostrzejsze rysy, jak Percy, dłuższy nos i bardziej kanciastą twarz, ale różnice były niewielkie.

– Nie wiemy, czy Marjorie działała sama, i potrzebujemy dowodu jej winy – zaczęła Signa, starannie dobierając słowa. – Trucizna na jej palcach nie wystarczy. Byronie, jeśli wiesz, dlaczego ona chciałaby otruć Hawthorne'ów, musisz nam powiedzieć.

Grzmiący śmiech Byrona był ostatnią rzeczą, jakiej Signa się spodziewała.

– Naprawdę myślisz, że Marjorie by ich otruła? Głupia jesteś, dziewczyno. Ta kobieta nigdy nie skrzywdziłaby Percy'ego.

Elijah przyglądał dwoma palcami zarost po obu stronach ust.

– Powiedz mu o pamiętniku, który znalazłaś, Signo. Tym, który jej pokazałaś.

– Opisała, jak się spotkaliście w stajni – zaczęła Signa. – Napisała, że wyznała ci swoje uczucia, a ty ją odrzuciłeś...



– Nic takiego się nie zdarzyło – oświadczył stanowczo Elijah. – Jesteś pewna, że wymieniła moje imię?

– Oczywiście! Napisała, że chciała mieć rodzinę, o jakiej zawsze marzyła. Napisała... napisała...

Signa uświadomiła sobie, że nie, Marjorie nigdy nie wymieniła imienia Elijaha jako tego, którego kocha. Ale widziała, jak ta kobieta go dotyka i zachowuje się przy nim tak swobodnie. Więc jeśli to nie on...

– Czy był ktoś inny? Ktoś stąd, kogo kochała i komu była winna prawdę?

Elijah zbladł tak bardzo, jakby jego dusza miała już opuścić ciało. Byron też zblęśniał na twarzy i bracia wymienili spojrzenia, których Signa za nic nie potrafiła odczytać.

Poprzedniej nocy była taka pewna tego, co odkryła. Taka przekonana, że wreszcie dopasowała kawałki układanki. Ale widząc wyrazy ich twarzy, nagle we wszystko zwątpiła.

– Mogło jej chodzić o kogoś innego – odpowiedział wreszcie Elijah.

– Elijahu...

Signa po raz pierwszy usłyszała opiekuńczy ton w głosie Byrona, kiedy patrzył na brata.

– W porządku, Byronie. Chociaż nie jestem pewien, czy ta dziewczyna jest aniołem, czy diabłem wcielonym, uratowała moje dzieci tyle razy, że nie zliczę. Poza tym jeśli ona mówi prawdę, on pewnie już wie.

– Co wie? – Signa przycisnęła palce do skroni. Czuła, że głowa jej pęknie, jeśli zaraz nie otrzyma odpowiedzi. Na szczęście Hawthorne'owie zlitowali się nad nią.

– Marjorie nie została w Thorn Grove dlatego, że mnie kochała. –  
Chociaż byli sami w jadalni, Elijah zniżył głos tak, że Signa ledwie  
go słyszała. – Została, bo miała dziecko.

Kawałki układanki wskoczyły na swoje miejsce.

„W oczach społeczeństwa miałam zrujnowaną opinię”. Marjorie  
ostrzegała Signę przed mężczyznami. Miała nieślubne dziecko  
i dlatego społeczeństwo się jej wyparło.

Blythe była taka podobna do Lillian. Miały takie same złociste  
włosy, takie same drobne rysy. Ale Percy, syn rodziców blondynów,  
ze swoimi rudymi włosami i piegowatą skórą zawsze wydawał się  
nie na miejscu. Dlaczego wcześniej tego nie zauważyła?

– Percy jest synem twoim i Marjorie, prawda? – powiedziała  
Signa, obejmując głowę rękami.

Elijah się nie zawahał.

– Trzymaliśmy to w sekrecie, tyleż ze względu na Marjorie, co na  
Percy’ego. Byłem już zaręczony, kiedy się zorientowała. Nie miałem  
pojęcia, że jest w ciąży, dopóki pewnego dnia nie stanęła na naszym  
progu z dzieckiem na ręku. Rodzina jej się wyrzekła i nie zostało jej  
nic. Żadnych pieniędzy, żadnych perspektyw, nikt nie chciałby  
nawet na nią spojrzeć, gdyby wiedział, że urodziła nieślubne  
dziecko. Więc poprosiła Lillian i mnie, żebyśmy wychowali  
Percy’ego jak własnego syna, a ja się zgodziłem. Oczywiście, że się  
zgodziłem. To mój syn i chciałem mu zapewnić szczęśliwe życie.

– A Lillian się z tym pogodziła?

– Lillian zawsze traktowała Percy’ego jak własnego syna –  
oświadczył Byron z zaskakującą pewnością.

Elijah przytaknął.

– Przez dłuższy czas staraliśmy się o dziecko. Wyjaśniłem mojej nowej żonie, że nic nie wiedziałem o moim synu i nie chciałym ponownie przeżywać czegoś takiego, ona jednak przyjęła Percy’ego jak błogosławieństwo. Pokochała go od pierwszej chwili.

Zupełnie jakby ktoś rzucił na stół całkiem nowy kawałek układanki. Signa znowu przycisnęła rękę do skroni, próbując ułożyć z tego jakiś wzór.

– A co z Marjorie? – zapytała. – Odpowiadał jej taki układ?

– Na tyle, na ile to możliwe. – Elijah zamieszał herbatę. – Miała dom, dobrą posadę i mogła patrzeć, jak jej syn dorasta. Ale Percy nie mógł poznać prawdy o swoim pochodzeniu. Chciałem dla niego zbyt wiele, ale nie mógłby niczego osiągnąć, gdyby wyszło na jaw, że jest bękartem. Marjorie i Lillian też wzięto by na języki.

– Nie szydzono by z niego bardziej niż teraz – przerwał z gniewną miną Byron. – Wystawiasz na pośmiewisko jego i całą rodzinę Hawthorne’ów, rujnując jego perspektywy.

Signa nigdy nie widziała takiej wściekłości na twarzy Elijaha.

– Nie wystawiam mojego syna na pośmiewisko – warknął. – Próbuję go chronić, tak jak próbuję chronić ciebie, ty głupcze. Przez lata poświęciliśmy wszystko dla naszej pracy: sen, urodziny, wspomnienia. I po co? Żeby stracić ostatnie dni życia mojej żony, bo nadmiernie utytułowani ludzie chcieli spędzać czas na picciu i grze w karty? Dla pieniędzy i pustego domu, coraz cichszego z każdym mijającym dniem? Mój syn zasługuje na coś lepszego... Nie ożeniłeś się, Byronie, bo podobnie jak ja zbyt wiele siebie wkładałeś w pracę, która nic nie znaczy. Dostałem bolesną nauczkę, bracie. Wierzyłem, że lekarze wyleczą moją żonę, więc spędzałem dzień za dniem w klubie. Mogłem z nią być, żeby jej pomóc. Mogłem jej wszystko

ułatwić, a jednak wybrałem pracę. Nie pozwolę, żeby mój syn dokonał takiego samego wyboru. On nie odziedziczy Grey's i nie sprzedam klubu tobie, bo nie chcę zmarnować ci życia do reszty. Niech jakiś inny biedak to weźmie. Zatrzymamy udziały i niczego nam nie zabraknie.

Signa żałowała, że Percy śpi i nie słyszy ojca. Powinien poczuć ulgę, kiedy się dowie, że Elijah nie dopuszcza go do rodzinnego interesu nie z nienawiści czy braku zaufania – tylko z miłości. A kiedy Percy się o tym przekona, może zaczną naprawiać nadszarpniętą więź między sobą.

Jednak sądząc po minie Byrona, musieli naprawić znacznie więcej.

– Czy nie rozumiesz, jak to wpłynie na twoją reputację? – zapytał Byron. – Unicestwisz ją w jednej chwili, gdy tylko podpiszesz te dokumenty.

– Więc nazwij mnie magikiem. – Elijah niedbale odsunął na bok jego obawy. – Mam wszystko, czego potrzebuję. Reszta to gra, w którą już nie chcę grać.

Byron przegarnął włosy rozedrganymi palcami i szarpnął za końcówki.

– Może ty nie chcesz już grać, ale nie możesz decydować za nas wszystkich. Żyję dość długo, żeby wiedzieć, czego chcę, a chcę Grey's.

Z pewnością kłóciłiby się o to do upadłego, jednak Signa nie zwracała na nich uwagi. Przypomniała sobie, jak czule Marjorie odnosiła się do Percy'ego. Z jaką tkliwością i uwielbieniem na niego patrzyła, jak mu we wszystkim ustępowała.

Rozumiała, że Marjorie chciała się pozbyć Lillian. Mogła też zrozumieć otrucie Blythe, która zapewne nie pasowała do modelu rodziny, jaką sobie wymarzyła Marjorie. Ale dlaczego zachorował Percy?

Nadal brakowało jednego kawałka. Jednego ostatniego fragmentu, który wreszcie pozwoli rozwiązać łamigłówkę.

– *Signo*. – Chłód musnął jej skórę tak nagle, że się zachłysnęła, chociaż pogrążeni w sprzeczce bracia niczego nie zauważyli. – *Chodź szybko. Coś się dzieje z Percym.*

Signa bez wahania odepchnęła krzesło i pobiegła do drzwi. Hawthorne'owie przerwali kłótnię i Elijah zawołał:

– Dokąd idziesz?

– Do pokoju Percy'ego! – odkrzyknęła.

Nie obejrzała się, ale usłyszała zgrzyt odsuwanych krzeseł i wiedziała, że bracia spieszą za nią.

Signa zastała Percy'ego przy oknie w jego pokoju. Oczy miał przekrwione i kurczowo trzymał się parapetu. Jakimś cudem stał, chociaż Signa miała wrażenie, że to dzięki adrenalinie, a nie sile woli.

Objęła się ramionami, bo przez otwarte okno wpadał ze świstem lodowaty wiatr. Śmierć unosił się za chłopcem, obserwując całą scenę z milczącą ciekawością.

– Percy? – zawołał Byron, zasapany po wspinaczce na schody. Oparł się na lasce, przeklinając swoje artretyczne kolano.

Chłopak powiódł pustym spojrzeniem po nich wszystkich, jakby zobaczył duchy. Jego ziemista, wynędzniała twarz błyszczała od potu.

– Synu, co ci jest? – zapytał Elijah. – Co się stało?

– Na co on patrzy, na litość boską? – zapytał Byron.

Signa nie spojrzała na Percy'ego, tylko na Śmierć, szukając odpowiedzi.

– *Nie widziałem, co się stało – powiedział jej. – Wyczułem tu ducha i kiedy przyszedłem sprawdzić, zobaczyłem, jak chłopak otwiera okno. Od tamtego czasu ciągle patrzy.*

Signa podeszła do kuzyna, objęła go za ramiona, odciągnęła od okna i zaprowadziła do łóżka.

– Trzeba natychmiast wezwać lekarza – zaczął Byron i ruszył już do drzwi, ale Elijah go powstrzymał.

– Żaden lekarz tu nie pomoże. On ma halucynacje. Warwick! – zawołał do kamerdynera, który przybiegł za nimi, chociaż Signa go nie zauważyła. – Przynieś mu herbaty i coś do jedzenia...

– Żadnej herbaty! – Percy szarpnął się gwałtownie. Opadł z powrotem na łóżko, spękane wargi mu drżały.

Signa naciągnęła na niego lniane prześcieradła i próbowała odwrócić jego uwagę od okna.

– Cokolwiek widziałeś, do rana powinno zniknąć. Czy mam z tobą zostać przez chwilę?

Udręczone spojrzenie Percy'ego przeskakiwało z miejsca na miejsce, nie zatrzymując się nigdzie na dłużej.

– Widziałem ją. – Nie zająknął się i chociaż ciągle drżał, mówił uderzająco jasno i wyraźnie. – Matkę. Była tu.

Powieki mu zatrzepotały i zamknął oczy. Signa wiedziała, że chłopak odczuwa takie samo wyczerpanie, jak ona po każdym spotkaniu z duchem. To wystarczyło, żeby potwierdzić jej podejrzenia, które Elijah powtórzył trwożnym szeptem.

– To była Lillian. Tak, jak zawsze myślałem... ona tu jest i czuwa nad dziećmi. – Trząśł się jak trzcina na wietrze.

– Lillian nie żyje, Elijahu. – Na szyi Byrona pulsowała żyła. – To nonsens. Zwykły atak delirium.

– To nie było delirium. – W głosie Elijaha nie było surowości. Wierzył, że Lillian jest przy nim, i tylko to się liczyło. – Moja żona wciąż chodzi po tej ziemi.

Signa bardzo chciała go zapewnić, że ma całkowitą rację. Jednak świat żywych dzieliła od świata umarłych zasłona, której nie należało przekraczać. Więc mruknęła tylko:

– Może.

Elijah był zbyt pochłonięty własnymi myślami, żeby zwracać na nią uwagę. Zerknął przelotnie na syna, żeby się upewnić, że Percy wciąż oddycha, zanim wybiegł z pokoju, mamrocząc coś o swojej żonie.

Może zamierzał jej szukać. Albo może zamierzał wrócić do picia i poszukać pociechy na dnie kieliszka.

Byron, zmierzwszy Percy'ego ostatnim twardym spojrzeniem, pospieszył za bratem, zapewne żeby go powstrzymać od popełnienia jakiegoś głupstwa.

Signa przyjęła to z zadowoleniem. Poczwała zimno na skórze, kiedy Śmierć zbliżył się do niej.

– Wprawdzie zabrałeś Lillian, ale tak naprawdę umarł ten, którego zostawiłeś na ziemi.

Litowała się nad Elijahem. Żałowała go tak mocno, że czuła, jakby ktoś wypalał jej dziurę w sercu.

– Signo. – Śmierć mówił takim tonem, jakby nie chciał spłoszyć dzikiego zwierzątka. – Wszystko, co żyje, musi umrzeć. Tak już jest na tym świecie.

Och, jak bardzo tego żałowała. Jakże kruche wydawało się życie, kiedy jedno po drugim ginęło na jej oczach.

– Nie mogę na niego patrzeć. – Ból w jej sercu narastał z każdą sekundą, stawał się nie do wytrzymania. – Ci wszyscy ludzie... Jak ty to robisz? Jak możesz żyć, zostawiwszy za sobą tyle nieszczęścia?

Natychmiast zakryła sobie ręką usta, przerażona, że wymówiła na głos to pytanie, ale Śmierć tylko wtopił się w nią i oparł podbródek na czubku jej głowy.

– Ludzkie życie jest piękne – powiedział. – Wy, ludzie... *czujecie*. Czujecie tak głęboko, że to was zżera. Byli ludzie, nad którymi



czuwałem, chociaż zanim się obejrzałem, kończyli pięćdziesiąt, sześćdziesiąt lat... i przychodziła pora na spotkanie ze mną. Szczerze bolałem nad ich krótkim życiem. I przyznaję, Signo, że z wiekiem zrobiłem się bardziej bezwzględny. Ale zacząłem też podziwiać ludzi. Mają tak mało czasu, żeby przeżyć swoje życie, więc muszą czuć głęboko. W ciągu jednego życia muszą doświadczyć tego, co zabiera mi całą wieczność. Kiedy widzę ludzi takich jak Elijah, nie mam wyrzutów sumienia, bo wiem, że on rozpacza, ponieważ kochał tak mocno. I gdybym nie istniał, ptaszynko, gdybym nie był Śmiercią, on nigdy nie doświadczyłby takiej miłości. Więc co jest lepsze? Żyć wiecznie czy żyć i kochać?

Śmierć przesunął dłońmi po jej ramionach i wziął ją za rękę.

– Nie bój się mnie. – Jego czuły głos pieścił jej uszy. – Proszę, nie odtrącaj mnie, kiedy dopiero cię znalazłem, bo to dzięki mnie ten świat jest taki piękny.

Chociaż bardzo się starała, nie mogła znienawidzić Śmierci. Przypuszczała, że w pewnym sensie miał rację, ale to nie zmieniało faktu, że była tylko człowiekiem. Jeśli mówił prawdę – jeśli ludzie czuli tak głęboko i kochali tak mocno – czy dlatego serce ją bolało z powodu tej rodziny i nieszczęść, które na nią spadły? Czy to dlatego, że kochała ich wszystkich?

Trzymając Śmierć za rękę, dopuściła do siebie tę myśl. Zrobiło jej się lżej na sercu i umocniła się w swojej decyzji.

Tak, kochała ich. I dlatego zrobi wszystko, żeby ich uratować i ocalić tę rodzinę.

Dni w Thorn Grove nie były już zorganizowane. Skończyły się lekcje, porzucono resztki etykiety i smutek okrył dom niczym żałobny welon. Samo Thorn Grove bardzo chciało przywrócić choćby pozory normalności. Dlatego służący spuszczaali głowy, dlatego nikt nie ośmielał się wspominać o incydencie na balu ani o nagłym zniknięciu Marjorie trzy noce wcześniej.

Bez guwernantki nadzorującej naukę i bez Hawthorne'ów, którzy wciąż niedomagali, Signa dysponowała nadmiarem swobody i wolnego czasu. Głównie węszyła po całej rezydencji i razem z Sylasem ślęczała przy świecach nad pozostałymi rejestrami służby, sprawdzając domowników i szukając jakiejś wskazówki. Jakiegoś tropu, który posunąłby śledztwo do przodu.

Elijah znowu zaczął pić. Spędzał całe dni przy chorych dzieciach, a nocami krążył po korytarzach, szukając żony, której nigdzie nie mógł znaleźć.

Blythe wracała do zdrowia w swoim pokoju, nadal tak osłabiona, że nie chciała widzieć nikogo oprócz ojca. Chociaż Signa bardzo chciała ją odwiedzić, pocieszała się tym, że widocznie Blythe jest przytomna i może rozmawiać, skoro jasno się wyraziła, że nie życzy sobie gości.

Percy w końcu zaczął chodzić o własnych siłach, ale nadal był w szoku, odkąd ujrział zjawę matki. Odzyskał kolory i jego oczy znowu nabrały blasku, ale prawie nic nie jadł i nie pił. Zostały z niego skóra i kości, twarz miał wychudzoną jak szkielet. Spędzał

dni podobnie, jak jego ojciec spędzał noce, krążył po korytarzach i mamrotał do siebie, tak pogrążony we własnych myślach, że Signa tylko patrzyła i nie ośmieliła się do niego przemówić. Przypuszczała, że jego zachowanie jest normalne. Percy wierzył, że nawiedził go duch matki. Jak miał sobie z tym poradzić?

Natomiast nie spodziewała się, że Percy zacznie znikać wieczorami na długie godziny, kiedy myślał, że nikt nie patrzy. Słyszała, jak wychodził, i widziała ze swojego balkonu, jak wkraczał do stajni i po paru chwilach wyjeżdżał konno w stronę lasu. Wracał późno, z rękami tak brudnymi, że Sylas poprzedniego wieczoru przysłał notatkę ze szczegółowym opisem wyglądu młodego Hawthorne'a.

– Powinnaś zrobić sobie przerwę – powiedział do Signy Sylas, kiedy przyszła do stajni któregoś wieczoru po zniknięciu Percy'ego. Koniecznie postanowiła odkryć, dokąd udaje się jej kuzyn. Była wymizerowana, miała rozczochrane włosy i ciemne sińce pod oczami. – Zrobiłaś już tak wiele dla Hawthorne'ów. I patrz, do czego to cię doprowadziło.

Signa oparła się o ścianę i uszczypnęła w nasadę nosa, czekając, aż Sylas osiodła konie.

– Wszystko mi jedno.

Ugryzła się w język, żeby się na nim nie wyładowywać. Nie była na niego zła, tylko sfrustrowana całą sytuacją. Ciągle brakowało jej paru fragmentów układanki i nie mogła się uspokoić, dopóki nie pozna prawdy. Hawthorne'owie byli jej prawdziwą rodziną, nigdy nie miała innej. Musiała zapewnić im bezpieczeństwo, nawet jeśli to ją będzie kosztowało jeszcze tysiąc nieprzespanych nocy.

– Możesz po prostu osiodłać konie?

– Dziś w nocy nie znajdziesz tam niczego, czego nie możesz poszukać jutro – upierał się Sylas, tym razem ostrzejszym tonem. – Powinnaś zadbać o siebie...

Odepchnęła go i ruszyła do siodlarni, żeby samej przynieść siodło. Ugięła się pod jego ciężarem. Sylas stał obok z założonymi rękami, patrzył na nią spode łba i nie kiwnął palcem, żeby jej pomóc. Zacisnęła usta i zmrużyła oczy, ale on tylko wzruszył ramionami.

– Sama wykombinuj, jak to zrobić, skoro tak dobrze ci idzie.

Miała ochotę upuścić mu siodło na nogę. Należało mu się, temu brutalowi, chociaż musiała przyznać, że jak na brutala całkiem dobrze się prezentował. Pomimo bólu głowy patrzyła na niego z przyjemnością. Chociaż czuła się związana ze Śmiercią, zdarzały się chwile w bliskości Sylasa – jego szerokiego uśmiechu, denerwujących mięśni i niesfornych włosów – kiedy do jej duszy zakradały się maleńkie wątpliwości. Dręcząca, drażniąca ciekawość, jak mogłoby być z Sylasem.

Oczywiście to nic nie znaczyło. Przecież jej powiedział, że jest w jego życiu ktoś, na kim mu bardzo zależy, i teraz ona też kogoś miała. Chciałaby tylko wiedzieć, kto zdobył jego serce. Jednak to była tylko pospolita ciekawość. Znacznie pilniejsze sprawy domagały się jej uwagi.

– Jedziesz ze mną czy nie? – zapytała w końcu, odsuwając na bok te myśli.

Weszła do boksu Mitry i zarzuciła jej siodło na grzbiet. Klacz szturchnęła ją nosem w rękę.

Dopiero wtedy Sylas westchnął, rozumiejąc, że nie wygra tej bitwy.

– Oczywiście, że tak. Odsuń się.

Wziął uzdę i dokończył siodłanie Mitry, każdym gestem okazując swoją irytację. Signa powstrzymała uśmiech.

Wkrótce wyjechali, z Gundrym depczącym im po piętach. Sylas prowadził przez zaśnieżone wrzosowiska w stronę ściany lasu, najeżonej gałęziami gotowymi ich pochwycić.

– On pewnie pojechał do ogrodu – stwierdziła Signa, spoglądając na ślady kopyt w śniegu, które prowadziły prostą linią do drzew. – Czy on coś ci mówił, kiedy czekał na konia?

– Twój kuzyn nie rozmawia ze służbą – odparł Sylas. – Zbyt wielki z niego dzentelmen.

Signa wjechała po śladach w głąb lasu, gdzie zobaczyła na śniegu coś, co sprawiło, że się zatrzymała – do tropu dołączyły ślady butów, za małych, żeby należały do Percy'ego.

Sylas zsunął się z konia i nachylił, żeby obejrzeć nowe ślady.

– Ktokolwiek je zrobił, pewnie wciąż jest w pobliżu. – Mówił niemal szeptem. – Odciski są wyraźne, co znaczy, że są świeże.

Signa ponownie przyjrzała się śladom Percy'ego. Odkąd zachorował, nie myślał trzeźwo i ze względu na jego bezpieczeństwo nie mogli zignorować tych nowych śladów.

– Jedź za Percym – rozkazała. – Spróbuj się dowiedzieć, co on zamierza, i dopilnuj, żeby nie zrobił jakiegoś głupstwa. Ja pojedę za tymi śladami stóp. Może doprowadzą mnie do Marjorie.

Napięcie ramion Sylasa wyraźnie wskazywało, jaki jest niezadowolony z tej decyzji. Przeciągnął ręką po podbródku, westchnął i ponownie wskoczył na siodło.

– Spotkamy się w stajni za godzinę – oświadczył stanowczo. – Jeśli cię nie będzie, pojedę cię szukać.

– Za godzinę – obiecała, mierząc go twardym spojrzeniem, i mocniej chwyciła wodze. – To na razie.

Lekko kopnęła bok Mitry i pojechała za śladami, prowadzącymi na ścieżkę, której dotąd nie zdążyła zbadać.

Coraz dalej zagłębiała się w las, aż wreszcie ślady znikły na leśnej ściółce, wśród jeżyn i chwastów. Drzewa rosły tutaj gęściej. Rzadko ktoś się zapuszczał w to miejsce i gdyby nie zima, byłoby całkiem zarośnięte. Signa zsiadła z konia, mocno trzymając wodze. Gałązki zatrzeszczały pod jej butami, kiedy stanęła na ziemi.

Zima miała w sobie pewien spokój, ciszę, w którą Signa chętnie się zanurzała. Jednak teraz, w głębi lasu, z głową wciąż pulsującą od bólu, odkryła, że ta cisza działa jej na nerwy. Dostała gęziej skórki. Przywarła do ciepłego boku Mitry, niepewna, jak daleko jeszcze może bezpiecznie wjechać. Schyliła się i próbowała odsunąć pędy jeżyn, żeby oczyścić ścieżkę, kiedy znajomy, łagodny głos za jej plecami zawołał:

– Ostrożnie. Kora jest trująca.

Signa odwróciła się gwałtownie i zobaczyła Charlotte. Dawna przyjaciółka miała na sobie gruby szmaragdowy płaszcz i trzymała w rękach wiklinowy koszyk. Para buchała jej z ust.

– To się nazywa sumak jadowity. Dostaniesz paskudnej wysypki, ty i twój koń, jeśli chociaż tego dotkniecie – powiedziała, gestem każąc Signie się cofnąć. Po czym z uśmiechem dodała: – Przekonałam się o tym na własnej skórze kilka lat temu, kiedy zaczynałam zwiedzać te lasy.

Oczywiście ślady należały do Charlotte. Signa przypomniała sobie, jak Blythe jej mówiła, że Charlotte mieszka po drugiej stronie lasu. Jednak nie rozumiała, co ta dziewczyna tu robi w taką pogodę.

Przeniosła spojrzenie na koszyk. Kiedy wyteżyła wzrok, w głowie jej zapulsowało i przed oczami pojawiły się maleńkie iskierki, błyszczące na śniegu. Widocznie się zachwiała, bo Charlotte wyciągnęła rękę, żeby ją podtrzymać.

– Jesteś chora? Nie powinnaś sama jeździć konno – upomniała ją.  
– Chodź, usiądź na tym głązie.

Signa na chwilę zamknęła oczy, bo świat zawirował wokół niej. Pozwoliła, żeby Charlotte pomogła jej usiąść.

– To tylko ból głowy. Zaraz przejdzie.

Kiedy otworzyła oczy, Charlotte patrzyła na nią z zatroskaną miną. Zdjęła wieko z koszyka, odsłaniając mnóstwo zebranych darów natury. Kasztany, szyszki sosnowe, maleńkie grzybki o dziwnych kolorach i kawałek kory, który podała Signie.

– Kora wierzbowa – wyjaśniła. – Lepsza jako herbatka, ale jeśli ją przeżujesz, powinna pomóc na ból głowy.

Signa bez pytania wsadziła sobie korę do ust i zaczęła żuć. Zrobiłaby wszystko, żeby się pozbyć tej pulsującej aury, która unosiła się jej przed oczami.

– Co ty tu robisz? – zapytała między kęsami, marszcząc nos, bo kora była gorzka.

– Mogłabym cię zapytać o to samo – odparła Charlotte. – Po świątecznym balu nie spodziewałam się, że w najbliższym czasie zobaczę ciebie albo któregoś z Hawthorne'ów. A już na pewno nie tutaj.

– I tak prawie mnie nie widzisz. – Signa mówiła tak otwarcie, że sama się zdumiała. – Chciałam z tobą porozmawiać tamtego wieczoru. Albo w każdej innej chwili. Wydaje się, że między nami wyrósł jakiś mur.

– Rzeczywiście może tak się wydawać – przyznała Charlotte. – Chociaż to nie twoja wina. Widziałaś sępy, które krążą wokół nas, Signo. Gdyby któryś poznał moją przeszłość... gdyby się dowiedział, co zaszło między moją matką a twoim wujem... nigdy nie dałyby mi spokoju. Wyjechaliśmy tak daleko, żeby uniknąć skandalu, więc wyobraź sobie moje zdziwienie, kiedy cię tu zobaczyłam, zaledwie parę miesięcy przed początkiem sezonu. – Usiadła na głazie i jej orzechowe oczy napotkały spojrzenie Signy. – Minęło dużo czasu i nie wiedziałam, jaką osobą się stałaś. Chcę tylko zdobyć dobrą partię i zaopiekować się ojcem.

Może dzięki korze brzoźowej, a może dzięki tej rozmowie Signa poczuła się trochę lepiej. Pomimo całej frustracji ucieszyła się, że ona i Charlotte myślą podobnie.

– Rozumiem – powiedziała.

I naprawdę rozumiała, ponieważ miała identyczne obawy, kiedy zobaczyła Charlotte w Thorn Grove.

– Myślałam, że skończyłaś z tym zbieractwem, skoro zbliża się twój debiut – droczyła się, gładząc palcem kępkę mchu. – Ktoś by cię nazwał czarownicą za te twoje cudowne lekarstwa.

– Pozna swój swego – odgryzła się Charlotte. – Myślisz, że nie widziałam, jak wychodzisz z apteki? Zawsze lubiłaś rośliny, a ja zawsze lubiałam odkrywać, co las ma do zaoferowania każdego dnia. – Starannie zamknęła koszyk i wysoko uniosła podbródek. – Przyjemnie mieć do roboty coś, co nie wymaga strojenia się ani popisywania, ale przychodzę tu głównie dlatego, że kora wierzbowy pomaga mojemu ojcu na artretyzm.

– To miło z twojej strony – powiedziała Signa z nadzieją, że jeśli złagodzi ton głosu, Charlotte weźmie jej słowa za dobrą monetę.



W końcu Charlotte trochę się odprężyła.

– A co z tobą? – zapytała. – Dziwię się, że pozwalają ci jeździć samej. Co ty tu robisz?

– Mam eskortę – zapewniła Signa. Zęby ją bolały od zucia. Delikatnie zdjęła strzępek kory z języka. – Ale się rozdzieliliśmy. Ostatnio Percy tu przyjeżdża, a ja martwię się o niego. Widziałaś go?

Charlotte ostrożnie dobierała następne słowa.

– On i Blythe dawniej pomagali mi w zbieraniu, a ja ich uczyłam, co jest jadalne, a co nie. Ale kiedy dorośliśmy, nie wypadało spotykać się sam na sam. Widuję go czasem, jak dzisiaj, ale tylko przelotnie. Wyglądał, jakby się spieszył. Chyba jechał odwiedzić matkę.

Powiedziała to tak niedbale. Signa nie zdawała sobie sprawy, że Percy odwiedza ogród, a Sylas nigdy wcześniej nie wspominał, że Percy przychodzi do stajni po konia.

– Czy on często to robi?

– No, przecież to była jego matka. – Tutaj, w lesie, Charlotte mówiła swobodniej, bardziej jak dawna przyjaciółka, którą Signa kiedyś znała. – Oczywiście, że tak. Blythe też tu przyjeżdżała, zanim ogród zamknięto, a ona zachorowała.

Signa wypluła resztkę kory, rozważając te słowa.

– Inni też tu przychodzą?

Nie była pewna, dlaczego chciała to wiedzieć, ale musiała zaspokoić ciekawość. Wstała, a Charlotte też się podniosła i obie ruszyły w stronę ogrodu.

– Lillian nie przyjmowała tu gości – odparła Charlotte, drapiąc Mitrę po szyi. – Ale pan Hawthorne wolał, żeby ktoś jej towarzyszył.

Zwykle któryś służący albo stajenny.

Elektryczny wstrząs przeszył kręgosłup Signy. Wprawdzie lubiła towarzystwo Sylasa, jednak dręczyła ją ciekawość i liczne pytania nie dawały jej spokoju: skąd chłopak stajenny ma takie piękne buty i rękawiczki? Dlaczego tamtego dnia, kiedy miał ją eskortować do ogrodu, wybrał sobie najbardziej niesforenego konia i zgubił się w lesie? Czy nie chciał, żeby weszła do ogrodu?

Wiedział też o bibliotece. Wiedział, jak tam trafić, chociaż był tylko stajennym. I to on pokazał jej sekretne przejścia.

A wcześniej, kiedy znalazła ogród, tak szybko przyjął jej propozycję pieniędzy i posady, jakby zapomniał o lojalności wobec Hawthorne'ów. Twierdził, że musi pomóc komuś, na kim mu zależy, chociaż Signa za skarby świata nie potrafiła odgadnąć, kto to może być.

Lubiła Sylasa – właściwie bardziej niż większość ludzi. Czuła się przy nim swobodnie. Wybrała go na powiernika, który pomagał jej rozwiązywać tajemnicę śmierci Lillian.

Ale co, jeśli wybrała źle?

– Powinnam wracać – powiedziała nagle.

Napięcie w jej głosie sprawiło, że Charlotte drgnęła.

– Oczywiście – odparła, wyraźnie skrepowana, wyczuwając panikę Signy. – Czy wiesz, którądy... Signo, widzisz to?

Przed nimi w niebo wzbijał się pióropusz szarego dymu.

Signę ogarnęła zgroza. W środku zimy to nie mógł być przypadek.

– Biegnij do Thorn Grove i sprowadź Elijaha – rozkazała przyjaciółce. Potem podprowadziła Mitrę do głazu i weszła na niego, żeby wdrapać się na siodło. – Powiedz, żeby się pospieszył.

– Signo...

– Tam może być Percy! – Sylas też, chociaż Signa nie odważyła się wypowiedzieć na głos swoich podejrzeń. Nie odważyła się dopuścić do siebie tej możliwości. – Proszę, idź!

Nie czekała, żeby sprawdzić, czy Charlotte jej posłuchała. Ściskając kolanami Mitrę, ruszyła prosto w stronę dymu. W stronę ogrodu i czekających na nią odpowiedzi.

Mitra galopowała przez śnieg i sękate, drapiące gałęzie. W lesie były oczy, ukryte wśród jeżyn i cieni. Oczy, które wiecznie obserwowały, czekały na to, co się stanie. Lillian była obok, wzywała Signę. Wiatr szarpał jej włosy, świszczął w uszach i wdzierał się w myśli. Zmarli bywają rozgoryczeni. Bywają przygnębieni albo niespokojni. Ale duch, który ciągnął Signę do ogrodu, wirował tak szaleńczo, jak żaden przedtem.

Trochę dalej ziemię zaśmiecały szczątki bluszczu, zerwanego z żelaznej bramy, teraz otwartej na oścież. Przed bramą czekał koń Sylasa, położywszy uszy po sobie, grzebiąc kopytami w ziemi. Signa zeskoczyła z Mitry i wbiegła przez bramę do ogrodu, zanim zdążyła się zastanowić, co robi.

Ogień jeszcze nie rozszerzył się poza ogród, chociaż z każdą chwilą nabierał mocy. Pożerał wszystkie rośliny, jakie znalazł w topniejącym śniegu. Płomienie strzeliły na boki, dosięgły krzaka obok Signy, który z trzaskiem obudził się do życia.

Sylas odepchnął ją na bok, zanim ogień osmalił jej ubranie. Nawet nie zauważyła, kiedy podszedł.

– Jest za duży! – wrzasnął, niemal zagłuszony przez ryk płomieni i rechotanie żab zmykających pod ich stopami. – Wynoś się stąd!

Zignorowała go.

– Gdzie jest Percy?

– Pożar już się zaczął, zanim przyjechałem. Nie widziałem go...

Signa chwyciła go za kurtkę, skutecznie go uciszając.

– Kim ty jesteś, Sylasie Thorly? Czy to ty podpaliłeś bibliotekę?

Boże, jaka była wściekła, kiedy głos jej się załamał, chociaż nie bardziej, niż kiedy ramiona mu opadły.

– Oczywiście, że nie...

Chwycił ją za nadgarstek i próbował wyciągnąć z ogrodu, ale mu się wyrwała.

– Nie dotykaj mnie!

Wzbierał w niej gniew. Gorący, bezrozumny gniew, który nie zważał na dym i ogień, na nic oprócz pytania: czy Sylas ją zdradził? Czy próbował zniszczyć Hawthorne'ów?

Jeśli Sylas był sprawcą, potrafił doskonale ukryć winę.

– Nie jestem w to zamieszany, Signo, przysięgam! Przestań się tak głupio upierać i wyjdź stąd!

Gundry dyszał u jego boku, kręcił się w kółko i niecierpliwie drapał ziemię, gotów do ucieczki. Ale nawet gdyby Signa chciała uciec, ciało by jej nie pozwoliło. Próbowała zdecydować, czy wierzy w szczerść troski Sylasa, kiedy ogarnął ją chłód – duch Lillian uwięził ją w ogrodzie.

– Ona chce, żebym tu została – powiedziała bez tchu do Sylasa. – Nie mogę odejść.

Sylas wziął ją za rękę, ale tym razem nie próbowała się odsunąć. Na jego twarzy nie dostrzegła wątpliwości ani żadnych oznak świadczących, że uważa ją za wariatkę. Z całego serca chciała mu zaufać.

– Zabierz konie i wynoś się stąd – szepnęła.

Płomienie odbijały się w jego dymnych oczach.

– Signo Farrow, jesteś głupia, jeśli myślisz, że cię zostawię i pozwolę, żeby coś ci się stało.

Żar polizął jej skórę, dym gęstniał z każdą chwilą. Jeszcze nie mógł ich zadusić ani powstrzymać, ale wystarczył, żeby wypełnić czernią upiorny cień Lillian, unoszący się nad jej płonącym grobem. Skierowała czarne oczy na inną postać, zasłoniętą przez dym.

– Kto tam? – zawołała postać i Signa o mało nie padła jak długa z ulgi na dźwięk tego głosu.

– Percy! – Signa podbiegła do kuzyna. Oczy miał dzikie i nawiedzone, włosy zmierzwione i pełne liści, i był w koszuli nocnej. – Zobaczyliśmy dym i... – Coś błysnęło w jego dłoniach. – Percy, czy to... czy to krzesiwo?

Przesunął kciukiem po boku małego srebrnego puzderka zawierającego hubkę i krzesiwo, po czym schował je do kieszeni spodni.

– Musiałem się zająć tym problemem.

Zerwał się wiatr i cisnął drobinki żaru na rękaw Signy. Lillian nad swoim grobem warknęła.

– Ale to jest ogród twojej matki – przypomniała mu Signa. Za bardzo pogrążył się w szaleństwie, żeby zwrócić na nią uwagę, ale nie mogła się powstrzymać. Nie teraz, kiedy Lillian patrzyła. – To tutaj ona... – Nagle do niej dotarło. – Czym musiałeś się zająć, Percy?

Stłumiła wzbierającą zgrozę i sięgnęła po rękę Sylasa, ponieważ już знаła odpowiedź.

Coś w twarzy Percy'ego pękło.

– Ona nie chce mnie zostawić w spokoju. – W jego głosie nie było smutku ani strachu. Ani wyrzutów sumienia. – Ty też ją widzisz, prawda? Czy dlatego tu jesteś? Czy przysłała cię do Thorn Grove, żebyś mnie dręczyła?

– Signo... – Głos Sylasa, chociaż cichy, ciął jak nóż. – Nie możemy tu zostać.

On nie mógł tu zostać. Ale Signa Farrow nie była stworzona z takiego samego ciała i kości. Była stworzona z nocy, więc się nie ulękała.

– Zostałeś otruty, kuzynie. – Podniosła ręce, jakby uspokajała małe dziecko. – To normalne, że masz halucynacje. Twoja matka bardzo cię kochała, ale odeszła...

– Ona nie jest moją matką! – Krzyk wydarł mu się z gardła jak burza. – Nigdy nie była moją matką, bo moja matka to guwernantka. Dziwka, która uciekła z domu, bo przyniosła wstyd rodzinie. Mój ojciec był głupcem, że wpuścił ją za próg...

– Ona tylko chciała dla ciebie jak najlepiej – argumentowała Signa.

Pamiętała niezliczone stronice w pamiętniku Marjorie, wszystkie o Percym. Pamiętała, jak ta kobieta na niego patrzyła, zawsze z uśmiechem na ustach. Zawsze z czułością.

– Jeśli chciała dla mnie jak najlepiej, powinna zniknąć z mojego życia! – Tutaj, z dala od ludzkich spojrzeń, mówił z pasją. – Gdyby ktoś się dowiedział, byłbym skończony. Nietrudno się domyślić, że jesteśmy spokrewnieni. Tylko popatrz na nas... każdy, kto nas zobaczy obok siebie, prędzej czy później doda dwa do dwóch.

Signa chciała tylko zabrać go do domu i skończyć z tym wszystkim. Serce ją bolało nie do wytrzymania, ponieważ mimo wszystkich wad Percy'ego zaczęła go traktować jak brata – z nieustanną irytacją, bez wątpienia, ale również z miłością. Chciała, żeby Elijah się opamiętał i pozwolił mu odziedziczyć Grey's.

Chciała, żeby Percy był szczęśliwy, jak wtedy, kiedy tańczyli, śmiali się i dokuczali sobie nawzajem przy każdym kroku.

Ale kiedy spojrzała na niego teraz, z nagłą jasnością zobaczyła, kim był naprawdę: mordercą.

– Sam się otrułeś – szepnęła, myśląc na głos, kiedy kawałki układanki wskakiwały na miejsce. – Wiedziałeś, że cię uratuję.

– Wiedziałem, że została ci jeszcze jedna porcja antidotum. – Nigdy nie słyszała takiej goryczy w niczym głosie. – Szukałem wszędzie, ale nie mogłem go znaleźć. Musiałem się go pozbyć.

– A ogień w bibliotece? – Głos jej się załamał. – Naprawdę chciałeś doszczętnie spalić Thorn Grove?

– Oczywiście, że nie – rozżłościł się. – Ugasiłbym pożar po spaleniu kilku książek. To ja byłbym bohaterem. Ale ty musiałaś się wtrącić i to też zniszczyć.

Zdrętwiała do tego stopnia, że ledwie poczuła, jak Sylas ściska jej dłoń. Nachylił się do niej i trzaskające płomienie niemal zagłuszyły jego szept.

– Nie musisz tego robić. Ja się nim zajmę. Kiedy puszcze twoją rękę, uciekaj.

Puścił jej rękę, ale Signa nie mogła uciekać. Lillian zawisła za plecami syna, z oczu jej płynęły krwawe łzy. Furia wyparła jej smutek. Zbliżyła się cał po calu i z każdym całem śnieg topniał, a ziemia pod jej stopami obumierała.

Siła jej gniewu powaliła Signę na kolana. Zjawa nachyliła się do niej, przepaszając wzrokiem, że nie może mówić. Wyciągnęła rękę, nagląco, ale nie rozkazująco, jej oczy wyrażały prośbę. Prośbę, którą Signa natychmiast zrozumiała.

Lillian zamierzała w nią wstąpić – ale tylko jeśli Signa jej pozwoli.



Chciała odmówić. Chciała wymazać wspomnienie tego straszliwego zimna płonącego głęboko w jej wnętrzu. Ale kto inny dałby Lillian taką szansę? Kto inny mógłby to dla niej zrobić?

Uzbroiła się wewnątrz i wzięła rękę Lillian.

Lillian w nią weszła. Oczy Signy wywróciły się białkami do góry, kiedy duch nią zawładnął. Miała wrażenie, że ktoś łyżką wydrążył jej ciało. Jakby została z niej tylko powłoka; jakby przeżywała nocny koszmar na jawie, niezdolna się poruszyć ani przemówić.

*Dlaczego?*

To nie była jej własna myśl, tylko Lillian. Rozkwitła w jej głowie jako nieustanny nacisk. Signa nie mogła się ruszyć. Nie mogła krzyczeć.

*DLACZEGO?*

Przedtem tylko raz doświadczyła takiego bólu, kiedy patrzyła, jak umiera jej babcia. Przenikał do kości i rozdzierał duszę. Chociaż próbowała z całych sił, nie mogła się przed nim zamknąć. Była naczyniem, które wypełniała Lillian.

– Dlaczego to zrobiłeś? – krzyknęła na cały głos.

Słowa wylewały się jej z gardła. Za każdym razem, kiedy próbowała zamknąć usta, piekący ból parzył jej wargi.

Percy drgnął.

– To nie twój...

– To nie Signa pyta! – Chociaż słowa padały z ust Signy, to Lillian je wymawiała. Signa dygotała, wstrząsały nią dreszcze tak lodowate, że pragnęła rzucić się w płomień. – To twoja matka.

Percy zeszywniał, zbladł, wciągnął głowę w ramiona i jakby wstrzymał oddech.

– Powiedz mi prawdę. – Signa nie wiedziałaaby, czy wymówiła te słowa na głos, gdyby Percy się nie wzdrygnął. – Powiedz mi dlaczego. Powiedz mi, co takiego zrobiłam, że mnie znienawidziłeś.

Percy uniósł głowę, spojrzał jej w oczy i powiedział:

– To nie ty miałaś umrzeć.

To miała być Marjorie. – W jego głosie nie było wahania, zaprzeczenia ani skruchy. – Myślałaś, że nikt nigdy nie pozna prawdy? Całe miasteczko już szepcze, że ojciec pewnie miał jakieś nieślubne dzieci. Myślisz, że jak długo by trwało, zanim ktoś by odgadł, że urodziła mnie guwernantka?

– Marjorie chciała tylko dla ciebie jak najlepiej – przemówiła przez usta Signy Lillian.

Miała nadzieję, że jej syn powie coś na swoją obronę. Że gdzieś głęboko w nim jest jeszcze miłość. Ale Signa widziała tylko bezwzględного młodego człowieka, który wierzył, że ona i Syłas spłoną tej nocy. Dlatego mówił tak otwarcie.

W przeszłości Signa często czuła się odtrącona i wzgardzona, jednak to wciąż bolało. Ufała mu. Tańczyła z nim. Polegała na nim. I po co?

– Gdyby Marjorie chciała jak najlepiej, nigdy nie powiedziałyby mi prawdy. – Nic nie mogło ugasić gniewu Percy'ego, stłumić furii brzmiącej w jego głosie. – Ona wcale nie chciała jak najlepiej... chciała bliskości. Gdybym do tego dopuścił, zaraz chciałyby, żeby inni się o nas dowiedzieli. Rozeszłyby się plotka, że jestem bękartem, i nie miałbym już przed sobą żadnej przyszłości. Nie rozumiesz? Musiałem chronić siebie i tę rodzinę przed skandalem.

Lillian z całego serca pragnęła wybaczyć synowi i Signa musiała przywołać każdą drobinę energii, żeby przypomnieć jej prawdę.

Początkowo duch stawiał opór, jednak Signa poczuła, że Lillian zrozumiała, kiedy ciało jej zwiotczało i ramiona opadły.

– Więc dlaczego to ja umarłam? – zapytała.

– Ty mi powiedz! – syknął wściekłe Percy. – Dodałem belladonnę do filiżanki herbaty, która była przeznaczona dla Marjorie. Ale to ty ją wypijaś, prawda? Nie zorientowałem się, dopóki nie zachorowałaś, a wtedy było już za późno. Umierałaś, tak powoli, że przez ciebie cały dom pogrążył się w chaosie. Więc podawałem ci więcej jagód, zawsze w herbacie, żebyś szybciej odeszła i wszyscy przestali cierpieć. Ale wciąż nie wystarczało. Za mało ci dawałem, a twoje ciało za szybko rozwijało tolerancję.

Signa zauważyła, że Percy drży z zimna podczas rozmowy ze zmarłą. *Szkoda, że nie zamarznie na śmierć*, pomyślała z goryczą. W tamtej chwili nienawidziła Percy'ego tak mocno, że gotowa była wziąć kosę Śmierci i własnoręcznie rozszcepić go na pół. Nie okazywał żadnej skruchy. Żadnych wyrzutów sumienia. Mówił tak, jak tamtego dnia w aptece – z zimnym wyrachowaniem, jakby zależało mu tylko na tym, jak inni go postrzegają. Jak szybko można wciągnąć kogoś w pułapkę i usidlić.

– A co z Blythe?

Signa zdziwiła się, kiedy usłyszała własny głos. Lillian trzymała ją coraz słabiej. Dym wokół nich gęstniał, na ziemi obok niej ciemniał cień Sylasa. Boże, nie powinna go wciągać w ten koszmar.

Percy odwrócił twarz w stronę płomieni.

– Musiałem coś zrobić, żeby ojciec się opamiętał. On chciał zrujnować rodzinę. Musiałem zacieśnić więź między nami... myślałem, że zbliży nas wspólne cierpienie. Ale po twoim

przyjeździe – zmierzył Signę jadowitym spojrzeniem – on zbliżył się tylko do niej.

– Więc sam się otrułeś – powiedziała Signa. – Nie tylko żeby się pozbyć antidotum, ale myślałeś, że... co? Nastraszysz go tak, żeby zatrzymał Grey's? Sprawisz, że odda ci klub z litości?

Kawałki układanki wreszcie do siebie pasowały.

– Nie spodziewam się, że zrozumiesz. – Percy mówił zbyt swobodnie, zbyt pewny siebie, z łatwością powracając do roli, jaką tak często odgrywał w wytwornym towarzystwie. – Ojciec zabrał wszystko, na co pracowałem przez całe życie, tylko dlatego, że zbyt głęboko pogrążył się w żałobie i przestał cokolwiek kojarzyć. Zrobiłem, co musiałem. Nie zostawił mi wyboru.

– Zawsze miałeś wybór – Lillian przemówiła ponownie głosem drżącym z wyczerpania. – Ojciec odebrał ci firmę nie dlatego, że cię nienawidzi. Zrobił to, bo cię kocha, Percy. Bo żałuje, że poświęcił całe życie pracy i zaniedbał swoją rodzinę. Nie chciał tego samego dla ciebie, nie rozumiesz?

Przez twarz Percy'ego przemknął cień i Signa przez chwilę myślała, że te słowa jakoś do niego trafiły. Że w jego duszy zostało trochę światła. Ale potem ciemność znowu zasnuła mu oczy i pokręcił głową, odrzucając ten głos.

Nie miał czasu na dyskusje. Nie miał czasu na kłótnie. Grunt palił mu się pod nogami.

– Nic z tego już się nie liczy. – Spojrzał w oczy Signie-Lillian. – Ogień pochłonie twoje ciało i wreszcie się od ciebie uwolnię. I tym razem, Signo, nie zdołasz nikogo uratować.

Płomienie oświetliły błysk stali w ręku Percy'ego – składany nóż. Mały, ostry i spragniony krwi. Wymierzył w gardło Signy, ale

spudłował, bo Sylas odepchnął ją na bok tak mocno, że zabrakło jej tchu... i nóż utkwiał w jej ramieniu.

Signa poczuła wszystkie emocje Lillian, jeszcze ostrzej niż cios noża – smutek, ból i najsilniejszą ze wszystkiego świadomość, że dla Percy’ego nie ma już odwrotu. Uniosła głowę, żeby po raz ostatni spojrzeć na syna, zapamiętać go na zawsze jako dziecko, które wzięła na ręce dwadzieścia lat wcześniej. Potem odwróciła się do Sylasa.

– On jest twój, zrób z nim, co zechcesz. Nie mogę go dłużej chronić – powiedziała kruchym, łamiącym się głosem i opuściła ciało Signy.

Signa upadła na czworaki, chwytając się za pierś i łapiąc oddech. Percy znowu zamierzył się nożem. Zanim zdążył zadać cios, Sylas zasłonił sobą Signę i chwycił ostrze dłonią. Percy zachłysnął się i próbował opuścić rękę. Z dzikim wzrokiem spychał nóż w dół, usiłował go poruszyć. Przekreślić. Daremnie.

– Co to znaczy? – Wargi mu drżały, skóra przybrała barwę popiołu. – Co ty robisz?

Spojrzał na Signę, szukając wytłumaczenia. Dygotał jak liść na wietrze.

Sylas trzymał ostrze bez drgnienia. Signa czekała, aż popłynie krew. Czekala, aż Sylas skrzywi się z bólu. Ale na rękawiczce nie było nawet draśnięcia.

Poczuła się tak, jakby całe powietrze wycisnięto jej z płuc, kiedy usłyszała jego szept:

– Nie tak zamierzałem to zrobić. Przepraszam, ptaszynko.

Jego ramiona się rozplęwały, wtapiały w noc. Signa rozumiała smutek w jego głosie. Cienie wyrosły wokół jego stóp i pochłonęły

go, aż nie był już Sylasem, tylko nocnym żniwiarzem. Sprowadzającym śmierć. Gwiazdy gasły jedna po drugiej, aż noc zrobiła się czarna i nie było już światła, tylko buzujące płomienie odbijały się w śniegu i kłaniały u jego stóp. Wciągnął w siebie noc, wziął sierp księżyca zamiast kosy i przyłożył koniec do gardła Percy'ego.

Śmierć stał przed nią i Signa nie mogła oddychać.

To Sylas przywiózł ją do Thorn Grove. To on pomagał jej na każdym kroku. To on zaprowadził ją do Grey's, do ogrodu, do biblioteki. To z nim jechała w blasku księżyca. To przez niego zwątpiła w swoje uczucia do Śmierci.

Śmierć i Sylas byli jednym.

Nie mogła zapytać dlaczego. Przynajmniej na razie, dopóki u jego nóg stał Gundry. Pies nie był już z tego świata. Cienie, które owinęły się wokół Sylasa, okryły również Gundry'ego, wydłużyły jego pysk, wyostrzyły kły. Urósł trzykrotnie i stanął ramię w ramię ze Śmiercią, z łapami większymi od głowy Signy i ślepiami szkarłatnymi jak krew. Cienie skapywały z jego ziejącej paszczy. Głodny, zrozumiała Signa. On jest głodny.

– Teraz dokonasz wyboru. – Śmierć mówił do niej głosem jak nektar, jak słodkie wino, którym chciała się upić. – Teraz zdecydujesz, do którego świata jesteś stworzona. Masz tylko dwie opcje: pozwolić mu uciec i liczyć, że on stanie się innym człowiekiem, bo jeśli trafi przed sąd, na pewno go powieszają. Albo...

– Albo?

Śmierć dotknął jej ramienia, gdzie rana po nożu zaczęła się już zablizniać. Podniósł ją na nogi i oparł plecami o swoją pierś, żeby stanęła przodem do Percy'ego i płomieni trawiących grób Lillian.

– Albo możesz odebrać mu życie jako twoją własność i oddać Blythe czas, który mu został. Nie jesteś przeklęta... jesteś zniwiarką. Jesteś wcieleniem nocy, przewoźniczką dusz. Jesteś mostem między żywymi a zmarłymi... ptakiem w klatce, gotowym do lotu. Więc rozłóż skrzydła, Signo Farrow, ponieważ nic cię nie powstrzyma. Rozłóż skrzydła i och, jakże polecimy.

Jak prawdziwie to brzmiało. Jak prosto, jakby coś pulsującego głęboko w jej wnętrzu wiedziało, że to jest odpowiedź. Że to jest prawda.

„Nie jesteś delikatną istotką, którą trzeba rozpieszczać”. Słowa, które Śmierć niegdyś do niej powiedział, rozbrzmiewały w jej głowie raz po raz. „Jesteś zuchwalsza niż słońce, Signo Farrow, i już czas, żebyś zaświeciła”.

Miał rację. Nie bała się już tego, co w niej kipiało, i przestała przeproszać za to, czym jest. Nie tylko zaświeci, ale zapłonie. Zapłonie jaśniej niż gwiazda u boku Śmierci i wreszcie zdobędzie wszystko, czym jest. Wszystko, co należy do niej.

Oparła się o niego i pozwoliła, żeby przepływał przez nią strumień mocy. Był jak lód w jej żyłach i ogień w sercu. Zniknęły lęki i zmartwienia, bo kiedy poddała się mocy, zrozumiała, że te lęki nic nie znaczą. Nie należały już do niej. Ona miała władać nocą. Sprowadzać śmierć. Zbierać żniwo. I od tej chwili zacznie swoje panowanie.

– Jesteś pewna? – Głos Śmierci był jak pieśczoła wśród chaosu.

Signa nigdy w życiu nie była niczego bardziej pewna. Przywiązała się do Percy'ego, zaczynała go kochać. Teraz jednak rozumiała, dlaczego Śmierć zrobił to wszystko. Zrozumiała, dlaczego



przedwcześnie zabierał ludzi. Wszystko dlatego, że był samolubny. Wszystko dlatego, że chciał ją chronić.

Ona robi to samo dla Blythe. Dla Elijaha, dla Thorn Grove będzie samolubna. Percy dokonał wyboru, a teraz przyszedł czas, żeby ona wybrała.

Jeśli Percy nie czuł skruchy, Signa zamierzała sprawić, żeby pożałował za grzechy.

Odwróciła się do kuzyna. W oczach miała noc, włosy srebrne jak światło gwiazd. Nie musiała nic mówić. Pomyślała tylko, że chce wznieść wokół niego martwy ogród jak klatkę, a świat nagiął się do jej woli. Zeschnięte pędy jeżyn przedarły się przez śnieg i płomienie, korzenie oplotły Percy'ego, chociaż rozpaczliwie szarpał je paznokciami, usiłując się uwolnić.

– Wypuść mnie! – Wytrzeszczał na nią oczy przez płataninę kolczastych pnączy, które owinęły się jak węże wokół jego nadgarstków i przycisnęły go do ziemi. – Na Boga, czym ty jesteś?

Przynajmniej raz znała odpowiedź.

– Jestem wolna.

A potem odwróciła się do Gundry'ego i pozwoliła, żeby piekielny ogar rozpoczął ucztę.

Signa nie czekała, żeby zobaczyć, co się stanie z duchem Percy'ego. Nie chciała wiedzieć, czy odszedł w zaświaty, czy pozostał na ziemi, czy może Śmierć zabrał jego duszę. Usiadła oparta plecami o drzewo tuż za murem ogrodu. Prawie nie czuła zimnego śniegu przesiąkającego przez ubranie ani dymu wciąż dławiącego płuca, chociaż ogień w ogrodzie zgasł.

Skończone. Po tak długim czasie Hawthorne'owie wreszcie uwolnią się od cierpień. Przynajmniej ci, którzy przeżyli, chociaż Signa nie chciała o tym myśleć. Objęła kolana ramionami i próbowała przetrwać wszystko, co zobaczyła i zrobiła. Podniosła wzrok dopiero wtedy, kiedy przed nią pojawiły się dwie blade, przezroczyste stopy.

Lillian usiadła obok niej. Nie wyglądała już tak przerażająco. Rany wokół ust się goiły, oczy nie były puste. Wyglądała bardziej jak kobieta niż jak duch. Młoda, smutna kobieta, która wilgotnymi oczami patrzyła na dym rozplywający się w niebie.

– Dziękuję ci – powiedziała Lillian.

Słowa zabrzmiały cicho i trochę chropawo, jakby duch z trudem przypominał sobie, jak je formułować. Signa odwróciła się i spojrzała na zjawę, która położyła jej rękę na ramieniu. Ten niepewny dotyk był jak wiatr muskający skórę, delikatny i chłodny.

– Nie masz mi za co dziękować – odparła bardziej szorstko, niż zamierzała. – Nie mogłam uratować ich obojga.

Chociaż wciąż słyszała śmiech Percy'ego, kiedy okręcał ją w tańcu, nie żałowała swojego wyboru. Pozostałe lata jego życia otrzyma Blythe; przynajmniej tyle był jej winien. Ale zdziwiła ją własna bezwzględność. Wiedziała, co robić, podjęła decyzję tak szybko, tak łatwo, i ani razu się nie zawahała.

Signa naprawdę stała się ponurą zniwiarką. I chociaż nie wiedziała, co to oznacza dla niej i jej przyszłości, nie było już odwrotu.

Z ogrodowej bramy wyłonił się Śmierć. Cienie ześliznęły się z niego i odsłoniły sylwetkę Sylasa, tylko ze srebrnymi włosami zamiast czarnych. Signa spojrzała w jego szczere oczy i odwróciła wzrok. Wkrótce z nim porozmawia, ale nie teraz, w obecności Lillian. Śmierć podrapał się po karku, najwyraźniej to rozumiejąc. Nic w wyrazie jego twarzy nie zdradzało, jaki los spotkał Percy'ego. Może kiedyś Signa o to też go zapyta. Ale jeszcze nie teraz.

Śmierć wyciągnął rękę do ducha Lillian i zapytał:

– Jesteś gotowa?

Lillian ściągnęła brwi i zaczęła podnosić rękę, ale szybko narastający tętent kopyt zwrócił jej uwagę. Odwróciła głowę i wydała stłumiony okrzyk, kiedy pojawił się Elijah na galopującym koniu, z rozwianymi włosami i dzikim wzrokiem. Natychmiast zobaczył Signę, ponieważ tylko ją mógł widzieć. Potem spojrzał na dym.

– Ogród. – Z jego gardła wydarło się coś pośredniego między jękiem a krzykiem. Zsunął się z konia i zataczając się, podbiegł do bramy.

Lillian odwróciła się do męża, przyciskając ręce do piersi. Do ust. Dolna warga jej zadrzała. Powoli podeszła do niego i położyła mu

rękę na plecach.

Gwałtownie wciągnął oddech pod jej dotykiem. Sztywno, z wilgotnymi oczami odwrócił się do Signy i szepnął:

– Ona tu jest? – Każde słowo było kruche, każdy oddech groził załamaniem. – Moja żona... jest tutaj?

Przez dziewiętnaście lat Signa unikała prawdy. Ukrywała wszystko, co ją wyróżniało. Jednak jej moce nie wydawały się już takie złe. Dostrzegła w nich również piękno.

– Tak – powiedziała, kiedy Lillian przycisnęła czoło do pleców męża i oplótła go ramionami. – Ona jest tutaj.

Elijah sięgnął drżącą ręką do miejsca, gdzie obejmowały go ramiona Lillian. Cały się trząsł.

– Wiedziałem, że jesteś. Przez cały czas wiedziałem, że wciąż jesteś ze mną.

– Tak, mój ukochany – Lillian mówiła wyraźnie, tylko jej głos drżał leciutko pod wpływem emocji, nad którymi z trudem panowała. – Jestem z tobą przez cały czas.

Chociaż nie mógł jej widzieć i prawdopodobnie nie mógł też jej słyszeć, skinął głową w stronę ogrodowej bramy i zamknął oczy, z których popłynęły łzy.

– Powinienem być lepiej zadbać o to miejsce – powiedział. – Nigdy nie powinienem zamykać tych wrót.

Zerwał się wiatr i otworzył bramę na oścież. W środku nie było ani śladu Percy'ego. Tylko śnieg i osmalone drzewa, i smugi dymu rozplywające się w nocy.

– Więc otwórz je teraz – szepnęła mu w kark. Jej ciało zaczęło się rozmywać na krawędziach. Signa wiedziała, że duch chciałby tu zostać na zawsze, ale nie miał już czasu. Rozwiewał się jak dym na

wietrze. – Otwórz je i ciesz się moim ogrodem. Odwiedzaj to miejsce i myśl o mnie.

Śmierć zrobił krok do przodu.

– Zostało niewiele czasu, jeśli chcesz przejść dalej – powiedział, nie surowo, ale nieodwołalnie. Nawet jeśli Lillian wołała zostać, jej duch nie należał już do tego świata.

Lillian mocniej ścisnęła męża.

– Wciąż jestem przy tobie, ukochany, i zawsze będę. Kiedy zapragniesz mnie zobaczyć, spójrz na dziecię naszej miłości i to będę ja. Opiekuj się nią, a ja zaopiekuję się naszym synem.

Cofnęła się i ręce jej opadły.

Elijah szybko się odwrócił, jakby mógł wyczuć jej nieobecność.

– Zostań. Przy tobie będę lepszy, przysięgam. Ale zostań, Lillian. Zostań. Nie umiem żyć bez ciebie.

Lillian uśmiechnęła się przez łzy.

– Więc się nauczysz.

Po raz ostatni rzuciła na męża długie spojrzenie. Potem odwróciła się, pogłaskała grzywę Mitry i pocałowała ją na pożegnanie. Klacz położyła uszy po sobie.

– Byłam szczęśliwa w tym życiu – powiedziała do Signy Lillian. – Byłam z nim najszczęśliwsza na świecie i nie zmieniałabym z tego ani chwili. Przekaż mu to, dobrze?

Signa schyliła głowę, łzy piekły ją pod powiekami. Tych dwoje połączyła taka miłość, o jakiej marzyła przez całe życie. Może nie była idealna, ale była prawdziwa. Signa spojrzała na cienie obok Lillian, gdzie czekał Śmierć, i próbowała sobie wyobrazić wieczność z taką miłością.

– Powiem – obiecała, przyciągając uwagę Elijahą.

Lillian wzięła żniwiarza za rękę. Śmierć spojrział po raz ostatni na Signę, kiedy Lillian odchodziła z tego świata.

– *Niedługo wrócę. I wszystko wyjaśnię.*

Nie mogła się tego doczekać; zmęczyły ją zagadki. Teraz jednak odwróciła się do Elijaha i powiedziała najłagodniejszym tonem, na jaki mogła się zdobyć:

– Ona odeszła, Elijahu. Wreszcie spoczywa w spokoju.

A potem go objęła, kiedy padł na kolana przed bramą ogrodu i zapłakał.

Zanim Signa i Elijah wrócili do stajni, świt zakradł się na niebo.

Elijah nie naciskał jej w sprawie ogrodu, co przyjęła z ulgą. Nie pytał o Percy'ego ani skąd wiedziała, że Lillian odeszła. Cieszyła się tą chwilą spokoju. Z zadowoleniem wśliznęła się do łóżka tuż przed wschodem słońca.

Poczuła Śmierć, zanim go zobaczyła, znajomy chłód przenikający do kości. Lodowaty dreszcz, którego nauczyła się oczekiwać, kazał jej otworzyć oczy.

Śmierć nie przyszedł pod postacią cienia, tylko chłopca stajennego, którego znała, z psem u nogi. Gundry spojrział tylko raz na Signę, wskoczył na łóżko i okręcił się kilka razy, zanim zwinął w kłębek u jej stóp.

– Zrozumiem, jeśli nie chcesz ze mną rozmawiać – powiedział Śmierć... czy teraz powinna nazywać go Sylasem? – Ale obiecuję, że odpowiem na twoje pytania szczerze i uczciwie, jeśli jesteś gotowa pytać.

Oczywiście, że była gotowa. Milion pytań wirowało jej w głowie.

– Od jak dawna jesteś w Thorn Grove? – brzmiało pierwsze. – Jak długo ciągniesz tę maskaradę?

Nisko zwiesił głowę.

– Nigdy tak naprawdę nie byłem w Thorn Grove – wyznał i skrzywił się, kiedy Signa pomasaowała sobie skronie. – O ile mi wiadomo, Sylas Thorly nigdy nie istniał. Dla wszystkich oprócz ciebie byłem niewidzialny.

Przysiadł na brzegu łóżka obok Gundry'ego, ale szybko wstał, kiedy Signa wymierzyła mu niedwuznacznego kopniaka. Nie zamierzała mu pozwolić nawet na chwilę odprężenia.

Umyślnie nie spieszyła się z odpowiedzią, żeby przez chwilę go podręczyć. Myślała o wszystkim, co się zdarzyło w ostatnich tygodniach. Kiedy Elijah przysłał po nią do ciotki Magdy, oczywiście zdziwiła się, że kazał jej podróżować z młodym mężczyzną, z którym nie była spokrewniona. Na dworcu kolejowym też poszedł przodem, z nikim nie rozmawiając, i musiała go gonić. Ale w Thorn Grove wszystko było dziwne, więc myślała po prostu, że Sylas jest źle wychowany.

– Słodczyce w pociągu – powiedziała na głos, pamiętając, jak się nimi opychała. Pierwszy raz jadła coś takiego. – Elijah nie wygląda na kogoś, kto robi takie prezenty.

Sylas stworzył pod sobą fotel z cienia. Rozparł się w nim tak wygodnie, że Signa spiorunowała go wzrokiem, dopóki się nie wyprostował.

– Nie mogłem się powstrzymać. Tak się rozzłościłem, kiedy cię zabrałem tamtego dnia, Signo. Wydawałaś się na wpół zagłodzona.

Rzeczywiście była głodna, ale to nie znaczy, że powinna mu być wdzięczna za te wszystkie kłamstwa. Potem zaprowadził ją do ogrodu... Gdzie niby zabłądził, żeby mógł się pojawić jako Śmierć i pomóc jej wejść do środka. Pomógł jej również dostać się do Grey's i do biblioteki. Pomagał jej na każdym kroku, czy w tej postaci, czy pod postacią cienia. Ale...

– Czy ty naprawdę mi pomagałeś? – szepnęła. – Czy też znałeś prawdę przez cały czas?



W blasku księżycy jego oczy nie były już ciemne jak dym, tylko srebrzyste jak światło gwiazd, jak jego włosy. Jednak nadal była w nich ciemność, jakby w jego oczach wirowały galaktyki. Signa zrozumiała wtedy, że to był prawdziwy on – twarz, której nigdy nikomu nie pokazywał. Był jeszcze piękniejszy, niż myślała.

– Gdybym w którymś momencie poznał prawdę, powiedziałbym ci. – To była szczerza, stanowcza odpowiedź. – Nigdy nie chciałem, żebyś straciła Blythe. Nie chciałem, żebyś kogokolwiek straciła. Kiedy Lillian umarła, nie wiedziała, kto ją zabił, więc ja też nie wiedziałem. Ty musiałaś to odkryć. I spisałaś się wspaniale, Signo. Uratowałaś życie.

– Tak, ale żeby to zrobić, musiałam odebrać inne.

Wypowiedziała te słowa na głos, ale nie zraniły jej tak, jak się spodziewała. Starła się ocalić rodzinę Hawthorne'ów, a jednak odebrała Elijahowi jedno z dzieci. Mimo wszystko nie czuła się winna. Uważała, że Percy poniósł sprawiedliwą karę. A w zamian za jego śmierć Blythe dostanie zdrowie i pomyślność.

Życie zostało oddane za życie, a bez ciała... Może Hawthorne'owie wcale nie muszą wiedzieć, co się stało z Percym.

– Chcę wiedzieć, dlaczego to zrobiłeś – powiedziała nagle Signa. – Dlaczego w ogóle przybrałeś taką postać? Żeby ze mnie zadrwić?

Śmierć wyglądał jak posąg, słabe światło podkreślało cienie w zagłębieniach jego policzków i zarys szczęki.

– Wiem, że nie jesteś głupia, ptaszynko. Nie zamierzałem z ciebie drwić i sam nie zdawałem sobie sprawy, w co się wdaję, dopóki nie było za późno. Za to cię przepraszam. Ale przyznaję, że wymyśliłem ten podstęp po prostu z egoistycznej ciekawości. Chciałem się dowiedzieć, kim jesteś. Jak ci mówiłem, przez cały czas, odkąd

istnieję, czekałem na ciebie. Czekałem na kogoś, z kim mogę rozmawiać. Kogo mogę dotknąć. Kiedy się zorientowałem, że to ty... musiałem wiedzieć, kim jesteś. Wtedy poprosiłaś mnie o pomoc – ciągnął – i chciałem być przy tobie. Ale wiedziałem, że nie mogę ci pomagać pod postacią, którą znałaś, bo bałaś się mnie. Powiedziałaś raz, że mnie nienawidzisz, więc pozostałem Sylasem. Nie tylko żeby cię przywieźć do Thorn Grove, ale żeby spędzać z tobą czas i pomagać ci bez tego stygmatu. Bez strachu. Gdybym przyszedł do ciebie jako cień, nigdy nie przyjąłabyś mojej pomocy.

Miał rację i chociaż złościła się z powodu kłamstwa, poczuła też ulgę. Ulgę, że z nią został, bez względu na formę, ponieważ Blythe nadal żyła. I w końcu tylko to się liczyło.

Wstał i wziął ją za rękę.

– Nie będę udawał, że rozumiem, przez co przechodzisz, bo nie urodziłem się tak jak ty i nigdy nie byłem człowiekiem. Ale będę ci towarzyszył krok po kroku na tej drodze, zakładając...

– Zakładając co?

Gwiazdy tworzyły kurtyne za jego plecami, świeciły jasno jak jego srebrzyste oczy. Nawet księżyc zdawał się przyciągać ją bliżej ku niemu.

– Zakładając, że mnie przyjmiesz? – zapytał.

Śmierć powiedział jej kiedyś, że przeznaczenie każdego człowieka jest z góry ustalone. Pomyślała, że może właśnie patrzy w oczy swojego przeznaczenia. Tak długo się opierała. Tak długo walczyła z tą cząstką siebie... i och, jakże była zmęczona. Dość miała udawania. Dość robienia z siebie kogoś, kim nie jest, i uciekania od wszystkiego, co dawało jej poczucie spełnienia. Dość pytań, domysłów i zagadek.

Chciała po prostu... być.

Teraz wiedziała, kim jest, i nie zamierzała się dłużej ukrywać. Była żniwiarką, była Śmiercią, a ta ciemność była jej domem. On był jej domem.

Więc splotła palce z jego palcami.

– Żadne z nas nigdy już nie będzie samotne.

Blythe długo powracała do zdrowia.

Signa nikomu nie życzyła takiego losu. Blythe spędzała dni skulona w łóżku, cierpiąca, oddychając z trudem, nie mogąc skupić wzroku. Marniała w oczach, nie mogła utrzymać żadnych pokarmów, została z niej tylko skóra napięta na kruchych kościach. Signa i Elijah zmieniali się przy jej łóżku. Czasami opowiadali historie. Czasami rozmawiali o lepszych dniach Blythe. A czasami Signa tylko siedziała w milczeniu, wpatrzona w kąt pokoju, podczas gdy Blythe spała. Wierzyła, że trzeba tylko cierpliwości.

W końcu nastąpiła poprawa. Po dwóch tygodniach Blythe przestała wymiotować, a pewnego zimowego ranka zdołała bez pomocy wstać z łóżka i wyglądać przez okno na padający śnieg. Jak nowo narodzony źrebak, ledwie trzymała się na nogach. Ale jeśli Signa nauczyła się czegoś w swoim samotnym życiu, to cierpliwości. I czekając, aż dawny dom rodziców, Foxglove, zostanie przygotowany na jej przyjazd, nie miała nic oprócz czasu.

Przez pierwszych parę miesięcy Blythe nadal potrzebowała pomocy. Źle znosiła swoją zależność i często nalegała, żeby Signa natychmiast wyjechała, skoro skończyła już dwadzieścia lat i odziedziczyła swój majątek. Upierała się, że nie chce pomocy, nie potrzebuje jej. Ale Signa zdążyła się już przekonać, że Blythe tylko tak gada. Sama przez całe życie pragnęła mieć kogoś przy sobie, dlatego nie opuściła kuzynki. Upłynęło wiele długich dni, zanim

Blythe powoli nabrała ciała i odzyskała trochę sił, ale wczesną wiosną chodziła już samodzielnie.

Elijah był uszczęśliwiony z powodu córki, którą obserwował czujnym okiem. Przyjęcia w Thorn Grove skończyły się na dobre, zastąpione przez długie godziny w ogrodzie. Signa nigdy by nie przypuszczała, że ojciec i córka są do siebie tak podobni, gdyby nie widziała tego codziennie przy śniadaniu, kiedy oboje przychodzili do stołu w kapciach i zajadając placki, wygłaszali kwieciste tyrady o tym, które są najlepsze. Pewnego ranka Blythe zażądała, żeby Warwick przyprowadził kucharkę, która śmiała się, z zaróżowionymi policzkami słuchając, jak Blythe i Elijah obszernie tłumaczyła, że po prostu muszą dostać na podwieczorek cytrynowe, czekoladowe albo różane placuszki.

Byli teraz tak pełni życia, że Signa nie od razu się do tego przyzwyczaiła. Zupełnie jakby ktoś wziął miotłę i wymiótł z Thorn Grove pajęczyny i ciemność – odsunął zasłony i wpuścił do środka słońce.

Nie było dnia, żeby nie wspominali Lillian, podobnie jak Signa codziennie wspominała Percy'ego i jego los. Samotnie dźwigała ciężar tej wiedzy, nie chcąc znowu złamać serca Blythe i Elijahowi, którzy dopiero odzyskali spokój. Percy i Lillian odeszli z Thorn Grove i nigdy nie wrócą.

Thorn Grove zmieniało się na lepsze, ale Signa musiała się zająć jeszcze jedną sprawą.

Pewnego popołudnia wróciła Marjorie. Szukali jej bez skutku, ale na wiadomość o zniknięciu jej syna przybyła, żeby znaleźć odpowiedź. Zamknęli się z Elijahem w jego gabinecie i chociaż Signa usiłowała podsłuchiwać, Warwick ją przepędził. Czekwała

niecierpliwie, chodząc tam i z powrotem po korytarzu. Potem Marjorie zniknęła w swojej dawnej sypialni. Signa tkwiła pod drzwiami, kołysząc się na piętach, aż wreszcie drzwi skrzypnęły i pojawiła się Marjorie, dźwigając podróżny kufer.

Spojrzała na Signę i zacisnęła wargi.

– Witam, panno Farrow.

– Dzień dobry, panno Hargreaves. – Wszystko, co Signa planowała powiedzieć, w jednej chwili wyleciało jej z głowy. Stała w niezręcznym milczeniu, splatając przed sobą ręce. – Miałam nadzieję, że zamienię z panią parę słów.

Marjorie nie wyglądała już jak wzorowa guwernantka, którą Signa pamiętała. Miała podkrążone oczy i najwyraźniej bardzo chciała uniknąć tej rozmowy. Signa nie dziwiła się jej, ale poczuła ulgę, kiedy Marjorie westchnęła, postawiła kufer i gestem zaprosiła Signę do środka. Pokój był opustoszały. Marjorie wskazała dziewczynie krzesło z prostym oparciem i żółtym obiciem w kwiatowy wzór, a sama usiadła naprzeciwko.

– Cieszę się, że pani jest bezpieczna – wydusiła z siebie Signa. – Od dawna pani szukaliśmy.

– Zdaję sobie z tego sprawę – Marjorie mówiła chłodnym tonem, ale na szczęście bez gniewu. Ton nie był też przyjazny, ale Signa pomyślała, że jakoś to wytrzyma. – Przyjechałam tylko dowiedzieć się, co z Percym, i zabrać moje rzeczy. Jeśli ma pani coś do powiedzenia, proszę się pośpieszyć.

Signa odetchnęła głęboko, zbierając się na odwagę.

– Jestem pani winna przeprosiny. Bałam się o bezpieczeństwo Blythe, ale nie miałam wystarczających dowodów, żeby panią oskarżyć. Przepraszam.

Marjorie skwitowała przeprosiny kiwnięciem głowy, chociaż wyraz jej twarzy nie złagodniał.

– Nie szkodzi. Podziwiam pani przywiązanie do Hawthorne'ów i obie wiemy, że oskarżenie nie było bezpodstawne.

Signa przygryzła dolną wargę. Marjorie mówiła prawdę – chociaż była niewinna, miała na palcach plamy po belladonie.

– Znalazłam te jagody tuż przedtem, zanim pani mnie oskarżyła – ciągnęła Marjorie.

Signa poczuła, że ostatni kawałek układanki jest w zasięgu ręki. Nikomu nie wyjawiała prawdy o Percym. Zamiast tego twierdziła, że nie widziała go w ogrodzie tamtej nocy i nie ma pojęcia, kto podłożył ogień. Opowiadała, że Percy uciekł ze strachu, że ktoś chce go zabić, dodatkowo wściekły na ojca, który zamierzał sprzedać Grey's. Z pomocą Śmierci, który spędzał noce w Thorn Grove i szeptał do uszu śpiących ludzi, wszyscy domownicy pogodzili się z nową rzeczywistością. Zwolniono dużą część personelu w nadziei, że pozbędą się tego, kto zatruewał posiłki, i chociaż Signa miała z tego powodu wyrzuty sumienia, Śmierć dopilnował, żeby wszyscy znaleźli dobre posady.

Kiedy Blythe zaczęła dochodzić do zdrowia, Signa pozwoliła Elijahowi uwierzyć, że raz na zawsze pozbył się sprawcy. Zawiadomił władze, które przeprowadziły dochodzenie, ale bez żadnych dowodów ani zeznań sprawa stopniowo schodziła na drugi plan. Chociaż Elijah nie był z tego zadowolony, jasno dał do zrozumienia, że bardziej mu zależy na spędzaniu czasu z Blythe niż na szukaniu rozwiązania.

– Więc pani wiedziała, że jagody belladonny należą do Percy'ego?  
– zapytała Signa, nie zamierzając krążyć wokół tematu.

Rude włosy Marjorie były związane na karku, piegi pstrzyły skórę pod jej zmęczonymi oczami. W tamtej chwili była tak podobna do syna, że Signie skrzyły się wnętrzności.

– Nigdy nie mówiłam, gdzie je znalazłam.

– Nie musiała pani. – Signa odwróciła się, nie mogąc już znieść tego podobieństwa. – Ja wiem, że to był on. Tylko ja wiem i nie zamierzam się z nikim dzielić tą wiedzą. Nie trzeba znowu łamać serca Hawthorne'om.

Marjorie szybko przełknęła ślinę i odetchnęła z ulgą.

– Proszę zrozumieć, że nie miałam nawet chwili, żeby zebrać myśli i zdecydować, jak najlepiej postąpić, kiedy się zorientowałam, co się dzieje. Chciałam z nim porozmawiać. Oszczędzić go, jeśli to możliwe. To mój syn i potrzebowałam czasu do namysłu.

– Czas był luksusem, którego Blythe nie miała. – Signa zmięła w palcach spódnicę. – Myliłam się, ale kiedy pani się zawahała, przeszłam do działania. I to działanie uratowało życie Blythe. Żałuję, że panią oskarżyłam... naprawdę mi przykro. Ale proszę zrozumieć, myślałam, że robię to, co najlepsze.

Na czole Marjorie pulsowała żyła. Guwernantka wygładziła suknię.

– Elijah powiedział mi, że Percy zniknął. – Chciała dodać coś jeszcze, pytanie utknęło jej na wargach. – Czy mój syn kiedyś wróci, panno Farrow?

Signa nie wahała się, kiedy postanowiła oddać Blythe lata życia Percy'ego, i teraz też się nie zawahała. Uniosła podbródek i spojrzała Marjorie w oczy.

– On nigdy nie wróci do Thorn Grove. Tego jestem pewna.



Marjorie nie czekała ani chwili dłużej. Wstała, oczy miała wilgotne i zdecydowane.

– A więc pora na mnie. Muszę złapać pociąg na wieś. Czas, żebym zaczęła nowe życie, z dala od tego miejsca.

Signa wtedy przysięgła sobie, że nigdy nie zdradzi, co Percy czuł do Marjorie. Lepiej kłamać, prawda? Pozwolić Marjorie wierzyć, że syn ją kochał. Że nie chciał jej śmierci.

– W takim razie życzę pani wszystkiego najlepszego – powiedziała i lekko skłoniła głowę. – Mam nadzieję, że znajdzie pani jakiś wspaniały dom.

Marjorie kiwnęła głową, również się ukloniła i znikła za drzwiami.

Signa objęła ostatnim spojrzeniem pusty pokój, zanim wyszła na korytarz. Ostatni kawałek układanki trafił na miejsce, więc mogła już ruszać dalej.

– *Dobrze się spisałaś.*

Znajomy dreszcz przebiegł jej po karku i spłynął po kręgosłupie. Śmierć pojawił się za nią i otoczył ją ramionami w talii. Oparła się o niego, rozkoszując się jego dotykiem.

– Patrzyłeś?

– Nie żeby szpiegować – odpowiedział na głos, nachyliwszy się tak, że jego głos musnął jej ucho. Objął ją mocniej i składał lekkie pocałunki na jej szyi. Zastanowiła się przelotnie, jak mogłaby wyglądać w oczach kogoś, kto akurat przechodził korytarzem, ale nie potrafiła się tym przejąć. To Śmierć odsunął się w końcu z gardłowym chichotem.

– Może przeniesiemy się do twojej sypialni?

– Dlatego tu przyszedłeś? – droczyła się, biorąc go za rękę.

Nie musiał jej prosić dwa razy. Przez cały tydzień zostawiała okno otwarte i rzucała się w pościeli, czekając na niego. A on noc po nocy ignorował jej zaproszenie.

Zaprowadziła Śmierć do swojego pokoju. Cienie opadły z niego i był tylko młodym mężczyzną o srebrzystych włosach, z galaktykami w oczach. Westchnął z zadowoleniem, kiedy Signa całowała go po szyi, po linii szczęki... Odsunął się, zanim dotarła do jego ust.

Signa się cofnęła.

– Nie chcesz? Mogę przestać, jeśli...

– Signo Farrow, „przestać” to ostatnie, czego chcę. Ale musimy coś omówić. – Usiadł na brzegu jej łóżka i szepnął, jakby ton głosu mógł złagodzić znaczenie słów: – Odtąd będzie nam trudniej się widywać.

Usiadła obok niego i podwinęła nogi.

– Jak to?

– Blythe dochodzi do zdrowia – powiedział. – Rozwiązałaś zagadkę morderstwa i Thorn Grove jest bezpieczne. Możesz mnie widzieć tylko wtedy, kiedy zasłona między naszymi światami się unosi i śmierć czeka w pobliżu.

– Ale ja mam jagody belladonny – zaproponowała Signa. – Mogę cię zobaczyć, kiedy zechcę.

Sięgnął po jedną z jej rąk, które złożyła na kolanach, i zamknął ją w obu swoich dłoniach.

– Może czasami. Ale nie będę następną klatką, w której spędzisz życie, ptaszynko. Nie chcę, żebyś musiała robić takie rzeczy tylko po to, żeby mnie zobaczyć.

– Ale ja chcę cię widywać. – Lęk ścisnął ją w żołądku. – O co ci chodzi?

Była tak wyraźnie zmartwiona, że Śmierć przysunął się bliżej i otarł ramieniem o jej ramię.

– Pewnego dnia będziemy razem bez żadnych ograniczeń – obiecał jej. – A tymczasem nadal będziemy się widywać... nasze ścieżki będą się przecinać, jak zawsze. Ale chcę, żebyś żyła. Nie chcę, żebyś kiedyś pożałowała swoich dni na tym świecie, tylko żebyś wspominała je z uśmiechem.

Zaledwie zdążyła odnaleźć się w tym życiu – pogodzić ze świadomością, że jej przeznaczenie jest inne niż to, do czego tak długo dążyła. Zaledwie zdążyła zaakceptować najmroczniejszą część siebie, zaakceptować jego, a on teraz... co? Próbuje ją do siebie zniechęcić?

– Jeśli tego dla mnie chcesz, to nie zostawisz mnie znowu – powiedziała surowo.

– Nie mam wyboru. – Mocno ścisnął jej rękę. – Nie będę mógł cię codziennie widywać i muszę do tego podejść realistycznie. Nie pozwolę, żebyś jadła te jagody tylko po to, żebyśmy mogli spędzić ze sobą pięć minut.

Signa wyrwała dłoń z jego ręki. Chciała go obrzucić przekleństwami, ale się powstrzymała. Później przyjdzie na to czas.

– Ja już cię wybrałam. – W jej głosie była stal. – Nie waz się teraz silić na dyplomację. To jest duży świat i z pewnością znajdziemy sposoby, żeby się odnaleźć.

– Znajdziemy – zgodził się. – Ale kiedy wszyscy, których znasz, odejdą, ja wciąż tu będę, Signo. Dla mnie to też nie jest łatwe; niczego bardziej nie pragnę, niż być z tobą. Żebyś mnie chciała. Ale

jeśli skupisz się na świecie zmarłych, zapomnisz cieszyć się światem żywych. Rozumiesz?

Rozumiała doskonale. Ale nie zamierzała zrezygnować z następnej osoby, którą pokochała.

– Będę żyła swoim życiem – powiedziała mu – i znajdowała cię w tych kradzionych chwilach. Moje decyzje podejmuję sama i zdecydowałam, że jakoś to rozwiążemy. Spróbujemy. A tymczasem chciałabym wykorzystać ten czas, który nam został.

Śmierć przełknął, kiedy Signa zmieniła pozycję na łóżku. Szczęściem nadal miała na sobie popołudniową suknię – bez gorsetu, więc łatwo mogła sama ją rozpiąć. Zerknęła na niego z milczącym pytaniem w oczach, a Śmierć w odpowiedzi przekręcił się i posadził ją sobie okrakiem na kolanach.

– Jesteś pewna? – zapytał. – Nawet wiedząc, że minie trochę czasu, zanim znowu się zobaczymy?

– Jesteś jedynym, czego jestem pewna. – Przesunęła jego rękę na swoją suknię, nakierowała jego palce między koronki. – Znajdziemy sposób.

Dopiero kiedy jego palce prześliznęły się przez jedwabne sznurówki i zaczęły je rozsypywać, zamknęła oczy i pozwoliła, żeby suknia z niej opadła. Próbowała zapamiętać dotyk tych palców na skórze, wędrujących od szyi do bioder. W chwilę później nacisk jego piersi na jej piersiach. Kciuk zataczający łagodne kółka na wewnętrznej stronie jej uda.

Będzie na niego czekać, nieważne jak długo, i zawsze, kiedy zwątpi albo za nim zateškni, przypomni sobie tę chwilę, kiedy położył ją na prześcieradłach i pochłonęła ją sama noc.

## Epilog

W tych dniach Signa szukała Śmierci wszędzie.

Nie przychodził już do niej w nocy. Nie zjawił się, kiedy odwiedziła Mitrę w stajni, gdzie inny chłopiec stajenny zajął jego miejsce, jakby Sylas nigdy nie istniał. Śmierć nie przyszedł do niej nawet wtedy, kiedy wspominała ciężar jego ciała na swoim ani kiedy tęskniła za mocą, która pulsowała wówczas w jej krwi. I nie było go teraz wśród tancerzy i plotkarzy w Thorn Grove. Signa wypatrywała wśród pozłacanych ścian jego czarnego stroju. Szukała jego diabelskiej rogatej maski lawirującej między gośćmi. Jak na każdym przyjęciu od czasu jej debiutu, rozglądała się za nim znad krawędzi kieliszka z szampanem, niepokieszona, kiedy włosy nie jeżyły jej się na karku i po rozgrzanych plecach nie przebiegały dreszcze.

– *Chcę cię zobaczyć.*

Cieszyła się, że przynajmniej mogła się z nim porozumieć. Chociaż to wszystko było takie frustrujące, nadal był ponurym żniwiarzem i wszędzie, gdzie stąpnął, ludzie umierali. A Signa musiała przyznać, że żyło jej się całkiem wygodnie w Thorn Grove, z jego mieszkańcami. Najwyższy czas, żeby się usatkwowała.

Odpowiedział głosem słodkim jak miód.

– *Czy mam sprowadzić zarazę? Wtedy widywalibyśmy się nawet często.*

Signa prychnęła i wzięła następny łyk szampana. Zamierzała go ostrzec, żeby nie groził jej dobrą zabawą, ale wtedy za jej plecami

rozległ się głęboki głos.

– To przyjemność znowu panią widzieć, panno Farrow.

Signa nie miała żadnych wiadomości od lorda Wakefielda od czasu świątecznego balu sprzed czterech miesięcy, kiedy opuściła ich obiecany ostatni walc. Liczyła, że przestał się nią interesować, jednak błysk w jego oku sygnalizował, że się myliła. Zatem im szybciej go odstraszy, podobnie jak pozostałych konkurentów, tym szybciej zacznie żyć jako prawdziwa stara panna, której towarzyszy jedynie noc.

Jednak tego wieczoru ona i Everett nie mieli wyboru, musieli odnowić znajomość.

– Pozwoli pani, że przedstawię mojego ojca – powiedział. – Jego wysokość książę Berness, Julius Wakefield.

Obok Everetta stał mężczyzna, który wyglądał całkiem jak on. Był o dobrą głowę wyższy od Signy, miał szerokie ramiona i głęboko osadzone oczy. Patrzył na nią w taki sposób, że skóra jej ścierpła, całkiem jakby ktoś oceniał wyścigowego konia, zanim na niego postawi.

Sam pomysł, żeby dygnąć przed kimś, kto na nią patrzy w ten sposób, wzbudził w niej odruchowy protest. A jednak dygnęła, ponieważ ten człowiek był nowym właścicielem Grey's i w następnym miesiącu miał przejąć zarządzanie klubem. Umowa przewidywała, że będzie dzielił się zyskami z rodziną Hawthorne'ów. Odkąd podpisano ten kontrakt, Elijah tańczył na korytarzach. Nawet Byron tak się nie wściekał z powodu tej decyzji, jak można było się spodziewać. Nadal miał otrzymywać wynagrodzenie, a jego rodzina miała zyskać stałe źródło utrzymania

i zachować wysoką pozycję. Rodzina, którą teraz planował założyć, jeśli jego zaloty na sali balowej o czymś świadczyły.

Ponieważ ten bal odbywał się dla uczczenia umowy z ojcem Everetta, Signa ugryzła się w język i ze względu na Elijaha skłoniła głowę przed lordem Juliusem.

– Miło mi księcia poznać, wasza wysokość – powiedziała słodkim głosem.

Musiła zdobyć się na największy wysiłek, żeby utrzymać uśmiech na twarzy, kiedy on nadal mierzył ją wzrokiem przez zbyt długą chwilę, zanim klepnął Everetta po ramieniu. Dopiero wtedy, widocznie oceniwszy Signę jako godną uwagi, księżę pozwolił sobie na uśmiech.

– Cała przyjemność po mojej stronie, panno Farrow. Syn wiele mi o pani opowiadał. Jest pani bardzo podobna do matki, wie pani? – Głos mu stwardniał. – Chociaż ma pani niezwykle oczy.

Signa wzięła łyk szampana.

– Rzeczywiście są bardzo niezwykle, wasza wysokość. Bo one widzą duchy.

Rozciągnęła wargi w fałszywym uśmiechu, a Julius zaśmiał się grzmiąco, śmiechem dochodzącym gdzieś z głębi trzewi.

– Ominęła mnie zabawa? – Elijah pojawił się za nim, przyciągnięty tym śmiechem. Dosłownie promieniał. – Czarujemy księcia, co, Signo?

– Pańska kuzynka to atrakcyjna młoda kobieta – powiedział Julius. – Nie żebym spodziewał się czegoś innego. Mój Everett jest nią całkiem zauroczony.

Everett sprawiał wrażenie, jakby chciał się zapaść pod ziemię. Signa, z płonącymi policzkami i spoconą szyją, marzyła, żeby do

niego dołączyć. Oboje patrzyli na złoczone ściany i kryształowe żyrandole, na podłogę i tancerzy, byle tylko nie spojrzeć na siebie.

– *Czy odwiedzisz mnie dziś w nocy, jeśli umrę ze wstydu?* – zapytała Śmierć, który akurat teraz postanowił milczeć.

Elijah, na całe szczęście, szybko się zorientował i postarał odwrócić uwagę Juliusa od Everetta i Signy.

– Chyba już czas, żebyśmy wznieśli toast. Proszę za mną i najpierw musimy ponownie napełnić kieliszki.

Pociągnął Juliusa w tłum. Everett i Signa zostali sami. Oboje wpatrywali się w podłogę i próbowali znaleźć słowa, które jeszcze bardziej nie pogłębią ich zakłopotania.

Everett odchrząknął i podrapał się po karku.

– Cóż za interesująca rozmowa – powiedział.

Jego zażenowanie było tak urocze, że Signa się uśmiechnęła.

– Jak się pan miewa, lordzie Wakefield? Dawno się nie widzieliśmy.

Spodziewała się, że się roześmieje i będzie robił uniki, on jednak odparł z głębokim zmieszaniem:

– Rzeczywiście dawno. Chociaż... proszę mi wybaczyć zuchwałość... kiedy pani nie wróciła, żeby ze mną zatańczyć tamtego wieczoru na świątecznym balu, zakładałem, że moje zainteresowanie jest... nieodwzajemnione.

Miał rację, bo chociaż tańczył znakomicie, nie dało się tego porównać z tańcem w ramionach Śmierci. Jednak był miły i Signa nie chciała go urazić.

– Przepraszam. Ten wieczór był tak ekscytujący, że straciłam rachubę czasu.

Niestety Everett nie zrozumiał aluzji, bo twarz mu się rozjaśniła.



– Więc proszę zatańczyć ze mną dziś wieczorem.

Signa nie bardzo mogła odmówić. Zarumieniona, pełna poczucia winy, podała mu karnecik, a on szybko wpisał się nie w jednym, lecz w dwóch miejscach. Później znajdzie jakiś sposób, żeby delikatnie go odprawić. Ale tego wieczoru miała nadzieję, że Śmierć nie zwróci uwagi.

Jednakże Eliza Wakefield obserwowała ich z wyteżoną uwagą. Kiedy Signa ją na tym przyłapała, Eliza szybko odwróciła wzrok i przyłączyła się do śmiechu z tego, co opowiadali jej towarzysze. Signa się skrzywiła. Nie miał ochoty rozmawiać z Elizą ani z jej myszowatą przyjaciółką Dianą – których zaproszenie na herbatę już dwukrotnie odrzuciła. Jednak nie mogła jej zignorować, a zwłaszcza jej ohydneho koronkowego wachlarza, którym wymachiwała.

Everett wychwycił spojrzenie Signy i zmarszczył brwi, ponieważ nie bardzo panowała nad mimiką twarzy, wyrażającą pewien niesmak.

– Czy coś się stało?

Pokręciła głową.

– Tylko podziwiałam suknię Elizy. Jest taka piękna, taka jasna i... żółta.

– Ojciec uważał, że powinna założyć jakąś śmiałą kreację. Chyba chce ją jak najszybciej wydać za mąż. Przez cały tydzień przyjmował wizyty dżentelmenów. Przypuszczam, że ona wkrótce da słowo panu Bennetowi.

Wskazał dyskretnie mężczyznę po drugiej stronie sali. Signa musiała ugryźć się w język, żeby powstrzymać się od komentarza. Sir Bennet był całkiem przystojny, ale nieco za stary, z grzywą

siwych włosów i zmarszczkami wokół oczu. Garbił się trochę i ramiona mu opadały.

– Nie jest najmłodszy – przyznał Everett, trafnie odczytując myśli Signy – ale bardzo szanowany. Zapewni jej dobre życie.

Z pewnością, zakładając, że Eliza chciała zostać bogatą wdową, mając jeszcze dość życia przed sobą. Niemniej Signa przytaknęła z powagą i miała już zapytać, skąd ten pośpiech, skoro Eliza jest jeszcze taka młoda – kiedy jej wzrok przyciągnęła piękna błękitna suknia z lśniącego jedwabiu z obcisłym gorsetem. Blythe wyglądała całkiem jak księżniczka, kiedy wpłynęła do sali balowej. Pławiła się w spojrzeniach i szeptach powtarzających jej imię, jakby bardzo jej tego brakowało. Jej opalona skóra znowu wyglądała zdrowo, w oczach błyszczało ożywienie.

Kiedy napotkała wzrok Signy, rozpromieniła się i podpłynęła, żeby wziąć kuzynkę za rękę.

– Och, to jest wspaniałe – zanuciła, obejmując spojrzeniem tace ze słodyczami i kieliszki szampana. Wcale się nie przejmowała, że odciąga Signę od Everetta.

Everett odchrząknął.

– Dobry wieczór, panno Hawthorne.

– Och, witaj, Everetcie.

Zaszczyciła go jedynie przelotnym spojrzeniem i nawet nie zauważyła, jak się zdziwił, że zwróciła się do niego tak nieformalnie, zajęta podziwianiem kobiet we wspaniałych sukniach, spacerujących po sali balowej. Patrząc, jak Blythe obserwuje kobiety, Signa miała wrażenie, że na salę narzucono migotliwą zasłonę. Wszystko wydawało się o wiele piękniejsze. Signa zrobiła

coś niewyobrażalnego, żeby ratować kuzynkę, ale było warto. Po tysiącokroć warto.

Głodne oczy Blythe przepatrywały tłum i rozjaśniły się, kiedy zatrzymały się na kobiecie zmierzającej w ich stronę – Charlotte.

Signa poczuła ucisk w piersi. Od paru miesięcy unikała Charlotte i jej pytających oczu. Była w lesie w noc pożaru i jeśli ktoś mógł podać w wątpliwość jej historyjkę o Percym, to właśnie ona, Charlotte.

– Blythe, cieszę się, że jesteś zdrowa – powiedziała rozpromieniona Charlotte, piękna jak zawsze w jedwabnej sukni różowej jak peonia. Wzięła Blythe za rękę, uśmiechnięta lekko, lecz szczerze. – Czy twój brat nie zjawi się dziś wieczorem?

Chociaż zwróciła się z pytaniem do Blythe, zerknęła ukradkiem na Signę.

– Nie mieliśmy od niego jeszcze żadnych wiadomości – odparła Blythe, nieco przygaszona. – Chociaż na pewno da znać, kiedy już się urządzi.

– Oczywiście. – Charlotte ścisnęła Blythe za rękę, jednak Signa dostrzegła zwątpienie na jej twarzy.

Doznała ulgi, kiedy Elijah postukał w kryształowy kieliszek, żeby zwrócić uwagę gości. Tłum powoli się uciszył, nawet Eliza nagle przestała się śmiać, kiedy Julius spiorunował ją takim wzrokiem, że pospiesznie opuściła wachlarz.

– Chcemy podziękować wam wszystkim, że dołączyliście do nas dziś wieczorem – zaczął Elijah. Byron stał po jego prawej ręce, a Julius tuż za nimi. – Grey's należał do mojej rodziny od czterech pokoleń. My, Hawthorne'owie, kierowaliśmy nim z dumą i darzymy tę instytucję ogromnym szacunkiem. Tak wielkim, że kiedy nas

przerosła, nie byliśmy na tyle zadufani, żeby wierzyć, że samodzielnie możemy utrzymać ten wysoki poziom. Tak więc od tego dnia pragniemy powitać w Grey's jego wysokość Juliusa Wakefielda i ogłosić zawarcie oficjalnego partnerstwa z rodziną Wakefield. Pragniemy również powołać was wszystkich na świadków tej podniosłej chwili, kiedy obejmujemy nowe dziedzictwo z nadzieją na wiele lat owocnej współpracy.

Elijah podniósł kontrakt tak zamasztywym gestem, że kilku gości zaczęło klaskać. Wręczył go Juliusowi, który wystąpił do przodu z gęsim piórem w ręku, żeby podpisać dokument. Złożywszy swój podpis, odwrócił się do tłumu z wyćwiczonym uśmiechem.

– Z radością zaczynam tę nową przygodę – powiedział – i cieszę się na nasze partnerstwo!

Elijah rozpromienił się tak, że niemal świecił własnym blaskiem. Byron, chociaż mniej entuzjastyczny, wzniosł kieliszek w toaście.

– Za nasze partnerstwo – powiedział. – I za wiele nadchodzących lat.

Signa też uniosła swój kieliszek, podobnie jak pozostali biesiadnicy. Wszyscy stukali się kieliszkami i salę balową wypełnił dźwięk kryształów.

Julius ostentacyjnie wychylił swojego szampana jednym haustem. Wtedy wydarzyły się trzy rzeczy:

Po pierwsze Julius zachłysnął się, oczy wyszły mu na wierzch, chwycił się za pierś i za gardło.

Po drugie Eliza wrzasnęła, kiedy książę upadł i krew pociekła mu z ust. Elijah doskoczył do niego z rozpaczliwym okrzykiem, a Signa pospieszyła za nim.

Po trzecie fala zimna zaparła Signie dech i rzuciła na kolana u boku Juliusa, nad którym pochylał się Śmierć. Spojrzał na Signę z westchnieniem.

– Powinnaś uważać, czego sobie życzysz, ptaszynko.

A potem wyrwał z ciała ducha Juliusa.

Duch popatrzył na Signę.

– *Ach* – powiedział Julius, przechylając głowę na bok. – *Chyba mówiłaś prawdę o tych swoich oczach.*

Och, mogłaby zabić Śmierć. Jednak nie miała szans, bo ciała wokół niej zaczęły zwalniać i stopniowo znieruchomiały. Śmierć natychmiast stanął u jej boku, pełen napięcia, kiedy obok pojawiła się postać, której dotąd nie zauważyła – młody mężczyzna o ciemnobrązowej skórze i oczach z płynnego złota.

Popatrzył na rozbity kieliszek, który wypadł z ręki Juliusa, podniósł odłamek szkła i obejrzał pod światło. Na szkle zostało kilka kropli płynu i Signa wstrzymała oddech, widząc, że barwa jest trochę zbyt niebieskawa. Zapach też był niewłaściwy, jakaś goryczka zamaskowana alkoholem. Przypominająca zapach gorzkich migdałów.

To nie była belladonna, ale Signa potrafiła rozpoznać truciznę.

– Przeznaczenie to zabawna rzecz, prawda? – Głos przybysza wydawał się stary jak sama ziemia, wibrował tak niskimi dźwiękami, że wprawiał w drżenie kieliszki. Signa odchyliła się w objęcia Śmierci, kiedy spojrzały na nią te złote oczy. Nie mogła oderwać od nich wzroku. Od razu zrozumiała, do kogo należą.

– Jak miło wreszcie cię poznać, Signo Farrow – szepnął Los. – Zdaje się, że masz do rozwiązania kolejną zagadkę.

# Podziękowania

Proces powstawania książki od luźnego pomysłu do konkretnej historii, którą czytelnicy mogą wziąć do rąk, to zadanie wymagające małej armii niesamowitych ludzi, którym należą się wielkie podziękowania.

Pete Knapp, najlepszy agencie, o jakim mogłam marzyć, dziękuję ci. Czasami wydaje mi się, że jesteś dosłownie drugą połową mojego mózgu, zdecydowanie typu A, i nie potrafię nawet wyjaśnić słowami, jakie to cudowne. Ta branża jest jak jazda pociągiem, który zoczył z trasy tylko po to, żeby wjechać na tor niekończącej się górskiej kolejki. Co znaczy, że nawigacja jest wręcz śmiesznie trudna i tym bardziej jestem wdzięczna, że mogę w pełni zaufać mojemu partnerowi w interesach i wiedzieć, że zawsze będziesz za mną stał. Jesteś cudownym agentem – proszę, nigdy nie porzucaj tego zawodu. Jestem rozpieszczona i po prostu zginę bez ciebie.

Jeśli chodzi o Little, Brown Young Readers, dziękuję mojej redaktorce. Hallie Tibbets, dałaś Signie i Śmierci wspaniałą nową dom. Jesteś czarodziejką redagowania i dzięki tobie ta historia jest znacznie mocniejsza i spójniejsza.

Deirdre Jones, dziękuję, że przyleciałaś i wzięłaś tę historię pod swoje skrzydła. Nie mogę się doczekać, żeby pracować z tobą nad sequelem.

Alvino Ling, Megan Tingley, Jackie Engel, Mariso Finkelstein i Virginio Lawther, bardzo wam dziękuję, że pomogliście stworzyć tę książkę i ułatwiłyście jej debiut w wielkim świecie.

Robin Cruise, za twoje redaktorskie czary i nauczanie mnie, że nie wszędzie potrzebny jest przecinek. Postaram się na przyszłość zapamiętać tę lekcję, chociaż nie mogę obiecać, że te podstępne przecinki nie wślizną się przez jakąś dziurę.

Chandro Wohleber i Kerry Johnson, dziękuję za wasze bystre oczy i wyłapywanie najdrobniejszych szczegółów.

Jerry Kimura, Karino Granda i Eleno Masci, dziękuję za stworzenie dla tej książki najwspanialszej, najpiękniejszej, najidealniejszej okładki, jaką mogłam sobie wyobrazić. Dostałam wszystko, na co liczyłam, i jeszcze więcej.

Dziękuję też Stefanie Hoffman, Shanese Mullins, Savannah Kennelly, Christie Michel, Shawn Foster i Danielle Cantarelli za promowanie i reklamowanie tej książki i za wasze wysiłki, żeby pokazać ją jak największej liczbie ludzi.

Dziękuję zespołowi Hodder & Stoughton: Holly Powell, że byłaś ze mną od samego początku i swoim bystrym redaktorskim okiem pomagałaś powołać do życia tę opowieść. Lydio Blageden i Teagan White, za nadanie tej opowieści pięknej oprawy w Zjednoczonym Królestwie z tak spektakularną szatą graficzną. Rozpieszczacie mnie, bo mam dwie przecudowne okładki. Natasho Quereshi, Callie Robertson, Kate Keehan, Sarah Clay, Matthew Everett, wspaniale jest pracować z takim zespołem i szczerze doceniam wasz wkład w tę książkę.

Dziękuję mojej agencji Park & Fine Literary and Media: Abigail Koons i Emo Barnes, za niestrudzoną pracę, żeby zainteresować *Belladonną* jak najwięcej ludzi na całym świecie. Stuti Telidevara, dziękuję za twoją pomoc przy planowaniu, organizowaniu

i wszystkim innym. Emily Sweet i Andreo Mai, za wasze strategiczne umysły i staranną pracę.

Abby Ranger, twój udział w najwcześniejszych etapach tej opowieści był ważny i bardzo doceniony.

Debbie Deuble Hill, niezwykła agentka filmowa, dziękuję za twoją niezachwianą wiarę w tę opowieść i za poświęcenie, z jakim szukałaś dla niej idealnego miejsca na ekranie.

Nicole Otto, wspaniały człowieku, dziękuję, że pierwsza wyciągnęłaś mnie z bagna i pozwoliłaś, żebym ci przysyłała wszystkie moje paniczne teksty do publikacji. Jesteś skarbem i nie mogę się doczekać, żeby znowu cię zobaczyć.

Przyjaciele, którzy odegraliście ważną rolę w tworzeniu tej opowieści i bez których nigdy nie przeżyłabym publikacji: Rachel Griffin, Adrienne Young, Kristin Dwyer, Shelby Mahurin, Diya Mishra i Haley Marshall. Dobrze wiem, że jestem męcząca. Dziękuję, że znosicie moje wybryki. Należycie do moich najbardziej ulubionych ludzi na świecie i jestem nieskończenie wdzięczna, że was mam.

Bri Renae, dziękuję, że byłaś jedną z najwcześniejszych czytelniczek i sprawiłaś, że uwierzyłam, że ta opowieść jest naprawdę wyjątkowa. Również za zapoznanie mnie z koncepcją Shadow Daddies and Scones. Pewnego dnia coś z tego zrobimy.

Jordan Gray, dziękuję za twoją życzliwość i entuzjazm, i doskonałe redaktorskie oko. Suknia z bombazyny na początku książki to cała ty.

Shea Standefer i Tomi Adeyemi, dziękuję za wiarę we mnie i za KBBQ. Zawsze za KBBQ.



Wszystkim autorom i recenzentom, którzy poświęcili czas, żeby przeczytać i zrecenzować *Belladonnę*, jestem ogromnie wdzięczna. Tak bardzo kocham tę książkę i wiele dla mnie znaczy, że wy też ją kochacie.

Street team: nie mogę wymienić każdego z was z nazwiska, ale wiedzcie, proszę, że naprawdę jestem wdzięczna każdemu z was. Wasz zapał, wasz entuzjizm, wasze piękne zdjęcia. Dzięki wam ta podróż jest taka wyjątkowa.

Peter Gundry, źle bym się czuła, gdybym ci nie podziękowała. Słuchałam twojej muzyki codziennie przez lata, kiedy pracowałam nad tą książką. Wybacz, że mogłam nazwać twoim imieniem tylko psa, ale musisz przyznać, że to nie byle jaki pies.

Josh, powiedzieć, że to była długa podróż, to mało. Dziękuję, że trwałeś przy mnie przez wszystkie stresy, późne noce i długie weekendy i że jesteś świetnym partnerem.

Mamo i tato, naprawdę wolałabym, żebyście tego nie przeczytali, ale niestety wiem, że przeczytacie, i doceniam to. Dziękuję za wasze wsparcie i wiarę we mnie, bez względu na to, jaką głupotę zamierzam popełnić w następnej kolejności.

Pookie i Rowdy, to była nasza ostatnia książka razem i zawsze będzie mi brakowało waszych wilgotnych nosów na mojej twarzy i codziennych prób odciągnięcia mnie od pisania. Nie martwcie się, Mooka i Meadow przejęły wasze obowiązki i świetnie sobie radzą.

Boże, dziękuję, że dałeś mi tę opowieść i słowa i że ta książka przez cały czas trafiała we właściwe ręce.

I na koniec wszystkim czytelnikom, którzy dotarli do tego miejsca. Dla was to robię. Dziękuję, dziękuję, dziękuję.

Redaktorka inicjująca: Ewa Orzeszek-Szmytko  
Redaktorka prowadząca: Kamila Sypniewska  
Redakcja: Małgorzata Starosta  
Korekta: Marta Stochmiałek, Lilianna Mieszczkańska

Projekt okładki  
Cover art copyright © 2022 by Elena Masci  
Cover design by Jenny Kimura  
Cover copyright © 2022 by Hachette Book Group, Inc.

Grupa Wydawnicza Foksal Sp. z o.o.  
02-672 Warszawa, ul. Domaniewska 48  
tel. (22) 828 98 08  
[biuro@gwfoksal.pl](mailto:biuro@gwfoksal.pl)  
[www.gwfoksal.pl](http://www.gwfoksal.pl)  
ISBN 978-83-8319-347-2

Skład wersji elektronicznej: Michał Olewnik / Grupa Wydawnicza Foksal Sp. z o.o. i Michał  
Latusek  
M1758